

Z E S Z Y T S E T N Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

Z E S Z Y T S E T N Y

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 473

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0141-X

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Edward MOŻEJKO

WIERNOŚĆ I CIERPIENIE: O POLAKACH W ZWIAZKU SOWIECKIM PRZED 1939 r.

Jak dalece tragiczna, bolesna i do niedawna wciąż jeszcze „niebezpieczna” pozostawała sprawa, o której chcę tu pisać świadczy fakt, że ktokolwiek z Polaków ją dotychczas poruszał przed 1989 r., posługiwał się zwykle albo pseudonimem, albo inicjałami lub też anonimowymi relacjami, (bardzo szczątkowymi) przekazanymi przez pośredników, którzy je zapisali. Podobnie jak w wypadku wielu innych dramatów, jakie rozegrały się na przestrzeni polskiej historii dwudziestego wieku, tak i tym razem palma pierwszeństwa w ich ujawnieniu należy do paryskiej *Kultury* i jej redaktora naczelnego, Jerzego Giedroycia. W trzydziestym tomie *Zeszytów Historycznych* z 1974 r. Marcin Wyziembło opublikował artykuł pod niewiele znaczącym tytułem „Losy Polaków”. Jak się później okazało, za tym pseudonimem krył się p. Józef Lewandowski (zob. jego list do *Kultury*, 1988, nr 10, str. 155). Należą mu się słowa wdzięczności i uznania za to, że przypomniał wówczas coś, co należało do bezwzględного tabu zarówno wśród historyków jak i tych, którzy coś o tym wiedzieli bądź to z własnego doświadczenia, bądź też z relacji innych. Chodziło bowiem o kategorię wydarzeń podpadających do niedawna pod eufemistyczne określenie „białych plam”. W czternaście lat później autor ukrywający się pod inicjałami J.B. nawiązał do tego tematu po raz drugi pod jakże trafnym tytułem „Najboleśnieszka 'biała plama'” (zob. *Kultura* 1988, nr 4, str. 73-78). Dopiero niedawno zaczęto otwarcie nazywać tę „plamę” po imieniu. Mam na myśli losy Polaków w Związku

Sowieckim przed 1939. Otóż jestem jednym z nich i fakt ten ujawniam publicznie po raz pierwszy. Kiedy myślę o swoim i swojej rodziny ocaleniu po drugiej wojnie światowej, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że czuwała nad nami i uratowała nas opiekuńcza ręka Opatrzności. Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Czy zachowała po to, aby dać świadectwo prawdzie i zarazem tragedii? Ale jak opisać ten ból, to poczucie krzywdy, bezradności i upokorzenia, które pragnęło się wyrzucić z siebie krzykiem, a musiało się przymusem dławić w gardle przez pięćdziesiąt z górą lat? Dlatego nie mogę i nie będę mówił o tym w sposób „analityczny”. Nie mogę analizować tego, w czym sam znalazłem się jako dziecko i co pozostawiło niezatarte piętno na mojej osobowości oraz zdeterminowało całą moją drogę życiową. Bo jakże da się zanalizować noc, kiedy kaci z NKWD po wielogodzinnej, bestialskiej rewizji uprowadzili nad ranem mojego wujka, bym go już nigdy w życiu nie zobaczył? Albo jak poddawać racjonalnej interpretacji uczucia mego ojca, kiedy zamiast książeczki wojskowej otrzymał z *wojenkomatu* przysłowiowy wilczy bilet z adnotacją *politeczeski niebłagonadionnyj*, usunięty został nie tylko ze stanowiska kierownika największej w Witebsku apteki, ale i stracił pracę (preludium do oskarżenia o społeczne pasożytnictwo) oraz z dnia na dzień oczekiwał aresztowania? Miałem wówczas dziesięć lat. Po takich doświadczeniach pozostaje w umysłowości dziecka nieuleczalna skaza na całe życie, a urazy jakie wyniosło się z owych lat nigdy już nie dadzą się wytrzeć z pamięci ani wyleczyć żadną psychoterapią. Człowiek żyje w poczuciu ustawicznego osaczenia, zagrożenia, strachu i wyobcowania. Oczywiście lęk o bliskich pozostających w zasięgu tego potwornego systemu wykluczał możliwość wcześniejszego ujawnienia zakrojonej na szeroką skalę eksterminacji Polaków zamieszkałych na rozległych obszarach Związku Sowieckiego przed 1939 r. Ponadto przeszkodą również trudną do przezwyciężenia na drodze do wydobycia na światło dzienne tej zbrodni okazały się opory wewnętrzne. Każdorazowe rozpamiętywanie szczegółów losów osobistych oraz losów tych, którzy swe przywiązanie do polskości przypłacili życiem, wywołuje trudną do opanowania, dławiącą falę emocji, ustawicznie odnawia cierpienia, jak rozdrapywanie wciąż niezagojonej jęczącej się rany. Uprzytomniłem to sobie, gdy kilkakrotnie zamierzałem spisać to, co przeżyłem. Do dziś nie potrafię opanować drżenia, jakie mnie ogarnia, gdy tę przeszłość rozpamiętuję. Niejednokrotnie przyłapałem się na myśli, że wołałbym to wszystko wykreślić z mej pamięci na zawsze. I właściwie wciąż próbowałem żyć tak, jak gdyby nic osobliwego w moim życiu się nie wydarzyło.

Obok wspomnianych wyżej materiałów zapoznałem się również z artykułem Mikołaja Iwanowa (czyżby też pseudonim?) ogłoszonym na łamach *Polityki* (nr 12, 1988, str. 14), skąd dowiadujemy się, że ludność polska w Związku Sowieckim (celowo unikam nazwy „Polonia” używanej przez autora, bo przecież nie o Polonii mowa, lecz o rdzennie polskiej ludności mieszkającej na tych terenach od wieków) stanowiła drugie co do wielkości skupisko Polaków mieszkających poza granicami swego ojczystego kraju. Jesienią 1989 r. ukazały się w *Tygodniku Powszechnym* dwa artykuły p. Wojciecha Lizaka: „Czy istnieją w Komi polskie osady?” (nr 41, str. 3) oraz „Skąd się wzięli Polacy w Kazachstanie” (nr 49, str. 2 i 7). Publikacje tych dwóch autorów mają wiele wspólnego: koncentrują się głównie na omówieniu dwóch polskich okręgów autonomicznych, utworzonych po rewolucji przez bolszewików na terenach Białorusi i Ukrainy zachodniej, znanych odpowiednio pod nazwą Dzierżyńszczyzny i Marchlewszczyzny. Zarówno M. Iwan jak i W. Lizak wnoszą wiele cennego i nieznanego dotychczas materiału historycznego, ale ich odkrycia charakteryzuje daleko idąca jednostronność. Otóż uwagi ich prowadzić mogą do błędnego wniosku, że mniejszość polska uzewnętrzniała swe istnienie i swą narodową tożsamość przede wszystkim w tych dwóch okręgach, zorganizowanych w celu uzyskania doraźnych korzyści politycznych, a tak przecież nie było. Obrona polskości przejawiała się nie w propagandowych, ideologicznych pociągnięciach bolszewickich współpracowników Moskwy, noszących polskie nazwiska lub przyznających się do polskiego pochodzenia, lecz koncentrowała się głównie w życiu rodzinnym, w zachowaniu obyczajów i opierała się na dwóch głównych filarach narodowej tradycji — wierze i języku. Postawa ta charakteryzowała Polaków na terenie całej Białorusi i Ukrainy, a więc niezależnie od tego, gdzie żyli lub mieszkali. Jest oczywiście rzeczą niezwykle ważną uzyskanie informacji, czy na Komi znajdują się Polacy (w co wątpię); od nitki do kłębka może da się, miejmy nadzieję, natrafić na jakieś nieznane ślady tej tragedii; niewątpliwie trzeba tu wykorzystać każdą nadarżającą się szansę, ale dla mnie główną, nieustannie dręczącą sprawą pozostaje nadal pytanie: co się stało z moimi współrodakami (współrodakami podwójnie, bo Polakami i jednocześnie mieszkającymi na tych samych terenach co i ja), znajdującymi się na zachodnich połaciach ówczesnego Związku Sowieckiego przed 1939 r.

Wspomniany wyżej M. Iwan słusznie kwestionuje prawdziwość oficjalnych danych sowieckiego spisu ludności z 1926 r., szacującego ilość zamieszkałych w Związku Sowieckim Polaków na 782,3 tys. i sugeruje cyfrę 1.200 000. Wydaje mi się, że i ta liczba jest za niska. Bliższa prawdy byłaby liczba 1.500.000 —

2.000.000. *Wielka Encyklopedia Sowiecka* z 1930 r. podaje, że w latach dwudziestych mieszkało na Białorusi (cytuje z pamięci) około 42 % Żydów oraz 29 % Białorusinów. A co z resztą? Na to pytanie encyklopedia nie daje odpowiedzi. Wczesne dzieciństwo (pierwsze dziesięć lat swego życia) spędziłem w Witebsku, a także częściowo w Połocku i Sirotinie. Wszędzie gdzie mieszkałem i gdzie przyszło moim rodzicom pracować, obracałem się w środowisku polskim, wszędzie otaczali nas Polacy. Co się z nimi stało? W swojej rodzinie naliczyłem cztery ofiary prześladowań, z których dwie skończyły w wyniku morderstwa z rąk oprawców NKWD. A przecież można przytoczyć przykłady bardziej drastyczne, kiedy zniknęły całe rodziny. Formy eksterminacji były bardzo różnorodne. Oczywiście Sowieci znów mogli się posłużyć niemalże doskonałym alibi: wojna, okupacja niemiecka (tak jak to zrobili w wypadku Katynia), a także powojenne statystyki, świadczące o tym, że jednak jakaś mniejszość polska na terenach dzisiejszej Białorusi i Ukrainy pozostaje, wciąż tam istnieje. Ale gdyby rzeczywiście przyjąć, że Polacy mieszkający na terenach Białorusi i Ukrainy przed 1939 r. zostali wytrzebieni przez Niemców po ich wkroczeniu w 1941 r., to trzeba by też uznać, że ludność polska stała się tam jakimś szczególnym obiektem represji okupanta. Otóż muszę temu stanowczo zaprzeczyć. Z wyjątkiem Żydów, wojna, okupacja „wyrównały” szanse przetrwania lub unicestwienia poszczególnych grup narodowościowych. Każdy stanął w obliczu śmierci lub życia na tych samych prawach, każdy został postawiony wobec takiego samego zagrożenia. W samym *Archipelagu* A. Solżenicyn wprowadza termin „narodu-przestępcy” czy „przestępczego narodu” (*prestupnaja nacija*) w odniesieniu do wszystkich narodów i mniejszości etnicznych pozostających w zasięgu sowieckiego bezprawia i terroru oraz tępionych ze szczególnym sadyzmem. Jeśli istotnie takie pojęcie przyjąć za adekwatne, stanowiące niegdyś wytyczną sowieckiej polityki ludobójstwa, to naród polski uchodził w oczach oprawców z Kremla za szczególnie „przestępczy”. Zauważyłem, że w dotychczasowych publikacjach na temat losu Polaków w Związku Sowieckim przed 1939 r. mówi się głównie o ich deportacji, zsyłce na Sybir, do Kazachstanu itd. Twierdzę, że większość z nich została wymordowana. Dotyczy to szczególnie ludności miejskiej, a więc inteligencji, robotników oraz drobnych rzemieślników, o ile takim udało się jakoś cudem dłużej przetrwać. We wszystkich znanych mi wypadkach skazania Polaków w Witebsku wyrok brzmiał jednakowo: dziesięć lat bez prawa korespondencji (*desjat' let bez pieriepiski*), co było równoznaczne z wyrokiem śmierci, ale myśmy wówczas tego nie wiedzieli i gotowiśmy byli wierzyć, że

ci niewinni ludzie powrócą. Dlatego chciałbym tu bez ogródek powiedzieć, że wkroczenie Niemców do Witebska czy w ogóle wypędzenie Sowietów z Białorusi i Ukrainy Polacy witali z ulgą, aby nie powiedzieć z radością. Dotykam tu jednego z najbardziej oczywistych i złośliwych paradoksów wojny: oto wróg, który odebrał naszej ojczyźnie, Polsce, niepodległość, witany był w Związku Sowieckim jako wybawca czy nawet uchodził w pewnym sensie za wyzwoliciela. Był to rozpaczliwy odruch samozachowawczy: fakt ten świadczył bowiem nie o sympatii dla nowego zdobywcy, lecz o rozmiarze prześladowań, jakim poddani zostali Polacy w „pierwszym państwie robotników i chłopów”.

Drugie ewentualne alibi, jakim posłużyć się mogą fałszerze historii, odnosi się do dzisiejszej mniejszości polskiej na Białorusi i Ukrainie: można zawsze użyć argumentu, że przecież Polacy nadal na tych ziemiach mieszkają. Powstają jednak od razu dwa zastrzeżenia. Po pierwsze ludność ta skupiona jest głównie na zachodnich połaciach tych krajów (a więc nie na terenach Białorusi i Ukrainy sprzed 1939 r.) i wydaje mi się, że w przygniatającej większości są to Polacy, obywatele drugiej Rzeczypospolitej, a także ich potomkowie, którzy z takich czy innych względów nie zdołali przenieść się do utworzonej przez Sowiety P.R.L. po 1945 r. Po drugie, odsetek polskiej mniejszości narodowej w stosunku do innych grup etnicznych znacznie się skurczył i nie może być w żadnym wypadku porównany z tym procentem ludności polskiej, jaki zamieszkiwał Białoruś i Ukrainę przed 1939 r., a więc bez zagarniętych jeszcze wówczas polskich kresów wschodnich. Niestety ci, którzy mogliby najwymowniej o tych zmianach zaświadczyć, nigdy już tego nie uczynią. Zostali oni wymordowani, a jeśli nawet gdzieś cudem ocalili, to są albo wynarodowieni, albo tak zastraszeni, że wciąż boją się o tym mówić i wołać, podobnie zresztą jak ja, puścić ten cały koszmar w niepamięć. O tym jak dalece ci ludzie zostali sterroryzowani strachem niech świadczy fakt, że moja siostra stosunkowo niedawno ujawniła przed własnymi dziećmi prawdziwe pochodzenie naszej rodziny. Dlatego obawiam się, że jestem już prawdopodobnie wraz z mą siostrą Ewelina Możejko-Grzesiuk, ostatnim przysłowiowym Mohikaninem, który może jeszcze dać świadectwo o tragedii Polaków w Związku Sowieckim przed 1939 r.

Kilka słów o sobie. Po mieczu, a więc w linii ojca, należę do czwartego pokolenia Polaków mieszkających już poza obszarem dawnej Rzeczypospolitej, a drugiego — urodzonych poza jej granicami. Mój pradziad Benedykt Możejko pochodził ze Zmudzi, gdzieś z okolic lub z samego miasteczka o tym samym

brzmieniu co i nasze nazwisko — Możejki, które latem 1990 zyskało nagle światowy rozgłos, gdy władze sowieckie w swej rozpaczliwej próbie ratowania imperium wyłączyły dopływ ropy naftowej do tamtejszej rafinerii, by zmusić Litwę do uległości i wyrzeczenia się aspiracji niepodległościowych. Ze skąpych wiadomości, jakie przekazał mi ojciec dowiedziałem się, że za udział w Powstaniu Styczniowym Benedykt Możejko pozbawiony został majątku i skazany na osiedlenie się wraz z rodziną w głębi carskiego imperium. Ze względu na swój tytuł szlachecki przysługiwały mu podobno jakieś przywileje nawet na wygnaniu. Gdzie zmarł — tego nie wiem. Mój dziad, Michał Możejko, człowiek o dosyć awanturniczym usposobieniu (próbował ponoć wrócić na Żmudź) osiedlił się ostatecznie w Azji Środkowej. Wraz z żoną (moją babcią) Walerią z domu Makarską, miał czworo dzieci: dwie córki i dwóch synów, z których najmłodszy, Donat, był moim ojcem. Z zawodu aptekarz, dziadek mój zdołał osiągnąć tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej względną stabilizację i zamożność. Mieszkał w Czemkencie (w dzisiejszym Kazachstanie) i był właścicielem kilku aptek. Stracił je dosłownie w dniu wkroczenia bolszewików do miasta. Nie pozwolono mu nawet zatrzymać dziennego utargu.

Mimo swych polsko-litewskich korzeni rodzina powoli zatracala poczucie polskości, przede wszystkim dzieci, które uczęszczały do szkół rosyjskich. Mój stryj, Władysław Możejko, był już właściwie zrusyfikowany. Po skończeniu medycyny został lekarzem w Saratowie, ożenił się z Rosjanką i osiedlił się tam na stałe. Inaczej potoczyły się losy mojego ojca, a to głównie dzięki temu, że spotkał na początku lat dwudziestych w jednym z miast Uzbekistanu (jego rodzice po straceniu apteki opuścili Czemkent i próbowali szczęścia w różnych miastach Azji Środkowej, przede wszystkim w Taszkencie, Samarkandzie i Bucharze, która zdołała zachować status niezależnego emiratu do 1922 r.) młodą pannę spod Parczewa, Stefanię Kozioł — swoją przyszłą żonę. W wyniku nadciągającej ofensywy niemieckiej w 1915 r. jej rodzina, a więc matka Katarzyna, siostra Aleksandra i brat Wiktor, została ewakuowana z Lubelskiego w głąb Rosji. Dlaczego dotarli aż do Azji Środkowej, tego nie wiem. Rodzice pobrali się na początku lat dwudziestych i tuż po małżeństwie mama rozpoczęła, ponoć ku wielkiej radości dziadka Michała, intensywną repolonizację ojca. Nauczył się czytać, a nawet (wprawdzie z błędami) pisać po polsku. (Pewną znajomość mówionej polszczyzny wyniósł jednak z domu). Urodziło im się czworo dzieci, z których siostra Elżbieta oraz brat Edward zmarli na trudno uleczalne wówczas choroby dziecięce. Byłem z tej czwórki najmłodszy, urodziłem się w Samarkandzie i dano

mi na imię, podobnie jak zmarłemu w 1928 r. bratu — Edward. W trzy miesiące później, w październiku 1932 r., rodzice przenieśli się na Białoruś, początkowo do Połocka, a później na stałe do Witebska. Głównym powodem ich przeprowadzki był stan zdrowia mojej mamy — dręczyła ją malaria — nie bez znaczenia była jednak bliskość Polski oraz istnienie skupisk polskich na Białorusi. Wujostwo Aleksandra oraz Michał Koszykowie przenieśli się do Witebska już wcześniej, zaś babcia Katarzyna, która pozostała z moimi rodzicami w Samarkandzie, ciągle lamentowała, że nie chce umrzeć wśród „heretyków”, co było oczywiście aluzją do muzułmańskiej ludności Uzbekistanu. Przeniesienie się na początku lat trzydziestych do zachodniej części ówczesnego Związku Sowieckiego, szczególnie jeśli było się Polakiem, nie rokowało nic dobrego. Gdzieś mniej więcej w tym czasie zginął w jakichś tajemniczych okolicznościach mój wuj Wiktor Kozioł. Wprawdzie ani na Białorusi, ani na Ukrainie, ale rodzina nigdy nie dowiedziała się, co się właściwie stało. Cioteczny dziadek Aleksander Bożym, brat babci Katarzyny, już od dawna osiadły w Witebsku, właściciel domu (w tym domu spędziłem ostatnie lata swego pobytu w Witebsku, spalony został przez wycofujące się oddziały armii czerwonej w przeddzień wkroczenia Niemców) i prowadzący mały zakład fryzjerski, nagle skazany został na początku lat trzydziestych na stałe osiedlenie się w głębi Rosji, gdzieś w okolicach Armawiru. Był to wyrok łagodny, ale sygnalizował chyba początek represji wobec Polaków. Niestety nikt w rodzinie nie był na tyle wyrobionym „zwierzęciem politycznym”, aby brać te oznaki za zapowiedź czegoś znacznie gorszego. Nikt się zresztą polityką nie interesował. Każdy był zaprzątnięty własnymi sprawami, a czasy nie były łatwe. Ojciec, po zmianie kilku miejsc pracy (pracował na kolei, na poczcie itd.) uzyskał wreszcie upragniony tytuł dyplomowanego farmaceuty. Mama poszła w jego ślady i rozpoczęła studia farmaceutyczne. Kiedy patrzę na jej fotografię z tych lat, widzę w jej zamyślanej twarzy zmęczenie i troskę.

Przyjazd do Witebska napawał zarazem obawą i nadzieją. Zaczęło się od tego, że musiano mnie ochrzcić potajemnie. Jawna manifestacja przywiązania do wiary katolickiej mogła już wtedy grozić poważnymi konsekwencjami, chociaż czynne jeszcze były w Witebsku dwa polskie kościoły: kościół św. Antoniego i kościół św. Barbary. Pierwszym opiekował się przez pewien czas ksiądz-staruszek (nazwiska nie znam, wiem to z relacji siostry) i odbywały się tam regularnie nabożeństwa. Niebawem jednak został on aresztowany i ślad po nim całkowicie zaginął. Dzięki wysiłkowi wiernych oba kościoły pozostawały jeszcze przez pewien czas otwarte i wprawdzie bez kapłanów,

ale Polacy wciąż mogli się tam modlić. Najpierw zamknięto bodajże kościół św. Barbary, a wkrótce potem kościół św. Antoniego przekształcono w jakieś muzeum. Trzeba tu zresztą wspomnieć, że nie lepszy los spotkał cerkwie prawosławne, a więc przepiękny sobór („sobor”) Uspenskij oraz cerkiew pod wezwaniem „czernoj Troicy”. Jeden z nich, zawsze przyciągający mój wzrok monumentalną bielą swych murów ukoronowanych wspaniałą kopułą (był to jednak sobór Uspenskij) przeznaczono na muzeum, drugi oddany został na użytek kołchozów jako spichlerz zbożowy.

Do pozytywnych aspektów pobytu w Witebsku należało to, że starsza ode mnie o osiem lat siostra mogła od razu pójść do pierwszej klasy polskiej szkoły (naukę w szkole podstawowej rozpoczynano tam od ósmego roku życia). Zarówno M. Iwan jak i W. Lizak wspominają, że oddelegowani do pracy w polskim środowisku komuniści planowali wprowadzić zmiany w programie nauczania, między innymi w ortografii, przez realizację zasady pisowni fonetycznej, tzn. „pisz jak mówisz” (pomysł zapożyczony chyba od polskich futurystów — przede wszystkim Brunona Jasińskiego z jego słynnym „nuż w bżuch” — i zaprawiony „sosem” ideologicznym przez „teoretyków” w rodzaju T. Dąbala). Przypuszczam, że zamiarów tych nigdy nie zdołano urzeczywistnić z dwóch powodów: po pierwsze na przeszkodzie stanął tu opór nauczycielstwa polskiego, a po drugie brak czasu. Szkoły polskie zamknięto, zanim zaczęto je „reformować”. Wydaje mi się, że poziom nauczania w tych szkołach był bardzo wysoki. Siostra do dziś pisze bezbłędną ortograficznie polszczyzną, a w czasie wojny, kiedy już znaleźliśmy się na terenie Niemiec, uczyła mnie podstaw polskiej ortografii, tłumacząc: „pamiętaj, rosyjskie 'rieka' to zawsze 'rzeka', a nie 'żeka'; rosyjskie 'Bog' polskie 'Bóg'; rosyjskie 'dub' — polskie 'dąb', a nie 'domb' itd. Zdołała ukończyć zaledwie cztery klasy szkoły polskiej. Rok 1936 był w Witebsku ostatnim rokiem szkolnictwa polskiego. Kiedy siostra przyniosła wiadomość o zamknięciu polskiej szkoły — zapamiętałam wokół siebie powszechny płacz, a w domu zapanowała atmosfera pogrzebu. Przez następne pięć lat siostra uczęszczała już do szkoły rosyjskiej, gdzie jednym z przedmiotów był język białoruski.

Wspomniani wyżej autorzy przytaczają różne daty rozpoczęcia czy „szczytu”, na jakie przypada eksterminacja ludności polskiej na Białorusi i Ukrainie. Pan J. Lewandowski wnosi sprostowanie do artykułu J.B., twierdząc, że szczyt tych prześladowań przypada na rok 1937. Myślę, że „przełomowym” rokiem był tu rok 1936, kiedy przyznawanie się do polskości stało się w oczach władz sowieckich przestępstwem, natomiast

trudno mówić o szczycie; może odnosi się to do obszarów Dzierżyńszczyzny i Marchlewszczyzny? Nie wiem. W moim przeświadczeniu „szczyt” trwał aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. Z tych ostatnich lat przed wkroczeniem Niemców do Witebska niczego tak wyraźnie nie pamiętam jak osiadłego w mej dziecięcej duszy strachu. Dlaczego wspominam rok 1936? Wkrótce po uzyskaniu zawodu farmaceuty mama skierowana została do pracy w Sirotino, małym miasteczku, położonym na północny zachód od Witebska. Pracowało tam już młode małżeństwo lekarzy. Jak się później okazało, byli to również Polacy, ale do tego się nie przyznawali. Po pewnym czasie zaprzyjaźnili się z rodzicami i rozmawiali z nimi po polsku, ale zawsze szeptem i z lękiem, rozglądając się wokół siebie. Tu zbliżam się do momentu, kiedy nieszczęście uderzyło w naszą rodzinę. Wiosną 1939 r. aresztowano mego wujka, Michała Kuszyka, z urodzenia rolnika, a z zawodu kolejarza, konduktora pociągów towarowych. Wujek Michał był dla mnie bardzo drogim człowiekiem, bo odznaczał się niezwykłą dobrocią i łagodnością charakteru; w pewnym sensie zastępował mi ojca. Ze swych podróży często przywoził słodycze i podarki. Tej samej nocy, gdy uprowadziło go NKWD, dokonano aresztowań w pięciu innych znanych nam polskich rodzinach. W niektórych wypadkach zabrano ojca i matkę. Ciotka Aleksandra, pogrążona w rozpacz, nie zastanawiała się nad masowym charakterem tej zbrodni i gubiła się w domysłach, starała się znaleźć jakieś racjonalne powody tego aresztowania. Codziennie chodziła do więzienia i błagała o widzenie się z mężem. Po kilku dniach, stojąc przed okienkiem dla „interesantów”, w przejściu z jednego pokoju do drugiego, zobaczyła dwóch enkawudystów prowadzących powoli jakiegoś mężczyznę: był tak zбитy, miał tak opuchniętą twarz, że dopiero po chwili rozpoznała w nim swego męża. Wkrótce potem otrzymała zawiadomienie, że został skazany na dziesięć lat bez prawa korespondencji, ale opisana scenka świadczyła wyraźnie o tym, że przed straceniem swych ofiar NKWD poddawało je nieludzkim torturom. Gdzie leżą prochy Michała Kuszyka i wielu jego współrodaków? W Witebsku? W Kuropatach pod Mińskiem, dokąd zwożono ofiary z całej Białorusi i mordowano strzałem w tył głowy lub w skroń (zob. artykuł „Echo tragedii” w miesięczniku *Daugawa*, 1989, nr 1, wydawanym zresztą przez KC dawnej komunistycznej partii Łotwy), a może w jakiejś innej zbiorowej i nieznannej mogile? I o czym myślał ten bezbronny i niewinny człowiek, kiedy morderca prowadził go na stracenie? Podobno obecny rząd Białorusi nie tylko nie pomaga w znalezieniu dowodów dokonanych na jego terytorium zbrodni, ale patrzy niechętnym okiem na tych,

którzy próbują wydobyć prawdę na światło dzienne. Nie, Białoruś nie jest dla mnie tym romantycznym krajem, o którym z takim liryzmem piszą niektórzy polscy pisarze. Dla mnie pozostaje ona wielkim cmentarzyskiem niewinnie straconych ludzi.

Wkrótce po zniknięciu wujka Michała rozpoczęły się kłopoty mojego ojca. Było to oczywiście „logiczne” następstwo tego, co się stało. Ostatecznie Michał Kuszyk był jego szwagrem, przez dłuższe okresy czasu mieszkali pod jednym dachem. Jako farmaceutę ojca zakwalifikowano w ewidencji wojskowej do specjalnych oddziałów obrony chemicznej. Podobnie jak i innych farmaceutów, brano go często na przeszkolenia. Po jednym z takich kursów w Mińsku wezwano go na przesłuchanie przed komisję wojskową. Jedno z pierwszych pytań brzmiało: macie ukraińskie nazwisko (chodziło im o to zakończenie na -ko), a w ankiecie podajecie się za Polaka lub Litwina (co było zresztą zgodne z prawdą). Nie pomogło tłumaczenie, że urodził się w mieszanym małżeństwie, że jego ojciec był z pochodzenia Litwinem, a matka Polką i nie zawsze wiedział, z którą z tych narodowości się identyfikować. Po tym przesłuchaniu otrzymał wspomniany już papierek, oznajmujący, że jest człowiekiem „politycznie niepewnym”. Wkrótce potem nastąpiło zwolnienie z pracy, po czym już ojciec oczekiwał tylko aresztowania. Był koniec 1939 lub początek 1940 roku. Ojciec postanowił wymeldować się z ewidencji miasta i wyjechać. Przeniósł się do Sirotina, gdzie od kilku lat przebywała mama; pozostał tam do jej niespodziewanego zgonu w marcu 1941 r. Do Witebska wrócił kilka tygodni przed wkroczeniem Niemców. Później twierdził, że wymeldowanie się z Witebska oraz wkroczenie Niemców do tego miasta 9 lipca 1941 uratowało mu życie.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że w parze z fizyczną eksterminacją Polaków szła zakrojona na wielką skalę akcja propagandowa, zmierzająca do ich całkowitego zdyskredytowania jako narodu. Pamiętam, poszedłem z siostrą na film pt. „Bohdan Chmielnicki” (chyba tytułu nie pomyliłem). Była to ohydna próba przedstawienia Polaków jako idiotów, tchórzy, ludzi pozbawionych moralnych zasad i okrutnych. Film wyszydzał wszystko co polskie. W takiej właśnie atmosferze antypolskiej nagonki zacząłem uczęszczać w roku szkolnym 1940/1941 do pierwszej klasy szkoły rosyjskiej. Ukończyłem ją przed wybuchem wojny 22 czerwca 1941 r. Moją pierwszą nauczycielką była Anna Grigoriewna (nazwiska nie pamiętam) i to ona zaczęła uczyć mnie kaligrafowania rosyjskich „bukw”. Okupacja przerwała moją regularną naukę szkolną do września 1945 r.

W lipcu 1941 Witebsk ucierpiał nie tyle z powodu działań wojennych, ile przez niszczące akcje armii czerwonej. Wycofując

się w popłochu — podpałała wszystko co się dało. Nasza dzielnica została całkowicie spalona, a wraz z nią i nasz dom na ulicy Swierdłowa 17. Trzeba było zacząć nowe życie, ale od czego? Skąd zdobyć wyżywienie? Ojciec znalazł jakąś „dwukółkę” i chodząc po całym mieście zaczął troskliwie zbierać lekarstwa, aby uratować co tylko się dało i ewentualnie otworzyć na własną rękę coś w rodzaju apteki. Niestety prawie wszystkie apteki oraz składy apteczne w centrum miasta, w swoim czasie najlepiej zaopatrzone w medykamenty, leżały w gruzach. Ale coś z tego ojciec uratował i niebawem otworzył w jednej z peryferyjnych dzielnic („na Markowszczyźnie”) aptekę. Był świetnym fachowcem: niósł pomoc jako aptekarz, ale musiał też występować często w roli lekarza, bo przepisywał recepty. W zamian za to otrzymywaliśmy żywność. Najbardziej cieszył się, gdy ludzie wracali do niego i dziękowali mu za trafną diagnozę i dostarczenie właściwych lekarstw. Ale nie mogło to trwać długo, bo niebawem zapasy leków jakie ojciec zdołał nagromadzić wyczerpały się, a nowych nikt nie był w stanie dostarczyć. Wczesną wiosną 1942 r. do naszego domu zajrzało nieubłagane widmo głodu. Trzeba było poszukiwać innych rozwiązań i ojciec wraz z ciotką Aleksandrą doszli do wniosku, że jedyną szansą ratunku dla nas jest zapisanie się na roboty do Niemiec. Na ogół rozpowszechniony jest pogląd, że Niemcy przemocą brali ludzi do niewolniczej pracy w Reichu, a milczeniem pomija się fakt, że tysiące, a może nawet i kilkaset tysięcy wyjechało tam dobrowolnie, szukając w ten sposób schronienia przed głodem i śmiercią. Mówię tu oczywiście o obywatelach Związku Sowieckiego spod okupacji niemieckiej, ale zjawisko to znane było też w innych krajach. W wypadku jednak obywateli sowieckich dodatkowym bodźcem do opuszczenia zajętych przez Niemców terenów była niepewność i strach przed ewentualnym powrotem Sowietów i kolejną krwawą rozprawą Stalina. Z Witebska wyjeżdżały do Niemiec całe transporty i nie były one wypełnione ludźmi schwytanymi w łapankach. W naszym wypadku sprawa okazała się nie całkiem prosta. Niemiecki *Arbeitsamt* kwalifikował kandydatów podług pewnych ustalonych kryteriów. Nie przyjmowano, na przykład, dzieci poniżej lat czternastu. Chodziło im o siłę roboczą, a nie o charytatywną opiekę. Ja nie miałem jeszcze wówczas skończonych dziesięciu lat. Niewiele się zastanawiając, ojciec dał mi rok urodzenia mojego zmarłego brata, co „postarzało” mnie o cztery lata. Późną wiosną 1942 r. przywieziono nas do małej bawarskiej wioski Rheinfeldshof, położonej dwadzieścia kilometrów od znanej miejscowości uzdrowiskowej Bad Kissingen. Przepracowaliśmy tam do końca wojny. Była to praca niewolnicza, od rana do nocy, bez prawa opuszcza-

nia miejscowości, ale każdy z nas miał wyżywienie oraz kąt do przespania, a więc niezbędne do przetrwania minimum. W Rheinfeldshofie spotkaliśmy Polaków i Ukraińców, pracujących tam od 1939 r. Tutaj właśnie prócz wspomnianej już wyżej ortografii polskiej, siostra nauczyła mnie czterech działań arytmetycznych. Ojciec wyciął laubzegą figury szachowe i wprowadził mnie w tajniki gry szachowej. Z książek przywieźliśmy ze sobą egzemplarz *Trzech muszkieterów* A. Dumasa w rosyjskim tłumaczeniu. Przeczytałem tę powieść osiem razy. Na początku kwietnia 1945 r. wyzwolili nas Amerykanie. W naszym wypadku stwarzało to więcej problemów niż możliwości ich rozwiązania.

Przebywając na robotach w Bawarii, wiedzieliśmy, że Niemcy wojnę przegrają. Próbowaliśmy w związku z tym planować przyszłość. Naszym marzeniem było osiedlić się w Polsce. Nie braliśmy wtedy pod uwagę możliwości ujarzmienia Polski przez Sowiety. Kiedy czasami rozmawialiśmy na ten temat, ojciec kategorycznie konkludował: „W Polsce? Komuniści? Sowietci? Nie, to niemożliwe!”. Niestety pobożne życzenia brał za rzeczywistość! Marząc o Polsce, mówiliśmy o „powrocie”, choć nie było to w tym wypadku słowo właściwe: ani ojciec, ani siostra, ani ja nigdy nie widzieliśmy Polski; tylko ciotka mogła autentycznie mówić o powrocie, bo w Polsce się urodziła, wychowała i opuściła ją jako uchodźca w 1915 r. Ale mimo to używaliśmy słowa „powrót”. Sprawa okazała się jednak nie taka prosta i właściwie znów stawiała nas przed dylematem przetrwania lub unicestwienia. Tuż po zakończeniu wojny wojskowe władze amerykańskie rozesłały rozporządzenie, nakazujące dobrowolnie zgłosić się wszystkim obywatelom Związku Sowieckiego na terenie amerykańskiej strefy okupacyjnej do obozów repatriacyjnych. Mimo polskiej narodowości podpadaliśmy pod tę kategorię obcokrajowców, ale postanowiliśmy to zarządzenie zignorować. Rozpoczął się jeszcze jeden dramatyczny rozdział naszego życia. Po pewnym czasie Amerykanie zaczęli „przeczesać” wioski bawarskie, wysyłając ciężarówki wojskowe w celu wyłapywania opornych. Ratowaliśmy się ukrywaniem w stodołach, nad stajnią w słomie, a w pewnym momencie zdecydowaliśmy ukryć się na parę dni w lesie. Tak wyglądało nasze „wyzwolenie”. Kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, rozumiem, że alianci, a w tym i Amerykanie, uzasadniali swoje postępowanie tym, że mieli pewne zobowiązania wobec swych sowieckich sojuszników, ale zastanawia mnie i dziwi gorliwość, z jaką oni tę lojalność okazywali. Czy był to naprawdę jedyny powód ich postępowania? Wątpię. Ileż tragedii rozegrało się wówczas zarówno wśród sowieckich jeńców wojennych jak i cywilów, którzy nie chcieli wracać do sowieckiego „raju”! Wielu z nich wolało wybrać samobójczą śmierć niż powrót.

Nasza sytuacja osiągnęła punkt krytyczny — należało coś ze sobą zrobić, a tymczasem z Polski dochodziły niepokojące wieści. Najgorsze było to, że czuliśmy się całkowicie zagubieni, opuszczeni, zdradzeni i zdawało nam się, że cały świat sprzyścił się przeciwko nam. Nie zmieniliśmy jednak postanowienia — kierunek pozostawał ten sam: Polska. Nie mogliśmy uwierzyć w to, aby nasz kraj czegoś dla nas nie uczynił z chwilą, gdy znajdziemy się na jego ziemi. Z pomocą Polaków dostaliśmy się do polskiego obozu repatriacyjnego w Schweinfurcie i tam rozpoczęło się nasze polskie życie. Ani na chwilę nie czuliśmy się obco, przeciwnie — zdawało nam się, że zawsze należeliśmy do tej społeczności. W tym obozie poszedłem do pierwszej komunii św., a wkrótce potem wyjechalismy jednym z pierwszych transportów do Polski. Tuż przed wyjazdem czy też już w trakcie podróży, tego dokładnie nie pamiętam, ojciec przedsięwziął jednak pewne środki ostrożności, które miały zapobiec naszej identyfikacji jako obywateli Związku Sowieckiego. Przywrócił mi właściwą datę urodzenia, a zatarł w *Arbeitskartach*, mojej i siostry, nazwy miejscowości, w których urodziliśmy się: Samarkandy i Taszkientu. Na granicy w Koźlu okazało się, że było to pociągnięcie słuszne. Cały transport musiał przejść przez procedurę kontrolną — sprawdzano papiery. Nas sprawdzał młody oficer w wymiętej rogatywce, z orłem bez korony. Wiało od niego obcością. Gdy spojrzał na nasze *Arbeitskarty*, natychmiast zapytał w najczystszej ruszczyźnie: *Wy ruskie?* Chodziło mu o to, że na ich pierwszej stronie rosyjski tekst wyszczególniał reguły naszego zachowania w miejscu pracy. Powiedzieliśmy, że Niemcy się pomylili, bo przyjechalismy do miejsca pracy w jednej grupie z Rosjanami i Niemcy hurtem wydali dokumenty z rosyjskim tłumaczeniem tekstu niemieckiego. Nie wiem, czy to nasza polszczyzna, czy też nasza odpowiedź, w każdym bądź razie coś uspiło jego czujność. Spojrzał jeszcze raz szybko na nasze dokumenty i poszedł dalej. Udało się, ale po tym spotkaniu stało się dla nas jasne, że kontrola ma na celu także wyłapanie ewentualnych uciekinierów ze Związku Sowieckiego.

Podsumowuję: mając trzynaście lat miałem już za sobą doświadczenie życiowe z dwóch najokrutniejszych totalitarnych systemów, jakie znała historia ludzkości, byłem ofiarą potwornego terroru i wojny, przejechałem nie z własnej woli tysiące kilometrów z Azji Środkowej do Niemiec, widziałem płonący Witebsk i zwęglone trupy jego mieszkańców, Żydów pędzących ulicami miasta do getta lub na stracenie, zaznałem niewolniczej pracy i upokorzenia, ale nade wszystko byłem zastraszonym dzieckiem bez własnego miejsca i ojczyzny. Bo do czegoż mogłem się wówczas przyznać? Gdzie były moje korzenie? W Samar-

kandzie, skąd wywieziono mnie trzymiesięcznym niemowlęciem? W Witebsku, gdzie odebrano mi ufność, wiarę w ludzką dobroć i wszczepiono przeszywający wszystko strach? A może w Rheinfeldshofie, gdzie po pierwszym dniu pracy nie mogłem wrócić o własnych siłach do domu? Albo w Polsce, gdzie od razu zrozumiałem, że będę musiał skrzętnie ukrywać swą tożsamość? Za sobą miałem wówczas jedną klasę podstawowej szkoły rosyjskiej, a przed sobą — znów perspektywę niepewności i prześladowań.

Po przyjeździe do Polski szybko uświadomiliśmy sobie, że ten wymarzony przez nas kraj staje się przybudówką sowiecką o typie rządów, dobrze już nam znanych z przeszłości. Jedną okoliczność niewątpliwie nam sprzyjała: olbrzymi proces ruchów migracyjnych ludności. W tym chaosie zaistniała ostatnia szansa przetrwania. Zaczęliśmy się podawać za repatriantów zza Buga, z Baranowicz (a więc przedwojennych kresów polskich), którzy powrócili z robót w Niemczech. Nikt nie pytał o szczegóły. Ojciec zdołał wprawdzie uratować z pożogi wojennej swoje papiery dyplomowanego farmaceuty, ale nie mógł nimi się posłużyć, bo świadczyły o jego przebywaniu w sowieckim Uzbekistanie; podobnie miała się sprawa ze świadectwem siostry, która w roku szkolnym 1940/41 ukończyła ósmą klasę szkoły rosyjskiej w Witebsku. Zaczęliśmy się podawać za rolników. Ojciec objął gospodarstwo poniemieckie na tzw. Ziemiach Odzyskanych. W Bawarii zachwycił się niemieckim rolnictwem, sposobami gospodarowania, podpatrywał metody uprawy ziemi. W ciągu niespełna pięciu lat doprowadził zaniedbane gospodarstwo położone niedaleko Trzcianki Lubuskiej do pełnego rozkwitu. Został zaliczony do tzw. bogatych chłopów i jako taki podpadał już pod kategorię „kułaków”. Pod koniec lat czterdziestych pojawiło się tu i ówdzie sformułowanie „spółdzielczość produkcyjna” oraz hasło „przyjaźń, przykład, pomoc ZSSR”. Reżym bez skrupułów odślaniał swe prawdziwe *zd-radzieckie* oblicze i wiedzieliśmy, co to znaczy. Ojciec się przestraszył: był już „za bogaty”. Sprzedał gospodarstwo i w 1950 r. przeniósł się do Elbląga. Znalazł pracę w PSS-ie jako referent w hurtowni warzyw i owoców. Pozostał na tym stanowisku do emerytury. Nigdy nie nauczył się poprawnie pisać po polsku, ale jego piękny, wyrafinowany charakter pisma ujawniał nieprzeciętne wykształcenie oraz zaprzeczal podawanemu w oficjalnych ankietach PRL-u pochodzeniu — „chłop małorolny”. Był człowiekiem przytłoczonym przebiegiem wypadków, po którym „przejechało się” bezlitosne koło historii, ale zawsze zjednywał sobie ludzi niezwykłą dobrocią i ujmującą skromnością. Kiedy zmarł, odprowadzał go na cmentarz długi kondukt żałobny.

Gdy chodzi o mnie, to w 1945 rozpocząłem naukę w czwartej/piątej klasie szkoły powszechnej (były wówczas takie łączone klasy dla sprawdzenia poziomu uczniów i z braku nauczycieli). Stało się to możliwe dzięki temu, że w czasie wojny, w najcięższych nawet warunkach, rodzina nie zaniedbywała mojej nauki i starała się chałupniczym sposobem dać mi niezbędne podstawowe wiadomości. W ciągu sześciu lat „zrobiłem” to, na co inni potrzebowali lat jedenaście, tzn. skończyłem szkołę podstawową i średnią. W 1951 r. zdałem maturę, a wkrótce potem egzamin wstępny na Uniwersytet Jagielloński. Przyjęto mnie na slawistykę. Ukończyłem ją ze stopniem magistra w 1956 r., w styczniu 1964 r. obroniłem doktorat. W rok później wyjechałem do Danii na wykłady. Kilka słów o wyjeździe, bo stanowi on kolejny ważny punkt w mojej biografii. Wyjechałem na zaproszenie prywatne, a nie wysłany przez ministerstwo, choć ministerstwo pośredniczyło w załatwianiu formalności wizowych i paszportowych. W 1963 na zjeździe slawistów w Sofii poznałem wybitnego duńskiego slawistę Gunnara Svane. Okazało się, że mamy dużo wspólnych zainteresowań. W marcu 1965 r. przysłał mi zaproszenie. Potrzebny im był ktoś, kto mógłby połączyć prowadzenie lektoratu języka polskiego (pojętego bardzo szeroko, chodziło bowiem także o zajęcia z literatury) z wykładami literatur południowosłowiańskich. Ówczesny kierownik katedry, prof. dr. S. Urbańczyk, wykazał dużo zrozumienia i wyraził zgodę na mój wyjazd. Przeszkody zaczęły się w ministerstwie szkolnictwa wyższego. Kiedy przedłożyłem zaproszenie, powiedziano mi, że inna uczelnia ma zawartą umowę o współpracy z Uniwersytetem w Aarhus i ktoś stamtąd musi być „wytypowany”. Ta negatywna odpowiedź została jednak uwarunkowana: jeśli ta uczelnia (wspomniano chyba Uniwersytet Wrocławski) nie zdoła znaleźć właściwego kandydata spełniającego wymogi zaproszenia, to ministerstwo rozpatrzy moją kandydaturę. W ten sposób pozbawiono mnie zaproszenia, ale pozostawiono jakąś mglistą nadzieję. W lipcu otrzymałem zawiadomienie, że ministerstwo nie znalazło odpowiedniego kontrkandydata i w związku z tym można rozpocząć starania o paszport. Czekałem na ten nieszczęsny paszport prawie cztery miesiące. W moim życiu było to najdłuższe i najbardziej dramatyczne, pełne obaw i napięcia oczekiwanie. Ponieważ chodziło tu o wyjazd na Zachód, obawiałem się, że poddadzą mój życiorys szczególnie dokładnemu sprawdzeniu, a z tym wiązało się ryzyko wykrycia mojej przeszłości. Miałem ogromne wyrzuty sumienia, że narażam przez swoje zawodowe ambicje nie tylko siebie, ale i całą swoją rodzinę. Na szczęście i tym razem czuwała nad nami łaskawa, opiekuńcza ręka Opatrzności. Drugiego

listopada 1965 r. odleciałem z Warszawy do Kopenhagi, nie podejrzewając, że opuszczam Polskę na stałe. Nie jechałem z zamiarem ucieczki. W ciągu tych dwudziestu lat (1945-1965) ciągle obawa, cierpienie wywołane niepewnością i strachem, że pewnego dnia możemy zostać wykryci tak się ze mną zrosły, że nie wyobrażałem sobie innego stanu istnienia. Utożsamiałem je z Polską i z polsnością. Zbyt wiele „zainwestowałem”, abym mógł z łatwością podjąć decyzję o pozostaniu. A ponadto oznaczałoby to sprzeniewierzenie się naszemu gorącemu pragnieniu, którym żyliśmy jeszcze w Witebsku, a które uważaliśmy za niemożliwe do zrealizowania: powrót do kraju. Aby osiągnąć ten cel, byliśmy gotowi wiele poświęcić. Dlatego właśnie cała nasza powojenna strategia życia w „peerelowskiej” Polsce, łącznie z moją przynależnością do partii w latach 1955-1965 (do partii nie wstąpiłem, tylko zostałem wciągnięty po śmierci Stalina i Gottwalda na fali tzw. zaciągu stalinowsko-gottwaldowskiego; kiedy z przerażeniem powiedziałem ojcu o naciskach, jakie wywierano na mnie, a także na wielu moich kolegów, aby zapisać się do partii, odpowiedział bez namysłu: „nie upieraj się, bo dopiero ściągiesz na siebie nieszczęście”) polegała na zacieraniu śladów przeszłości, na zatajaniu tego, co kwalifikowało nas jako „wrogów ludu”. Każde niewłaściwe słowo, każda nieostrożna aluzja do przeszłości (mimo że świetnie znaliśmy rosyjski, udawaliśmy, że język ten znamy słabo), a nawet gest czy uśmiech mogły mieć fatalne następstwa. Jako rodzinę łączyła nas wspólna tajemnica, ale i ożywieni byliśmy jednocześnie wspólną wolą: nie dać się tym zbrojom zgnoić. W tej sytuacji niełatwo przyszła mi decyzja pozostania na Zachodzie. A jednak taką decyzję podjąłem. Bezpośrednią przyczyną tego stał się rok 1968. Odczytałem wydarzenia marcowe jako próbę nawrotu do najgorszych lat stalinowskich, ale też zrozumiałem, że ten ustrój nie da się ani zreformować, ani udoskonalić i że po prostu jest on skazany na zagładę. Nie przypuszczałem jednak, że dane mi będzie doczekać tej radosnej chwili.

Opisałem tu w skrócie wydarzenia związane z historią jednej polskiej rodziny, której nieszczęściem było żyć w Związku Sowieckim przed 1939, a właściwie aż do 1941 r. Czy zdołały ocaleć inne? Wątpię. Może niektórym udało się, tak jak na przykład mnie, znaleźć się na Zachodzie? Jestem pewien, że do dziś nie ujawniają swych autentycznych korzeni i pochodzenia. Dlaczego? Myślę, że nikt ze współczesnych Polaków nie potrafi sobie wyobrazić ani zrozumieć w pełni rozmiarów ich tragedii, piekła przez jakie ci ludzie musieli przejść. Mimo podobieństw, system utworzony w Polsce przez komunistów był bez porównania łagodniejszy niż jego sowiecki model. Jeśli dodam, że

ustrój sowiecki odznaczał się szczególną zaciętością i okrutnością w traktowaniu Polaków i polskości, wówczas może lepiej da się uzmysłwić, na jakie męczeństwo zostali skazani (proszę zwrócić uwagę na przedostatnie zdanie artykułu M. Iwana w *Polityce*: „Okres 1936-1938 przyniósł Polonii niewymownie ciężkie, *nawet na miarę ówczesnych represji* [podkreśl. moje — E.M.], prześladowania). Strach zdominował ich całe życie, a doświadczenia 1945/46 r. nie zachęcały do szczerości. Nigdzie, u nikogo i nigdy nie mogli liczyć na pomoc i zrozumienie. Byłoby rzeczą niepoważną licytować się, kto więcej ucierpiał, ale wśród ludności polskiej wywiezionej z kresów wschodnich na Syberię czy do Kazachstanu po sowieckiej inwazji 1939 musiała tlić się przynajmniej jakaś iskierka nadziei, że ktoś się o nich ujmie, że nie zostaną zapomniani i ktoś ich w końcu 'z domu niewoli' wyprowadzi. Powtarzam — nie chodzi tu o porównania kto więcej ucierpiał, ale o zrozumienie wymiarów tragedii Polaków mieszkających w Związku Sowieckim przed 1939, a więc formalnie obywateli tego kraju. Oni nie mogli liczyć na żadne złagodzenie czy poprawę swego losu lub oparcia: byli w swej walce o przetrwanie całkowicie osamotnieni i pozostali sam na sam ze swym oprawcą”.

Dotykam tu sprawy szczególnie bolesnej i drażliwej. Poruszam ją zresztą nie po raz pierwszy. Tuż po przyznaniu się Sowietów do popełnienia zbrodni katyńskiej opublikowałem na łamach edmontońskiej gazety *The Edmonton Journal* (2 maja 1990 r.) list pt. *Katyn only tip of the iceberg* („Katyń zaledwie wierzchołkiem góry lodowej”), w którym zasugerowałem, że jakkolwiek ohydną pozostaje zbrodnia katyńska, jest ona kulminacją czegoś znacznie gorszego, a mianowicie masowej fizycznej eksterminacji Polaków w Związku Sowieckim przed 1939 r. Chodzi bowiem nie o tysiące, lecz o przeszło milionową rzeszę niewinnie zabitych lub zamęczonych na śmierć ludzi i to nie tylko dlatego, że byli Polakami (cytuję tym razem zdanie otwierające artykuł M. Iwana w *Polityce*: „Polacy byli pierwszą liczną grupą ludności ZSRR, która była zbiorowo represjonowana w latach 1936-1938 ze względu na przynależność narodową a nie klasową”). Dziś jestem jeszcze bardziej przekonany niż dwa lata temu, że istnieje logiczny czy też organiczny związek między tym, co się stało z Polakami w Związku Sowieckim przed 1939 r. (to data umowna, bo ich gehenna, jak już wspominałem, trwała do 1941 r.), a mordem polskich oficerów i żołnierzy w Katyniu, Ostaszkowie czy Miednoje; wskazuje on na zaplanowaną i długofalową akcję walki z polskością. W dalszym ciągu swego listu nazwałem tragedię Polaków-obywateli Związku Sowieckiego przed 1939 r. *a silent crime*, tzn. „niemą” czy „milczą-

cą” zbrodnią. Istotnie, nie ma ona swego kronikarza, nikt o tych ludzi się nie upomniał. I tu chce się zadać bardzo proste, ale i zarazem dręczące, nieprzyjemne pytanie: jak to się stało, że w procesie eksterminacji ludności polskiej na terenie Związku Sowieckiego przed 1939 ówczesny rząd polski w Warszawie nie podniósł na arenie międzynarodowej czy w bezpośrednich kontaktach z Moskwą głosu protestu w jej obronie, nie ogłosił światu, że dokonuje się straszliwa, nieznana dotychczas na taką skalę zbrodnia ludobójstwa? Przecież to niemożliwe, aby o tym nie wiedział. Nie mogę uwierzyć, aby w tej sprawie nie były wysyłane do stolicy jakieś raporty polskiej służby dyplomatycznej. Czyżby naprawdę panowało wśród ówczesnych kół rządzących w Warszawie przekonanie, że Polacy mieszkający na wschód od granicy polsko-sowieckiej są już tak ideologicznie zindoktrynowani, że nie zasługują na żadną obronę i nic innego nie pozostaje, jak tylko odpisać ich na straty? Jeśli istotnie takimi kategoriami myślano, to świadczyłoby to nie tylko o niewiarygodnej wręcz ignorancji, ale przede wszystkim o braku odpowiedzialności moralnej i politycznej. Znów odwołuję się do M. Iwana: „Ponad pięć tysięcy polskich rodzin z Ukrainy zwróciło się w 1932 r. do polskiego konsula generalnego w Kijowie z prośbą o wydanie pozwolenia na pobyt stały w Polsce. Konsulat po otrzymaniu zgody od panów wojewodów, wydał zainteresowanym osobom przeszło 3 tys. pozwoleń na wyjazd, z czego władze radzieckie wypuściły... tylko 3 osoby”. Czy to wszystko, co rząd polski zrobił w całym okresie międzywojennym dla prześladowanej mniejszości polskiej w ZSSR? Nie wiem, nie badałem tej sprawy, bo chciałbym się mylić, może jednak zrobiono coś więcej, może wysyłano jakieś energiczne protesty? Ale jeśli takich kroków nie podjęto, jeśli jedyną odpowiedzią na prześladowania było milczenie, to w jakim stopniu wpłynęło ono na zachowanie się kremlowskich władców i zachęciło ich do podjęcia dalszych akcji represyjnych wobec polskich jeńców wojennych oraz Polaków na kresach wschodnich po zajęciu tych terytoriów w 1939 r.? Czy jedna tragedia pociągnęła za sobą następną? Pytania te wciąż tkwią w moim umyśle, ale nie mam na nie odpowiedzi.

Na zakończenie jeszcze kilka ogólnych i osobistych uwag na poruszony temat. Muszę się przyznać, że podjąłem go z niechęcią nie tylko ze względu na wewnętrzne opory spowodowane wciąż jęczącym się bólem osobistym, ale i ze względu na to, że otwiera on jeszcze jedną kartę polskiej martyrologii, martyrologii w tym wypadku anonimowej, bez heroizmu, bez pozytywnych konsekwencji i następstw. No bo cóż pozostało po tych, co bronili polskości na obszarach sowieckiej Białorusi i Ukrainy, co zazdrośnie strzegli jej do ostatniego tchu? Proch. A może warto

jednak pomyśleć o tym, żeby ten proch uratować przed całkowitym zapomnieniem? W Japonii istnieje piękny i uświęcony tradycją zwyczaj przechowywania w domu przynajmniej części prochów zmarłych przodków rodu, a o określonej porze roku rodziny zbierają się, aby uczcić ich pamięć. Zastanawiam się, czy nie warto by powołać jakiejś specjalnej komisji, która udałaby się na Białoruś i Ukrainę w celu odnalezienia tam pamiątek polskości, a przede wszystkim zbadała, czy żyją tam jeszcze Polacy, którzy pamiętają lata trzydzieste i mogą dać świadectwo na temat swoich losów? Istnieją już teraz sprzyjające warunki aby mówić o tych sprawach otwarcie. Rząd polski powinien zwrócić się do rządów Białorusi i Ukrainy z oficjalną prośbą o udostępnienie zachowanych ewentualnie materiałów odnoszących się do tej kwestii. Niechęć obecnego rządu białoruskiego (przynajmniej do niedawna) do współpracy nad ujawnieniem zbrodni dokonywanych w latach trzydziestych i na początku lat czterdziestych na terytorium Białorusi wobec mniejszości narodowych (upominają się o to Litwini, Łotysze, Estończycy) daje wiele do myślenia. I wreszcie trzecia możliwość: czy nie warto upamiętnić męczeństwa Polaków na terytorium Związku Sowieckiego przed 1939 r. jakimś skromnym pomnikiem? Wiem, mamy już niezliczoną ilość pomników martyrologii narodowej, ale nie wolno przeoczyć faktu, że w tym wypadku mamy do czynienia ze zbrodnią na skalę masową, obejmującą w moim przekonaniu — powtarzam — ponad milionową rzeszę Polaków. Żydzi uczcili swój holocaust, Ukraińcy upamiętnili współrodaków zamęczonych śmiercią głodową w pierwszej połowie lat trzydziestych. Dlaczego nie utrwalić w naszej pamięci narodowej tych Polaków, którzy stali się pierwszymi ofiarami przerażającego w swym bestialstwie terroru stalinowskiego? Jeśli tego nie uczynimy, zdradzimy pamięć o nich po raz drugi.

Rozmyślałam o swej polskości i o polskości tych, wśród których spędziłam dzieciństwo. Była ona pod wieloma względami inna od tej kształtowanej w kraju. Można bez przesady powiedzieć, że była to polskość wycierpiana. Jeśli można mówić o wystawieniu polskości na jakąś próbę, to próbę, przez którą musieliśmy przejść, trzeba uznać za najtrudniejszą. Trudniejszego testu na polskość nie da się już chyba wymyślić. Gdy chodzi o mnie, to zachodzi tu wypadek dość osobliwy, bo nawarstwiły się we mnie różne jej odmiany: jako dziecko żyłem wśród polskiej mniejszości narodowej w Związku Sowieckim, potem dwadzieścia lat mieszkalem w Polsce, by ostatecznie stać się członkiem społeczności polonijnej na Zachodzie. A więc zaznałem wszystkich możliwych odmian polskości. Czy ktoś taką drogę przeszedł? Lata spędzone w Polsce ukształtowały niewątpliwie mój

profil intelektualny, na Zachodzie nauczyłem się tolerancji i respektowania innych kultur, ale przywiązanie do tego co polskie wyniosłem nie skądinąd, jak właśnie z lat dzieciństwa w Witebsku, kiedy to kazano mi co wieczór odmawiać „Ojcze nasz...” i „Zdrowaś Mario...”. Mówię o tym otwarcie i bez zażenowania, bo ta polskość właśnie była dla mnie źródłem nieustającej inspiracji i siły. I jeszcze jedno: wyniesioną stamtąd polskość zachowałem w pietyzmie dla języka. Nie dałem go sobie wydrzeć, choć od blisko trzydziestu lat mieszkam na obczyźnie. Dlatego nie rozumiem tych, którzy znaleźli się na emigracji, powiedzmy, dziesięć lat temu, a dziś jeżdżą już nie „samochodem” tylko „carą”, idą na „drugą podłogę” zamiast na „drugie piętro”, co jest oczywiście paskudną kalką angielskiego wyrazu *floor*.

Od dwudziestu kilku lat mieszkam w Kanadzie i jestem lojalnym obywatelem tego kraju, choć niektóre jego instytucje nie zawsze odpłacały mi tym samym stosunkiem. Mimo to czuję się do niego bardzo przywiązany i jestem mu wdzięczny za to, że mnie przygarnął, że stworzył mi znakomite warunki pracy, obdarzył nawet honorami w postaci członkostwa w Królewskim Towarzystwie Naukowym (marzenie każdego kanadyjskiego naukowca). A jednak za tym zewnętrznym sukcesem, gdzieś w głębi wciąż drzemie, tli się jakieś dziwne uczucie niespełnienia. Latem 1991 r., w dalekim Furano położonym w Japonii na wyspie Hokkaido, uczestniczyłem w międzynarodowym sympozjum poświęconym wzajemnemu zrozumieniu narodów. Całość miała bardzo uroczystą oprawę. Jako reprezentanta Kanady poproszono mnie na scenę, abym stanął obok kanadyjskiej flagi narodowej z czerwonym liściem klonowym na białym tle. A przecież tak by się chciało stanąć przy polskim, biało-czerwonym sztandarze...

Sapporo, grudzień 1991-styczeń 1992

Edward MOŻEJKO

Adam W. KULIK

PRAWOSŁAWIE W POLSCE

Rozmowa z bp. Ablem

— Polacy niewiele wiedzą o prawosławiu, jest to m.in. skutkiem propagandy nienagannego milczenia na ten temat przez ostatnich czterdzieści parę lat. Kiedy emitowano w telewizji mój film o klasztorze w Jabłecznej, moi przyjaciele musieli tłumaczyć znajomym, że na pewno nie jestem Ukraińcem.

— Ja z kolei zapewniałem wiernych, że nie jest pan naszego wyznania. — To musi być ktoś z naszych — mówili — rzymski katolik takiego filmu by nie zrobił.

— Nie jest to sytuacja normalna, dlatego proponuję, ekscelecjo, rozmawiajmy tak, jakbyśmy odkrywali pierwsze karty. Sporo osób sądzi, że prawosławie do Polski przybyło z nakazu cara i jest pozostałością po zaborach, tymczasem — co dla mnie było zawsze oczywiste — w państwie wielonarodowym, wieloreligijnym, posiadającym olbrzymie przestrzenie na Wschodzie musiało być, i było, religią pełnoprawną, zakorzenioną od wieków. Było tak naturalnym wyznaniem, jak rzymski katolicyzm aż do czasu, w którym zwyciężyła kontrreformacja.

— Wiąże się ono z misją apostołską Cyryla i Metodego. Wiele przemawia za tym, że Mieszko I został ochrzczony w obrządku wschodnim. U Dowiata (w książce pt. „Chrzest Polski”

— przyp. A.W.K.), który nie orientował się dobrze w sprawach wiary, mamy zarzut, że podczas chrztu księcia wprowadzono elementy pogańskie, między innymi postrzyżyny. Ten fakt można odnieść na korzyść prawosławia: my do dziś, podczas chrztu, stosujemy rytuał postrzyżyn. Cyryl i Metody pochodzili z Tesalonik, w których kwitł kult św. Dymitra. Wykopaliska w Krakowie, Wiślicy, forma chrzcielnic, specjalny typ sarkofagu, tzw. raka, z wizerunkiem ikony i relikwią świętego Dymitra, struktura budowy świątyń świadczą o obecności kultu tego świętego właśnie w tych miejscach. Wyraźnie oddzielone prezbiterium od nawy wskazuje, że musiał znajdować się tam ikonostas. Prawosławie na ziemiach polskich wyprzedza o sto lat misję św. Włodzimierza na Rusi.

— *Sama nazwa...*

— Pojawiała się wcześniej, ale pierwotnie nie odnosiła się do obrządku wschodniego. Kościół już podczas I Soboru uznał, że herezja jest herezją a pozostający poza nią są prawowiernymi, ortodoksyjnymi, czyli prawosławnymi. Dzisiaj prawosławie czci pamięć czternastu papieży Rzymu, którzy zasłynęli świętością przed wielką schizmą. W naszych księgach liturgicznych spotykamy tropaziony, czyli hymny, na każdy dzień przypadający konkretnemu świętemu. I kiedy spotykamy imię któregoś z owych czternastu papieży używamy słów: „prawosławia nauczycielu, cnoty orędowniku”.

— *Msza prawosławna sprawia wrażenie bardzo starego obrzędu.*

— Odprawiamy liturgie ukształtowane w pierwszych wiekach chrześcijaństwa:

św. Jana Chryzostoma, który żył w IV wieku,

św. Bazylego Wielkiego, żył w tym samym czasie,

św. Grzegorza, papieża rzymskiego — ta sprawowana jest tylko w Wielkim Poście. Ale znamy i inne: św. Apostoła Jakuba i św. Apostoła Marka, które były praktykowane jeszcze wcześniej, w miejscach gdzie ci święci prowadzili swoją apostołską działalność. W dzień św. Jakuba stosuje się jego liturgię jeszcze teraz. Może nie na miejscu to powiedzieć, ale Żydzi bardzo lubią prawosławie, ponieważ znajdują w nim wiele elementów biblijnych. Już w pierwszych wiekach można było dopatrzyć się podziału liturgii na trzy części: proskomidię, tzn. przygotowanie świętych darów do przeistoczenia, liturgię słowa,

oraz trzecią część, kiedy w świątyni mogli pozostać tylko ochrzczeni. Do dziś używamy zwrotu podczas mszy: katechumeni wyjdźcie.

— *To znaczy, gdyby przyszli łacinnicy na mszę, zostaliby wyproszeni?*

— Nie, nie! To zostało jako zwyczajowy zwrot. Ale nie wiem, czy mówienie o liturgii zainteresuje pańskich czytelników?

— *Myszę, że to bardzo ciekawe.*

— W pierwszych wiekach chrześcijaństwa każdy z przychodzących na nabożeństwo przynosił ze sobą chleb i wino. Już w katakumbach składano je w oddzielnych, specjalnych pomieszczeniach, i kapłan, biskup, apostoł wybierał najlepszy, najbardziej wypieczony chleb, który służył do wycięcia w nim symbolicznego Baranka. Chleb jako materiał dla świętej Eucharystii. Aktualnie wygląda to tak: żeby odprawić świętą liturgię kapłan musi mieć pięć symbolicznych chlebków. Chleb, nazywany prosoforą, od greckiego słowa przynoszę, składa się z dwóch zlepionych ze sobą części oddających dwoistość natury Chrystusa — Boga i człowieka. Z owych pięciu wybierany jest najlepszy — te sprawy normowano już w IV wieku — i podczas proskomidii kapłan wycina z niego Baranka. Ponadto wycinane są symboliczne części chleba na cześć Najświętszej Marii Panny (z osobnego chlebaka), apostołów, proroków, męczenników, naszych praopców aż dochodzimy do świętego, którego liturgia jest sprawowana.

— *A liturgia słowa?*

— Mogli w niej uczestniczyć wszyscy, nawet niechrześcijanie dopiero przygotowujący się do przyjęcia chrztu, poganie, Żydzi. Tutaj modlimy się za świątynie, naród chrześcijański, zjednoczenie wszystkich, św. Kościół, hierarchię oraz uczestników liturgii.

— *To bardzo podobne do obrządku łacińskiego.*

— Oczywiście. Następnie modlimy się za ojczyznę i sprawujących w niej władzę. Zarzucano nam: modliliście się za komunistów. A przecież już św. Jan Chryzostom modlił się za władzę. Dosłownie, w tekście liturgii formuła brzmi: „Panie, wszyst-

kim przywódcom i władzy, i tym dominującym brać naszą — lub można by to przetłumaczyć: w pałacach i zamkach — a także w wojsku, okazać im w pełni miłosierdzie; wszelkie zło, jeżeli u nich w zanadrzu takowe jest, przestocz w miłosierdzie orędownictwem Twoim”. W języku polskim nie ma odpowiedników na wiele sformułowań języka staro-cerkiewno-słowiańskiego.

— *Liturgia odbywa się w staro-cerkiewno-słowiańskim czy w rosyjskim języku?*

— W scs. Nawet w Związku Sowieckim po rosyjsku się nie odprawia. We Wrocławiu mamy parafię gdzie podczas nabożeństwa stosujemy język polski i staro-cerkiewno-słowiański. Jest to problem: przechodzić czy nie przechodzić na polski, który jest teologicznie niewyrobiony. Mamy gigantyczne problemy z tłumaczeniami. Cyryl i Metody zachowali bardzo wiele archaizmów greckich, dla których niezwykle trudno znaleźć odpowiednik w staro-cerkiewno-słowiańskim, a co dopiero w polskim. To samo mówią księża łacinnicy: łacina była o wiele bogatsza.

Mamy ożywione kontakty z Rosją a także z Ukrainą, podzieloną teraz religijnie na Ukraiński Kościół Prawosławny, Autokefaliczny Kościół Prawosławny, no i oczywiście Kościół grekokatolicki. Na Ukrainie obecnie spotyka się wielu miłośników powrotu do języka narodowego we wszystkich Kościołach. Tłumaczami tekstów liturgicznych nie zawsze są ludzie, którzy pojmują właściwy przekaz myśli teologicznej, przez co teksty ubożeją. Nawet zdarzają się ogromne nieścisłości. Nie zawsze tak było, w czasie okupacji świetne przekłady z scs na ukraiński robił arcybiskup Hilarion (czyli Jan Ogijeńko), profesor Uniwersytetu Warszawskiego w okresie międzywojennym, późniejszy metropolita ukraińskiego prawosławnego kościoła emigracyjnego w Kanadzie.

— *Czy liturgia prawosławna zmieniła się na przestrzeni wieków?*

— Schemat liturgiczny od IV wieku jest ten sam, podobny obowiązywał w Kościele rzymskokatolickim do Soboru Trydenckiego w połowie lat 60. naszego stulecia. U nas pojawili się nowi hymnotwórcy, wprowadzenie nowych ektenii miało miejsce, natomiast Kościół rzymskokatolicki znacznie skrócił liturgię, tzn. przystosował ją do wymogów świata współczesnego. My zostaliśmy w konserwatyzmie.

— *Ksiądz biskup mówi to z radością czy z zazdrością?*

— Z radością.

— *Ilu prawosławnych mieszka w Polsce?*

— Urzędowe statystyki mówią o 800 tysiącach, tak naprawdę będzie powyżej miliona, może milion dwieście tysięcy? W Lublinie kontakt z parafią ma trzysta pięćdziesiąt rodzin, ale z wiarygodnych źródeł wiem, że tych rodzin jest ponad pięćset. Nie chcą się ujawniać!

— *To znaczy deklarują się jako rzymscy katolicy?*

— Dokładnie tak. Staramy się ich odwiedzać, mam na przykład informacje od proboszczów parafii wiejskich, że ich parafianie przeprowadzają się do miast. Idziemy: nie, nie, to pomyłka! Waży na takim stanie rzeczy niegdyś istniejąca tendencja odgórna: prawosławny to banderowiec. Katecheza w szkołach ujawniła nowe problemy. Łazi nasz chłopaczek po korytarzu, kiedy inne dzieci siedzą na lekcji religii. Dlaczego nie chodzisz? Mój tata jest katechetą, do niego chodzę. Nauczycielka: a bo jego ojciec jest popem. Dzieci podchwyciły, zaczęły się szykany. Ojciec w kuratorium oświaty zrobił awanturę i sprawę rozwiązała sama nauczycielka. Okazuje się, że potrzeba odrobiny tolerancji, kultury.

— *Prawosławni nie mają nauczania religii w szkołach?*

— Mają, tam gdzie są większe skupiska. W mojej diecezji katecheza odbywa się w wiejskich szkołach województwa białoskopodlaskiego, w samej Białej Podlaskiej już nie. W Lublinie też nie — przy parafii jest punkt katechetyczny, do którego uczęszcza pięćdziesięcioro sześćcioro dzieci. Sześć grup miejscowych plus grupa ze Świdnika.

— *Największe skupiska prawosławnych znajdują się we wschodniej polaci kraju?*

— W województwie białostockim — okolice powiatowych miast: Hajnówki, Bielska Podlaskiego, Siemiatycz, Sokółki. Tam nauka religii odbywa się w szkole bez problemu. Gdyby nie było akcji „Wisła”, przesiedleń, w hrubieszowskim, biłgorajskim,

włodawskim, tomaszowskim, chełmskim byłoby podobnie. Jeszcze podczas okupacji znajdowała się tam gęsta sieć świątyń. W latach pięćdziesiątych chciano nas ograniczyć na Lubelszczyźnie do ośrodków Lublin, Biała Podlaska, Jableczna.

— *W jaki sposób?*

— Na osadzenie proboszcza musiał wyrazić zgodę wydział do spraw wyznań. Uzyskanie jej, jak pan wie, było nieraz problematyczne. Trudności piętrzyły się w całym kraju, może trochę łatwiej było na ziemiach odzyskanych.

— *Czy mógłbym prosić księdza biskupa o dane dotyczące liczby świątyń w Polsce, diecezji, stanu prawnego Kościoła prawosławnego?*

— W naszym kraju Kościół prawosławny posiada pięć diecezji oraz jedną archidiecezję warszawsko-bielską, którą kieruje ksiądz metropolita Bazyli (Doroszkievicz). Diecezje:

— białostocko-gdańska z siedzibą profesora arcybiskupa Sawy (Hrycuniaka) w Białymstoku,

— łódzko-poznańska, siedziba księdza biskupa Szymona (Romańczuka) znajduje się w Łodzi,

— wrocławsko-szczecińska — ksiądz biskup Jeremiasz (Anchimiuk) urzęduje we Wrocławiu,

— przemysko-nowosądecka, z siedzibą księdza biskupa Adama (Dubca) w Sanoku,

— oraz moja diecezja, lubelsko-chełmska, z siedzibą biskupa w Lublinie.

(Nazwiska duchownych prawosławnych pisane w nawiasach świadczą o tym, że dana osoba jest zakonnikiem i używa tylko imienia zakonnego — przyp. A.W.K.).

Cerkwi mamy w Polsce około trzystu dwudziestu.

Czwartego lipca 1991 roku ukazała się w *Dzienniku Ustaw* nr 66 ustawa o stosunku państwa do Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Polsce, i na tej podstawie nasz Kościół może wnieść wszystkie te świątynie w swój stan posiadania. Do tej pory nie mieliśmy na nie ksiąg wieczystych, to znaczy cerkwie były przez nas użytkowane, mieliśmy je w stanie posiadania ale nie zawsze posiadaliśmy dokument stwierdzający własność. Ta ustawa normalizuje stosunki prawne, na przykład duszpasterstwa specjalne, ordynariat wojskowy, szkolnictwo.

— *Opieka ze strony państwa jest wystarczająca, czy też Kościół prawosławny czuje się pokrzywdzony?*

— Jako zwierzchnik diecezji lubelsko-chełmskiej czuję się poniekąd pokrzywdzony tą ustawą. Zamyka ona bowiem roszczenia majątkowe. Nie możemy ubiegać się o zwrot dóbr, które były w naszym posiadaniu przed 23 czerwca 1939 roku.

— *Skąd ta data?*

— W tym dniu ukazała się ustawa regulująca stan prawny Kościoła prawosławnego w II Rzeczypospolitej.

— *Z jakiego powodu ksiądz biskup mówi o poczuciu krzywdy?*

— Na terenie Chełmszczyzny akcja burzenia świątyń prawosławnych rozpoczęła się na początku lat dwudziestych i trwała do września 1939.

— *Czy cerkwie nie były burzone jeszcze w 1944, 45 roku?*

— Wtedy, podczas akcji wysiedleńczej, proces się odnawiał, natomiast w 1939 roku byliśmy już pozbawieni części majątków, na przykład budynku seminarium w Chełmie — dzisiaj mieści się w nim Liceum im. Czarnieckiego. Przed wojną ukazywały się specjalne *Monitory* pozbawiające nas dóbr.

— *Pozbawiające w imię czego?*

— W imię nowego prawa, nowej sytuacji politycznej. Polska sanacyjna uznała, że co prawosławne to ruskie, znaczna część duchownych i ludności prawosławnej emigrowała do Rosji, więc państwo przejmowało i mienie opuszczone.

— *W każdym razie nie były to dobra zabrane wcześniej Polakom przez cara i oddane Kościołowi prawosławnemu?*

— Nie, absolutnie. Jeżeli odbierano rzeczy zabrane wcześniej, nie czujemy o to pretensji. Znalazłem wiele faktów, kiedy *Monitor Polski* wywłaszczał nas *de iure*, a *de facto* ludność prawosławna dalej użytkowała, gospodarzyła na swoim.

— *Co w lubelsko-chełmskiej diecezji należałoby dziś zwrócić Kościołowi prawosławnemu?*

— Na przykład pozostałości poklasztorne w Turkowicach, budynki poklasztorne — dziś użytkowane przez PGR i szkołę podstawową, w samym Chełmie budynki cerkiewne budowane przez prawosławnych, w województwie siedleckim okazały zespół poklasztorny we wsi Wirów, z którego mnisi emigrowali po pierwszej wojnie światowej. Był jeszcze klasztor w Radeczniczy koło Zamościa.

— Czy nie mieścił się w przejętym od łacińskiego Kościoła obiekcie?

— Do schyłku XIX wieku mogły to być własności unickie, które w XVII wieku odebrano prawosławnym. Białostoczczyzna uniknęła akcji wysiedleńczej, tam nie burzono świątyń.

— Co to było: uraz posoborowy, pozaborowy?

— Autor książki *Przedmurze*, Wacław Mysłək, ujmuje to nazywając rzecz po imieniu. Przytacza archiwalne dokumenty, dekrety. Druga, równie dobra, to praca habilitacyjna pani Papierzyńskiej-Turek. Serafin Kuryłowicz przygotował równie interesującą pozycję: *Z dziejów prawosławia w II Rzeczypospolitej*. I jeszcze jedno, wydany w ukraińskim języku *Zarys historii Chełmszczyzny i Podlasia* — J. Pasternaka. Ale może nie powinniśmy tego rozgrzebywać?

— Jeżeli nie nazwiemy po imieniu, nie powiemy głośno, nigdy nie uporządkujemy starych spraw. Ten tygiel kulturowy, narodowościowy, religijny zawsze będzie się podgrzewał, zawsze będzie coś jątrzyło. Nie wystarczy chęć się tolerancją, trzeba umieć ją stosować na co dzień.

— W okresie międzywojennym wyglądało to na odnowienie tendencji unijnych.

— Ale nie przekazywano prawosławnych cerkwi unitom, lecz je burzono.

— Dominującym kościołem w Galicji był Kościół greckokatolicki, na czele którego stał metropolita Andrej Szeptycki. Dlaczego stało się tak? Oczywiście dał o sobie znać klerykalizm — za dużo mówię. I kongregacja krzewienia wiary w Watykanie, która stawiała za cel wprowadzenie neounii. Ofiarą padło prawo-

ślawie. Watykan obawiał się zlecić tę misję metropolicie Szeptyckiemu ze względu na szerokie akcentowanie uczuć narodowościowych. Tworzy się więc biskupstwo neounickie w Kowlu, w Dubnie otwierają seminarium. Biskupem mianowano Mikołaja Czarneckiego, który teraz jest kandydatem do beatyfikacji. Może jednak przemilczeć?

— *Ksiądz biskup wie, że...*

— Ten poryw szczególnie podchwytyją biskupi łacińscy: siedlecki — Przeździecki, i lubelski, bodajże o nazwisku Fornal.

— *To były lata?*

— Okres międzywojenny.

— *Co dalej się dzieje?*

— Na siłę wprowadza się neounię. Przyjeżdża wysłannik kongregacji krzewienia wiary, na przykład do wsi Horostyta, spotyka się z ludźmi: wygonie ruskiego popa, przyjdzie nowy. Naród wykazujący ostoję w prawosławiu naraża się, przyjeżdża policja ze starostą i za niepokorę burzy się cerkiew. To bardzo proste, prawda?

— *Ile cerkwi zburzono?*

— Tylko w roku 1938 i do września 1939 sto sześćdziesiąt cerkwi, kaplic w rejonie dawnego województwa lubelskiego.

— *Wyłącznie prawosławnych?*

— Greckokatolickich nie zdążono, wybuchła wojna. W pewnym momencie metropolita greckokatolicki opowiedział się za prawosławiem. Powiedział coś takiego: dzisiaj burzy się prawosławnym, jutro może nam. Na moje rozeznanie czekał ich podobny los.

— *Czy to nie były owoce zbyt ekspansywnej polityki Kościoła prawosławnego w drugiej połowie XIX wieku, kiedy dawał się wykorzystywać przez carat?*

— Warto sięgnąć wcześniej — w naszym społeczeństwie trak-

tuje się te sprawy jednostronnie. Nie mówi się o podobnej agresywności katolicyzmu w wiekach poprzedzających dziewiętnasty. Unię podpisano w 1596 roku, lud opowiada się za nią dopiero w XVIII stuleciu. Opornych poddawano torturom. Właściwie ekspansja katolicyzmu rzymskiego na prawosławie rozpoczęła się już za Batorego, on zaczął wymuszać przyjmowanie nowego stylu.

— *Prawosławni byli przecież w sejmie.*

— Tak, ale nie mieli prawa decydującego głosu, spychano ich na pozycje drugorzędne. Król Zygmunt III doprowadził tę politykę do momentu, w którym wymuszono na biskupach prawosławnych pojednanie z Rzymem.

— *Poprzez unię?*

— Tak. Dano gwarancję, że religia ruska w Rzeczypospolitej nie będzie zagrożona, jeżeli uznają prymat papieża. Biskupi Pocij i Terlecki po długich namysłach udali się do Rzymu, Zostali gościnnie przyjęci i złożyli wyznanie katolickiej wiary.

— *Nie była to inicjatywa własna biskupów prawosławnych?*

— Absolutnie nie.

— *Ale w jaki sposób można było zastosować przymus?*

— Biskupi chcieli mieć swoje prawa, przecież byli ograniczani w działalności. Musieli dążyć do wzmocnienia swojego autorytetu. I wtedy zaproponowano: uznajcie prymat papieża, sytuacja się zmieni. Wróciwszy do kraju biskupi Pocij i Terlecki zaczęli przygotowywać swoich współpracowników w biskupstwie do podpisania oficjalnego aktu unii pojednania z Rzymem. Wszyscy się zgodzili, z wyjątkiem biskupa w Przemyślu i we Lwowie. Oni nie podpisali aktu.

— *Dlaczego?*

— Zadeklarowali wierność prawosławiu i tkwili w nim do lat osiemdziesiątych XVII wieku. Potem też ulegli.

— *Czy ksiądz biskup mógłby powiedzieć kilka słów o swoim stosunku do Kościoła greckokatolickiego?*

— Unia jest do dziś niezagojoną raną na ciele Kościoła prawosławnego. Wszelkie dzisiejsze akcje Kościoła rzymskokatolickiego skierowane w stronę odnowienia działań unijnych są nowym ciosem zadany prawosławiu. Może zbyt mocno to formułuję... założenia II Soboru Watykańskiego, w sposób w miarę sprawiedliwy, dały ocenę unii i została zapoczątkowana nowa droga życia ekumenicznego. Otwarto dialog katolicko-prawosławny — tu zanotowaliśmy wielkie osiągnięcia. Natomiast w dniu dzisiejszym Kościół prawosławny zostaje zmuszony do zamrożenia dialogu pomiędzy oboma Kościołami.

— *Konkretny powód?*

— To, co się dzieje na Ukrainie, w Rumunii, w Czechosłowacji... Kościół greckokatolicki został na Ukrainie skasowany w 1946 roku, prawosławie przejęło ich cerkwie. Zgoda, nie było to w porządku, ale dziś unicy postępują w sposób gwałtowny: rozbijają świątynie, czterech duchownych prawosławnych poniosło śmierć. Dziesiątki przypadków profanacji najświętszego Sakramentu, bezczeszczenie ikon, ludność prawosławna szykanowana z każdej strony. Podobnie jest w Rumunii i Czechosłowacji.

— *Pytanie jak bumerang: czy nie jest to cena dawnego zaangażowania?*

— W dobie zaangażowanego dialogu katolicko-prawosławnego wynikiłe problemy można było rozwiązać o wiele szerzej w duchu dobrze pojętej idei ekumenizmu. Obecnie często akcentuje się pogwałcenie unitów przez stalinizm i wykorzystywany przez niego Kościół prawosławny. Jednak trzeba byłoby spozstrzec, że uniacyzm zrodził się jako narzędzie polityczne na organizmie Kościoła prawosławnego. W Polsce, w latach 50-tych, organizowaliśmy nasze wspólnoty wśród społeczeństwa ukraińskiego Galicji na błagalne prośby tego ludu Bożego.

W Czechosłowacji od 1968 roku świątynie były współużytkowane przez prawosławnych i unitów, niedawno restytuowano tam Kościół greckokatolicki i jego ordynariusz, biskup Girka, wydał polecenie natychmiastowego opuszczenia przez prawosławnych wszystkich świątyń. Skoro modlili się tyle lat razem... Wyznawcy prawosławia zostali wyrzuceni na bruk. Obchodzono w Preszowie wielkie uroczystości ku czci świętych Cyryla i Metodego. Kilkadziesiąt kilometrów od tego miasta leży Lewocza, odpowiednik słowackiej Częstochowy; w uroczystym nabożeństwie obok biskupów rzymskokatolickich i unickich uczestni-

czyło trzech prawosławnych — osobno, w wynajętym pomieszczeniu — my też czcimy najświętszą Marię Pannę. Byłem świadkiem rozmowy arcybiskupa prawosławnego z Preszowa, Mikołaja, z prymasem Czechosłowacji. Prosił chociaż o dwa lata zwłoki w opuszczeniu świątyń, żeby można było zorganizować normalne życie parafialne. W dobre imię ekumenizmu. Odpowiedź była krótka: — Opuśćcie nasze posiadłości, a wtedy będziemy mówić o ekumenizmie. Arcybiskup Mikołaj też odpowiedział zwięźle: — Wtedy wasz ekumenizm nie będzie nam już potrzebny.

— *Ekscelencjo, jestem daleki od oceniania, wyrokowania w tej materii, ale... czy Kościół prawosławny zbyt łatwo nie wchodził w wątpliwe koniunktury polityczne?*

— Jeżeli dzisiaj są takie mniemania, to absolutnie są mylne. Kościół zawsze kierował się dziełem Ewangelii, co nie znaczy, że system totalitarny nie wywierał na niego nacisku. Wywierał też i na inne kościoły. Kościół unicki wyrósł na ciele prawosławia i mamy prawo przyjąć unitów z powrotem. W Rosji było to robione niekiedy w haniebny sposób, ale w Polsce? Zlikwidowano Kościół greckokatolicki i zaraz rozpoczęła się akcja „Wisła” — i prawosławni, i unicy znaleźli się na ziemiach odzyskanych. Sytuacja była na tyle wygodna, że istniała możliwość organizowania parafii prawosławnych. Chciano nas zdławić, tymczasem „zaśmiecono” prawosławiem cały kraj. Mało tego: na początku lat 50. zaczynają się do nas sami garnąć unicy.

— *Zapomnieli dawne urazy?*

— Mamy tę samą tradycję, lud wybierał to co mu bliższe. Dopiero pod koniec lat 50. Kościół rzymskokatolicki zauważył co się dzieje i wprowadził birtualizm, tzn. równoległe z obrządkiem łacińskim obrządek wschodni. Zorganizowano też siatkę ośrodków duszpasterstwa dla unitów, żeby zahamować ich powrót do prawosławia. Pod koniec lat 50-tych wysiedlona z Galicji ludność wraca na swoje ziemie, cerkwie greckokatolickie są zamknięte, nie ma możliwości ich otwarcia, i wtedy kieruje się do nas prośby o przysłanie księdza prawosławnego, „ukrainomównego”, do zorganizowania życia parafialnego.

Tam, gdzie prawosławny duchowny zorganizował przy świątyni greckokatolickiej parafię — a mamy takich w Polsce około trzydziestu — ludność zachowała swoją tożsamość i kulturę. Nikt nie rusyfikował, o co się dziś pomawia: „o, przyszli jacyś

moskalscy księża". Cerkwie dotrwały w dobrym stanie do dziś, dlatego że miały gospodarza.

— Czy teraz te świątynie przejmowane są przez księży greckokatolickich?

— Ustawa normująca stosunki kościelne odkłada regulację spraw własnościowych, dóbr pounickich będących w posiadaniu prawosławnych. Zasugerowano ordynariuszom diecezji obopólnie rozwiązywać problem użytkowania cerkwi. Ordynariusz diecezji przemysko-nowosądeckiej, biskup Adam, przeprowadził coś w rodzaju referendum pośród ludności obecnie prawosławnej, i ci dawni unicy, będący w jurysdykcji Kościoła prawosławnego, opowiadają się za prawosławiem.

— To są tereny?

— Województwa: przemyskie, krośnieńskie, nowosądeckie.

— Rozmawialiśmy o ekumenizmie w Czechosłowacji, a jak on wygląda w Polsce?

— (Uśmiech) — Prowadzimy dialogi ekumeniczne (znowu uśmiech). Sugerując się nakazem Chrystusa „Ojcze, przebac, nie wiesz co czynią”. Milczymy o wielu sprawach.

— *Ekscelencjo, rozumiem: nie jątrzyć, nie rozdrapywać ran. Ale milczenie bez wypowiedzenia sobie wszystkiego, bez przebaczenia i przejścia do porządku dziennego nad starymi urazami niewiele da. Takie milczenie spowoduje wybuch za ileś tam lat u dzisiejszych dziesięcioletków. Załatwmy dzisiaj te sprawy, nie wciągajmy w nie następnego pokolenia. Nazywanie rzeczy po imieniu zdejmuje z niej odium, słowa mogą być nie tylko katalizatorem, także wentylem bezpieczeństwa.*

— Na terenie łacińskiej diecezji siedleckiej zostało powołane stowarzyszenie do spraw badań martyrologii unitów podlaskich — na ogół te sprawy są społeczeństwu znane. Z jednej strony. My, we wrześniu bieżącego roku powołaliśmy komisję historyczną do badań dziejów Chełmszczyzny — Archiwum Chełmskie. Żeby też utrwalić, zbadać ślady martyrologii prawosławnych w dawnej Lubelszczyźnie. Ta komisja nie ma na celu rozsiewania antagonizmów, nienawiści, ale gdy Kościół rzymskokatolicki chce

podnosić do godności świętych męczenników unickich, dlaczego nie możemy dla potomnych utrwalić faktów martyrologii mę-
żów, którzy oddali życie za prawosławie? Zbieramy wypowiedzi
ludzi starych, którzy widzieli niejedno.

— *Chełmszczyzna to teren nieustających starć narodowości-
owych, religijnych. W XIX wieku napór prawosławia był tutaj
ogromny, te ziemie były intensywnie rusyfikowane...*

— Tak. O tym się mówi, ale mało kto wie o całej wsi
prawosławnej wyciętej w pień — o Wierzchowinach, położonych
piętnaście kilometrów od Chełma. Wybito nawet dzieci. Żyją
wiarygodni świadkowie, którym udało się uciec. Dziś, na ekranie
telewizora organizuje się konfrontację i pojawia się konkluzja:
nie wiadomo, kto to zrobił. I w ogóle nie wiadomo, czy taki
epizod miał miejsce. Przecież to nie zdarzyło się w średniowie-
czu, lecz czterdzieści parę lat temu!

W Hrubieszowie mieszka człowiek, którego policja skato-
wała przy burzeniu cerkwi. Pojechał do Warszawy, do minister-
stwa: przecież nie ma żadnej akcji burzenia świątyn! W Teraty-
nie, niedaleko Hrubieszowa, na oczach ludzi przecięto piłą wpół
księdza prawosławnego. Dziś ta cerkiew używana jest jako koś-
ciół. Ludzie z Kanady proszą w listach o garść ziemi z Tera-
tyna, z Wierzchowin — dla nich ta ziemia jest wielkim *sacrum*.

— *A jak się układa współpraca hierarchów obu Kościołów w
Lublinie?*

— Jeżeli mam być szczery, takich bardzo ciepłych kontak-
tów nie ma. Na wielkie uroczystości Kościoła rzymskokatolic-
kiego nie jesteśmy zapraszani, ale lubelski biskup, ksiądz Pylak,
jest życzliwy. To samo biskup Mazur.

Na terenie województwa siedleckiego stoi kilka cerkwi z
kompletnym wyposażeniem, z ikonostastami złożonymi gdzieś
na strychu, na chórze. Drogą ustawy te cerkwie przeszły na
własność Kościoła rzymskokatolickiego. My, chociaż biedni,
budujemy nowe świątynie, na przykład w Zamościu. Można by,
w myśl zasad ekumenicznych, uprzejmości, przekazać nam to
wyposażenie, łacinnikom przecież niepotrzebne. Nie chcą! Roz-
mawiałem. A co ludzie powiedzą — taki argument.

— *Czy ksiądz biskup zapraszał biskupa Pylaka na uroczy-
stości prawosławne?*

— Zapraszałem.

— *Przychodził?*

— Nie. Raz tylko złożył oficjalną wizytę.

— *Jaki jest stosunek rzymskich katolików do prawosławnych — to pytanie o tolerancję.*

— W życiu codziennym antagonizmów nie ma. Może owocują wizyty papieża?

— *Ale cerkwie same się nie zapalają?*

— Policzyliśmy: od 1970 roku spłonęło szesnaście, m.in. w Kruszyńskich, Narwi, Grabarce.

— *Grabarka, to jakby prawosławna Częstochowa.*

— Cerkiew w Grabarce podpalił więzień ze Śląska, odbył się proces sądowy.

— *Ksiądz biskup wierzy w tę argumentację?*

— Myślę — to moje prywatne zdanie — że to był pożar na zamówienie. Komuś, może, nie podobały się święta ogólnoprawosławne na Przemienienie Pańskie. Za dużo ludzi zjeżdża.

— *Ale w okolicy mieszkają prawosławni?*

— Niezupełnie. To już pogranicze latynizmu i prawosławia. Przykład pożaru w Narwi: w Wielki Czwartek, podczas nabożeństwa, w cerkwi około tysiąca osób. Pożar zaczął się od zakrystii, w której pozostawiono otwarte okno. Jeden z uczestników mszy nie zdążył uciec, spalił się żywcem. Narew, to moja rodzinna miejscowość...

— *Przejeżdżając przez Narewkę, położoną blisko Narwi, konflikty narodowościowe, religijne wyczuwałem przez skórę.*

— W Narwi tego nie ma. Starzy ludzie, i Ukraińcy i Białorusini, i Polacy zgodnie podkreślają, że do wojny wszyscy żyli w przyjaźni, tolerancji. Nie do wiary, w jak krótkim czasie można zabagnić stosunki pomiędzy tak bliskimi narodami, wy-

znawcami Kościołów wywodzących się z jednego, chrześcijańskiego pnia. Lata wojny zniweczyły dorobek wielu pokoleń.

— *Ekscelencjo, w jednej z książek traktujących o prawosławiu wyczytałem sformułowanie: „prześladowcy prawosławia w XVII wieku”, czy ekscelencja mógłby to skomentować?*

— Tu chodzi o unię.

— *To znaczy, jest to aż tak bolesne dla Kościoła prawosławnego? Nie można unii uznać za osobną religię, która wyodrębniła się z prawosławia?*

— My z odstępstwem unii pogodziliśmy się, przecież to tyle wieków. Ale Kościół rzymskokatolicki szykuje nowe ekspansje. W tej sytuacji nie możemy udawać, że nic się nie dzieje. Gdyby Kościół greckokatolicki pozbawiono spokoju, nikt by się nie niepokoił. Po co organizować nowe akcje, nowe ekspansje?

— *Kościół rzymskokatolicki prowadzi misje w krajach Afryki, Azji aż po Japonię i Chiny, czy Kościół prawosławny podejmuje podobne działania?*

— Mile widzimy wszystkich przychodzących do nas, ale prozelityzmem absolutnie nigdzie się nie zajmujemy.

— *Przepraszam ekscelencję za to pytanie, niemniej muszę je zadać: czy Kościół prawosławny w Polsce jest niezależny, czy też jest odmianą, ramieniem Kościoła rosyjskiego?*

— Kościoły prawosławne są autokefaliczne, to znaczy niezależne. Jedynie *primus inter pares*, czyli pierwszy pośród równych sobie, ma przywilej tytułowania się ekumenicznym patriarchą Konstantynopola. Jest to najwyższy dostojnik Kościoła prawosławnego w świecie.

Utożsamianie Kościoła prawosławnego w Polsce z moskiewskim jest absurdem. Analizując jego dzieje stwierdzimy, że jest raczej spuścizną metropolii kijowskiej. Sytuacja polityczna po I wojnie światowej wymuszała niejako samodzielność Kościoła prawosławnego w II Rzeczypospolitej — w tym samym czasie kijowską metropolię podporządkowano już patriarchatowi moskiewskiemu. Tradycją Kościoła prawosławnego jest to, że autokefalię nadaje Kościół Matka przy akceptacji wszystkich siostrza-

nych kościołów. Wobec tego hierarchia prawosławna w Polsce na początku lat 20-tych zwróciła się do patriarchy moskiewskiego o uzyskanie autokefalii, czego patriarchat moskiewski nie uczynił. Oczywiście, był to zbyt trudny czas, żeby myślaro o Polsce: początki bolszewizmu, aresztowania, z dwustu osiemdziesięciu biskupów w 1924 roku czynnych było — jeżeli dobrze pamiętam — osiemnastu. Wówczas hierarchia II Rzeczypospolitej zwraca się do patriarchy ekumenicznego Konstantynopola i osiemnastego listopada 1924 roku uzyskuje autokefalię dla Kościoła prawosławnego w Polsce.

— *Bez zgody Moskwy?*

— Tak.

— *Czy prawnie było to w porządku?*

— Uważaliśmy zawsze, że jesteśmy w tradycji kijowskiej. Moskwa uniezależnienie Kościoła prawosławnego w Polsce przyjęła oczywiście z pewną rezerwą. Przez cały okres międzywojenny nie mieliśmy kontaktu z patriarchatem moskiewskim, wszystkie stosunki zostały zamrożone. Dopiero w nowej strukturze politycznej, kiedy Polska znalazła się w nowych granicach, naszą autokefalię potwierdził w 1948 roku patriarchat moskiewski. Od tego też czasu współpracujemy na partnerskich zasadach.

— *Gdzie w Polsce kształcą się księża prawosławnych?*

— Mamy niższe seminarium duchowne w Warszawie, wyższe w Jablecznej. Kandydaci do stanu kapłańskiego po ukończeniu seminariów studiują jeszcze w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

— *A studia za granicą?*

— Bardziej zdolni zdobywają wiedzę teologiczną w kościołach siostrzanych, i tak trzy osoby studiują w Instytucie św. Sergiusza w Paryżu, dwie w Nowym Jorku — w Instytucie św. Włodzimierza, kilka w instytutach kościoła protestanckiego w Szwajcarii i w Niemczech, kilka w dawnym Zagorsku, w Rosji.

— *Jak wyglądają kontakty ze Wschodem?*

— Klasztory Grabarka i Jabłeczna leżą w pasie granicznym. Polesie, Wołyń — przed wojną było to terytorium naszego kraju, i ludność dziś tam mieszkająca, prawosławna, darzy nasze klasztory nadal wielkim sentymentem. Na wielkie święta z chęcią tu przyjeżdżają. W Kościele prawosławnym po drugiej stronie Bugu kadrowe potrzeby są ogromne, staramy się im pomagać jak możemy.

— *To znaczy, że w Polsce jest tylu duchownych prawosławnych, że można ich tam wysyłać?*

— Problemu kadrowego w Kościele prawosławnym w Polsce obecnie się nie dostrzega.

— *Czy Kościół prawosławny w Polsce ma trudności w dotarciu do środków masowego przekazu?*

— Nie. Mamy prawo posiadać swoje organy prasowe; ukazuje się *Kalendarz prawosławny*, kwartalnik *Wiadomości Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego*, miesięcznik *Wiestnik Cerkiewny*. Białystok wydaje tygodnik *Prawosławie* — w języku polskim oczywiście, diecezja przemysko-nowosądecka kalendarz w języku ukraińsko-łemkowskim.

W kraju działa Stowarzyszenie Bractwa Prawosławnego liczące może dziesięć tysięcy członków, które wydaje pismo *Informator*. Bractwo Młodzieży Prawosławnej ma swój kwartalnik *Biuletyn*. W naszej diecezji oddział bractwa drukuje — są to studenci mieszkający w Lublinie — miesięcznik *Ortodoksja*.

Drukarnie posiadamy w Białymstoku, Sanoku i w Warszawie. Radio ogólnopolskie nadaje nabożeństwa w cyklu nabożeństw ekumenicznych, natomiast regionalna stacja radiowa w Białymstoku przeznaczona stałe godziny w języku białoruskim na nasze potrzeby.

— *Czy są prawosławni kapelani w wojsku?*

— Na razie nie. Na zlecenie synodu biskupów opracowujemy statut ordynariatu wojskowego — będzie ordynariusz wojskowy. W Chełmie na przykład służy trzynastu żołnierzom prawosławnym, mają kontakt z proboszczem.

— *Swoboda nauczania religii, budowania świątyń?*

— Jest gwarantowana. Problem tylko z finansami — nie jesteśmy zasobni. W Białej Podlaskiej chcemy utworzyć drugą parafię — jest taka potrzeba, na razie szukamy parceli.

— *I, może na zakończenie, sprawy najczęściej komentowane, najłatwiej i najszybciej dostrzegane: małżeństwa duchownych.*

— U nas mamy duchowieństwo zakonne, celibat i duchowieństwo w małżeństwie. Sądzę, że wersja Kościoła prawosławnego jest bardziej ludzka. Może dla samej instytucji kościoła lepszy okazuje się celibat — tu można zyskać wiele, większe poświęcenie samotnego księdza, ale w Piśmie świętym nigdzie nie znajdziemy nakazu życia duchownego w celibacie. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nawet biskupi mieli żony. Wyższa hierarchia naszego kościoła wywodzi się wyłącznie z duchowieństwa zakonnego. Świecenia kapłańskie mogą być udzielane tylko osobie wolnej, wtedy ksiądz do końca życia pozostaje w celibacie. Sakrament małżeństwa musi poprzedzać święcenia kapłańskie, odwrotnie być nie może. Takie są normy kanoniczne Kościoła od samych początków.

— *Nie zdarza się, że żonaci księża zostają hierarchami?*

— Jest to niemożliwe. Regulują to kanoniczne normy. Żona księdza, co ludzie przyjmują normalnie, jest siłą pomocną, jeżeli ma swego rodzaju powołanie do tego, co czyni mąż. Gdzie można znaleźć księdza rzymskokatolickiego, który potrafiłby się obejść bez gospodyni? W naszym przypadku jest to o wiele bardziej naturalne. Unikamy pomówień. Problemy pojawiają się, kiedy małżeństwo okazuje się nieudane, co przecież też się zdarza.

Rozmowę przeprowadził Adam W. KULIK

Ksiądz biskup Abel (Popławski), ur. w 1958 r. w Narwi (białostockie), jest jednym z najmłodszych biskupów prawosławnych w świecie. Ukończył seminarium duchowne w Warszawie, Jablecznej, odbył studia w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w W-wie (praca magisterska nt. unii). W trakcie studiów w Ch.A.T. złożył śluby zakonne w klasztorze św. Onufrego w Jablecznej. Oddelegowany do pracy duszpasterskiej na Podkarpaciu, proboszcz parafii prawosławnych w Polanach, Komańczy, Zyndramowej i w Przemyślu. W latach 1984-86 pełni opiekę duszpasterską nad społecznością prawosławną w Monachium, następnie wraca do Jablecznej, gdzie pełni obowiązki przeora klasztoru. 25 III 1989 otrzymuje sakrę biskupią w świeżo restytuowanej diecezji lubelsko-chełmskiej.

Bp Szczepan WESOŁY

PODWÓJNA JURYSDYKCJA DLA POLAKÓW W ANGLII

W roku 1989 ukazała się bardzo cenna książka pt. *The Formation of the Polish Community in Great Britain — 1939-1950*¹. Usiłuje ona przedstawić całość dziejów osiedlania się Polaków na Wyspach Brytyjskich. Książka, podzielona na trzy części, ma trzech autorów. Zasadniczym jest Keith Sword, autor części trzeciej, która opisuje osiedlenie się Polaków i problemy społeczne powstałe w wyniku organizowania życia w nowych powojennych warunkach.

Prof. Norman Davis, autor pierwszej części, opisuje przyjazd Polaków do Wielkiej Brytanii po klęsce francuskiej w czerwcu 1940 roku, przyjazd rządu polskiego i Polskich Sił Zbrojnych z wszystkimi problemami politycznymi w czasie trwania działań wojennych. Opisuje również cały przebieg demobilizacji.

Autor drugiej części, prof. Jan Ciechanowski, przedstawia polityczną stronę zagadnienia wynikającą z zawartego sojuszu między Polską a W. Brytanią, polityczną działalność rządu polskiego na emigracji i jego stopniową izolację przez umowy w Teheranie i Jałcie, aż do cofnięcia uznania. Relacjonuje decyzję demobilizacji wojska polskiego i osiedlenia się Polaków w Wielkiej Brytanii jako uchodźców politycznych.

1. *The Formation of the Polish Community in Great Britain — 1939-1950* by Keith Sword with Norman Davis and Jan Ciechanowski, University of London, School of Slavonic and East European Studies, 1989, s. 498

Książka liczy prawie 500 stron, raczej drobnego druku, podaje dużą dokumentację i literaturę przedmiotu. Data 1950 roku została przyjęta jako zakończenie osiedlania się w W. Brytanii Polaków związanych z wydarzeniami II wojny światowej. Książka jest chyba pierwszym opracowaniem, które usiłuje przedstawić wszystkie problemy historyczne, polityczne, wojskowe i społeczne związane z powstaniem polskiej społeczności na Wyspach Brytyjskich. Opracowanie jest niewątpliwie bardzo cenne, wyjaśnia wiele różnych aspektów uchodźczego życia polskiego w Anglii, powinni się zapoznać z nim ci, którzy mają zamiar wypowiadać się na temat emigracji związanej z drugą wojną światową.

Nie jest moim zamiarem pisanie recenzji. Pragnę jedynie wyjaśnić ważny szczegół związany z jurysdykcją kościelną, odnoszącą się do wspólnoty polskiej w Anglii. Była ona czymś wyjątkowym w ustawodawstwie kościelnym, zwłaszcza emigracyjnym, i dotąd nie została nigdzie właściwie przedstawiona. Osobom nieobeznanim z ustawodawstwem kościelnym może trudno zorientować się w złożonej strukturze prawnej. Inni może nie mieli dostępu do pełnej dokumentacji, dotąd nigdzie nie publikowanej.

Autor trzeciej części, przedstawiając różne przejawy polskiego życia emigracyjnego, omawia również życie religijne². Nie bardzo jednak wiadomo, co właściwie chce w tym rozdziale omówić. Tytuł wskazywałby na przedstawienie struktur parafialnych, czy w ogóle struktur organizacyjnych polskiego duszpasterstwa. Autor nie rozumie jednak całej kanonicznej złożoności owych struktur. Część rozdziału poświęca opisowi moralnej i duchowej sytuacji emigracyjnego społeczeństwa. Jest to jednak opis bardzo powierzchowny. Sytuacja moralna związana jest nie tylko z życiem religijnym. Zresztą Autor opisując życie rodzin, poświęca wiele miejsca zagadnieniom religijnym³. Nieporadność w omawianiu problemu religijnego wynika może z tego, że Autor oparł się na wywiadach z dwoma kapłanami, którzy na pewno nie byli reprezentatywni jako duszpasterze oraz na fragmentarycznych materiałach, które nie omawiały struktur organizacyjnych. Struktury zaś te miały swoje podstawy w duszpasterstwie wojskowym, bo duszpasterstwo w czasie wojny było zasadniczo duszpasterstwem wojskowym.

2. *Religions Life — The Creation of New Parish Structures*, ss. 428-436.

3. *Por. Family Life*, ss. 397-404.

Konkordat zawarty między Rzeczpospolitą Polską a Stolicą Apostolską w 1925 roku w art. VII ustanawiał odrębne struktury duszpasterskie dla wojska oraz Biskupa Polowego, jako zwierzchnika tego duszpasterstwa. W oparciu o ten artykuł Konkordatu został opracowany statut dla duszpasterstwa wojskowego, który został zatwierdzony w 1926 r.

Punkt 10 tego Statutu stwierdzał:

Biskup polowy wykonuje jurysdykcję w stosunku do kapelanów wszystkich wojskowych oraz członków ich rodzin religii katolickiej wszystkich obrządków całej armii lądowej i marynarki wojennej Rzeczypospolitej.

Z powodu powstałych różnych kontrowersji, po nominacji ks. Gawliny na Biskupa Polowego, Stolica Apostolska listem Sekretariatu Stanu z 24 V 1934, sprecyzowała, że jurysdykcja Biskupa Polowego jest personalna, to znaczy że odnosi się bezpośrednio do osób należących do lądowego i morskiego wojska Rzeczypospolitej, a pośrednio do miejsca stałego lub czasowego przebywania tych osób (takim miejscem były np. koszary, bazy wojskowe itp.)⁴.

Kłęska wrześniowa 1939 roku w wyniku której duża część wojska znalazła się poza granicami Polski, wytworzyła zupełnie nową, nieprzewidzianą sytuację. Jurysdykcja Biskupa Polowego była personalna, czyli odnosiła się do członków Polskich Sił Zbrojnych, tam gdzie przebywały. Konkordat ani ustawodawstwo kościelne nie przewidywały jednak takiej sytuacji, w której wojsko, jak i rząd będą znajdowały się poza terytorium państwa. Jurysdykcja nie przewidywała sytuacji „państwa na wygnaniu”.

Biskup Polowy J. Gawlina, wraz ze sztabem Naczelnego Wodza przekroczył 18 września granicę i znalazł się w Rumunii. Po zorganizowaniu w Rumunii duszpasterstwa, w oparciu o znajdujących się tam kapelanów, podobnie jak w obozach na Węgrzech, bp Gawlina pojechał do Rzymu i zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o potwierdzenie swojej jurysdykcji Biskupa Polowego nad wojskiem, które znalazło się poza granicami Kraju. Stolica Apostolska, Listem Sekretariatu Stanu z 12 X 1939 potwierdziła bp. Gawlinie wszystkie uprawnienia, które posiadał jako Biskup Polowy⁵. Sytuacja była więc jasna. Wprawdzie na emigracji, zwłaszcza we Francji i później w Anglii, znalazły się również i osoby cywilne. Można jednak było założyć,

4. List Sekretariatu Stanu z 24 V 1934, N. 1439/34.

5. List Sekretariatu Stanu z 12 X 1939, N. 7162/39.

że w zaistniałej sytuacji wojny i walki o wolność Kraju, wszyscy są mniej czy więcej związani z wojskiem, zwłaszcza, że w jednej osobie była i władza cywilna i wojskowa. Generał Sikorski był i premierem i naczelnym wodzem.

II

Nowa sytuacja zaistniała po wyjściu wojska z Rosji. Razem z wojskiem wyszło bowiem wiele osób cywilnych, zwłaszcza kobiet, dzieci i osób niezdolnych do służby wojskowej. Nie można ich było uważać za rodziny wojskowe, gdyż bardzo dużo dzieci to były sieroty. Ludność cywilną Brytyjczycy rozmieścili w dawnych koloniach brytyjskich, zwłaszcza w Afryce i Indiach. W zaistniałych warunkach Stolica Apostolska zamianowała ks. bp. Gawlinę ordynariuszem dla wszystkich Polaków, którzy wyszli z Rosji⁶. Praktycznie więc jurysdykcja bp. Gawliny, jako Biskupa Polowego i Ordynariusza dla uchodźców cywilnych, rozciągała się na wszystkich Polaków, którzy z powodu wojny znaleźli się poza Krajem.

Ksiądz kard. Hlond, Prymas Polski, w tym czasie przebywał we Francji i mieszkał w trudnych materialnie warunkach w Lourdes. Nalegania rządu w Londynie, by Ks. Prymas przyjechał do Anglii, gdy jeszcze były możliwości opuszczenia Francji, były nieskuteczne. Ks. Prymas pozostał we Francji i nie chciał wiązać się z rządem, a tym bardziej uzależniać się od niego.

Po wylądowaniu Aliantów w Normandii w czerwcu 1944 roku, gdy zaczęło się wyzwolenie Europy, gestapo aresztuje Ks. Prymasa wywożąc go z Lourdes i ostatecznie internuje go w Hautecombe w Sabaudii.

Wojska alianckie, wyzwalaając Europę, wyzwoliły również wielu Polaków przebywających w obozach pracy, obozach jenieckich, obozach koncentracyjnych czy po prostu wywiezionych przez Niemców na różnego rodzaju roboty. Gdy do Stolicy Apostolskiej dotarła wiadomość o aresztowaniu i internowaniu ks. Prymasa kard. Hlonda, Stolica Apostolska mianowała bp. Gawlinę Protektorem Emigracji na czas niemożności wykonywania tych zadań przez Księdza Prymasa⁷.

Protektorat nad emigracją nie dawał uprawnień jurysdykcyjnych. Był jedynie rozwiązaniem doraźnym. Po zakończeniu jednak działań wojennych, na sugestię uwolnionego ks. Prymasa kard. Hlonda, bp Gawlina zostaje Ordynariuszem dla tych

6. List Sekretariatu Stanu z 3 X 1941, N. 6982/42.

7. List Sekretariatu Stanu z 8 II 1945, N. 640/45.

wszystkich Polaków, którzy z powodu wojny znaleźli się na terenie Niemiec i Austrii⁸.

Ponieważ wkrótce po zorganizowaniu duszpasterstwa w poszczególnych strefach okupacyjnych w Niemczech, powstał problem, czy za Polaków można również uważać i tych, którzy czuli się Polakami, ale nie mieszkali na terenie Państwa Polskiego przed 1939 rokiem i nie mieli polskiego obywatelstwa. List Sekretariatu Stanu sprecyzował, że jurysdykcja bp. Gawliny obejmuje wszystkich, którzy mieszkają w obozach na terenie Niemiec, niezależnie czy przed rokiem 1939 mieszkali w Polsce czy poza jej granicami. Odnosiło się to do Polaków mieszkających w krajach bałtyckich, na Warmii, na Opolszczyźnie, Mińszczyźnie i Ukrainie⁹.

III.

Uznanie przez Anglię rządu w Warszawie i wypowiedzenie uznania dla Rządu w Londynie, wiązało się z pytaniem co będzie z Armią Polską pod dowództwem brytyjskim. Nowe władze w Warszawie naciskały Brytyjczyków, by armia była szybko zdemobilizowana i by żołnierze wrócili do Polski. Nie chciały jednak aby wojsko wróciło w zwartych oddziałach. Z drugiej strony zdecydowana większość oficerów i żołnierzy nie chciała wrócić do Kraju, który był całkowicie pod kuratelą rosyjską i również nie chciały wrócić do Polski tysiące osób cywilnych, zwłaszcza ludzie, którzy przeszli Rosję oraz ci, którzy byli wywiezieni na roboty z terenów poza Bugiem, czyli poza tzw. linią Curzona. Niezależnie od osobistego doświadczenia co znaczy życie pod władzą Sowietów, ludzie ci i tak nie mogli wrócić do swojej ojcowizny. Proponowano im osiedlenie się na terenach odzyskanych, które były im równie obce jak kraje emigracyjne.

Utrzymanie wojska polskiego stawало się dla rządu brytyjskiego coraz większym problemem ekonomicznym oraz coraz bardziej ambarasującą sytuacją polityczną i to zarówno w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej. Na ten temat istnieje bogata literatura omawiająca dojrzewanie decyzji o demobilizacji i jej przeprowadzeniu¹⁰. Ustalono ostatecznie, że demobilizacja Armii Polskiej będzie miała miejsce w Anglii. Oznaczało to, że wszystkie jednostki wojskowe Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie,

8. Dekret Sekretariatu Stanu z 5 VI 1945, N. 3446/45.

9. List Sekretariatu Stanu z 15 IV 1946, N. 273/46.

10. Por. *The Formation of Polish Community*, ss. 200-205. 221 n.

będą najpierw sprowadzone do Wielkiej Brytanii i tam stopniowo demobilizowane po uprzednim dwuletnim okresie przygotowania. Rząd brytyjski powołał specjalną organizację Polish Resettlement Corps (PRC), która miała przygotować przejście z życia wojskowego do życia cywilnego. W języku polskim określano ją jako Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR). Wstępowanie do PKPR było indywidualne i dobrowolne. Każdy osobiście musiał wypełnić deklarację przystąpienia do PKPR, który był prowadzony na zasadzie regulaminu armii brytyjskiej. Członkowie PKPR nosili jednak polskie mundury, a obozy były praktycznie prowadzone przez polskich dowódców.

Wyspy Brytyjskie miały wiele pustych obozów wojskowych, w których były zakwaterowane oddziały Armii Inwazyjnej. Wielka Brytania miała również wiele lotnisk wojskowych z całym zapleczem, zwłaszcza w środkowej części wyspy na tzw. Midlandach. W obozach tych rozmieszczono sprowadzone na wyspę oddziały polskie.

Równocześnie zostały sprowadzone do Anglii rodziny wojskowe, z obozów cywilnych w Afryce, na Środkowym Wschodzie i w Indiach. Mogli przyjechać jedynie ci, którzy mieli kogoś z rodziny w wojsku pod dowództwem brytyjskim¹¹.

Obozy były rozrzucone po całej prawie wyspie. Były one oddalone od większych miast, tak że bardzo utrudniało to wzajemne kontakty między obozami. Brytyjczycy ciągle mieli obawy, że żołnierze polscy mogą się zbuntować i wywołać rokosz przeciw władzom brytyjskim nakazującym im demobilizację. Stąd celowo rozmieszczano ich w obozach czy lotniskach rozrzuconych na mało zamieszkałych obszarach i odległych od siebie, by utrudnić porozumiewanie się.

Niezależnie od różnych obaw, istniały obawy wpływające z doświadczeń po pierwszej wojnie światowej, gdy demobilizowani żołnierze mieli trudności ze znalezieniem pracy, a demobilizacja była związana ze wzrostem bezrobocia. Obawy te jednak okazały się płonne. Wprawdzie związki zawodowe dopuszczały Polaków jedynie jako niewykwalifikowanych robotników, względnie jako górników i robotników w ciężkim przemyśle, ale z czasem ograniczenia te zostały przełamane. Więcej, okazało się,

11. Na marginesie można zaznaczyć, że Brytyjczycy nie przyjmowali żon tych żołnierzy polskich, którzy zawarli związek małżeński we Włoszech. Była to bardzo przykra sytuacja. Żołnierze ci, żonaci z Włoszkami, byli w liczbie kilku tysięcy zgromadzeni w obozach czekających na emigrację. Ostatecznie dzięki interwencji Biskupa Gawliny i kapelanów wojskowych u pani Evity Peron, Argentyna przyjęła wszystkich tych żołnierzy. Sytuacja ekonomiczna we Włoszech była tak trudna, że możliwości znalezienia zatrudnienia przez obcokrajowców, a takimi przecież byli polscy żołnierze, były praktycznie żadne.

że jest właściwie wielki brak rąk do pracy. Zaczęto więc przeprowadzać w Niemczech rekrutację wśród tzw. DP (*Displaced Persons*) jako robotników do pracy w Anglii. W ramach projektu rządowego tzw. EVW (*European Voluntary Workers*) przyjechało do Anglii kilkanaście tysięcy Polaków i Polek. Rozmieszczono ich w hostelach przy fabrykach, które ich zatrudniały, czy w hostelach na farmach.

Niezależnie od obozów wojskowych i cywilnych były jeszcze szpitale wojskowe, szkoły, zwłaszcza średnie, które kontynuowały kończenie wykształcenia średniego. Szkoły te były zorganizowane w wojsku po zakończeniu działań wojennych, zwłaszcza w drugim Korpusie we Włoszech.

IV

Z oddziałami wojskowymi przybyli kapelani wojskowi. Podobnie z ludnością cywilną przyjechało kilkunastu kapłanów. Z przytoczonych dokumentów wynika, że wszyscy oni byli już jurysdykcyjnie zależni od bp. Gawliny, czy to jako Biskupa Polowego, czy jako Ordynariusza dla uchodźców czy Polaków w Niemczech.

Zaraz po zakończeniu wojny bp Gawlina starał się zatrudnionych w Niemczech kapłanów włączyć na etaty kapłanów wojskowych. Dawało to księżom lepsze możliwości w podejmowanych różnego rodzaju staraniach o pomoc zwłaszcza u alianckich władz okupacyjnych w Niemczech.

W notatkach bp. Gawliny znajduje się opis struktur duszpasterskich w wojsku z chwilą zakończenia wojny i podjęcia odpowiedzialności za duszpasterstwo w Niemczech. Biskup Gawlina pisze: *W chwili przybycia do Niemiec, ogólna jurysdykcja moja przedstawiała się w następujący sposób:*

Moim Wikariuszem Generalnym dla wojsk lądowych, morskich i powietrznych w W. Brytanii, Francji i Niemczech był Ks. Prałat Bronisław Michalski rezydujący w Londynie.

Wikariuszem generalnym dla wojsk we Włoszech i na Środkowym Wschodzie był Ks. Prałat Włodzimierz Cieński z siedzibą w Korpusie. Jemu podlegał również Dziekan, Ks. Jan Brandys z siedzibą Qassassin w Egipcie.

Wikariuszem Generalnym dla ludności cywilnej w Egipcie, Palestynie, Persji i Indiach był Ks. Prałat Tomasz Reginek z siedzibą w Jerozolimie i Kairze ze względu na transporty księży do Afryki Południowej.

Dla sprężystości ujęcia duszpasterstwa we Wschodniej Afryce zamianowałem Delegatem swoim Ks. Dziekana Władysława Słapę z siedzibą w Nairobi (Kenya).

Placówki zaś w Meksyku i Nowej Zelandii jako zbyt odległe były samodzielne. Na ich czele stali Ks. Józef Jarzębowski wzgl. Ks. Michał Wilniewicz.

Ukrytym wikariuszem generalnym na kraj był po poległym Księdzu T. Jachimowskim, Ks. Prałat Jerzy Sienkiewicz w Warszawie, który jednak wkrótce zmarł.

Poza tym ciążył na mnie obowiązek opieki nad wszystkimi polskimi księżmi świeckimi, którzy od początku wojny przebywali poza granicami Polski. Kleryków swoich umieściłem w Seminarium w Bejrucie, Glasgowie i Rzymie. Teraz miałem do zorganizowania duszpasterstwo w Niemczech.

Z chwilą jednak demobilizacji kończyła się również i struktura organizacyjna oparta o Kurię Biskupa Polowego, oraz jurysdykcja Biskupa Polowego.

Bardzo wielu, zwłaszcza w polskim środowisku, uważało demobilizację za jedyne przejściowe rozwiązanie. Liczono na szybki konflikt Zachodu z Rosją. Wielu nie mogło zrozumieć, że podpisana umowa jałtańska miała być długotrwałym rozwiązaniem. Uważano, że wszystko co rząd brytyjski robi, ma jedynie przejściowy charakter i że wkrótce armia będzie odtworzona. Nie rozumiano, że prowadzona demobilizacja jest definitywna, że zarówno Anglia jak i Stany Zjednoczone nawet nie myślą o zbrojnej konfrontacji z Rosją. Pogodzili się oni z podziałem świata na sfery wpływów, jako trwałą zasadą na długie lata. Tak jednak nie myśleli Sowieci. Wkrótce więc powstały takie pojęcia jak żelazna kurtyna i zimna wojna. To było później. W momencie demobilizacji uważano, że można się z Sowietami dogadać i nie będzie konfliktu zbrojnego w najbliższym czasie.

Przekonanie jednak o szybkiej wojnie istniało. Dla przykładu jedynie dwa wyjątki z notatek bp. Gawliny.

Po nominacji na Ordynariusza w Niemczech, bp Gawlina miał audiencję u Papieża Piusa XII. W notatkach Biskupa z tej rozmowy znajduje się następująca relacja: Ojciec Święty pyta Biskupa: *Co zresztą słyhać o rzekomej wojnie aliantów z Rosją? Był tu niedawno gen. Anders i mówił z wielką pewnością o wojnie aliantów z Rosją zaraz po zwycięstwie nad Niemcami. Può essere, che i generali vedono troppo? Do wojny rosyjsko-anglosaskiej dojdzie na pewno, lecz nie widzę jej jeszcze w tym roku. Pod koniec powierzył mi Ojciec św. błogosławieństwo swoje dla wojska i dla Polaków w Niemczech.*

Przekonanie o bliskiej wojnie nie było jedynie przekonaniem wśród Polaków. Inni myśleli podobnie. W 1946 roku bp Gawlina notuje rozmowę z kard. Tisserantem:

Ciekawą rozmowę miałem z Kard. Tisserantem 31 lipca po

jego powrocie z Ameryki. Mówiliśmy tak szczerze jak tylko uczynić to może dwóch byłych „kaprali” z I wojny światowej. Wczoraj — mówił kardynał — powiedziałem Ojcu św., że widziałem wiele odbudowy we Francji i we Włoszech. A szkoda, bo w tym roku może wybuchnąć wojna. Twierdził, że Rosja zaatakuje Europę przez Niemcy prawdopodobnie jeszcze w 1946 r. Nie tylko Hiszpania, ale i Francja zostanie — jego zdaniem — obroniona. Wynurzyłem swój żal na 'sklerozę demokracji', która wszystko widzi, lecz nic nie robi. Zapytałem go, co będzie na wypadek, gdyby Papież w okupowanej Europie umarł. 'Wtedy rozłamu nie będzie. Kardynałowie wolni zbiorą się pod przewodnictwem najstarszego gdzieś na Zachodzie i wybiorą nowego Papieża'.

Trudno się więc dziwić atmosferze tymczasowości, która wówczas panowała u wielu Polaków. Owa atmosfera miała również wpływ na prowadzenie duszpasterstwa jak i na jego struktury organizacyjne.

Sytuację organizacji duszpasterstwa komplikowała dodatkowo osobista sytuacja bp. Gawliny.

Przed powrotem ks. Prymasa Hłonda do Kraju w czerwcu 1945 roku, Ks. Prymas radzi bp. Gawlinie, aby odłączył się od Londynu i przygotował się do powrotu do Polski, gdzie będzie potrzebny. Tak było w czerwcu 1945 roku. Ks. Prymas przyjeżdża do Rzymu w listopadzie 1946 roku. Zaraz w czasie pierwszej rozmowy z bp. Gawliną, jak notuje Biskup, Ks. Prymas odradzał mi wracać teraz do Polski i zaproponował mi, w porozumieniu z Kard. Sapiełą objęcie rektoratu Kościoła Polskiego św. Stanisława w Rzymie na czas przejściowy aż do powrotu. Po namyśle zgodziłem się, lecz dodałem, że z doświadczenia wiem, prowizoria trwają zazwyczaj długo. Możemy dodać, że owo prowizorium trwało prawie dwadzieścia lat, do śmierci ks. abp. Gawliny w 1964 roku.

Uprzedzając chronologię warto tu przytoczyć z zapisów bp. Gawliny, jak skończyły się starania o wyjazd do Kraju: Dnia 14 I 1948 zostałem wezwany do Watykanu, gdzie Mons. Tardini z woli Ojca św. kazał mi przygotować swój powrót do Polski. Jako pretekst miała służyć konferencja kwietniowa Episkopatu Polskiego. Miałem nakaz wystarać się szybko o paszport w ambasadzie warszawskiej.

Dnia 10 II prosiłem konsula gen. p. Piotra Dunin-Borkowskiego o paszport, który mi został przyrzeczony 'jak najszybciej'. Gdy go nie otrzymałem, nakazał mi Mons. Tardini 'insista'. Chargé d'affaires, p. Wyszynski, oświadczył mi, że Warszawa dała odpowiedź negatywną, lecz mam się ostatecznie rozmówić z wkrótce przybyć mającym nowym ambasadorem p. Ostrowskim, co też uczyniłem 20 III z polecenia Sekr. Stanu.

Ambasador chciał bezzwłocznie wysłać szyfrowany *urgens*, lecz 31 marca odpowiedział mi, że Warszawa dała ponownie lakoniczną negatywną odpowiedź. Przy tym oświadczył mi, że jestem uważany za trzon opozycji w Rzymie, i że również moja polityka w Niemczech była 'szkodliwa'. Odpowiedziałem mu, że polityki ani w Rzymie ani w Niemczech nie uprawiałem, a co do mojej czynności wśród DPów w Niemczech — mam sumienie nie tylko spokojne, ale wręcz radosne. W konkluzji uważał, że powrót byłby możliwy, gdybym na piśmie podał powody powrotu oraz uznał rząd warszawski.

Udałem się więc do Mons. Tardiniego, by mu zakomunikować przebieg rozmowy a tak samo powody, dla których podobnej deklaracji wydać nie mogę. Mons. Tardini uznał je za słuszne dodając *'Adesso è evidente la loro mala fede e mala volontà'*.

V

Wróćmy do spraw jurysdykcji.

Biskup Gawlina jako Biskup Polowy był członkiem Polskich Sił Zbrojnych. Gdy demobilizuje się wojsko z całym Naczelnym Dowództwem, powinien również zdemobilizować się Biskup Polowy. Demobilizacja, jak wspomniano, dokonywała się stopniowo poprzez przystąpienie do PKPR. Biskup Gawlina porozumiewa się z gen. Kopańskim, który został szefem PKPR ze strony polskiej, jak ma postąpić. Generał Kopański odradza bp. Gawlinie przystąpienie do PKPR, gdyż, jak twierdzi, utrudni to możliwości działania Biskupowi. Radzi bp. Gawlinie, aby się zdemobilizował bez przystępowania do PKPR i aby pozostał w Rzymie. Biskup notuje, że gen. Kopański: *Prosił mnie jednak, abym sobie zachował jurysdykcję dla żołnierzy, dopóki sobie ktoś z nich nie wyrobi obywatelstwa brytyjskiego.*

Na temat tego czym ma być ostatecznie PKPR, istniało wśród wojska bardzo wielkie pomieszanie pojęć i bardzo wiele różnych interpretacji. Właściwie z wyższych dowódców, którzy może i sami nie bardzo wiedzieli jak się mają zachować, nikt nie dał jasnego wyjaśnienia. Wydawało się, że wszyscy żołnierze, którzy będą się demobilizowali po ukończeniu PKPR, otrzymają brytyjskie obywatelstwo. Taką interpretację zda się sugerować wypowiedź gen. Kopańskiego. Stąd też w tych latach istniała duża dezinformacja i wiele błędnych ocen. Na tym tle powstał m.in. problem tzw. opornych, którzy nie chcieli wstępować do PKPR uważając to za przystąpienie do obcej armii. W oddziałach wojskowych w tym czasie huczało od różnych fantastycznych pogłosek co będzie dalej. (Nie sprzyjały temu dochodzące wieści od tych, którzy wrócili do Kraju, jak byli traktowa-

ni, przesłuchiwanie etc. Jest to okres tzw. referendum i pierwszych „wyborów” w Polsce).

Życie wszystko wyjaśniło i pokazało, że nowa instytucja PKPR — spełniała dobrze zadanie przejścia z wojska do życia cywilnego. Ostatecznie mimo różnych krytycznych ocen, trzeba uznać, że Anglicy potrafili trudny problem demobilizacji spokojnie i stopniowo rozwiązać.

W międzyczasie zarówno w obozach PKPR jak i w obozach cywilnych, tworzone kaplice i księża prowadzili normalne duszpasterstwo. Księża sprawowali swoje zadania w oparciu o jurysdykcję, którą otrzymali od bp. Gawliny. Mimo, że Biskup był praktycznie poza Wielką Brytanią, w Londynie działała Kuria Biskupa Polowego, która nadal prowadziła swoją działalność łącznie z całym biurem metrykalnym.

Pod wpływem argumentacji gen. Kopańskiego, bp Gawlina zwraca się do Sekretariatu Stanu z prośbą, sugestią, aby został czasowo zamianowany Ordynariuszem dla Polaków w Anglii na określony czas, względnie przynajmniej Wizytatorem Apostolskim¹².

W podobnym duchu p. K. Papée, Ambasador przy Stolicy Apostolskiej, wystosował notę 26 VI 1946 do Sekretariatu Stanu.

Sekretariat Stanu uważał jednak, że sprawę jurysdykcji bp Gawlina powinien najpierw uzgodnić z Hierarchią w Anglii. Trzeba pamiętać, że jak wspomnieliśmy uprzednio, bp Gawlina miał pojechać do Kraju.

Biskup Gawlina przedstawia najpierw problem Delegatowi Apostolskiemu, abp. Godfrey. Po rozmowie, bp Gawlina formułuje, na prośbę Delegata Apostolskiego, swoje propozycje na piśmie i przedstawia je w liście 29 I 1947 r. Biskup proponuje, by jurysdykcja nad wojskiem była zachowana tak długo dopóki żołnierze nie otrzymają obywatelstwa angielskiego. Ponieważ zaś bp Gawlina będzie rezydował przy Kościele Polskim w Rzymie, sugeruje, by jurysdykcja ta była wykonywana przez ks. prał. Michalskiego, dotychczasowego Wikariusza Generalnego Biskupa Polowego, który zresztą przystąpił do PKPR.

Delegat Apostolski w liście z 3 II 1947 roku nie widzi

12. Memoriał bp. Gawliny napisany w Rzymie 11 XI 1946 roku, po powrocie z trzeciej wizytacji duszpasterskiej. Memoriał ten liczy 15 stron, w ostatnim paragrafie porusza również osobistą sytuację Biskupa. *...oso umilmente chiedere le seguenti grazie di volermi nominare Ordinario per i Polacchi sia militari che civili, giunti in Gran Bretagna dall'inizio della guerra. Tenuto, presente l'atteggiamento degli Ecc.mi Ordinarii britannici, questa nomina potrebbe essere limitata per l'anno 1947 (...) qualora non fosse possibile la nomina di Ordinario per i Polacchi in Inghilterra, di voler avere la somma grazia di nominarmi 'Visitatore Apostolico' per i Polacchi medesimi.*

trudności odnośnie wojska i obozów wojskowych. Rozróżnia jednak obozy cywilne i sugeruje, by w tej sprawie bp Gawlina porozumiał się z Hierarchią angielską¹³.

Biskup Gawlina spotyka się więc z ks. kard. Griffinem, Prymasem Anglii i Walii i listem z 25 II 1947 informuje Delegata Apostolskiego, że kard. Griffin nie widzi trudności, by nad obozami była sprawowana oddzielna jurysdykcja, z tym, że mieszkańcy obozów powinny mieć swobodę kontaktowania się z miejscowymi ordynariuszami¹⁴.

Po powrocie do Rzymu, bp Gawlina relacjonuje całą sprawę w Sekretariacie Stanu. Decyzja Stolicy Apostolskiej była właściwie zgodna z sugestiami bp. Gawliny, z tym jednak, że została ona powierzona ks. prał. Michalskiemu. Biskup Gawlina w tym czasie, jak wspomnieliśmy, miał pojechać do Kraju.

Decyzja została zakomunikowana listem Sekretariatu Stanu, skierowanym do bp. Gawliny 9 V 1947 r. W tłumaczeniu polskim brzmi ona: (...) *Wasza Ekscelencja nie omieszkaj, stosownie do powierzonego sobie przez Ojca Świętego zadania, przestudiować razem z miejscowymi władzami kościelnymi najlepszego sposobu zapewnienia opieki duchownej nad żołnierzami polskimi, rozmieszczonymi w W. Brytanii i zaznaczyć również w wyżej wspomnianym sprawozdaniu różne propozycje wysunięte przez J.Em. Kard. Griffina i przez J.E. Arcybiskupa Godfreya*.

W tej więc sprawie, po uprzednim porozumieniu się z Jego Świątobliwością spieszę donieść Waszej Ekscelencji co następuje:

1) Dla Polaków (żołnierzy lub nie), mieszkających w obozach, Ojciec Święty raczył łaskawie zatwierdzić jurysdykcję udzieloną Wikariuszowi Generalowi Ks. Prał. Michalskiemu przez Waszą Ekscelencję. Jurysdykcja Wikariusza Generalnego jest równorzędna (cumulativa) z jurysdykcją Ordynariusza miejscowego, na którego terytorium są położone obozy.

2) Przeciwnie, Polacy, mieszkający poza obozami podlegają wyłącznie jurysdykcji Ordynariusza miejscowego.

*Ja sam postaram się powiadomić o powyższych decyzjach jego Ekscelencję Delegata Apostolskiego w Londynie, ażeby ze swej strony zakomunikował je Ks. Prał. Michalskiemu*¹⁵.

Delegat Apostolski przekazał ks. prał. Michalskiemu decyzję Stolicy Apostolskiej listem z 29 V 1947 r.

Użyte w liście sformułowania nasuwały jednak wątpliwości interpretacyjne, inne ks. prał. Michalskiemu, a inne bp. Gawlinie.

Prałat Michalski miał dwie wątpliwości. Pierwsza, jak należy

13. List z 3 II 1947, HG/PB. Juris. 2/47.

14. List Bp. Gawliny do Delegata Apostolskiego z 25 II 1947.

15. List Sekretariatu Stanu z 9 V 1947.

rozumieć określenie „obóz”, czy tylko obóz ściśle wojskowy, czy również i te obozy w których mieszkaly osoby cywilne, głównie rodziny, ale które były pod zarządem cywilnych władz administracyjnych. Inną wątpliwością było, czy żołnierze pracujący jeszcze w sztabie, czy innych urzędach, którzy nie mieszkają w obozach, podlegają jurysdykcynie prał. Michalskiemu. Są jeszcze żołnierzami, ale nie mieszkają w obozach.

Delegat Apostolski, listem z 18 VII 1947 r. wyjaśnia, że słowo „obóz” obejmuje wszystkie obozy czy hostele w których zgromadzeni są Polacy, niezależnie czy wojskowi czy cywile¹⁶.

Natomiast w sprawie drugiego pytania, Delegat Apostolski zwrócił się o wyjaśnienia do Sekretariatu Stanu. Odpowiedź, którą otrzymał precyzowała, że żołnierze mieszkający prywatnie, poza obozami, podlegają jurysdykcji miejscowego Ordynariusza¹⁷.

Innego rodzaju wątpliwość miał bp Gawlina. W swoich notatkach, w których wspomina przebieg rozmów tak pisze:

Ponieważ w dekreście użyto zwrotu: „Vicario Generale” w stosunku do Ks. Michalskiego, uważałem się nadal za Ordynariusza, dopóki nowe pismo z 14 września nie wytłumaczyło mi, że „risulta ben chiara la portata del provvedimento preso da Sua Santità: infatti mentre — antecedentemente — il Rev. mo Monsignor Michalski godeva delle facoltà concessegli in delega dall'Eccellenza Vostra, ora — quelle stesse facoltà — le ottiene per diretta delega del Santo Padre”. To znaczyło, że jurysdykcja w W. Brytanii już do mnie nie należała. Decyzja ta zgadzała się z udzieloną mi radą, bym się kompletnie odłączył od Londynu i przygotował sobie drogę do Polski.

VI

Wynika zarówno z przytoczonych dokumentów, jak i z rozmów bp. Gawliny w Sekretariacie Stanu, że jurysdykcja nad Polakami mieszkającymi poza obozami należała do miejscowego Biskupa Ordynariusza. Właściwie w latach 1946-1948 miejscem, gdzie mieszkalo wielu Polaków był głównie Londyn. W Londynie były wszystkie polskie urzędy rządowe, w Londynie miały centralne siedziby różne instytucje naukowe, jak P.U.C. (Polish University College), w Londynie organizowały swoje siedziby nowo powstałe organizacje jak SPK (Stowarzyszenie Polskich Kombatantów), Towarzystwo Pomocy Polakom itp. Ciagle jeszcze

16. List Delegata Apostolskiego z 18 VI 1947.

17. List Delegata Apostolskiego z 30 VII 1947.

jeszcze istniał w tym czasie Sztab Naczelnego Wodza. Do Londynu przesiedlali się ci, którzy mieli zamiar dalej studiować. Również łatwiej było w dużym Londynie o znalezienie pracy, która odpowiadała posiadanym kwalifikacjom zawodowym.

W Londynie już od końca XIX wieku istniało duszpasterstwo dla Polaków. Byli to głównie emigranci, raczej biedni, którzy zamieszkiwali wschodnio-północne dzielnice miasta. Ośrodek kultu, kościół, był wspólny dla Polaków i Litwinów. Było to pozostałością przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rozwój nacjonalizmu przed pierwszą wojną światową, wprowadził podziały we wspólnocie polsko-litewskiej, co doprowadziło do podziału i likwidacji kościoła.

Istniejąca nieliczna emigracja polska zdobyła się jednak na kupno niedużego kościoła, który został w 1930 roku poświęcony przez ks. Prymasa kard. Hlonda. Kościół położony w dzielnicy Islington, gdzie wówczas było największe zgrupowanie Polaków, był dedykowany M.B. Częstochowskiej i św. Kazimierzowi jako ciągłość kiedyś istniejącej wspólnoty. Trudne warunki materialne sprawiły, że ks. Cichos SDB, inicjator kupna i duszpasterz, nie wytrzymał presji zwłaszcza ekonomicznej i zrezygnował z duszpasterstwa w Londynie, wracając do Kraju.

W 1938 roku przyjechał na krótki okres (tak się to nazywało) ówczesny Kierownik Kancelarii Prymasowskiej w Poznaniu ks. Władysław Staniszewski. Po roku pobytu wybuchła wojna i przyjazd ks. Staniszewskiego na zapowiedziane dwa lata, trwał aż do jego śmierci w 1990 roku, czyli ponad czterdzieści lat.

Kościół Polski w Londynie po klęsce Francji stał się jedynym wolnym kościołem w Europie, nazwanym Katedrą Polski Walczącej. Przy tym kościele osiedlił się bp Gawlina i w tym kościele miały miejsce wszystkie religijne uroczystości z udziałem Prezydenta, Naczelnego Wodza, Rządu.

Ksiądz Staniszewski pozostał jednak kapłanem nie włączonym do wojska. Był Rektorem Kościoła z nominacji Arcybiskupa Westminsteru i od niego miał władzę jurysdykcyjną, jak każdy kapłan pracujący w diecezji. Będąc z konieczności w ścisłym kontakcie z Kurią Westminsterską i kapłanami angielskimi miał duże kontakty w katolickim środowisku angielskim i był otoczony ogólnym szacunkiem. Formalnie jednak był jedynie Rektorem kościoła, chociaż odwiedzał dawną Polonię w Manchesterze, gdzie kiedyś również był polsko-litewski kościół, sprzedany na skutek powstałych w okresie pierwszej wojny podziałów narodowościowych.

W 1948 roku dekretem z dnia 1 IX ks. Prymas kard. Hlond mianuje ks. Staniszewskiego Rektorem Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii. Dekret nominacyjny zaznacza, że

nominacja ta została dokonana po uzgodnieniu z ks. kard. Griffinem. Równocześnie z dekretem nominacyjnym Ksiądz Prymas zwraca się z oddzielnym listem do wszystkich polskich księży, przedstawiając ks. Staniszewskiego jako superiora wszystkich kapłanów i ludzi cywilnych. List zaznacza, że opieka duszpasterska jest podzielona na osoby wojskowe, które są jurysdykcyjnie zależne od ks. inf. Michalskiego oraz na osoby cywilne, którymi będzie opiekował się ks. Staniszewski.

Kilkanaście dni później, 15 września 1948 roku, kard. Griffin jako Arcybiskup Westminsteru, mianuje ks. Staniszewskiego Wikariuszem Delegatem dla Polaków — również i kapłanów, którzy mieszkają na terenie Archidiecezji¹⁸.

Arcybiskup Westminsteru posiadał wprawdzie tytuł *Coetus Episcoporum Totius Angliae et Cambriae Praeses perpetuus*, jurysdykcję mógł jednak udzielić jedynie na terenie swojej diecezji. Nie ma dokumentów czy owa nominacja na Wikariusza Delegata była uzgadniana z innymi Biskupami Ordynariuszami. W krótkim czasie jednak poszczególni Biskupi Diecezjalni przysłali ks. Staniszewskiemu swoje nominacje na Wikariusza Delegata w ich diecezjach. Wynika to z instrukcji *ad clerum*, diecezji Southwark, która powiadamia księży diecezji (20 IX 48), że *The Reverend L. Staniszewski, of the Polish Catholic Mission, 2 Devonia Rd., London N.1, has been appointed by the bishops to be Vicar General for Poles*. Jurysdykcja więc ks. Staniszewskiego, jako Wikariusza Delegata, rozciągała się na wszystkich kapłanów i Polaków w całej Anglii i Walii.

Powstało pytanie czy ta nowa nominacja nie eliminuje wcześniejszej o rok nominacji ks. inf. Michalskiego? Z takim zapytaniem zwrócił się ks. inf. Michalski do Delegata Apostolskiego, który w odpowiedzi zaznaczył, że odnośnie jurysdykcji posiadanej przez inf. Michalskiego nie ma żadnych zmian¹⁹.

VII

Powstała więc wyjątkowa sytuacja na terenie Anglii i Walii. Na tym samym terenie istniały dwie jurysdykcje dla tych samych księży, jedna z nominacji Stolicy Apostolskiej, druga z nominacji miejscowej Hierarchii. Teoretycznie rozróżnienie było jasne, jedna jurysdykcja odnosiła się do Polaków mieszkających w skupiskach zwartych, druga do Polaków mieszkających poza obozami. Rzeczywistość była bardziej złożona.

18. Dekret Kard. Griffina z 15 IX 1948.

19. List Delegata Apostolskiego z 28 IX 1948.

W 1947 i 1948 roku sprawa była stosunkowo prosta. Zdecydowana większość księży mieszkała w obozach i hostelach. Istniał jeszcze PKPR. Obozy jednak, zwłaszcza wojskowe, ulegały stopniowej likwidacji i ludzie przenosili się do miast gdzie były możliwości pracy. Księża z hosteli i obozów zaczęli dojeżdżać do miast i tam organizować najpierw Msze św. dla Polaków, a stopniowo całe duszpasterstwo. Były i sytuacje odwrotne. Ludzie już mieszkali poza obozem, ale na Mszę św. dojeżdżali do kaplicy obozowej, w której było duszpasterstwo, a zwłaszcza cała praliturgia po polsku. Były sytuacje, że księża mieszkali w miastach, gdzie była większość ludzi, ale jeszcze dojeżdżali do obozów z posługą duszpasterską, dla tych którzy tam pozostali.

Zaistniała sytuacja, że gdy ksiądz mieszkał w obozie i odprawiał w obozie, podlegał jurysdykcji ks. inf. Michalskiego, gdy odprawiał w mieście, podlegał ks. prał. Staniszewskiemu. I odwrotnie ksiądz mieszkał w mieście, zależny był od ks. Staniszewskiego, ale odprawiał w obozie i był zależny tam od inf. Michalskiego²⁰.

Trudno się więc dziwić, że powstawały spory kompetencyjne i że usiłowano wykorzystywać kompetencje i autorytety. Ludzie mają swoje słabości i odmienne charaktery. Wykorzystywali podwójną jurysdykcję kapłani, ale również i wierni, zależnie od różnych lokalnych ambicji i sporów.

Sytuacje konfliktowe były również związane z przenosinami księży. Np. gdy likwidowano hostel kto decydował, gdzie ma się dany kapłan osiedlić? Łatwo było więc wygrywać kompetencje. Przełom lat pięćdziesiątych jest również związany z podziałami powstałymi w łonie politycznego życia na emigracji, zwłaszcza po śmierci Prezydenta Raczkiewicza. Z czasem współlistnieli Prezydent i rząd oraz tzw. Rada Trzech i egzekutywa zjednoczenia. Zaciskająca się coraz szczelniej żelazna kurtyna, zimna wojna, wszystko to nie sprzyjało spokojnemu rozwojowi życia społecznego i religijnego emigracji, sprzyjało natomiast podziałom.

Przykrą stroną nieporozumień było, że w sporach kompetencyjnych czy personalnych, odwoływano się ciągle do Delegata Apostolskiego, czy nawet wprost do Stolicy Apostolskiej, co stawiało Polaków w niekorzystnym świetle w ogóle.

W sierpniu 1950 roku przyjeżdża do Anglii bp Gawlina i zwołuje konferencję wszystkich kapłanów. Przyjeżdża ich 88. Omówiono różne sprawy duszpasterskie, ale również starano się

20. Jeszcze w latach osiemdziesiątych istniały kaplice na miejscu dawnych obozów, gdzie odprawiała się Msza św. mimo, że obozy już od lat rozebrano. Tak było np. w Blackshaw Moor, Higher Heath, Long Marston.

rozwiązać spory kompetencyjne. Biskup Gawlina doprowadził do podpisania przez księży Michalskiego i Staniszewskiego ustaleń, które miały wyeliminować potencjalne punkty zapalne.

Umowa ustalała m.in., że wszystkie sprawy personalne, zwłaszcza przeniesienia, będą uzgadniane, a decyzja podejmowana wspólnie. Ustalono, że organizacje katolickie czysto polskie pozostaną pod zwierzchnictwem inf. Michalskiego, organizacje zaś o charakterze polsko-angielskim będą podlegały prał. Staniszewskiemu. Wszystkie zjazdy, pielgrzymki, konferencje miały być organizowane pod wspólnym patronatem. Również i wizytacje duszpasterskie miały być uzgadniane wspólnie. Ustalono również, że gdy obaj Wikariusze będą występować wspólnie, precedencję będzie miał inf. Michalski. Ustalenia te, podpisane wspólnie, bp Gawlina przesłał Delegatowi Apostolskiemu, listem z 23 VIII 1950 roku.

VIII

Jurysdykcja ks. inf. Michalskiego trwała aż do zlikwidowania ostatniego obozu.

Jeszcze w 1960 roku, ówczesny Prefekt Kongregacji Konsystorialnej zwrócił się do Sekretariatu Stanu z pytaniem, czy już czas, aby zlikwidować odrębną jurysdykcję dla Polaków w W. Brytanii.

Ksiądz kard. Tardini, który w międzyczasie został Sekretarzem Stanu, oświadczył, że należy zachować jurysdykcję aż do zlikwidowania obozów, zwłaszcza, że nieporozumienia między obu Wikariuszami bardzo się wyciszyły²¹.

W międzyczasie w 1951 roku ukazała się Konstytucja Apostolska *Exul Familia*, pierwszy dokument Stolicy Apostolskiej, który całościowo regulował duszpasterstwo emigracyjne. Ówczesny Prefekt Kongregacji Konsystorialnej, kard. Piazza, specjalnym listem z 4 VIII 1952 r. powiadomił bp. Gawlinę, że z rozporządzenia Ojca Świętego, odnośnie duszpasterstwa polskiego, zostaje wszystko tak, jak to funkcjonuje dotąd²².

Ostatecznie jurysdykcja ks. inf. Michalskiego wygasła z chwilą zlikwidowania ostatniego obozu.

Jurysdykcja ks. inf. Staniszewskiego była kontynuowana przez następców kard. Griffina aż do przejścia ks. inf. Staniszewskiego na emeryturę.

Mianowanie następcy na stanowisku Rektora było poprze-

21. List Sekretarza Stanu z 15 II 1960.

22. List Kongregacji Konsystorialnej z 4 VIII 1952.

dzzone konsultacjami i wymianą korespondencji między ks. kard. Wyszyńskim a ks. kard. Heenanem, ówczesnym Prymasem. W swoim liście z 20 V 1975 r. Kardynał Heenan potwierdził wszystkie uprawnienia ks. prał. Zielińskiemu, jako nowemu Rektorowi Misji²³.

Pisząc o podwójnej jurysdykcji, mowa była o Wielkiej Brytanii odnośnie jurysdykcji ks. inf. Michalskiego, ale mowa była jedynie o Anglii i Walii odnośnie ks. inf. Staniszewskiego. Szkocja ma odrębną Hierarchię i dlatego jurysdykcja inf. Staniszewskiego tam nie sięgała.

Rektorem Misji Polskiej w Szkocji został mianowany ks. Ludwik Bombas. Został on następnie mianowany Wikariuszem Generalnym dla Polaków. Nominację tę posiadał również następca ks. Bombasa, ks. Nagi-Drobina, który władzę Wikariusza Generalnego miał potwierdzoną przez wszystkich Biskupów diecezjalnych w Szkocji. Zresztą w Szkocji pracuje tylko czterech kapłanów, a Polacy są tam nieliczni. Lepsze możliwości pracy zawodowej sprawiły, że większość żołnierzy ze Szkocji przeszła do ośrodków przemysłowych w północnej i środkowej Anglii.

Istnienie podwójnej jurysdykcji jest ciekawym przyczynkiem do historii emigracji polskiej. Jest to również część historii naszych emigracyjnych dziejów w ogóle.

Bp Szczepan WESOŁY

23 List kard. Heenena do bp. Rubina z 20 V 1975.

DOKUMENTY

Andrzej PACZKOWSKI

NASTROJE PRZED BITWĄ

Choć system komunistyczny trwa w najlepsze na wielkich obszarach Azji, a recydywa jest wciąż jeszcze możliwa i gdzie indziej, jego krach w Europie stanowi — obok jego narodzin przed 75-ciu laty — niewątpliwie jedno z najważniejszych wydarzeń XX wieku. Dokonał się on w formie zapaści (implozji), co w nieoczekiwany sposób zaprzeczyło klasycznym teoriom totalitaryzmu oraz zwolennikom tezy o jego „niereformowalności”, którzy o tyle tylko mieli rację, iż wchodząc na drogę zmian, zaczął podążać ku samolikwidacji. Proces ten będzie — i jest już — przedmiotem niezliczonych analiz. Dobrze by więc było, aby mogły opierać się one na znajomości nie tyle wydarzeń, ale także procesów, które doprowadziły do rozmaitych decyzji oraz motywów, którymi kierowali się ci, którzy mieli walny udział w owym „biegu ku zagładzie” — tj. ówczesnych ekip przywódczych. Oczywiście kluczowe rzeczy działy się na Kremlu, niemniej to, co miało miejsce w Polsce, było dla tej zapaści z całą pewnością niezmiernie ważne, choćby dlatego, iż jej objawy tu właśnie najpierw i najmocniej się uzewnętrzniły. Tym bardziej więc interesujące jest wniknięcie w myśli i działania ludzi, którzy zarządzili Polską z gmachu przy (obecnym) Rondzie gen. de Gaulle’a.

Publikowany poniżej dokument, przeznaczony dla gen. Jaruzelskiego, wydaje się być dobrą — acz z konieczności drobną — ilustracją fragmentu owego procesu i to w tym momencie, w którym ekipa gen. Jaruzelskiego przekraczała właśnie *point de non retour*. Jak z niego wynika — nieświadoma możliwych konsekwencji. Nie ma potrzeby, jak sądzę, komentowania tu elaboratu trzech zaufanych doradców I sekretarza KC, którzy zalecają generałowi „stanać

na czele niezadowolenia" i postawić się „wyraziściej niż dotąd na pozycji przywódcy”. Tekst jest, jak sądzę, wystarczająco wymowny, zarówno w warstwie językowej, jak i socjotechniki, którą proponują autorzy.

Z uwagi na objętość zrezygnowałem z publikowania załączników. Nie dokonywałem też żadnych poprawek stylistycznych ani interpunkcyjnych. Oryginał pochodzi ze zbiorów prywatnych.

Andrzej PACZKOWSKI

Warszawa, 1987-09-08

Do Towarzysza
Gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego

Według rozpoznania MSW*, sytuacja w Polsce zmierza do bardzo niebezpiecznego zaostrzenia. Dotychczas MSW, przedstawiając napięcia i zagrożenia, zarazem utrzymywało, że nie grożą zjawiska wybuchowe. (Podobne były oceny CBOS). Obecnie MSW ostrzega przed groźbą ponownej destabilizacji, a nawet w niedalekiej perspektywie nastania sytuacji kryzysowej, konfliktu. Przypuszczalnie nie przybrałby on formy takiej, jak w roku 1980 i 1970, tj. wielkich strajków czy manifestacji ulicznych, lecz szerokiego rozlania się bardzo wielu objawów niezadowolenia, krytyki i protestów narastających w ciągu tygodni lub miesięcy, a tak podminowujących sytuację i podniecających nastroje, że tworzących konieczność zmiany polityki i uwiarygodnienia tego przez zmianę ekipy. Zagroza więc niebezpieczeństwo upadku obecnej ekipy kierowniczej.

W takim stanie rzeczy pragniemy przedstawić nasze oceny niebezpieczeństwa oraz zaproponować kierunek przeciwdziałania i niektóre środki. Reformy są w toku i one to tworzą główny nurt projektowanych przekształceń. Nasze zadanie rozumiemy jako uboczne. Pragniemy zaproponować: co należy uczynić już, jeszcze w 1987 roku, aby zyskać na czasie potrzebnym dla reform i poprawy nastrojów oraz sytuacji Polski. Jest to kontynuacja poprzednich opracowań, w których niektóre propozycje podnoszone obecnie, zostały skonkretyzowane.

Autorzy niniejszego opracowania nie zdołali dotrzeć do żadnej innej, niż rządowe oceny stanu gospodarki polskiej opartej o konkretne dane. Wydział Ekonomiczny KC bazuje na rządowych danych, diagnozach i wnioskach. Żadna placówka naukowa nie dysponuje własną, generalną oceną stanu gospodarki

* W załączeniu synteza sytuacji wewnętrznej kraju i działań Zachodu.

i tendencji w gospodarce występujących. Poprzednio kontrocy stanu gospodarki i polityki rządu sporządzała Konsultacyjna Rada Gospodarcza przy premierze pod prezesurą prof. Bobrowskiego. Obecnie jej działalność zanikła. Prace takie prowadziło PTE — obecnie połączone jest z rządem unią personalną i własnych opracowań nie prezentuje. Rząd jest więc *de facto* jedynym recenzentem swojej pracy i jedynym źródłem diagnoz, w tym partyjnych. Każda zaś instytucja ma naturalną skłonność do takiego układania, prezentowania i interpretowania danych, aby jej praca ukazywała się w korzystnym świetle. Diagnozę odrębną prezentował w Sejmie prezes NIK, jednakże była ona wycinkowa, akcentująca niedostatki, ale nie oparta o całościową analizę danych liczbowych o stanie gospodarki.

Istnieją tylko dosyć lakoniczne i na ogół gołosłowne ujemne diagnozy zachodnie, tę m.in. mające wadę, że opierają oceny o podświadome porównywanie stanu polskiego z bardziej rozwiniętymi i dobrze prosperującymi gospodarkami Zachodu.

Według danych Departamentu I MSW zachodni analitycy stawiają m.in. takie diagnozy:

Od 1985 r. w Polsce osłabły tendencje rozwojowe w gospodarce i pogorszyła się sytuacja w eksporcie do II obszaru płatniczego. W ciągu 6 lat polska gospodarka nie osiągnęła stanu przedkryzysowego. Za katastrofalne uznaje się obniżenie poziomu technicznego produkcji, dekapitalizację majątku produkcyjnego, utrwalanie przestarzałej struktury produkcji. (Utrzymuje się prymat nieefektywnego przemysłu ciężkiego i wydobywczego oraz marnotrawstwo surowców, w tym rolno-spożywczych oraz energii. Przedsiębiorstwa polskie nie są w stanie podjąć więcej, niż 1/3 potencjalnych zachodnich propozycji kooperacyjno-handlowych. Przeważają w gospodarce rozwiązania doraźne nad długookresowymi i strategicznymi.

Wzrost dochodu narodowego jest coraz słabszy, ma trwałą już tendencję malejącą (ocena Dep. Handlu USA z marca 1987 r.)

1983 r. — wzrost dochodu narodowego o 6 %

1984 r. — wzrost dochodu narodowego o 5,6 %

1985 r. — wzrost dochodu narodowego o 3,2 %

i od 1985 r. jeszcze wyraźniejsza tendencja malejąca.

Inflacja wzrosła od 14,6 % w 1985 r. do 18 % w 1986 r.

Inwestycje nawet nie równoważą dekapitalizacji, czyli nie zapewniamy w ogóle rozwoju. W I półroczu 1986 r. zaobserwowano tendencję do silnej przewagi wzrostu importu konsumpcyjnego (22,2 %) nad importem środków produkcji (wzrost o 6,9 %) i dostaw zaopatrzeniowych dla produkcji (wzrost o 5,7 %).

Departament Stanu USA prognozuje, że podobnie jak na Węgrzech, reforma wyzwoli nacisk konsumpcyjny i doprowadzi do dalszej utraty potencjału wzrostu. „Gospodarka polska wzrastać będzie w skali 3 % rocznie”.

Ambasada Australii uważa, że zmniejsza się wzrost dochodu narodowego brutto i ponieważ jest to tendencja trwała, tempo tego przyrostu może osiągnąć 0 w 1990 r. Powiększa się deficyt w handlu z ZSRR, a import z Zachodu rośnie szybciej, niż eksport, obniżając nadwyżkę, która istniała. Inwestycje są nadal nieefektywne. To plus niska wydajność pracy hamują wysiłki na rzecz rozwijania eksportu i modernizowania przemysłu.

MSZ Szwecji: w połowie 1987 r. dochód narodowy Polski jest o 5 % niższy niż w 1979 r., a o 10 % niższy w przeliczeniu na głowę ludności. Eksport Polski na Zachód składa się niemal wyłącznie z deficytowych surowców.

Ośrodek analityczny Kongresu USA w czerwcu 1987 r. opracował uwagi ciekawe m.in. ze względu na przejęcie, więc zaaprobowanie terminu „pluralizm socjalistyczny”:

„O ile powrót do MFW oraz ponowna orientacja na Zachód mogą pomóc wybrnąć Polsce z labiryntu trudności, o tyle okazję tę może ona utracić, jeśli rząd polski nie podejmie szybkich i zdecydowanych działań. Decyzjom politycznym, jakie zapadną w obecnym okresie postawiono bardzo wysoką poprzeczkę, sprowadzającą się do alternatywy: albo dalszy spadek gospodarczy i zmagania konfrontacyjne w sferze politycznej, albo też pójście naprzód i przekształcenie ciężarów we wzrost ekonomiczny z przyjęciem nowej strategii zagospodarowania zadłużenia, pluralizmem socjalistycznym, reformami, przebudową oraz zwiększonym eksportem. Iluzyjne zakładanie dróg pośrednich i częściowego angażowania się, jak czynią niektórzy przedstawiciele państwa i społeczeństwa polskiego, jest o tyle ryzykowne, że odsuwa w czasie realizację wdrażania zamierzeń”:



Sytuacja wewnętrzna charakteryzuje się narastaniem zniecierpliwienia nieudolnym i niekonsekwentnym wprowadzaniem reformy. Mimo nasilonej już propagandy II etapu obniża się wiara w reformę i w ogóle zanika w skali ogólnospołecznej zainteresowanie wszelkimi zapowiadzanymi projektami reform. Wykazują to liczne badania opinii społecznej, badania struktury zainteresowań czytelników gazet, czasopism i widzów TV oraz niektóre informacje o przebiegu zebrań. Obiegowa opinia: „drugi etap reformy to tylko II etap gadania”. Oczekuje się nie

tylę na koncepcje, dyskusje, programy co na czyny i ich pozytywne skutki. Zainteresowanie konkretyzacją II etapu reformy, która ma zostać rychło ogłoszona, ograniczone jest do aktywu, głównie gospodarczego i najbardziej świadomych kręgów pracowników gospodarki. Aby stało się szersze i aby ogół uwierzył, że mamy program, potrzebne są równoczesne czyny — choćby wycinkowe, ale wyraziste, przemawiające do publicznej wyobraźni.

Według powszechnej opinii, sytuacja gospodarcza jest coraz gorsza, dramatyczna. Te przekonania zderzają się z umiarkowanym urzędowym optymizmem. Opinia publiczna odrzuca twierdzenie władz, że dokonuje się stopniowa poprawa. Nie przyjmuje prezentowanych argumentów o stopniowych dokonaniach. Na tle tej różnicy ocen sytuacji gospodarczej rwie się uprzednio nawiązana więź między władzą i niemal całym społeczeństwem, a także spójność z naszą własną bazą polityczną: partią, aparatem władzy.

Nasila się niezadowolenie środowiska robotniczego z powodu wzrostu kosztów utrzymania, a również braku poprawy w systemie gospodarowania w przedsiębiorstwach, czyli w polu widzenia robotników. Wzrasta uczulenie na podwyżki cen.

Środowiska inteligencji mają uzasadnione poczucie pauperyzacji oraz wszechogarniającej niemożności, zastoju. Rozczarowanie i frustracja pogłębiają się, ponieważ zamiast wzrastać osłabia się lub zanika nadzieja na przeobrażenia gospodarcze, które spowodują postęp życia i poprawę cywilizacyjnej sytuacji Polski. Panuje pogląd, że rząd umie działać jedynie na rzecz zachowania swej władzy. Jest dziś za słaby i zbyt nieporadny w przezwyciężaniu trudnej sytuacji gospodarczej, rozwiązywaniu problemów społecznych. Nie umie przeciwdziałać degradacji cywilizacyjnej Polski. Swą zachowawczość i indolencję przesłania reformatorską retoryką.

Opinie o braku pozytywnych zmian w gospodarce i nieudolności rządu powodują to, że zbliżają się do siebie poglądy powszechne, w tym nastroje wewnątrz partii oraz tezy opozycji. Zorganizowana opozycja ma malejący prestiż. Szersze kręgi społeczeństwa nie utożsamiają się z nią, jej działaniami, jej przywódcami. Jednakże większość społeczeństwa, w tym nasza własna baza polityczna artykułuje podobne do opozycyjnych oceny krytyczne władzy, dotyczące problemu gospodarki i nieskuteczności poczynań rządu na tym polu. Ponieważ sprawy gospodarki dominują obecnie w społecznych zainteresowaniach, ta zbieżność krytycyzmu jest potencjalnie niebezpieczna. Na tej platformie przeciwnikom socjalizmu udać się może stopniowe odbudowywanie wpływów, lub nawet szybka poprawa ich pozy-

cji w sytuacji zaostzonych objawów niezadowolenia np. rozłania się strajków, protestów itd.

Wąski rezonans, ograniczony do niektórych środowisk, mają kolejne kroki liberalizacyjne, cała sfera polityki, polskie osiągnięcia na arenie międzynarodowej. Wewnętrzne posunięcia polityczne nie amortyzują nastrojów, niewiele pomagają w poprawie reputacji władz. Oddziałują one na wąskie kręgi tzw. umiarkowanej opozycji oraz służą poprawie obrazu Polski na Zachodzie. Mają więc znaczenie wspomagające, ale drugorzędne. (Dowodzi tego między innymi np. słabe zainteresowanie obradami Rady Konsultacyjnej. Relacje z posiedzeń ukazują się w nakładzie 30 tys., z czego sprzedaje się 70 procent).

Rośnie, chociaż nie lawinowo, liczba zbiorowych protestów w zakładach pracy. Podwoiła się (do 3.353 osób) w stosunku do analogicznego okresu ub. roku liczba uczestników przerw w pracy w 1987 r. Radykalizuje się część zakładowych organizacji związkowych. Inspirują one konflikty zakładowe.

Badania opinii publicznej wykazują spadek prestiżu władz oraz zaufania do osób, które je symbolizują. Szczególnie niepokojący jest spadek prestiżu I Sekretarza KC PZPR, który zajmował pozycję specjalną — miał zaufanie wyrażenie wyższe niż wszystkie instytucje władzy i niż wszystkie osoby w nich działające.

Według rozeznania MSW, nastroje niezadowolenia systematycznie się kumulują. Wyczuwa to i uważnie obserwuje wewnętrzny przeciwnik polityczny. Jego stosunkowo niska aktywność, trudności wewnętrznoorganizacyjne i okresowa defensywność nie powinna wprowadzać w błąd co do istoty zamierów i celów. Oczekuje on swojej chwili, to znaczy, skumulowania się niezadowolenia i zaostżenia sytuacji wewnętrznej. Jest przekonany, że czas gra na jego korzyść, gdyż w nieodległym czasie musi dojść do kolejnego przesilenia. Zakładając taki rozwój sytuacji, przeciwnik wewnętrzny podejmował aktywne zabiegi o mocniejsze wsparcie polityczno-programowe i finansowe Zachodu, których rezultatem było m.in. przyznanie przez Kongres USA 1 mln dolarów dla „Solidarności”. Równocześnie nielegalne struktury doskonali i unowocześniają systemy łączności między poszczególnymi regionami oraz ośrodkami dywersyjnymi i Biurem Koordynacyjnym „Solidarności” w Brukseli. Przygotowywany jest system łączności na wypadek powszechnego. Prowadzone są też rozważania nad utworzeniem, mimo skłócenia i podziałów w opozycji, nowego ośrodka kierowniczego opozycji, który skutecznie koordynowałby działalność przeciwnika w skali kraju i stanowił jego autorytatywną reprezentację m.in. wobec Zachodu. Podejmując te działania, przeciwnik oce-

nia aktualną sytuację w kraju jako ciszę przed burzą.

Jest też prawdopodobne, że w opozycji dojdą do znaczenia młode grupy i osoby nie uczestniczące w pierwszej linii w wydarzeniach 1980-1981 r. i nie obciążone przegraną. My natomiast pozostajemy spleceni z naszymi tradycyjnymi przeciwnikami.

Do streszczonej oceny MSW dodać można, naszym zdaniem, to, że frustracja i brak wiary najbardziej umacniają się wśród młodzieży, szczególnie wielkomiejskiej. Wynika stąd zagrożenie, którego przewidywanie opieramy na następującym rozumowaniu. W tej chwili spokój w kraju zapewnia głównie pamięć o przegranej, której doznała „Solidarność”, o jej błędach i nieskuteczności w działaniu. Coraz liczniejsze jest jednak pokolenie młodzieży, dla którego 1981 rok to dzieciństwo, które przegranej „Solidarności” nie doświadczyło. Młodzież ta zaś bezpośrednio lub pośrednio chłonie poglądy opozycji. Inna część młodzieży nie oczekuje zmiany sytuacji w Polsce, lecz poszukuje poprawy swoich indywidualnych perspektyw poprzez wyjazd za granicę (na pewien czas — na zarobek — lub na stałe według opublikowanych badań chce wyjechać z Polski 59 % młodzieży). Mniejsza, lecz znaczna część młodzieży stawia na szukanie materialnej pomyślności w obrębie miejskiej gospodarki prywatnej. Wraz z wzrostem roczników nie mających kompleksu 1981 roku, w załogach robotniczych itd. wzrasta zagrożenie niepokojami typu wybuchowego, choć jest ono umniejszone odwracaniem się od spraw publicznych (w tym od rachub na zreformowanie gospodarki uspołecznionej) znacznej części młodych.

W skali ogólnospołecznej stopień przyzwolenia dla udziału sektora prywatnego w gospodarce wzrósł niezwykle silnie i szybko (CBOS). Ta akurat część konkretnych zamierzeń reformy gospodarczej, wbrew temu co było przedtem, jest coraz lepiej przyjmowana. Jest to skutek propagandy kościelnej, zachodniej, w pewnym stopniu również naszej, ale przede wszystkim wynik dążeń części młodzieży do szukania właśnie w obrębie prywatnej gospodarki azylu przed trudnymi pod względem materialnym warunkami życia.

Prywatna inicjatywa uchodzi za formę gospodarki: skuteczną, racjonalną i dobrze płaćącą. Sprzyja to rozprzestrzenianiu się poglądu lansowanego obecnie przez Kościół i opozycję, że prywatyzacja w każdej niemal dziedzinie jest sposobem na osiągnięcie racjonalności i efektywności ekonomicznej. Grozi to generalnym podważeniem w społecznej świadomości racji bytu socjalizmu od strony założeń własnościowych naszego ustroju. Jest to zjawisko w tej skali nowe.



Na stan nastrojów i kierunki aktywności przeciwnika politycznego oddziałuje w coraz większym stopniu sytuacja w ZSRR i całym obozie socjalistycznym.

Polityka Gorbaczowa, chociaż do pewnego nieokreślonego stopnia, ułatwia przeprowadzenie w Polsce reform, jednocześnie stawia w trudnej sytuacji polskie kierownictwo. Zwiększa ona wymagania społeczeństwa wobec władz Polski, podnosi poprzeczkę oczekiwań. Pomniejsza przekonanie, że z przyczyn zewnętrznych reformy i przemiany w Polsce nie mogą być szybsze i dalej idące. Sprzyja więc radykalizacji oczekiwań i poczynań. Ośmiela ona może nie tyle zorganizowaną opozycję, co szeroko rozlane nastroje niezadowolenia ze stosunków w Polsce. Jednym słowem stopniowo zmniejsza się oddziaływanie „straszaka radzieckiego” będącego w Polsce istotnym zaworem bezpieczeństwa. Tego rodzaju oddziaływanie polityki Gorbaczowa może się z czasem wzmacniać, jeżeli nasilać się będą reformatorskie zjawiska wewnątrz ZSRR, zwiększy się ich promieniowanie na KS-y (Czechosłowacja, NRD) i nastąpi poprawa stosunków radziecko-amerykańskich, zwiększająca zależność poczynań radzieckich od reakcji USA.

Oddziałują też na nastroje w Polsce, choć w o wiele skromniejszym stopniu, różne zjawiska i zdarzenia w mniejszych krajach socjalistycznych. Np. trudności na Węgrzech i w Jugosławii osłabiają wiarę w reformę. Przebudowa rządu w Bułgarii silnie zradyzalizowała oczekiwanie dotyczące reformy naszego centrum i umniejszyła wiarygodność naszych argumentów, że trzeba na tym polu działać powoli i ostrożnie. (Powiada się: ciekawe czy w tym zakresie dogonimy Bułgarię). Wzrost jawności życia publicznego u nas i u niektórych sąsiadów uświadamia istnienie konfliktów interesów (np. między Polską a NRD), ułatwia spostrzeganie, że niezadowolenie i niepokoje mają szerszy niż wewnątrzpolski wymiar.

Stymulowaniu napięcia służy polityka, a raczej taktyka Zachodu, w szczególności USA wobec Polski. Polega ona obecnie na stopniowym ocieplaniu stosunków z władzami w Warszawie i równoległym dowartościowywaniu opozycji oraz odbudowie obecności amerykańskiej w Polsce. Stosowane są też skuteczniejsze niż poprzednio naciski na uzależnienie naszej polityki wewnętrznej od dążeń Zachodu. Przy tym Zachód osiąga to na razie prawie gratis, to znaczy za samą obietnicę ewentualnego uruchomienia pewnych kredytów oraz przełożenia spłat długów gwarantowanych przez rządy. Zachód stwarza wrażenie w polskim społeczeństwie, że Polsce się pomaga, choć nie udziela się istotnej pomocy gospodarczej. Obietnice ograniczonych kredytów (np. z MFW), czy obietnice pofolgowania polskim spłatom

przez Klub Paryski jest to „marchewka”, którą trzyma się jak najdłużej zawieszoną ponad głowami władz w Warszawie, aby wymusić ich działania zgodne z pragnieniami Zachodu.

U podłoża taktyki leży, naszym zdaniem, to, że nie zwyciężyła jeszcze żadna z dwóch koncepcji polityki wobec Polski, wobec czego gra się na zwłokę, stosując taktykę doraźną, pasującą i do jednej i do drugiej z wzajemnie kontrastowych koncepcji polityki Wschód-Zachód.

Pierwsza koncepcja (jastrzębi) — w ogóle nie pomagać Polsce gospodarczo (co nie wyklucza stwarzania pozorów pomocy). Sprzyjać w ten sposób wybuchowi w Polsce nowego kryzysu politycznego na ekonomicznym podłożu i wówczas włączyć się do gry.

Drua koncepcja (gołębi), dominująca w Europie Zachodniej, bazuje na lęku przed nową destabilizacją w Polsce i jej skutkami dla stosunków Wschód-Zachód, dla stosunków wewnętrznych w ZSRR (zahamowanie lub zakłócenie „główności”) i dla stabilizacji w Europie. Przewiduje ona stopniowe wspomaganie umiarkowanej, reformatorskiej polityki władz w Polsce w zamian za nasze dalej idące wewnątrzpolskie koncesje polityczne i równoległe, odpowiednio wyważone wspomaganie opozycji i kościoła.

Celem tej polityki byłby nacisk, prowadzący do ewolucji sytuacji w Polsce w kierunku rozmiękczenia, wypłukania socjalizmu metodą ewolucyjną i możliwie bezkryzysową. Realizacja tej polityki odbyłaby się przy pomocy względnie niskich nakładów materialnych ze strony USA i innych krajów Zachodu. Zakłada się, że Zachód nie byłby zmuszony do poniesienia większych kosztów, ponieważ rządząca w Polsce ekipa jest podatna na ustawiczne naciski z przyczyn ekonomicznych (w odpowiedzi na same obietnice niewielkiej pomocy) oraz ze względu na promieniujące na Polskę zmiany w ZSRR i w stosunkach radziecko-amerykańskich.

Wydaje się, że żadna z tych koncepcji jeszcze wyraziście nie zwyciężyła, po pierwsze z powodu odrębności interesów różnych krajów zachodnich (np. różnice interesów w Europie Wschodniej RFN i USA). Głównie jednak ze względu na to, że przyjęcie jakiegś wyrazistej polityki wobec Polski jest pochodną przyjęcia polityki wobec ZSRR. Kluczowym więc jest rozstrzygnięcie na Zachodzie sporu czy dla Zachodu lepiej, żeby Gorbaczow odniósł sukces, czy odwrotnie. Znakiem rozstrzygnięcia będzie — naszym zdaniem — to czy USA okażą zdecydowaną skłonność do głębszego kompromisu rozbrojeniowego, czy nie. Przemówienie Reagana sygnalizuje to, że USA podnosić będą polityczną cenę zmniejszenia nacisku zbrojeniowego.

Teraźniejsza realna polityka Zachodu wobec Polski jest tak prowadzona, że może ona sprzyjać i jednej i drugiej koncepcji generalnej. Stąd jej nijakość, skłonność do zwlekania ze wszystkim co dotyczy wsparcia polskiej gospodarki. Globalne prognozy polityczne wskazują, że większe są szanse na zwycięstwo wariantu drugiego. Ta polityka się umacnia i jeżeli dojdzie w br. do nowego, częściowego porozumienia rozbrojeniowego można będzie stawiać na to, że zwycięży linia, za którą stoją „gołębie”.

Obie linie — i linia „jastrzębi” i linia „gołębi” — przeciwstawne są interesom socjalizmu w Polsce. Uważamy jednak, że względnie korzystniejszą z naszego punktu widzenia byłaby realizacja linii „gołębi”, stawiających na korzystną dla Zachodu ewolucję stosunków politycznych w Polsce i równoległe oddziaływanie na władze oraz ich protagonistów. Linia „gołębi” stwarza nam pole do manewru umożliwiające takie pokierowanie reformami politycznymi i ekonomicznymi, aby służyło to odbudowie prężności socjalizmu, nie zaś zrealizowaniu planu „gołębi” doprowadzenia do stopniowej konwergencji. Warunkiem jest jednak śmiałość i na czas inicjowanie i przeprowadzenie niezbędnych reform, a przez to kształtowanie stosunków wewnętrznych w sposób wyzwolony od zachodnich nacisków.

W razie zwycięstwa kursu „gołębi” rozmiary wspomagania ekonomicznego Polski w jeszcze większym niż obecnie stopniu zależeć będą od względów gospodarczych, a nie tylko czysto politycznych. Ograniczone wspomaganie gospodarcze nie będzie bowiem sprzeczne z linią polityczną Zachodu, a przez to motywy czysto gospodarcze, którymi kierowaliby się partnerzy gospodarczy Polski na Zachodzie, uzyskają większą autonomię. Zwłoka oraz niekonsekwencja w realizacji naszej reformy gospodarczej utrudni przyjęcie w polityce USA wobec Polski bardziej pragmatycznej opcji. Już obecnie w niektórych ośrodkach decyzyjnych na Zachodzie rodzą się wątpliwości dotyczące nie tylko zdecydowania władz w przeprowadzaniu reform, ale wręcz spoiłości i trwałości ekipy rządzącej, wynikającej z odnośnienia przez nią tylko sukcesów politycznych bez gospodarczych.

Stawiane są pytania, czy w ogóle warto jeszcze inwestować w aktualną ekipę, czy ona nie przegrała już swojej szansy? Nie wyklucza się na Zachodzie, że jeżeli rzeczywista reforma nie nastąpi szybko i nie przyniesie wyrażenie dobrych skutków, to nastąpi wkrótce nowy kryzys. Poglądy te przenikają i ze źródeł publikowanych i z informacji tajnych.

Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli powyższe wątpliwości i oceny upowszechnią się, to w USA i w Europie zachodniej — tak „jastrzębie” jak i „gołębie” — mogą dojść do wniosku, że obecnie nie trzeba wobec Polski robić żadnych posunięć, a tylko

czekać na nowy kryzys i ewentualną zmianę ekipy rządzącej i dopiero w tę następną ekipę należy zainwestować lub odwrotnie — zastosować nowe restrikcje, jeżeli reprezentowałaby ona twardy, konserwatywny kurs*.

WNIOSKI GENERALNE

1. Stoimy przed największymi zagrożeniami i wyzwaniem w ciągu 5 ostatnich lat, to znaczy: sytuacja jest groźniejsza niż przez cały czas po 13 grudnia 1981 r. z wyjątkiem pierwszej połowy 1982 roku. Zarazem w kraju panuje spokój. Trzeba uprzedzać wydarzenia, nim zaczną się toczyć, nabiorą dynamiki, nie czekać, aż zostaną w naszej dyspozycji tylko schyłkowe, jak uczy doświadczenie kryzysów, nieskuteczne poczynania awaryjne.

2. Wyczerpały się dotychczasowe sposoby opanowywania sytuacji. Te sposoby to: stopniowe, umiarkowane otwarcia polityczne, ostrożna polityka gospodarcza, stabilizująca sytuację na niskim poziomie i zapewniająca bardzo powolny postęp.

Naszym zdaniem, w obecnej chwili reformy polityczne nie mają już znaczenia samoistnego, czy zastępczego. Muszą być wsparte wręcz rewolucyjną reformą gospodarczą. Cechować ją przy tym musi radykalizm objawiający się w czynach, a nie tylko w projektach i zamierzeniach.

3. Od 5 lat postęp zmian politycznych idących w kierunku liberalizacji i ograniczonego pluralizmu jest szybszy, znacznie szybszy, niż postęp reformy gospodarczej. Skutki reform politycznych są dwoiste i oddziałują w dwóch przeciwnych kierunkach, z jednej strony zmiany stosunków dokonane po zniesieniu stanu wojennego do dnia dzisiejszego, w szczególności zaś niezwalczanie już przeciwników politycznych poprzez osą-

* Tu dygresja. W czasie posiedzenia rządu na temat II etapu reformy niektórzy ministrowie przemysłowo-gałęziowi wypowiadali się w duchu: popieram reformę choć mam tu i tu wątpliwości, ale do mojego resortu tak pomyślana reforma nie powinna mieć zastosowania. W tym momencie jeden ze stosunkowo nowych ministrów „funkcjonalnych” wypowiedział do sąsiada (Urbana) następującą, ważną naszym zdaniem, uwagę: reformy strukturalne muszą być poprzedzone zmianami personalnymi, ekipa musi być w całości proreformatorska. Bo nie jest ważne, co ci ministrowie mówią. Ważne jest to, że oni w ciągu kwartału udowodnią, że reforma się nie sprawdza. Wystarczy, że wydobycie węgla spadnie o 5 mln ton, że wzrosną napięcia energetyczne w szczycie zimowym, że zaczną się wykazywać w sprawozdaniach wszystkie wypadki przy pracy, awarie itd. itd.

dzanie ich w więzieniach, podziały ośmielająco na wszystkie niezadowolone grupy społeczne, np. niektóre załogi, organizacje związkowe itp. itd. Wszędzie zmniejsza się stopniowo lęk przed wchodzeniem w konflikt z władzą. Z drugiej strony zaś reformy te odebrały naszym przeciwnikom pożywkę, spowodowały osłabienie, rozbite organizacyjne i skłócenie opozycji. Sytuacja skłania ją do wysuwania na plan krytyki stosunków gospodarczych i nieudolności władz w przeprowadzaniu reform, których niezbędność te władze same uznają. Trzeba więc odebrać naszym przeciwnikom te argumenty, zniszczyć teraz tę platformę walki i wpływania na społeczne nastroje. Skoro narasta ogólnospołeczne niezadowolenie z sytuacji gospodarczej oraz warunków życia, rozczarowanie do reformy i skuteczności działania rządu na polu gospodarczym — istniejące i rosnące ośmielenie staje się niebezpieczne i będzie nim, dopóki nie rozładuje się choćby częściowo frustracji na tle gospodarczym. Reformy polityczne nie wsparte gospodarczymi ośmielają do postaw opozycyjnych i protestacyjnych, wynikających z materialnych warunków życia i ich przesadnie ujemnych ocen, a brak zdecydowanych kroków na polu gospodarczym daje tym skłonnościom opozycyjnym pożywkę i pole do działania.

Niebezpieczną staje się więc dysproporcja pomiędzy postępem politycznym a stagnacją gospodarczą. Wydaje się, iż niezbędnym jest zharmonizowanie reform gospodarczych z politycznymi poprzez silne podciągnięcie przemian gospodarczych, wykazanie poprzez czyny, że coś się zmienia, że stagnacja została przerwana.

Wysunięte na plan pierwszy zmiany gospodarcze powinny być podbudowane równoległymi posunięciami politycznymi. Przy tym oba rodzaje reform należy w płaszczyźnie teoretycznej i praktycznej zespolać. Reformy gospodarcze mieć bowiem będą różnorodne konsekwencje polityczne.

4. W płaszczyźnie gospodarczej potrzebne są więc bardzo szybko bardzo istotne, głębokie, radykalne, wiarygodne i efektywne posunięcia. Ze względu na nastroje społeczne dobrze by było, aby posunięcia były także efektowne, tworzące świadomość przełomu. Powinny one być zgodne z wstępną, stosunkowo radykalną koncepcją drugiego etapu reformy. Byłoby fatalne, gdyby II etap został „wypłukany” z radykalizmu, lub przeciągnięty w czasie.

Rozwlekanie w czasie wprowadzenia nowych rozwiązań zmniejsza społeczne poczucie, że dokonuje się przełom. Przytłumi zainteresowanie. Rozwlekłość w czasie da czas na uruchomienie mechanizmów blokujących reformę. Znajdą one uzasadnie-

nie i oparcie w piętrzących się trudnościach i ujawniających się niekonsekwencjach.

Dotychczas naszą reformatorską politykę gospodarczą cechowała nadmierna skłonność do rozwiązań kompromisowych. Każdemu posunięciu towarzyszyło kontrposunięcie ograniczające wyrazistość mechanizmu reformatorskiego. To niebezpieczeństwo nadal grozi. Szybka i zdecydowana realizacja posunięć związanych z II etapem reformy także niesie jednak wielkie ryzyko. Szybciej bowiem realizacja ta pobudzi niezadowolenie tych grup zawodowych, w których interesy godzi II etap (a jest to ponadzakładowa biurokracja gospodarcza, część aparatu partyjnego, załogi zakładów subwencjonowanych, ogół mniej sprawnych i mobilnych pracowników o niższych kwalifikacjach, załogi branż nierozwojowych itp. itd.) niż uformuje bazę społeczną proreformatorską złożoną z tych grup społecznych, które na przemianach zaczną zyskiwać.

Realizacja reformy może więc zwiększyć ryzyko destabilizacji i erupcji niezadowolenia. Uważamy jednak, że jeszcze większe ryzyko wywoła odwlekanie, rozciąganie w czasie, pozbawienie radykalizmu II etapu reformy, osłabianie mechanizmów reformy kontrmechanizmami, kompromisami umniejszającymi skutki reformy, działającymi wbrew logice reformy. Wzmocniłoby to wrażenie, że poza sferą słów nic się w istocie nie zmienia i co ważniejsze powodowałoby, że społeczeństwo znów, jak w I etapie, nie odczuje istnienia na jakimkolwiek odcinku praktycznych, dobrych rezultatów II etapu.

Uważamy, jednym słowem, że radykalna reforma to wybór mniejszego ryzyka. Władze zawsze mają skłonność do godzenia się raczej na potencjalnie większe ryzyko, lecz odwleczone w czasie, niż na mniejsze, lecz zagrażające już zaraz. (Przykładem 1976 r.). Obecnie mamy jeszcze wciąż, mimo narastania zagrożeń, sytuację polityczną stosunkowo bardziej sprzyjającą podjęciu ekonomiczno-reformatorskiego ryzyka politycznego niż być może, np. za rok, gdy niezadowolenie wzrośnie i skumuluje się. Odsuwanie ryzyka w czasie podobnie jak niepodjęmowanie ryzyka — naszym zdaniem zwiększa je.

(Na marginesie wyrazić pragniemy opinię, że wdrażanie II etapu spowoduje nową polaryzację postaw i nastrojów, nie pokrywającą się np. z obecnymi podziałami politycznymi. Jeżeli te nowe podziały po części zniwelują stare podziały polityczne, zepchną je w cień — to dobrze. Jeżeli natomiast potencjał niezadowolenia ekonomicznego miałby się skumulować z postawami polityczno-opozycyjnymi, to należałoby temu odpowiednio wcześniej przeciwdziałać, budując szybko proreformatorską bazę społeczną, planując jakie grupy zawodowe, części załóg itp. powinny

odnieść z II etapu szybką korzyść, lub przynajmniej dostrzegać ją w krótkim czasie).

PROPONOWANE POSUNIĘCIA

Trwają prace koncepcyjne nad II etapem reformy i istnieje tu zarys kalendarza poczynąń. Trwa przygotowanie do plenum ideologicznego, istnieją prace wstępne nad reformą konstytucji, prawem o stowarzyszeniach. Istnieje krótkodystansowy kalendarz posunięć w dziedzinie stosunków zagranicznych. Przygotowuje się referendum. W planie jest abolicja itd. itd. My nie proponujemy jakiegos innego programu działań, nie chcemy odkrywać żadnej Ameryki, lub któregośkolwiek z zamierzeń poddawać w wątpliwość. Rozumiemy swoją rolę doradczą, jako zaplanowanie pewnej ilości posunięć doraźnych wspomagających główne procesy zmian, torujące lepszy klimat dla II etapu reformy, mogące oddziaływać pozytywnie na nastroje społeczne, zmniejszyć narastanie stanu zagrożenia, o którym mowa była na wstępie. Na nastroje zaś pozytywnie oddziałamy, jeżeli społeczeństwo uzna, że coś się rzeczywiście zaczyna dziać.

Obok czasu kalendarzowego istnieje wolniej lub szybciej od niego biegnący czas polityczny. Sądzymy, że czas polityczny biegnie teraz o wiele szybciej od kalendarzowego. (Kardynał Cassaroli miał powiedzieć, że polskie władze nie mają poczucia uciekającego czasu). Nie ma więc czasu dla reform, które byłyby tak starannie odmierzone, aby zmniejszyć do minimum ryzyko błędów i ujemnych skutków ubocznych. Korygowanie powinno więc odbywać się wtórnie, a teraz trzeba iść poprzez czyny radykalnie do przodu. Obecnie (w chwili gdy piszemy te słowa) przygotowania merytoryczne do plenum ideologicznego stwarzają nadzieję na to, że plenum dokona śmiałego i nowatorskiego przełomu w naszej polityce, jeżeli tylko wstępne propozycje sformułowań i zapowiadanych posunięć nie zostaną stępione w wyniku zachowawczego oporu części działaczy pracujących nad projektami.

Uważamy, że I Sekretarz KC powinien stanąć na czele niezadowolenia i ostro zganić złą, ślamazarną, niekonsekwentną dotychczas realizację polityki, którą wytyczyła partia. Publicznie grzmieć: I etap reformy niedotleniony, sprawa mieszkaniowa — skandal, poziom leczniczy marny, atestacja, którą uchwalił X Zjazd, ugrzęzła w komisjach i podkomisjach, program walki z inflacją nie wyszedł. Trudno wymienić bolączki życia codziennego ludzi, które udało nam się wyeliminować itd. itp. Rozumiemy, że zagrzmienie w stylu Gorbaczowa, który jest nowym

przywódcą, jest u nas trudniejsze, bo kierownictwo partii ponosi odpowiedzialność nie tylko za swe projekty i intencje, ale także za realizację swej polityki i jej skuteczność w ciągu 6 lat. Jednakże takie wystąpienie nie musi być skonstruowane tak, by zostało odczytane jako spychanie odpowiedzialności. Chodzi o ogłoszenie zmiany metod postępowania i postawienia się I Sekretarza wyraziściej niż dotąd na pozycji przywódcy, który ocenia, wymaga, wyciąga wnioski z niepowodzeń i staje na czele niezadowolenia. Stanięcie na czele niezadowolenia to dziś oznacza stanięcie na czele narodu.

Uważamy, że I Sekretarz KC powinien skonstruować przemówienie w oparciu o projekt tez wstępnych na Plenum — wyjmując stamtąd radykalne sformułowania i zapowiedzi. Np. reorientacja na prawa jednostki: „marksistowski personalizm”, polska droga do socjalizmu, radykalna demokratyzacja, wolne wybory do rad pierwszego stopnia, zmiany Konstytucji, względna swoboda organizowania stowarzyszeń, model państwa partnerskiego, radykalna i szybka reforma Centrum, alternatywność programowa stronnictw, rozwój socjalistycznego pluralizmu, druga izba parlamentu, ograniczenie funkcji państwa i podmiotowość obywateli, obawy przed przeciwnikami nie mogą być hamulcem rozwoju socjalizmu, zasada szerokiej kontroli sądowej nad administracją, zniesienie ustawy o szczególnej odpowiedzialności karnej, nie wypychanie sporów i różnorodności poglądów w sferę pozalegalną, wolność publikowania badań naukowych, dyskusja nad dopuszczeniem niesprzecznego z socjalizmem opozycji i granic działań opozycyjnych, wyrażenie zrozumienia dla tych, którzy po 1982 r. przeciw nam kontestowali, państwo nie będzie nosicielem ateizmu ani religijności, zmiany modelu sprawowania władzy i sposobu realizowania kierowniczej roli partii, rywalizacja ekonomiczna, swoboda inicjatyw gospodarczych, zróżnicowanie dochodów, zakres swobody gospodarki prywatnej, równoprawność sektorów, akcje i obligacje, samorządność zakładowa i jej rozwój, ograniczenia nomenklatury, polityka kadrowa itp.

Sądzymy, że repertuar sformułowań i zapowiedzi zawartych w projekcie można jeszcze wzbogacić. Np.: zapowiedzieć zniesienie kary śmierci, zapowiedzieć rozdanie działek budowlanych młodym, Polska korzystnym bankiem Polonii (warunek lokowania u nas kapitałów) swoboda sprowadzania przez osoby prywatne środków produkcji za dewizy bez cła, abolicja, treść referendum (wstępna propozycja), zwiększenie korzyści załóg (wzrost płac) z redukcji zatrudnienia — redukcja jako doraźna droga do podwyżek w biurach itp., podwyżka dla nauczycieli, rozbicie monopolu spółdzielczych: CZBM, ogrodnictwo, mleczarstwo, Samopomoc Chłopska itp.

Uważamy, że to przemówienie powinno być przemówieniem do narodu wprost ze studia TV, tak jak 13.12.1987r. (znów stoję przed Wami itd.). Powinno być zapowiadane przez kilka dni — wzmaganie napięcia.

Sądzymy, że takie przemówienie do narodu powinno być wygłoszone w 10 dni lub tydzień przed Plenum po to aby:

a) Program nowatorski został ogłoszony właśnie przez I Sekretarza i wpierv do narodu;

b) Przed plenum ocenić rozmiary sprzeciwu. Zorganizować krótką kampanię poparcia m.in. przez środki masowego przekazu;

c) Postawić plenum przed faktem dokonanym.

Plenum powinno przyjąć nie tylko referat, ale i uchwałę określającą tempo, terminarz różnych zmian.

2. Harmonogram rządowy wdrażania II etapu reformy przewiduje niejasno, że w roku 1987 URM przygotuje koncepcję reformy Centrum. Projekt referatu na plenum przewiduje dokonanie tej reformy w połowie 1988 roku. Takie tempo postępowania wzbudza nasze wątpliwości:

a) spowoduje wielomiesięczny paraliż funkcjonowania obecnych struktur całej administracji centralnej;

b) spowoduje wielomiesięczną niepewność kadr kierowniczych co do jej osobistych losów. Skutkiem będzie zarówno zwalczanie koncepcji Centrum przez osobistości, które mają jej zostać poddane, a zachowują na razie władzę i wpływy jak i pasywność w sposobie funkcjonowania ministrów i innych wynikającą z poczucia tymczasowości. Tymczasem aparat Centrum ma podjąć od razu zdecydowane działania reformatorskie. Skoro mieliby to robić ludzie w takiej sytuacji psychologicznej — nie zechcą i nie zdołają zdziałać niczego;

c) niezbędne jest stworzenie wrażenia, że nowe idee realizują w znacznym stopniu nowi ludzie.

Sądzymy, że plenum powinno przyjąć konkretne założenia reformy Centrum, a następnie one powinny być skonkretyzowane w przeciągu kilku dni i przedstawione Sejmowi do uchwalenia wraz z konkretnym, możliwie najszybszym terminem realizacji — miesiąc lub dwa.

Wydaje nam się, że niezbędna już jesienią br. reforma Centrum powinna być połączona z wyciągnięciem odpowiedzialności personalnej za wyraziste niepowodzenia na różnych odcinkach. Nie byłoby trafne wpierv reorganizowanie struktur, pozostawienie w większości dotychczasowych ludzi, potem zaś przeprowadzenie kolejnych zmian personalnych w związku z odpowiedzialnością osób za niepowodzenia. Lepiej byłoby operację strukturalną połączyć z egzekwowaniem odpowiedzialności personalnej. Wzmocze to jej efekt i być może zapewni większy kredyt zaufania, ewentualnie

odnowionej, ekipie rządowej, która wyłoni się z reformy Centrum.

Wydaje się nie tak ważne dla decyzji o radykalnej reformie Centrum, czy reforma ta jest już koncepcyjnie dobrze przygotowana, czy nie, oraz czy ma ona zasadnicze znaczenie dla II etapu reformy, czy też wtórne, pomocnicze. Reforma Centrum stanowi w skali społecznej symbol i hasło wywoławcze „rzeczywistej reformy gospodarczej”. Choć byśmy robili rzeczy głębiej przeorujące metody gospodarowania niż zmiana struktur centralnych, społeczeństwo nie uwierzy, że coś ruszyło bez radykalnej reformy Centrum. Lepiej więc ciąć głęboko i zdecydowanie, a potem to w razie konieczności korygować, niż ciąć częściowo, a potem cięcia w miarę konieczności pogłębiać.

Reforma Centrum jest w stanie do pewnego stopnia zmienić nastrój społeczny na bardziej ufny i optymistyczny wobec programu plenum oraz II etapu reformy. Szybka zmiana obecnej struktury Centrum i większy lub mniejszy bałagan, który to pobudzi, wydaje się nam mniej groźny, niż stopniowe reformowanie struktury centrum gospodarczego.

Obecnie w Polsce osobno trwa praca koncepcyjna nad przyszłym systemem gospodarowania, a osobno biegnie zarządzanie w obrębie dotychczasowego systemu gospodarowania. Gospodarką administruje się bieżąco w taki sposób, że tylko dobiera się instrumenty i preteksty posunąć zgodnie z reformą — takie są powszechne odczucia, potwierdzają je badania OBOP. Realnie działające obecnie Centrum w dominującym stopniu zajmuje się tym, żeby nowe idee czy prawa adaptować do starych praktyk. Przyjmuje postawę zachowawczo-obronną i grozi, że zapanuje chaos, jeżeli zmieni się sposób postępowania Centrum. Opóźnia więc reformę i wypłukuje w znacznym stopniu istotny sens jej mechanizmów. Dla każdego nowego mechanizmu konstruuje się kontrmechanizm blokujący lub zmniejszający efekt wprowadzonego nowatorstwa. Przez to system zarządzania jest wciąż niespójny, nielogiczny, połowiczny w swych rozwiązaniach, ostrożniacki. Przy tym większość społeczeństwa o tym wie, tak to postrzega, gdyż większość społeczeństwa działa w obrębie systemu gospodarczego. Niczego więc tu nie można zaszachować, czy zasłonić mówieniem o reformie.

Jeżeli reforma strukturalna Centrum będzie połowiczna, ludzie nazwą ją połowiczną i dalej będą mówić, że nie umiemy w naszym reformatorstwie doścignąć choćby Bułgarii.

Łączyć się ona winna z oddaniem realnej władzy nad gospodarką rzeczywistym, zapalonym reformatorom, nie zaś ludziom naganianym i przymuszonym do reformatorstwa. (Innowatora można przymusić do zachowawczej ostrożności, nie dając mu pola dla wprowadzenia innowacji, ale ludzi o skłonności zachowawczej nie można zmusić do nowatorstwa).

Powołanie na wicepremiera prof. Zdzisława Sadowskiego było oddaniem zwolennikowi reformy większej władzy nad reformą, czyli koncepcjonizowaniem, a nie nad realnie funkcjonującą gospodarką.

3. Natychmiast w ślad za ogłoszeniem reformy Centrum i zradykalizowanych wyników atestacji należy ogłosić zmasowany w czasie pakiet posunięć gospodarczych wchodzących w życie od zaraz. Przykłady potrzebnych naszym zdaniem posunięć:

a) powiedzieć, że walka z inflacją nie udała się w planowanej skali i zmienić politykę w tym zakresie. Zmniejszanie się w tej chwili inflacji wydaje się bowiem sprzeczne z całą ideą II etapu reformy — wycofywania dotacji, poszerzenia zakresu wolnych cen rynkowych, swobodnego wzrostu płac, w zamian za wymierne efekty dobrej pracy. Skuteczna walka z inflacją możliwa będzie dopiero wówczas, gdy mechanizmy II etapu już zaskoczą. Konkurują w tym zakresie dwie koncepcje.

Pierwsza przewiduje zduszenie inflacji dopiero za jakiś czas, silnego ograniczenia cen urzędowych niemal tylko dla chleba i mleka oraz nie hamowania inicjatyw produkcyjnych przez limity płacowe. Ta koncepcja wydaje się bardziej racjonalna i spójna z II etapem, ale będzie trudna do społecznego aprobowania.

Druga koncepcja, którą popiera OPZZ, przewiduje wzmocnienie pieniądza przez zahamowanie inflacji poprzez rygorystyczną kontrolę ruchu cen i płac. Wydaje się, że ona zablokuje działanie mechanizmów II etapu reformy, a na niepowodzenie II etapu nie możemy sobie pozwolić. Byłoby to tylko odłożenie erupcji niezadowolenia.

Najgorsze co może się zdarzyć (a wciąż się zdarza) to kompromis między dwoma koncepcjami, szukanie między nimi wypadkowej w nadziei, że wyeliminuje się wady jednego i drugiego rozwiązania. Rezultat jest inny i posunięcia stają się połowiczne, nijakie i nieskuteczne. Proponujemy więc rozważyć zniesienie od zaraz 12 % limitu wzrostu zarobku w przedsiębiorstwach. Jest on niepopularny, hamuje samodzielność i dynamizm gospodarowania przedsiębiorstw. Stosowane coraz liczniej ulgi podatkowe i wyjątki sprawiają, że w jednych 12 % bariera godzi, w innych nie, wedle arbitralnych decyzji Centrum. Jest to forma zachowania Centrum w decyzji o płacach w przedsiębiorstwach. Niech przedsiębiorstwa płacą tyle, na ile je stać, ile wypracują. Zdejemy sobie sprawę z tego, że likwidacja administracyjnych, pozaekonomicznych barier płacowych spowoduje natychmiast społecznie bulwersujący ruch cen, groźny dla stabilizacji — także politycznej. Ponieważ jest on nieodczony, także jako skutek zmniejszania dotacji, proponujemy powtórne rozważenie naszej poprzedniej propozycji: znieść ceny

urzędowe i regulowane, uczynić wszystkie ceny za jednym zamachem wolnymi, dać niezbędną jednorazową rekompensatę. Subwencjonować też niektóre grupy konsumentów, aby zachować ich zdolność do pewnych rodzajów konsumpcji, np.: mleko, wczasy itp. Tym samym raz na zawsze należy pozbyć się koszmara operacji podnoszenia cen przez rząd. Przystać nawet zrazu na galopadę cen i płac, zapowiedzieć je z góry, wyjaśnić cel polityki inflacyjnej. Zapowiedzieć także to, że rozpoczniemy, po osiągnięciu zamierzonych celów, politykę antyinflacyjną i w jaki sposób, przy pomocy jakich instrumentów. Taka zmiana polityki gospodarczej będzie bardzo społecznie niepopularna, ze względu między innymi na uczulenie cenowe i na to, że inflacja narusza poczucie bezpieczeństwa materialnego, wzmacnia spekulację itd. Jednak lepiej bronić polityki inflacyjnej, niż w rzeczywistości prowadzić taką politykę, tylko niekonsekwentną, częściowo hamowaną i twierdzić, że się prowadzi politykę antyinflacyjną.

Oswobodzenie płac z gorszego ograniczeń spowoduje przynajmniej to, że niektóre grupy pracujących od razu zyskają na reformie. Oczywiście należy rygorystycznie przeciwdziałać wypłatom pieniądza bez pokrycia w produkcji znajdującej zbyt.

b) Należy rozważyć i zbadać wszelkie skutki ekonomiczno-społeczne ewentualnej denominacji pieniądza.

Pozwoliłaby ona bez większych dodatkowych kosztów wprowadzić obok starej — gorszej, nową — lepszą złotówkę, za którą można np. nabyć bez ograniczeń wytypowane towary. Udział nowej złotówki w wypłatach powinien być ściśle zharmonizowany z podażą towarów i usług, aby utrzymać jej siłę nabywczą oraz zróżnicowany w różnych zakładach pracy: — lepszym udział większy, gorzej gospodarującym mniejszy. Producentom eksportującym do krajów więcej twardych złotych itd. Banki powinny równocześnie wymieniać starą złotówkę na nową, ale po dwa lub trzy razy wyższym kursie niż wskaźnik denominacji i do pewnego górnego limitu — stopniowo podnoszonego.

W miarę nasycania gospodarki nowym, silnym pieniądzem trzeba rozwijać proces stopniowej jego wymienialności na inne waluty.

Przejściowe operowanie dwoma rodzajami pieniądza może stanowić również element gry z producentami — zmuszając ich do poprawy jakości swych wyrobów.

c) Uruchomić istniejące u ludzi zasoby dewiz (oceniane na około 2-4 mld dolarów), ogłaszając swobodę prywatnego importu bez cła od środków produkcji. (Będzie to miało szybkie, znaczące skutki rynkowe).

d) Zapowiedzieć konkretnie dalszą liberalizację przepisów w sprawie *joint ventures*, korzystną dla zachodniego kapitału.

e) Zwrócić się publicznie do zagranicznych wierzycieli o jednorazowe zawieszenie, np. na rok, należnej od Polski i już wynegocjowanej poprzez wierzycieli spłaty części naszych zobowiązań dewizowych, wyjaśniając, że pewna kwota dewiz jest nam doraźnie niezbędna jako fundusz interwencyjny dla wstępnego wdrożenia radykalnej reformy. Likwidacja administracyjnych sposobów regulowania asortymentowego i ilościowego produktów, dziś poddanych np. programom operacyjnym, spowoduje różne uciążliwe braki na rynku (zanim zaskoczy mechanizm samoregulacji rynku) i niezbędne okaże się zatykanie różnych powstałych na rynku luk w dziedzinie potrzeb, które są niezbędne i społecznie doniosłe.

f) Zrealizować systemem rewolucyjnym koncepcję kilkuset tysięcy działek budowlanych dla młodzieży, w zamian za opuszczenie kolejki mieszkaniowej. Silnie poprzeć (pomoc, ulgi) drobną wytwórczość materiałów budowlanych (cegła, drewno). Byłby to jeden ze sposobów wykazywania, że II etap reformy od razu komuś coś konkretnego przynosi i część pakietu posunięć popularnych, posunięć na rzecz ludzi, posunięć obalających biurokratyczne bariery. Danie części młodzieży działek umniejszą nastroj mieszkaniowej beznadziejności wynikającej z 20 lat czekania na mieszkanie i pobudzi samo zaradność. Sytuacja psychologiczna człowieka, który ma działkę i zaczyna zabiegać, aby coś na niej postawić jest inna, niż biernie czekającego. Zaczyna on też zabiegać o to, żeby zarobić.

g) Przejrzeć koncepcje II etapu reformy i wyłonić z nich wszystko, co nie musi funkcjonować w pełnym współdziałaniu z innymi mechanizmami i instytucjami reformy i co można uruchomić natychmiast na skalę dużą lub pilotażową. Np. można już w br. powoływać Izby Przemysłowe, Banki Terytorialne, wypuścić obligacje, akcje, zrealizować pewną ilość dojrzałych bankructw. Ważne jest skumulowanie w czasie odpowiedniej liczby posunięć większych i drobnych oraz nadanie im silnego rozgłosu. Obecnie z II etapu funkcjonują tylko jednostki innowacyjno-wdrożeniowe, ale fatalna nazwa odstręcza opinię publiczną od interesowania się publikacjami o ich działalności.

Doprowadzić jednym słowem w tym roku do: krytycznej oceny dotychczasowych poczynąń reformatorskich i indolencji w gospodarowaniu, nadać II etapowi wiarygodność poprzez radykalizm reformy Centrum, stworzyć wrażenie, że wszystko zostało przyspieszone i już w obecnym roku zaczęły się istotne i radykalne przemiany w gospodarce, a w przyszłym roku w pełni wdrażać będziemy II etap. Spowoduje to częściową zmianę nastrojów i początek przemian kadrowych na szczeblu przedsiębiorstw, niezbędnych do tego, aby zapoczątkowanie kompleksowej

realizacji II etapu w 1988 roku miało konieczny zakres społecznego poparcia lub przynajmniej zasadzało się na wierze, że coś zmienia się naprawdę.

Mniemamy też, że w odniesieniu do jednostek gospodarczych należy zmodyfikować praktykę doboru kadrowego. Zasady szukania nowych młodych przedsiębiorczych ludzi muszą stać się praktyką, a nie hasłem tylko. Trzeba szeroko stosować zasadę zatrudniania kontraktowego — zwłaszcza wszędzie tam, gdzie efekty są wymierne. Zastosować zasadę umów z menadżerami o ich korzyściach w zamian za wykonanie przewidzianych umową zadań. Np. zamiast stałej miesięcznej pensji — milion zł dla dyrektora, który osiągnie w ciągu roku zakładany wskaźnik zysku lub przyrostu produkcji netto. Generalnie zatrudnienie na roczny, dwu- lub trzyletni kontrakt lepiej pozwala ocenić pracownika, zwłaszcza na kierowniczym stanowisku. Warto też zarzucić dotychczasową ostrożność polityczną, lęk przed ludźmi z dawnej „S”, poszukiwania osób politycznie dyspozycyjnych. Doświadczenie wskazuje, że wczorajszy przeciwnik wciągnięty w obręb władzy, raczej staje się szczególnie gorliwym sojusznikiem, niż utajonym wrogiem.

Sądzymy, że posunięcia w tym roku przekonujące, w przyszłym roku już mogą okazać się spóźnione.

Jeżeli sprawy II etapu będą w tym roku zamykać się w słowach, projektach i dyskusjach, niezwykle wolno, z opóźnieniami rozpoczniemy w przyszłym roku zamierzone przemiany gospodarcze. Poza tym podejmowanie konkretnych posunięć ułatwi nasze rozmowy na Zachodzie o ulgach w spłatach i o kredytach. Wedle danych MSW, w ostatnich miesiącach silnie pogorszyły się diagnozy i prognozy zachodnie, dotyczące zdolności Polski do przezwyciężenia trudności gospodarczych. Diagnozy te oddziałują ujemnie na szanse rozwinięcia współpracy gospodarczej, szanse wspólnych przedsięwzięć, kredytów, ułatwień eksportowych dla Polski itd.

Sądzymy jednocześnie, iż wdrażanie II etapu reformy nie powinno stwarzać publicznego wrażenia, że reformy polityczne są zahamowane, a reformy ekonomiczne zastępują te pierwsze. Jednym słowem propozycje wstępne, związane z przygotowaniem do plenum, stanowią niezbędną komponentę posunięć gospodarczych.

Uważamy jednak, że w dziedzinie politycznej trzeba dokonywać tych posunięć, które nie spowodują bezpośredniego wzmocnienia potencjału protestów, nie ułatwią odbudowy politycznej radykalnych struktur opozycyjnych związanych z Zachodem i nie będą oddziaływać ośmielająco na naszych przeciwników i środowiska skłonne do protestów, a zarazem legitymować będą ciągłość i konsekwencję naszej polityki reform politycz-

nych. Rzecz w tym, że jeżeli ogłosimy śmiałe plany reform politycznych, to należy dążyć do przyciągnięcia części opozycji do udziału w grze, którą zainaugurujemy. Natomiast osłabić trzeba i zepchnąć środkami politycznymi na margines zawodowych kontrrewolucjonistów*, którzy zakrzykną „to mało!”, ogłoszą hasła bardziej radykalne, żeby wykorzystać reformatorską koniunkturę, i żeby utrzymać się w politycznej grze, nie zostać przydużonymi tymi projektami reform, które zainauguruje partia.

Przykładem zamiarów, nie powodujących zagrożeń, jest projektowana abolicja, która ma znaczenie symboliczne uwypuklone na zmienionej korzystnie platformie reform, a także intensyfikacji dialogu z kościołem oraz działań zmierzających do przełamania nieufności w części środowisk naukowych i twórczych (np. celowym byłoby uregulowanie sprawy PEN-Clubu).

Warto także uruchomić, lub uczynić głośnymi pewne procedury reform politycznych, które jednak konkretne owoce wydadzą w dalszej przyszłości, gdy II etap reformy będzie już w toku. Np. zapoczątkować dyskusję nad jakimś projektem reformy systemu wyborczego, np. nad projektem wyborów do rad stopnia podstawowego. Ogłosić o powołaniu grupy przygotowującej zmianę konstytucji, po czym dyskutować publicznie niektóre kwestie konstytucyjne. Zrealizować zamierzenia z zakresu zmiany polityki karnej.

Proponujemy też rozważyć raz jeszcze propozycję zaproszenia Wałęsy do Rady Konsultacyjnej i podjęcie w tej sprawie negocjacji poprzez kościelnych pośredników. O ileż byłoby mniej obecnie problemów, gdyby Wałęsa miał już ów półoficjalny status. Wałęsa spotyka się teraz z Bushem i plejadą innych ważnych gości. Później przypuszczalnie wyjedzie za granicę, a jak raz wyjedzie, to ciągle będzie jeździć. Lepiej, aby to czynił w roli usankcjonowanego i instytucjonalnie powiązanego z władzą „szefa opozycji konstruktywnej”. Oczywiście Wałęsa postawi początkowo warunki nie do przyjęcia, np. że on przyjdzie, ale z całą grupą kolegów, i że warunkiem jest nasze przystanie na pluralizm związkowy. Można jednak spróbować odpowiedzieć mu (nie publicznie), że Rada to jest forum dyskusyjne, więc jak chce o tym rozmawiać, to wpierw niech przyjdzie do Rady. Można też zasugerować — jeśli Wałęsa „chwyci haczyk” — że w dalszej perspektywie widzi się go np. w Radzie Państwa. I zagrozić mu, że jak dziś nie podejmie tych inicjatyw to ogłosimy, że wyciągnęliśmy rękę, a on powiedział „nie”, czym przegrał swoją ostatnią szansę. Sama ogłoszona propozycja, nawet

* Sprawę określenia, co to jest dziś opozycja polityczna zawieramy w załączniku.

jeżeli nic z tego nie wyjdzie, będzie substytutem tego „telefonu Jaruzelskiego do Wałęsy”, wciąż podsuwanego jako odpowiednik telefonu Gorbaczowa do Sacharowa.

Zresztą trzeba by wpięrcz zbadać, czy kościół uzna zneutralizowanie i oswojenie przez władze Wałęsy za leżące w jego interesie. Jeżeli tak, nacisk kościelny może okazać się skuteczny wbrew innym doradcom Wałęsy. Na postawę Wałęsy i kościoła wobec Wałęsy oddziaływać też powinien radykalizm słów oraz reform politycznych i ekonomicznych, jakie teraz ogłosimy.

Wydaje nam się, że referendum powinno raczej dotyczyć pewnych kwestii ustrojowych, a nie II etapu reformy. II etap reformy przedstawiamy jako bezwzględną konieczność. Rozwiązania II etapu, aczkolwiek zawierają pewne alternatywy, to jednak główne sprawy są integralną częścią koncepcji bardzo fachowej. Społeczeństwo będzie zawsze głosować za odkładaniem w czasie lub osłabianiem różnych dolegliwości np. cenowych, czyli za łagodzeniem radykalizmu reformy. Wiemy też z doświadczenia, że ludzie opowiedzą się, np. w referendum, za ograniczeniem dotacji ale zapomną o tym, jak wzrosną ceny, i tak będą protestować przeciw wzrostowi cen.

Wiarygodność referendum, a także frekwencja zależy od tego, czy społeczeństwo uzna, że rzeczywiście przedstawia mu się jakąś alternatywę do rzeczywistego rozstrzygnięcia. Dotyczyć ono powinno konkretnego. Proponujemy sprawy ustroju władz. Główne pytanie: czy wprowadzić prezydenta oraz dwa inne pytania z zakresu ustroju władz — np. czy wprowadzić II izbę parlamentu.

Głosując na prezydenta ludzie gremialnie głosować będą *de facto* na gen. Jaruzelskiego, co da przywódcy ogólnonarodową legitymację. Dobrze by było, żeby partia nie opowiadała się za żadnym rozwiązaniem, kwitła wolną agitacją za i przeciw, a dzięki dużej frekwencji referendum było w świetle ustawy stanowiące.

Z całego wywodu wynika, że plenum ideologiczne KC ma w obecnej sytuacji potencjalnie doniosłe znaczenie, nie tylko ideotwórcze, ale także sankcjonujące ideologicznie bieżące posunięcia.

Obóz socjalistyczny, w tym Polska, są na takim historycznym wirażu, że niezbędne jest chyba dość znaczne wyprzedzanie przez naszą partię innych partii w ideologicznym uzasadnieniu zmian, których dokonujemy, i w nowatorstwie samych posunięć.

Na podstawie dyskusji tow. tow. Stanisława CIOŚKA, Władysława POŻOGI i Jerzego URBANA, opracował Jerzy URBAN.

Piotr WANDYCZ

LIST JANA MASARYKA DO STALINA

Z początkiem roku 1991 ukazał się w prasie czechosłowackiej pt. „Ostatni list Jana Masaryka do J.W. Stalina” (*Ceské noviny*, 8/1991, *příloha* RP 20.2.1991) tekst domniemanego listu ministra spraw zagranicznych do Stalina, napisanego przed samobójstwem Masaryka i wyjaśniającego powody tego kroku. Pismo, będące czeskim przekładem z francuskiego oryginału, znaleziono w specjalnym zespole A. Novotny’ego pochodzącym z b. archiwum KC KPC (UV KCS). Historyk, który list ogłosił przychylił się do opinii, że mamy do czynienia z autentycznym listem a nie falsyfikatem, ale oczywiście pewności mieć nie można. Nie jest jasne, komu mogłoby zależeć na mistyfikacji i to obecnie a jeśli list był sfingowany wcześniej, to w jakim celu, skoro władze komunistyczne nie mogły zrobić z niego użytku, choć uwalniał je od zarzutu zabójstwa Masaryka przez bezpiekę. Zakładając, że list jest autentyczny, wyjaśnia on nie tylko powody, które skłoniły Masaryka do popełnienia samobójstwa, ale rzuca interesujące światło na sposób myślenia ministra spraw zagranicznych. Nie widziałem nigdzie polskiego przekładu tego listu czy artykułu, jakkolwiek słyszałem, że przedrukowano go w jakichś pismach czy piśmie w kraju. W każdym razie wydaje mi się, iż zasługuje on na większy rozgłos i stanowi interesujący przyczynek do przewrotu z lutego 1948 r. w Pradze.

Piotr WANDYCZ

Panie Marszałku,

Zdecydowałem się napisać ten list do Pana w ostatniej chwili mego życia, a to dlatego, iż podjąłem nieodwracalną decyzję, którą zrealizuję w ciągu niewielu godzin. Wiem, że będą dyskusje na ten temat tak między moimi przyjaciółmi, jak i wrogami. Samobójstwo nie jest bowiem bronią polityka, chyba że jest usankcjonowane całkowitym bankructwem jego działalności lub stanowi wybawienie od publicznej wzdardy, wypływającej z tegoż bankructwa. Nie mówię tu o przestępcach wojennych jak Hitler, Goebbels, Himmler czy inni, którzy pragnęli w ten sposób uniknąć kary, jaka musiałaby ich osiągnąć za ich zbrodnie.

Ale nawet sam Clemenceau, człowiek z granitu i stali, nosił przy sobie truciznę i był zdecydowany ją zażyć, gdyby w pełnych napięcia latach 1917-1918 armia francuska została rozgromiona przez Niemców. Podobnie Napoleon zażył w Fontainebleau truciznę przechowywaną od czasu wyprawy na Rosję, aby uniknąć dostania się żywcem do niewoli u rosyjskich kozaków, których ataman Płatow przysięgał, iż go powiesi na rosyjskiej brzozie, aby odpokutował obrazę wyrządzoną Rosji przez swą inwazję.

Nie należę do tej formacji co Clemenceau i nigdy nie przyszło mi na myśl, abym mógł popełnić samobójstwo z przyczyn politycznych. Spędziłem życie w ustroju parlamentarnym, w którym niepowodzenia są takim samym powszednim zjawiskiem jak powodzenia. Jedno zaś i drugie jest złagodzone atmosferą nieustannych walk pozbawionych tego dramatycznego ostrza, tak typowego dla reżymów totalitarnych jak i dla okresów wojennych. Niemniej dziś podjąłem tę stanowczą decyzję i to bez wahania. Mówiłem o tym w trakcie ostatniej rozmowy z prezydentem Benešem i właśnie ta rozmowa była punktem zwrotnym i szczytowym decyzji dojrzewającej długo u człowieka, który uważa swą ofiarę za nieodzowną. Nie jest to zatem następstwo przejściowego kryzysu neurastenicznego.

Już we wczesnej młodości miałem wpojoną przez ojca myśl, że niepodległa Czechosłowacja nie może nigdy egzystować bez bezpośredniego i skutecznego wsparcia ze strony Rosji w walce z zalewem germańskim. Ta myśl zapuściła głębokie korzenie tak u mnie jak i u większości czeskich polityków. Utrzymywaliśmy zawsze, że przy obronie przeciw germanizmowi nie możemy liczyć na żaden kraj z wyjątkiem Rosji. Konsekwencją Monachium było otrzeźwienie tych z nas, którzy jeszcze liczyli na skuteczną solidarność ze strony Anglii. Chociaż moje osobiste kontakty z amerykańskimi mężami stanu przeświadczały mnie o tym, że Stany Zjednoczone nie są takie jak Anglia, to jednak rozumiałem, że najskuteczniejszą gwarancją obrony Czechosłowacji przed germanizmem jest pokój sowiecki.

W 1920 r., kiedy jednostki sowieckie po wodzą Budionnego zbliżały się do Lwowa, mój ojciec wspólnie z Edwardem Benešem wezwał do siebie Waszego ambasadora Mostowienkę¹ i złożył przed nim ważne oświadczenie, zaznaczając, że w dniu w którym jednostki rosyjskie obsadzą Galicję wschodnią, nasze państwo odstąpi Rosji zakarpacką Ukrainę wraz z jej głównym miastem Użhorodem, jako wyraz naszych sympatii. Poza tym

Przypisy moje [P.W.]

1. P.N. Mostowienko nie był ambasadorem, ale stał na czele misji handlowej RSFSR i przybył do Pragi 14 czerwca 1921 r.

zaznaczyli, iż jesteśmy skłonni podpisać natychmiast z wami umowę sojuszniczą. A to dlatego, że wasze oddziały walczyły w tym okresie z „Międzynarodówką” na ustach.

Już w 1914 r. Czesi służący w armii austriackiej masowo oddawali się do niewoli rosyjskiej, chociaż w Austrii istniał system parlamentarny, podczas gdy wojska rosyjskie były się jeszcze za cara panującego jak autokrata i despota. Ale byli to Rosjanie, nasi starsi bracia.

Przypominam sobie nasze spotkanie w Moskwie, do którego doszło po podpisaniu naszego traktatu sojuszniczego². Powiedział mi Pan wtedy, że ZSSR będzie nadal prowadził tradycyjną politykę słowiańskiego braterstwa i że odrodzona Czechosłowacja nie musi się obawiać, aby kiedykolwiek mogło dojść do odrodzenia się germańskiej ofensywy. Nie zapomnę nigdy naszej współpracy z t[owarzyszem?] Mołotowem w San Francisco. Mówiłem mu wtedy otwarcie, że nie mogę się zgodzić z niektórymi wnioskami waszej delegacji, ale że przyjaźń z waszym krajem jest podstawowym czynnikiem naszej polityki zagranicznej i że zawsze będziemy stali przy was. Podziękował mi Pan wtedy za to w prywatnym liście, który dotąd pieczołowicie zachowałem na dowód naszej szczerzej i przyjacielskiej współpracy.

Nie stawiałem żadnych przeszkód w przekazywaniu Rusi Podkarpackiej ZSSR. Odwrotnie, cieszyłem się, że mogę zrealizować to, co chciał już skutecznie mój ojciec w 1920 roku. Starłem się przyspieszyć — o ile to było w mojej mocy — przekazanie czeskich kopalni uranu waszemu krajowi jako porękę, że jeśli ZSSR znalazł się w jakimkolwiek konflikcie zbrojnym, to zawsze będziemy po jego stronie.

W najmniejszym stopniu nie wahałem się pójść za radą p. Mołotowa, gdy szło o to, czy Czechosłowacja przyjmie czy odrzuci amerykańskie kredyty³. Odmówiliśmy pomocy, czym znów daliśmy dowód, że polityka zagraniczna mego kraju jest ściśle związana z interesami ZSSR.

Zaraz po nastaniu kryzysu rządowego w Czechosłowacji chciałem poznać Pana prywatny pogląd odnośnie zadań KSC. Był Pan tak łaskaw i posłał mi przyjacielski list p. Zorina w odpowiedzi na moje pytania. Byłem Panu bardzo wdzięczny za Pana szczerość i otwartość, z jaką potraktował Pan niektóre problemy delikatnej natury. Wyjaśnił mi Pan, iż ze względów prewencyjnego bezpieczeństwa ZSSR musi mieć silny rząd w Pradze, całkowicie oddany duchowi sojuszu rosyjsko-czeskiego. P. Zorin

2. W grudniu 1943 r.

3. Mowa o Planie Marshalla, najpierw przyjętym przez Czechosłowację, a następnie odrzuconym na życzenie Moskwy.

mówił ze mną w tym sensie [stwierdzając] że macie nieograniczone zaufanie do prezydenta Beneša i do mnie, jednakże Zgromadzenie Narodowe [parlament — PW] jest pełne zdrajców i zaprzysięgłych wrogów ZSSR, którzy chcą dokonać przewrotu w państwie i nadać zupełnie odmienny kierunek naszej polityce zagranicznej, co spowodowałoby konflikt między Rosją i Ameryką i doprowadziłoby do wojny domowej w Czechosłowacji. Niektóre dane przytaczane przez p. Zorina były istotnie alarmujące, choć nie mogłem zgodzić się ze wszystkimi jego wywodami.

W każdym razie postawił Pan sprawę całkiem jasno, wskazując na to, że zadania partii komunistycznej nie zmierzają w żadnym przypadku do sowyetyzacji kraju, ale chodzi o wypełnienie patriotycznego obowiązku czeskich komunistów, jak też obowiązku względem słowiańskiej wzajemności. P. Zorin zaklinał mnie, abym poparł p. Gottwalda w jego wystąpieniu u prezydenta Beneša; po dziś dzień zachowałem w pamięci jego poważny i błagalny [ton] głosu, jakim oświadczył, iż jest absolutnie niezbędne, aby syn Masaryka uratował Czechosłowację, solidarność słowiańską i światowy pokój, pomagając przy tym odwieść kraj od niebezpieczeństwa wojny domowej. Dodał jeszcze, że moja odmowa oznaczałaby niepowodzenie pańskiej panslawistycznej polityki i mogłaby spowodować głębokie zmiany w orientacji całej Pana polityki zagranicznej.

Uległem waszej argumentacji i popierałem Zorina w jego pertraktacjach z Benešem, po uprzednim otrzymaniu tak ustnego jak i pisemnego zapewnienia, że partia komunistyczna nie wykorzysta sytuacji, aby zagarnąć pełnię władzy i wprowadzić do naszego kraju zasady polityczne i gospodarcze, które są absolutnie obce naszemu narodowi i historii. Jest Panu oczywiście wiadomo, że moja interwencja odegrała rozstrzygającą rolę i że prezydent Beneš po moim wystąpieniu wyraził swą zgodę na utworzenie nowego rządu Gottwalda. Uratowało to kraj od wojny domowej i rozłamu z ZSSR.

Tak to wziąłem na siebie całą moralną odpowiedzialność wobec prezydenta i mej ojczyzny. Wkrótce jednak pojąłem, że partia komunistyczna nie ma najmniejszego zamiaru dotrzymać obietnic, które mi były dane. Władza legalna już w ogóle nic w tym kraju nie znaczy. Panuje reżym, w którym wykonawcami prawa są „komitety akcji” [*akční výbory*]. Dochodzi do aresztowania osób, których jedyną winą było to, że przed wojną walczyły przeciw komunistom. Ludzie ci są wtrącani do więzień, jakkolwiek chodzi tu o wiernych przyjaciół Rosji i zwolenników braterskiego z nią sojuszu. W moim ministerstwie „komitet akcji” anuluje moje decyzje i daje rozkazy moim urzędnikom. Oznacza to, że mamy u siebie wyraźnie sowiecki system, tylko

z tą różnicą, że sowiety noszą nazwę „komitetów akcji”.

W Czechosłowacji nie można już mówić o wolności. Wolność jest zastąpiona uciskiem politycznych przeciwników przez jedną partię, co przygotowuje grunt do wprowadzenia ustroju państwa policyjnego i autorytarnego. Wiem, że pan ujmuje pojęcie wolności inaczej niż ja. W waszym kraju specyficzne potrzeby materialne i interesy grają decydującą rolę, jednakże my jesteśmy przyzwyczajeni do ustroju nie mającego nic wspólnego z reżymem policyjnym, którego zaprowadzenie w Czechosłowacji jest przygotowywane. Dostaję dziesiątki listów od mych przyjaciół, w których zarzucają mi, że pomogłem wprowadzić ten reżym i że zdradziłem wszystko to, co mój ojciec zdziałał dla ojczyzny. W naszej ostatniej rozmowie prezydent Beneš zarzucał mi, że zawarzyłem obietnicom p. Zorina, uczynionym w Pana imieniu.

Mógłbym, rzecz jasna, uznać publicznie mój błąd, podać się z hałasem do dymisji, mógłbym zacząć walczyć przeciw rządowi Gottwalda i przeciw jego polityce. Byłaby to jednakże również walka przeciw rządowi Pana, przeciw legalnemu rządowi Rosji. A syn Masaryka nigdy by nie mógł walczyć przeciw rządowi, który ma w ręku losy Rosji, nie mógłby nigdy dostarczać pretekstu wrogom Rosji, którzy tylko czekają na wasze błędy i pomyłki, aby je potem wykorzystać w pełni w walce przeciw kolebce całej słowiańszczyzny.

Nie ja jeden zostałem oszukany obietnicami Zorina, nie ja jeden rezygnuję z walki o ideały wolności, jeśli ta walka łączy się z walką przeciw Rosji. Są tu tysiące i tysiące intelektualistów, bez których nigdy nie zbudujecie waszego wału obronnego w Europie środkowej, bez których wasze prewencyjne przygotowania bezpieczeństwa okażą się pewnego dnia nieskuteczne, a to dlatego, że gdy nadejdzie chwila śmiertelnego niebezpieczeństwa dla waszego kraju i dla całej słowiańszczyzny, nie będziecie tu mieli niczego innego jak tylko rząd, znienawidzony przez cały kraj, pogardzany przez elitę a oparty jedynie na bagnietach swej policji i żandarmerii.

Nie mogę żyć bez wolności. Nie mogę jednak też o nią walczyć, ponieważ Jan Masaryk nie może, nawet pośrednio, walczyć przeciw Rosji i jej rządowi. Uważam się sam przed sobą za gwaranta Pana obietnic, jak to tłumaczyłem Benešowi, za rękojmię wobec własnego sumienia jeśli chodzi o urzeczywistnienie tych obietnic. Pozostaje mi więc tylko umrzeć i to zupełnie po cichu, aby mój czyn nie stanowił pretekstu dla tych, którzy by chcieli sprowokować wojnę domową w Czechosłowacji.

Ma Pan czas jeszcze odstąpić od polityki sowietyzacji mego kraju. Pospieszcie się, bo niedługo już może być za późno.

Józef Roman RYBICKI
(opr. Hanna Rybicka)

WSPOMNIENIA O ORGANIZOWANIU „NIE”

Statut NIE, którego załącznikiem jest Instrukcja składająca się z Części I-VIII (Zesz. Hist. nr 99), przechowywał dr fil. Józef Roman Rybicki, b. szef Kedywu Okręgu Warszawa A.K., w 1944 r. wciągnięty do organizowania „Nie”.

Wydarzenia, których był świadkiem w Polsce, i zagadnienia lat 1944/45 — w tym organizacji „Nie” — poruszał zarówno w rozmowach prywatnych, jak też omawiał na wykładach w latach osiemdziesiątych w Warszawie, Starachowicach, Łodzi, także podczas pobytu w Kanadzie. Ostatni wykład w Łodzi, którego tekst autoryzował, „Rok 1945”, zamieszczono w 1986 r. w Głosie, a przedrukowano w nr. 82 Zesz. Hist.

Ojciec zmarł w Warszawie w maju 1986 r. Pozostały zarejestrowane na taśmie magnetofonowej Jego wypowiedzi na tematy historyczne oraz teksty spisane z taśmy i przez Niego sygnowane (tzn. przeznaczone do uzupełnień redakcji). Wspomnienia o organizowaniu „Nie” stanowią jakby kontynuację artykułu „Rok 1945” a ich fragmenty podane poniżej są częściowo spisane z taśmy i (przeważnie) sygnowane z zachowanego tekstu z wypowiedzi w Kanadzie w 1982 r.; dotyczą organizowania „Nie” i stosunków Ojca z Nilem.

Hanna RYBICKA

Będę mówił o sprawie „Nie”. Powiem to, co wiem z własnego doświadczenia, z własnych rozmów z [Emilem] Fieldorfem, którego w dalszym ciągu będę nazywał Emilem (w ostatnich naszych spotkaniach miałem już prawo mówić do niego Emil).

Nil [Emil Fieldorf] zaczął w 1944 r. budować organizację „Nie”. Stwierdziłem na podstawie rozmów z nim i na podstawie moich pewnych poczynań, że rozmowy rozpoczęły się już w lutym 1944 r., a więc przed Powstaniem Warszawskim. Konkretniejsze omówienia nastąpiły ostatecznie w kwietniu 1944 r.

Nil wyznaczył mnie na swego zastępcę z tym, że miały mnie podlegać specjalnie wybrane działy. Muszę dodać, że Nil ustalił ze mną, iż w całej Polsce ma być maksimum 400 ludzi za-

przysiężonych w „Nie”, powtarzam czterysta osób miało być w „Nie”.

Miała być zupełnie zmieniona forma propagandy i działania, inne metody pracy niż za konspiracji niemieckiej. Nil uważał, że okupacja sowiecka będzie o wiele trudniejsza, gdyż poszczególni dowódcy będą bardzo szybko likwidowani. Już wówczas ustaliliśmy kolejność naszych następców prawie do piątego w kolejności aresztowań.

Jak dalece Nil był zakonspirowany, świadczy moja rozmowa z jego żoną Janiną, która po moim wyjściu z więzienia, po wyroku wykonanym na Nilu, powiedziała mi: „Jak ciężko skrzywdzono mego męża, kiedy tuż przy końcu okupacji hitlerowskiej usunięto go ze stanowiska szefa Kedywu”. Powiedziałem jej wówczas, że to nie było usunięcie szefa Kedywu, ale największe odznaczenie Nila, wykazujące jak głębokie i uzasadnione miano do niego zaufanie w dowództwie naczelnym. Wiadomo bowiem było, że Nil jest człowiekiem wyjątkowej wartości, wyjątkowego hartu, wyjątkowej szlachetności i postawy.

Z Nilem ustaliliśmy wówczas pewne działy pracy i pewne jej rozmieszczenia, tzn. mówiliśmy o rozmieszczeniach warszawskim, krakowskim i pewnym rozmieszczeniu łódzkim. Poznań i Lwów odkładaliśmy na późniejsze czasy. Chodziło przede wszystkim o pewne miejsca pracy, które mogłyby być zachowane w systemie okupacji sowieckiej.

Podaję nawiasem, że miałem zakaz otrzymany od Nila i uzgodniony z Monterem [Antoni Chruściel] w obecności Nila, że po nadejściu Powstania, kiedy Kedyw [Okręgu Warszawa] automatycznie zostanie rozwiązany i oddziały bojowe pójdą do swoich dzielnic z wyjątkiem oddziałów dyspozycyjnych, będę starał się jak najbardziej nie pokazywać się i nie brać udziału.

[*spisane z taśmy magnetofonowej*]

(Kedyw Okręgu Warszawy podlegał Monterowi i żadnych rozkazów od Radosława nigdy, przez cały okres mojej działalności, nie otrzymywałem. To jest bardzo ważna sprawa, bo ludziom się zdaje: Kedyw Główny, czy był wtedy Nil, czy dalej decydował o Okręgu Warszawa. O Okręgu Warszawa decydował Monter. Monter otrzymywał pewne wskazówki od Radosława czy od Nila, tak jak poprzednio, ale nigdy nie było to bezpośrednio. Ja z nim spotykałem się prywatnie; od czasu, jak poznaliśmy się w pewnym towarzystwie, nasze stosunki nie były stosunkami przełożonego i podwładnego. Dlatego ja, jako szef

Kedywu Okręgu Warszawa, od niego nigdy żadnego rozkazu nie otrzymałem; mówiliśmy o różnych sprawach zupełnie innego pokroju.)

Do czasu powstania, przy pomocy moich przyjaciół, którzy nie wiedzieli o co chodzi, pozakładałem kilka punktów konspiracyjnych. Mianowicie szwalnię dla kobiet wybierając dwie zaufane łączniczki, które wprowadzone przeze mnie zaagitowały dwie swoje koleżanki. Wynajęliśmy pokój, zgromadziłem materiały lniarskie, zakupiłem nici, dwie maszyny, czyli był przygotowany punkt naprawy bielizny.

Następnie był punkt drugi, bardzo ważny. Stworzyliśmy mianowicie bardzo dobrze przygotowany, zewnątrz ubogo wyglądający, punkt naprawy samochodów. W tym punkcie naprawy samochodów były specjalnie przygotowane przez zaufanych fachowców z AK, fachowców od skrytek, dwie ściany zasłonięte płytami pancernymi, nierozpoznawalne, a usuwane przy pomocy odpowiednio przygotowanego przycisku. Z frontu było przygotowane miejsce do naprawy, wykopano jamę [kanał] do czyszczenia samochodów, przygotowano małe warsztaty.

Trzecim punktem był warsztat stolarski. Znalazłem zaufanego stolarza, którego znałem jeszcze kiedy wyrabiał i przygotowywał mi skrytki w moich punktach mieszkalnych i archiwalnych. Przez te trzy czy prawie cztery lata pobytu w Warszawie poznałem go jako człowieka gorąco oddanego sprawie polskiej, sprawie niepodległości, zdecydowanego wroga komunizmu. Dałem jemu specjalne upoważnienie do zaangażowania człowieka do pracy, ale pod jednym warunkiem, że ten człowiek nie będzie nic wiedział o konspiracji; tak jak ten z warsztatu samochodowego miał również prawo angażować, ale tylko jako robotnika pomocniczego, a nie wtajemniczonego w konspirację.

Nil ustalił, że chce być wozakiem. Wobec tego znalazłem odpowiedniego furmana, również z moich podopiecznych czy podkomendnych, chociaż tego słowa nie lubię, zakupiłem wóz ładowny, ciężarowy i dwie pary koni. Znaleźliśmy stajnię. W tej stajni umieszczono konie, no i oczywiście odpowiednio zaopatrzone je w paszę, itd.

Prace te były gotowe już mniej więcej w połowie lipca [1944 r.]. W tym czasie rozmawiałem jeszcze z Nilem, kiedy już wiadomo było, że zbliża się okres Powstania, a nie wiadomo było jeszcze jak, gdzie, kto, po jakiej stronie frontu się znajdzie. Uzgodniliśmy z Nilem, że nasze najbliższe spotkanie odbędzie się albo w Krakowie, albo w Częstochowie.

Nil wysuwał początkowo jako punkt spotkania Piotrków Trybunalski, ale to zostało przez nas odrzucone. Punktem często-

chowskim było mieszkanie mego brata, Kraków — szpital, bodajże na ul. Kopernika [dziś już nie pamiętam]. Tam mieliśmy się spotykać jako, że Nil przez swoje dawne stosunki krakowskie miał jakiegoś znajomego lekarza czy znajomą pielęgniarkę, pracującą w tym szpitalu.

[*spisane z taśmy*]

(Nil miał być w sztabie jako ukryty doradca. Zwłaszcza jak ze mną rozmawiał, w sprawie pewnych poszczególnych akcji, gdzie uderzać, jak uderzać, co zdobywać itd. Nie miał już być, jako Nil, tylko jako człowiek cywilny bo, — jak mówił — „nie będę nigdy podczas Powstania w mundurze wojskowym. To jest bardzo ważna sprawa”. Nil zawsze chciał być tylko cywilem, realizował koncepcję Grota [Stefan Rowecki], ucywilnienia organizacji podziemnej na wypadek wejścia Sowieci. Nil uważał, że jeżeli jego organizacja podziemna, którą miał tworzyć, będzie pracowała przy pomocy sił wojskowych i na nich będzie oparta, to wojskowi wskutek swoich manier, postawy, przyzwyczajzeń itd., prędzej czy później doprowadzą do rozszyfrowania organizacji, która miała w Polsce okupowanej posiadać maksimum 400 ludzi na cały kraj. Maksimum, powtarzam, czterystu ludzi. Nil był przeciwny przyjmowaniu nie tylko wojskowych, [choć] wiedział, że niektóre grupy muszą ich werbować, ale przede wszystkim był przeciwny przyjmowaniu do organizacji ludzi rozpoznanych, rozszyfrowanych już podczas Powstania. Dlatego, jak się dowiaduję, późniejsze mówienie, że Radosław był wciągnięty do organizacji „Nie” przez Nila, jest jakąś dziwną pomyłką.

[*w dalszej części tekstu*]

Natomiast ani razu, stwierdzam kategorycznie, Radosław w Częstochowie nie widział się z Nilem).

Było to moje ostatnie widzenie się z Nilem aż do czasu popowstaniowego. Nilowi zdałem raport i sprawozdanie. Muszę tu przyznać, że nie składałem żadnej przysięgi, nie było żadnej przysięgi. Nil ode mnie tego nie wymagał, ja również nie wymagałem, bo nie miałem żadnych danych, żeby wymagać ani nie znałem roty przysięgi. Jest to bardzo ważna sprawa, jeżeli się potem pojawią [wypowiedzi], że były jakieś przysięgi.

Skończyło się Powstanie. Poszukiwałem Nila, nie było go w Śródmieściu. Zrozumiałem, że jest poza obrębem Powstania, nie tyle poza Warszawą, tylko w jakiejś dzielnicy [nie objętej Powstaniem].

Po Powstaniu i spotkaniu z Nilem, a właściwie po spotkaniu się u tej pani, u której Nil mieszkał na ul. Kazimierzowskiej, dowiedziałem się że Nil zachorował bardzo ciężko na czerwonkę. Cierpiał bardzo, był całkowicie osłabiony, prawie nie mógł się poruszać. Znajomi lekarze z tego rejonu starali się go ratować. Nil był w tym czasie zatrzymany w areszcie przy przeglądzie przez Niemców mieszkań i zaprowadzono go na teren bliskich koszar przy ul. Rakowieckiej. Tam miano wysłać go do obozu. Osoba, u której mieszkał mówiła, że Nil wyglądał w tym czasie na zrujnowanego starca. Nie golił się, robił wrażenie opuszczonego człowieka. Udało się go zwolnić i przy wysiedlaniu tej części Mokotowa Nil został wywieziony. Zamieszkał w końcu w Podkowie. (Podkowa Leśna Zachodnia k. W-wy).

Nil powoli powracał do zdrowia i zaczął stopniowo nawiązywać kontakty. Po raz pierwszy, bodajże około listopada [1944 r.] dowiedziałem się, będąc już w Częstochowie u brata, że Nil jest w Podkowie. Udałem się wówczas do Podkowy Leśnej i udało mi się dość szybko dotrzeć do Nila i namówić go, by przeniósł się w obręb Częstochowy, co później zostało przez niego uskutecznione.

Przygody Nila w tym czasie były bardzo dziwne. [W Podkowie Leśnej] cudem uniknął wyprowadzenia i rozstrzelania, a mianowicie w domu, w którym mieszkał, zamieszkało paru młodych ludzi, jak się potem okazało partyzantów leśnych. Niemcy skądś się o tym dowiedzieli, otoczyli dom, składający się z parteru, piętra i stryszka. Partyzanci uciekli. Nim Niemcy doszli [na piętro], osoba z którą Nil wówczas mieszkał, ta sama z którą mieszkał w Warszawie, wpadła na doskonały pomysł; mianowicie był pusty kosz i do tego kosza Nil się położył. Na koszu tym położyła ona wielką stolnicę do mieszania ciasta, nasypała szybko mąki, rozbiła jajko i zaczęła gnieść ciasto. Wpadli gestapowcy czy żandarmeria, nie jestem pewny tego, zaczęli tarmosić tę kobietę, gdzie są partyzanci. W sąsiednim pokoju leżała dziewczynka, która niosąc niedawno zupę dla Nila i dla matki upadła, rozbiła sobie nos i była obwiązana mocno chustką, która to chustka pokazywała już ślady krwi. Niemcy jakoś rozczulili się tym dzieckiem, a nawet je pogłaskali i opuszcili szybko kuchnię, udając się na górę, na stryszek. W końcu wyszli, nikogo nie znaleźli. Domyślili się, bo między sobą mówili, a ta pani rozumiała po niemiecku, i pokazywali którądy ci musieli uciec. Nil został wreszcie wypuszczony z kosza. Jak mi o tym później opowiadał, śmiałem się że we włoskich komediach *dell arte* były podobne sytuacje.

W rozmowach Nila ze mną nadal opracowywaliśmy plany

„Nie”, nadal było zagadnienie bardzo ważne, co robić. Trzeba dodać, że po upadku Powstania udało mi się dowiedzieć od ludzi, którzy mieli prawo dojazdu do Warszawy i którzy wywozili stamtąd pewne rzeczy, że dwa moje punkty, mianowicie punkt na Żoliborzu [szwalnia] i punkty w Śródmieściu — na ul. Pańskiej czy Towarowej [stajnie], zostały zniszczone. Co się stało z końmi, nie wiedziałem. Kiedy udało mi się wpaść do Warszawy w marcu 1945 r. i doszedłem na to miejsce, stajnia była rozwalona, śladów koni nie było. Nie spotkałem już więcej ani furmana, który zajmował się końmi, ani tego, który zajmował się stolarką, ani tego, który zajmował się zbudowaniem warsztatu naprawy samochodów. Spotkałem natomiast tylko jedną dziewczynę z tych szwaczek, z tzw. przybranych szwaczek, która opowiadała mi, że punkt utrzymał się, ale po zajęciu Żoliborza przez Sowiety został całkowicie obrabowany.

Wobec ówczesnego stanu zburzonej Warszawy, sprawa jakiegokolwiek odbudowy punktu w Warszawie musiała być całkowicie zawieszona. Nil marzył, żeby jak najszybciej zbudować punkty w Krakowie i pewny punkt w Częstochowie; tak samo, żeby udać się do Łodzi.

Te punkty, które opracowałem były, jakby to powiedzieć, niezbyt dobre, tak mi się wydawało. Punkt w Krakowie, bodajże na ul. św. Sebastiana, udało mi się odbudować w podobny sposób, jak punkt wspomnianych szwaczek. Uważałem, że to będzie bardzo dobry punkt dlatego, że chodziło mi przede wszystkim o stworzenie jak najszybciej sieci łączności. W Częstochowie dzięki dawnej pomocy (byłem wówczas szefem T.O.W. na Częstochowę) w r. 1940, mego bratanka „Żbika” [Zdzisław Zajdler], który zginął w [maju] 1944 w akcji bojowej w Kedywie [Okręgu] Warszawa; dzięki pomocy drugiego bratanka Zygmunta znalazłem jedną z Jego sympatii. Skierowała mnie ona do swego ojca, człowieka około pięćdziesięcioletniego. Z tego co mogłem się dowiedzieć, był to człowiek godny pełnego zaufania.)

Powiedziałem jemu wówczas, że chcemy tutaj zostać, ukrywać się na wypadek okupacji. Zarówno w Częstochowie, w Łodzi i w Krakowie, bo w Łodzi potem również założyłem — nikomu nie mówiąc, że ma to być organizacja — jakby pewnego rodzaju punkty przechowania, oparcia, zarobków itd.

Muszę podkreślić, że wobec nikogo z wprowadzonych do mnie do pracy zarówno na terenie Warszawy jak na terenie tych trzech miast, nigdy nie było używane słowo organizacja „Nie”.

Ciekawa rzecz, kiedy mówiłem z Nilem, kiedy padało słowo „niepodległość”, „niezawisłość” itp., Nil mówił: „Słuchaj, będziemy używali nazwy 'Nie' — Nie zgadzamy się!” Zupełnie

inne podejście — „Nie”. I to było bardzo charakterystyczne, jak później zaczęły się pojawiać „Niepodległość”, „Niezawisłość” i tym podobne rzeczy.

Nil wracał do sił i wyjeżdżał na spotkanie z Okulickim do Piotrkowa oraz na spotkanie w Krakowie. Kiedy wracał powiadał mi co załatwił. Była to bardzo ważna sprawa, bowiem Nil cały czas zajmował się raczej wyszukiwaniem ludzi, raczej ich poszukiwaniem. Ja natomiast również szukałem ludzi, chwilowo w oparciu o bazy. Każdą kandydaturę omawiałem z Nilem. Nil nie wprowadzał mnie w nazwiska czy w pseudonimy, czy w ludzi których on wynalazł, podawał mi tylko w każdym punkcie dwa, powiedzmy, pseudonimy, dwa hasła, dwa dobre adresy na wypadek, gdyby była potrzeba zająć się po wpadce Nila. Było to wspaniałe dochowanie tajemnicy, wspaniałe, jakby to powiedzieć, zabezpieczenie organizacji przed gadulstwem, a równocześnie jakby ratowanie przyszłych aresztowanych, by za dużo nie gadali, by zbyt dużo nie wiedzieli, by za dużo nie powiedzieli w ewentualnym śledztwie.

Miałem kontakty na Łódź, oczywiście i na Częstochowę, to już była moja robota. W Krakowie potem punkty te odnalazłem. Nil podawał mi dwa nazwiska wprowadzające, dwa pseudonimy a nawet i nazwiska tych ludzi, do których miałem się ewentualnie zwrócić. Mówię to w dużym skrócie, bo każdy wie, co to znaczyło w tym czasie pojechać do Łodzi, do Krakowa czy gdzie indziej, czy wreszcie wybrać się pod Warszawę.

Kiedy w styczniu, bodajże 17 stycznia [1945 r.] Częstochowa została uwolniona od Niemców, poprosiłem Nila o urlop. Udałem się do Radomia, gdzie mieszkała moja rodzina. Zastałem ją całą no i oczywiście tam znalazłem pewne punkty zabezpieczenia, korzystając z pomocy wielkiej mojej przyjaciółki, dyrektorki gimnazjum, pani Jadwigi Cyrańskiej, zmarłej w bieżącym roku. Pani Jadwiga przyrzekła mi też przygotować kilka czy dwa inne punkty, o które można było oprzeć się w pracy.

Powoli organizacja „Nie” nabierała pewnych zrębów, jakby rysunek czy szkic nabierać zaczął pewnej krwistej barwy. Widać było, że organizacja jeszcze nie działa, kompletnie nic nie zrobiła, natomiast w rozmowach z Nilem opracowywaliśmy formę propagandy. Miała ona polegać na tym, że będziemy wydawali ulotki. O gazetkach nie było mowy, Nil uznał je za niepotrzebne. Częstotliwość ulotek uważał za bardzo ważną rzecz; chodziło o to, aby nie było kolporterów, żeby ulotki nie były przeznaczone dla kogoś, podawane komuś pod specjalnym adresem, natomiast żeby były zaczepiane na płotach, czy na drzewach, czy wrzucane do skrzynek, czy rozwieszane na schodach. Nie było nigdzie adresatów, odbiorców imiennych, cała propaganda

miała być bezimienna. O innych sprawach nie czas jeszcze mówić i sądzę, że nie szybko będzie można o tym powiedzieć.

Jest dla mnie sprawą niejasną, że późniejsze oświadczenia podają o tym, jakoby Nil rozmawiał z tą czy jakąś inną osobą. Być może — nie mogę temu zaprzeczyć, natomiast wiem bardzo dobrze, że Nil uważał, iż niektóre osoby nie mogą należeć. Nie tylko, że może nie miał zaufania — bo i ten czynnik grał rolę — ale że były one zbyt wysoko, zbyt daleko, czy raczej zbyt głęboko zdekonspirowane. Dlatego też nie wiem i nie mogę zrozumieć, bo wiem że taka sprawa do mnie doszła — na jakiej podstawie Radosław po wpadce Nila mówił i wciągał ludzi do „Nie”.

[fragmenty dalsze tekstu]

Nil wyraźnie podkreślał, że nikomu nie wolno mówić [o „Nie”]. Ja tylko z Nilem omawiałem sprawę „Nie”, z nikim innym. Jedyny człowiek, który wiedział, że jestem w „Nie” to Monter, ale to było jeszcze przed Powstaniem. Monter pomógł mi w organizacji, dał mi pewne fundusze na założenie, dał mi również pewną ilość broni, która została zakopana przy likwidacji Powstania. Broń ta została zresztą zasypana, bo dom ten został zburzony i tej broni już się nie znalazło. To jest jedna ważna sprawa.

Po aresztowaniu Nila: [Inni] nie wiedzieli nic o tych grupach, które Nil razem ze mną wciągnął, tzn. ja znałem dojście do tych grup, które Nil tworzył. Nie było mowy z nikim, nigdy mnie nikt nie zapytał co było, jak było, co pan zorganizował itd. Przypuszczam, że Nil tak głęboko zachowywał dyskrecję, że poza Monterem, z którym była rozmowa, nikt nie wiedział o mojej działalności.

[O aresztowaniu Nila 7 marca 1945 r. i wywiezieniu jest mowa w „Rok 1945”. Aresztowanie Nila było ogromnym wstrząsem.]

Stało się tak, że po aresztowaniu szesnastu — Nil już był wzięty — nie było z kim rozmawiać. Kontakty, które ja nawiązałem z wskazanymi przez Nila okazały się niedostatecznie przygotowane.

Trzeba było powoli zawieszać działalność „Nie”. Tam gdzie mogłem dotrzeć, zawieszałem tę działalność, tzn. nie rozwiązywałem „Nie”, tylko mówiłem, że chwilowo zostaje wstrzymane, bo nie wiadomo jeszcze jak się historia nasza potoczy, nie wiadomo co będzie działo się na terenie naszej Polski po rozwiązaniu A.K. Były *quasi* pogłoski, boję się mówić czy już były wiadomości czy pogłoski, o powstaniu Delegatury.

Przegraliśmy sprawę uwolnienia Nila i w tym momencie również, co tu dużo mówić, trzeba się przyznać, jakby to powiedzieć bardzo przenośnie, tak jakby jakaś mgła rozwiewała się sprawa „Nie”. Ono nie było rozwiązywane, nie powiadano... Gdzieśgdzie, gdzie przyjechałem, ludzie nic nie wiedzieli, wypierali się, nie chcieli się przyznawać i powoli sprawa „Nie” całkowicie rozwiązała się, to chyba dzisiaj najlepsze powiedzenie.

Kiedy Nil wrócił i spotkałem się z Nim, oczywiście sprawa już była nieaktualna dlatego, że zbyt dużo ludzi było aresztowanych. Ja byłem całkowicie zdekonspirowany, już po aresztowaniu, po procesie itd.

Czy „Nie” coś zrobiło? Mam wrażenie, że nie dokonało żadnej akcji. Sądzę, że „Nie” było *in statu nascendi*, tzn. ramy organizacyjne, jak już poprzednio mówiłem, były już gotowe, krew napływała do żył „Nie”, ale cała robota miała się dopiero zacząć po zajęciu Polski przez władze sowieckie, tzn. praca miała ruszyć dopiero po zdobyciu Warszawy przez Sowiety, po, nazwijmy to tak pięknym terminem — ale nieodpowiadającym prawdzie — wyzwoleniu Częstochowy i dalszych ośrodków. Na Śląsk nie doszliśmy zupełnie, tak samo jak nie doszliśmy zupełnie na Ziemię Wschodnie. Było to jeszcze niemożliwe w tym czasie.

Jak o Nim [Nilu] mówię, to muszę powiedzieć, że nie potrafię odróżnić jego jako dowódcy i jego jako człowieka, bardzo mi bliskiego przyjaciela. Nigdy nie odczułem u niego, że jest moim szefem. Było to po prostu nie do pomyślenia. Jego wszelkie rozkazy, zalecenia czy polecenia były wydawane w formie jakby konkluzji naszej wspólnej rozmowy: „Co pan sądzi?”, a potem „Co ty sądzisz?” itd.

Muszę powiedzieć, że zacząłem uwielbiać Nila. Mój stosunek do niego — jakiejś wielkiej po prostu czci i oddania — rósł z dnia na dzień. Dziś jeszcze wspominam sobie jego przyjazdy do mnie do Milanówka, kiedy Nil siedział całymi dniami u mnie i wypijał dziennie po kilkanaście filiżanek kawy. Nie wiem, jak to jego serce wytrzymywało. Nil był zawsze tym człowiekiem, do którego można było się z każdą najdrobniejszą sprawą odnieść, człowiekiem na którym można było polegać jak na opoce. Nie znam ludzi z A.K. — pomijam bohaterów którzy zginęli, którzy oddawali życie, bo tego nie można porównywać — ale ze sztabu dowódczego, ze sztabu Głównej Komendy... (na tym urywa się nagranie — *Red.*)

WSPOMNIENIA

Ołeh PUSZKAR

SPOTKANIA UKRAIŃCA Z POLAKAMI W ŁAGRZE STALINOGORSKIM (Wyjątki wspomnień zatytułowanych „Tryptyk łagiericzny”)

W podartej kufajce, porwanych watowanych spodniach, wypłowiałej budionówce o spuszczonych uszach na głowie, podpasany drutem miedzianym, na którym wisiał kociołek, w podartych starych kaloszach, wetknąwszy gołe ręce w niewielkie kieszenie kufajki, a wzrok utkwiwszy w zmarzłą grudę drogi, szedłem w kierunku Stalinogorska*. Za mną co najmniej przepiśsowych sześć kroków z tyłu szedł konwojent, który poszczekiwał od czasu do czasu: *Dawaj bystrzej!* 31 grudnia 1946 roku. Gdzieś tam w bardzo dalekim ode mnie świecie ludzie szykowali się do przywitania kolejnego powojennego Nowego Roku, co mi wtedy nawet nie przychodziło do głowy. Środek zimy podmo-skiewskiej. 20 czy może 25 stopni mrozu. (...)

Kręciliśmy się ulicami brudnego, zadymionego i smutnego miasta. Ludzie w łachmanach niewiele lepszych od moich. Niektórych przechodniów mój konwojent pytał: Którędy do Południowego Stalinogorska? W końcu wyszliśmy z miasta i

* Stalinogorsk nazywa się od 1961 r. Nowomoskowsk (ponad 40 kilometrów na południowy-wschód od Tuły).

szliśmy gościńcem do góry. Prawie na samym wzgórzu zobaczyłem dobrze znane strażnicze wieże łagru. Dalej drut i strefa między liniami drutów. Przepisowe trzy rzędy.

Doszlśmy do przejścia. Łagier ten okazał się miejscem mego przeznaczenia. Oficer dyżurny w *prachadnoj* podpisał memu konwojentowi *bumazkę* na dowód, że mnie przyjął.

W międzyczasie dyżurny krzyknął komuś tam przez drzwi, żeby zawołał Waszczeniuka. Po jakimś czasie przychodzi polski porucznik w oryginalnej rogatywce z gwiazdkami, tylko bez pasa przy płaszczu oficerskim. Okazało się, że to był właśnie ten Waszczeniuk. Oficer dyżurny kazał mu gdzieś mnie umieścić. Wyszliśmy z Waszczeniukiem na zaśnieżony plac łagru i on mnie pyta: „Skąd pan jesteś?”. „Z Warszawy” — mówię. „Polak!” — powiedział, nie tyle pytając, co stwierdzając fakt. „Nie, Ukrainiec” — odpowiedziałem. Waszczeniuk zdawał się zawiedziony i dalej prowadził mnie w milczeniu, a więc ja nawiązałem rozmowę. „A pan skąd jesteś?” — spytałem go w taki sam sposób jak on mnie, choć ten „pan” wydawał mi się w tych okolicznościach archaicznym, dalekim, nienaturalnym słowem. „Z wileńskiego AK” — odparł dumnie. „A co to jest to AK?” — pytam go, bo nigdy o czymś takim nie słyszałem. „Akcja Katolicka — powiedział, uśmiechając się ironicznie. — Pewno dawno już pan z Warszawy wyjechał, kiedy nie wie, co to jest AK”. Dopiero później dowiedziałem się, że żartował, bo AK to skrót od „Armia Krajowa”.

Doszlśmy już do baraku i Waszczeniuk nie zdradzał ochoty do dalszej rozmowy ze mną, powiedział tylko: „Wejdzie pan do środka i pójdzie na sam koniec baraku na prawo. Tam leżą wasi, to panu zrobią miejsce”. Tak też zrobiłem. W środku była jedna wielka sala z gęsto roztawionymi piętrowymi pryczami. Na każdej było miejsce na dwie osoby na górze i dwie na dole. Chociaż było tu cieplej niż na dworze, ale jednak zimno. Łagiernicy byli ubrani w co kto miał. Widać było dużo polskich mundurów, zdarzały się też węgierskie i rumuńskie.

Naszych chłopców poznałem też po ubraniu, takim, jakie było w naszym *Gosprowierocznym Filtracjonnym Łagrotdienijju* (Oddziale Filtracyjnym Obozów Kontroli Państwowej w Stacji Uzłowej). I rzeczywiście wkrótce po przywitaniu się i zapoznaniu okazało się, że wszyscy są byłymi żołnierzami naszej dywizji. Wszyscy pracowali w kopalniach węgla i siedzieli w takich łagrach jak ja w okolicach Stalinogorska i Uzłowej. Wszyscy mieli jeszcze jedną wspólną cechę, która w końcu wyjaśniła mi, dlaczego tutaj trafiłem. Mianowicie pochodzili z terenów, które po uzgodnieniu granicy sowiecko-polskiej przypadły Polsce. A więc byli to przemysłanie, jarosławianie, chłopcy z zachodniego

Rawskiego i z Łemkowszczyzny jak również tacy jak ja — z Polski centralnej. W pierwszej chwili świadomość, że uznano mnie za cudzoziemca (bo, jak się okazało, umieszczono mnie w *Piątym Łagrotdzielaniu dla Inostrancew w Jużnom Stalinogorskie* (Piątym Oddziale dla Cudzoziemców w Południowym Stalinogorsku), natchnęła mnie nadzieją. Nie będą mi mogli przypiąć łatki zdrajcy ojczyzny, będę tylko jeńcem wojennym.

O Waszczeniuku dowiedziałem się, że jest naczelnikiem z ramienia jeńców w *łagrotdzielaniu*, mianowanym na to stanowisko przez prawdziwego naczelnika *łagrotdzielania*, kapitana NKWD, i że trzeba przy nim uważać, bo jest donosicielem. Wszyscy nasi chłopcy byli tu od kilku dni, ale już się zorientowali, że łagier jest bardzo głodowy, bardziej niż nasze łagry górnicze. Jest wielu opuchniętych i nie ma dnia, żeby ktoś nie przeniósł się do wieczności. Ze wszystkich łagierników, których jest około 500 osób, tylko 40 nadaje się do pracy. Do tego trzeba dodać drugie tyle osób z naszej dywizji, które dopiero co przybyły z kopalni i są w lepszym stanie fizycznym. Tu się pracuje nie w kopalni, tylko w zakładzie fenolowym i w GREZ-ie (elektrowni). W pomieszczeniach jest zimno, bo nie ma skąd zdobyć opału. Wszyscy mają przeziębione pęcherze moczowe i wielu robi pod siebie w nocy. Ci zdrowsi, co przez sen nie siusiąją, śpią na górnych pryczach, żeby nie obsusiać kolegów na dole, ale na dole już nie starcza miejsc. Ja miałem jeszcze pęcherz w porządku i dostałem miejsce na górnych pryczach koło Stanisława Cikady, przemysłanina. (...)

Odsyłając tych chłopców tutaj z innych łagrów mówiono im, że odsyła się ich do domu, do Polski. Nie wierzyło się w to, ale małeńki ogienek nadziei gdzieś się tlił wewnątrz. (...)

Zacząłem się rozglądać po łagrze. Cztery wysokie, smukłe wieżyczki strażnicze ze zwyczajnego okorowanego drewna wznosiły się nad wszystkim jak w każdym łagrze. Łagier ciągnął się wzdłuż gościńca biegnącego ze Stalinogorska gdzieś na południe i chowającego się gdzieś za zaśnieżonym, zmrożonym wzgórzem. W południowej części łagru był barak dla personelu dowódczego. A więc oddział operacyjny, dokąd prowadzono na przesłuchania, i jednostka sanitarna, przed którą przestrzegano, żeby do niej nie chodzić, bo jak pójdziesz raz i zostawia cię w łagrze, to klops — nie ma możliwości wyjścia do pracy, a więc nie ma możliwości zagrzania się bodaj raz na dzień, zdobycia czegoś do jedzenia czy ukradzenia czegoś. Wtedy pisz się za straconego. Niedaleko drutów i wieżyczki strażniczej był wychodek dla personelu. Wartownik oprócz *zony* pilnował, żeby nikt inny do niego nie chodził. Dalej był jeden barak z łagiernikami, teraz zwanymi *inostrancami-wojennoplennymi*. Za nim stolówka z kuch-

nią, gdzie było najprzyjemniej, głównie, kiedy się brało przy okienku zupełny wrzątek, bo z kuchni buchało upragnione ciepło. Dalej był największy barak z jeńcami, w którym miesciliśmy się i my. Wejście do nas było najdalej od kuchni, bo od jednej strony wchodziło się do pokoju kobiecego. Kobiet w naszym łagrze było kilkanaście, a może kilkadziesiąt. Były to Polki z AK oraz niemieckie, węgierskie i rumuńskie pielęgniarki i telefonistki wojskowe. Przy ich baraku był domówany jedyny w łagrze budynek z cegły: karcer i wychodek damski.

Za naszym barakiem był plac, jakby miejsce na dalsze baraki, który przecinała wydeptana w śniegu ścieżka z odwalonym na obie strony śniegiem. Obie strony były dokładnie obsiutane, tym mniej, im bliżej do latryny łagru. Nie wolno było siusiać na dworze pod groźbą karceru, bo do tego przeznaczona jest ubikacja, ale mało kto potrafił dobiec do latryny. Prawie każdy po drodze siusiał w biegu.

Tak przeszedłem tego dnia cały łagier, a kiedy zszedłem do latryny, spojrzałem za druty. Dzień był mroźny, ale wyjątkowo słoneczny, powietrze przezroczyste, jakiego nigdy nie widziałem w Stancji Uzłowej. Z góry widać było chyba całe miasto Stalinogorsk. Setki wysokich przemysłowych kominów. Choć buchał z nich dym, tego dnia piał się on wysoko w górę, nie zasłaniając panoramy miasta. Dziesiątki olbrzymich żelazobetonowych chłodni przemysłowych, niekończące się grube rurociągi w powietrzu nad ziemią.

Ogarnął mnie strach. Dodałem do tego przemysłowego krajobrazu miliony darmowych robotników i pomyślałem: „Kiedy dadzą im dziesięć lat spokoju, to nie będzie siły, żeby ich pokonać”.



Jak już wspomniałem, było nas w tym łagrze około 500 osób. Niektórych odwożono na cmentarz, innych dowożono z innych łagrów czy więzień. Była to szara, chora masa, wiecznie zmarznięta i głodna. Jeżeli nie skłócona ze sobą, to tylko dlatego, że już i kłócić się nie miała siły. Sami ludzie-cienie. Na szczęście nie było między nami żadnych obywateli sowieckich, bo wszyscy mieli już doświadczenie z innych łagrów, że Sowietci, będąc bardziej przystosowani do życia łagierniczego i czując się pewniej w łagrze, lubili wykorzystywać fizyczną i psychiczną słabość innych współmieszkańców tego nieszczęsnego zbiorowiska.

Zaczynał się najbardziej głodowy rok z powojennych lat w Sojuszu, spowodowany nieurodzajem, rok 1947. Enkawudyści tłumaczyli ten głód tym, że wyzwolili od faszystów masę zagło-

dzonych narodów, którym muszą pomagać, i dlatego sami nie mają co jeść. Anemicznym, bladym, zmarzniętym i głodnym łagiernikom nic więcej nie pozostawało jak do maksimum skulić się samemu w sobie, naciągnąć wszystko, co możliwe, na siebie i czekać na dzień następny: czy przyjdzie, czy nie.

Znaczną większość łagierników stanowili Polacy, przeważnie, a może nawet wyłącznie AK-owcy. Było między nimi też kilka dziewcząt. Ta polska większość pewnie zaważyła na tym, że Sowieci wszystkie ważniejsze stanowiska w łagrze obsadzili byłymi oficerami polskimi. Chodzili oni w swych mundurach oficerskich, nawet w niezłym jeszcze stanie, z czego należałoby się domyślać, że siedzą w łagrze od niedawna i nie zdążyli się za bardzo napracować. Oficerów było chyba więcej niż szeregowych AK-owców.

Jak już wspomniałem, naczelnikiem *łagrotdzielni* był oficer Waszczeniuk — nie pamiętam, jakiej rangi¹. Miał kilka gwiazdek na naramiennikach. Jego nazwisko zapamiętałem sobie, bo brzmiało z ukraińska², a prócz tego później spotkałem to nazwisko wśród członków rządu polskiego. Kiedy miałem możliwość, przyglądałem się, czy to nie ten sam, z którym siedziałem w łagrze, ale ostatecznie go nie poznałem. A wszystko jest możliwe, bo inni AK-owcy już w łagrze przepowiadali Waszczeniukowi karierę komunistyczną i uprzedzali, że trzeba się go bardzo wystrzegać niż enkawudystów.

Również w tym łagrze siedział porucznik Jabłoński, a to samo nazwisko nosił potem członek rządu polskiego, również były oficer AK. I wiek by odpowiadał, ale nie mogłem poznać, czy to ten sam³. Twarze łagierników zatarty mi się w pamięci, może dlatego, że wszyscy byli jednakowo bladzi i ponurzy, pozawijani w różne łachmany, nawet ci w eleganckich rogatywkach. Porucznik Jabłoński nie pełnił w łagrze żadnej funkcji. Przyjaźnił się z kapitanem Górskim. Oba pamiętam z tego, że bardzo życzliwie odnosili się do nas, Ukraińców. Lubili ze mną rozmawiać, choć byłem od nich znacznie młodszy.

Kierownikiem kuchni był podporucznik Przerwa, który potem został awansowany (jeżeli z takiej posady w łagrze można pójść jeszcze wyżej) na zastępcę Waszczeniuka i raz mi się mocno naraził, o czym napiszę w innym rozdziale. Na jego

1. Powyżej autor napisał, że Waszczeniuk był porucznikiem. — B.S.

2. Było to prawdopodobnie nazwisko białoruskie z Wileńszczyzny. — B.S.

3. Autor ma pewnie na myśli Henryka Jabłońskiego, ale nie mógł to być on. H. Jabłoński spędził wojnę we Francji, w 1945 r. wrócił do kraju, od 1946 r. był profesorem historii w Akademii Nauk Politycznych w Warszawie itd. — B.S.

miejsce kuchnię przejął też AK-owiec Kujaszewski, którego pamiętam z tego, że każdą rozmowę zaczynał od zwrotu: „E, stary...”.

Z polskich oficerów przypominam sobie jeszcze porucznika Jasia (nazwiska jego nigdy nie znałem). Znalazł on gdzieś wielką kość, nie wiem, z jakiego zwierzęcia. Kiedy komuś udało się zdobyć kilka patyków i rozpaść w piecyku, to on się wpraszał do niego z tą kością, żeby pozwolił mu ją ugotować. Wiele razy tę kość gotował i gorący „rosół” dokładnie wypijał. Pewnie bardziej mu zależało na tym, żeby być najbliższym piecyka, ciasno obstawionego w takich wypadkach, kiedy palił się ogień, bo zdarzało się to tak rzadko.

●

Raz wychodzimy na plac i ustawiamy się w szyku przed *prochodną*, zaraz za polską brygadą, która pracuje w elektrowni. Jakies zamieszanie, bo brygada do tej pracy musi mieć określoną ilość ludzi, a tam ktoś zachorował, i jednego im brakuje — konwój bez niego nie chce przyjąć brygady. Kompletowaniem brygad zajmował się wtedy podporucznik Przerwa, zastępca Waszczeniuka. Postanowił on, że brygadzysta brygady AK-owskiej Staszek powinien sobie dobrać na miejsce tego brakującego jednego z naszej brygady. Staszek wybrał mnie. Nie wiem, czym się kierował. Może myślał, że jestem najsilniejszy, bo byłem najwyższy. Było akurat na odwrót, bo byłem chyba najslabszym fizycznie. Wszyscy inni, chłopscy synowie, byli bardziej przyzwyczajeni do pracy fizycznej i byli lepszej budowy fizycznej. Oczywiście przez nasze łachmany można było poznać tylko, kto jest jakiego wzrostu. A może Staszek wiedział, że jestem z Warszawy, i zdawało mu się, że lepiej będę pasował do polskiej brygady.

Skreślono mnie z grupy Zakład Fenolowy i dopisano do *kamandy GREZ* — już z nową brygadą siadałem na amerykańskiego Studebakera, którym wożono do pracy *kamandę GREZ*. Przejechaliśmy w poprzek całego Stalinogorska, a raczej przebił się między zwalami czarnego od sadzy śniegu.

Elektrownia okazała się wielkim kombinatem. Sześć pasm torów kolejowych w budynku, na które wjeżdżały pociągi przeważnie z 60-tonowymi, a rzadziej 40-tonowymi wagonami, każdy po 10-12 wagonów. Pomiędzy torami i po obu stronach na zewnątrz był ruszt stalowy, którym węgiel sypał się do silosów. Szedł dalej transporterami do młynów kulkowych, a stamtąd do kotłów. Smrodliwe i niesamowicie ryczące parowozy wtaczały transporty węgla. Podkładaliśmy kliny i, uzbrojeni w specjalne ło-

my, otwieraliśmy w wagonach dolno-boczne kłapy — i węgiel wysypywał się na ruszt. Drobny przechodził przez ruszt, ale gruby zostawał na nim; wtedy przychodziliśmy z wielkimi młotami i rozbijaliśmy węgiel, póki nie znikł z rusztu. W wagonach pośrodku pozostawał jeszcze grzbiet węgla, któremu dopiero łopatami trzeba było pomóc, żeby zechciał wysypać się na ruszt. Przez 8 godzin nasza 16-osobowa brygada rozładowywała 8-10 pociągów po 10-12 wagonów — w przybliżeniu 6000 ton węgla. Dobrze było, kiedy węgiel przyszedł suchy i nie zamarznięty, ale jak trafiły się wagony zamarznięte, to zanim porozbijaliśmy i wyładowaliśmy węgiel, namęczyliśmy się strasznie.

Staszek okazał się pierwszorzędnym poganiaczem. Sam wprawdzie też ciężko pracował. Wyspecjalizował się z Miciem w zamykaniu kłap wagonowych, a była to ciężka praca, i odprawiał puste pociągi. Okoliczne kopalnie czekały na puste wagony. Zdarzało się, pociągi spóźnią się czy utkną gdzieś po drodze i mamy chwilę odpoczynku. Siedzimy, rozmawiamy, grzejemy się, bo praca, choć pod dachem, ale zawsze była w zimnym przeciągu. Do ewentualnego odpoczynku mieliśmy ciepłe pomieszczenia, gdzie też zostawialiśmy narzędzia. Chłopcy przeważnie narzekali na Staszka, że goni do roboty i wysługuje się Rosjanom — nie lubili go. Wielokrotnie zapewniali mnie, że jak będą jechali do domu, wyrzucą Staszka w biegu z wagonu.

Choć z nikim specjalnie z tej AK-owskiej grupy się nie zaprzyjaźniłem, ale oni jakoś mnie polubili, bo byli wobec mnie koleżeńscy, życzliwi, nie tylko w pracy, ale też w łagrze. Mieszkaliśmy w tym samym wielkim pomieszczeniu i obok ich prycz musiałem przechodzić, kiedy szedłem na swoje miejsce. Bywało, zatrzymywali mnie, żeby porozmawiać, częstowali machorką. Ja wprawdzie na ogół nie paliłem, a swoją przydzieloną machorkę zamieniałem na chleb, ale kiedy mnie ktoś poczęstował, to i ja zapaliłem dla towarzystwa.

Raz tak sobie rozmawiamy i oni poczęstowali mnie machorką. Spokojnie sobie popalam, a tu wchodzi Przerwa. Zobaczył akurat mnie jednego, że palę, a w pomieszczeniach nie wolno było palić. Przerwa narobił krzyku i zdecydował, że zamknie mnie do karceru. Nie było żadnego odwołania, wlepił trzy doby i zaprowadził do murowanego karceru.

Okazało się, że karcer nie jest pusty. Już tam siedział Feig, Żyd rumuński, który bardzo się ucieszył, że nie będzie tu sam marzył, lecz będzie miał towarzystwo. Ja też miałem szczęście w nieszczęściu, bo nie musiałem sam siedzieć pod tymi gołymi, zimnymi ścianami na cementowej podłodze. W tym czasie był mróz gdzieś około 15-25 stopni, i gdybym sam siedział w tym karcerze, to bym się wykończył. Za co siedział Feig, nie wiem, a

wypytywać go nie chciałem, bo kto za dużo w łagrze się pytał, tego się uważało za donosiciela. Gdyby Feig chciał się zwierzać, to sam by mi powiedział. Dostał 10 dób od enkawudystów. Już przed moim przyjściem 6 odsiedział. Ale Feig miał pieniądze. Skąd — nie wiem. Przekupił miejscowego cerbera (tak nazywano tych, co wzywali na przesłuchania do NKWD), i ten przynosił mu na noc koc i siennik. Poza tym cerber palił w piecu sąsiedniego damskiego wychodka, a jedna ze ścian tego pieca była ścianą naszego karceru.

Dzięki Feigowi i pomocy opłacanego cerbera przesiedziałem ze trzy doby bez większych strat na zdrowiu. Większą część tego czasu my z Feigiem, zwinięci w jeden kłębek i opatuleni kocem, przeleżeliśmy na sienniku. Oczywiście tylko w nocy, bo w dzień cerber zabierał koc i siennik i wtedy przeważnie podpieraliśmy plecami nagrzaną ścianę wychodka. Zadaniem cerbera było też przynoszenie jedzenia mieszkańcom karceru: 400 gramów chleba i wrzątku. Jednak nam cerber zamiast wrzątku przynosił zupę, i to gęstsza niż normalnie dawano. Widocznie pieniądze Feiga miały i na to wpływ. Byłem przekonany, że i ja padłem ofiarą Feigowych pieniędzy, że Przerwa umyślnie mnie posadził do karceru — Feigowi do towarzystwa, żeby mu się nie nudziło i żeby mu było cieplej.

Po wyjściu z karceru już nie poszedłem do GREZ-u, tylko do swojej poprzedniej brygady transportowej, do przerzucania „trofeów” [z Niemiec] w zakładzie fenolowym. (...)

Gdzieś w połowie kwietnia [1947 r.] sensacyjna wiadomość: Polacy jadą do domu. Na apelu wyczytano około 200 osób, którym powiedziano, że jadą do domu. Jutro zmieniają im bieliznę. Kto ma podarte, brudne ubranie, temu zamieniają na połatane i czyste. Dadzą wałówkę na 10 dni. Kiedyśmy nazajutrz przyszli z zakładu fenolowego, już tych Polaków, których poprzedniego dnia wyczytano, nie było. Ale jeszcze gdzieś koło setki Polaków zostało, no i około czterdziestu Ukraińców, których zaliczono do obywateli polskich.

[Sam autor został wywieziony z tego łagru 5. V. 1947 r., ale nie do Polski, jak się spodziewał, lecz do innego łagru — w Kijowie.]

Ołeh PUSZKAR

Przetłumaczył z ukraińskiego *Bohdan STRUMIŃSKI*

NOTA BIOGRAFICZNA

Autor wspomnień, inż. Ołeh (Oleg) Puszkarski urodził się w Stanisławowie w 1924 r. W 1927 r. znalazł się w Warszawie. W 1926 r. jego ojciec dr praw Emil (Omalan) Puszkarski, został przeniesiony ze Stanisławowa do centralnej Polski. Przyczyna: był przewodniczącym Związku Ukraińskich Kolarzy w Stanisławowie, a wcześniej kandydatem na ministra komunikacji w niepodległym zachodnioukraińskim rządzie. W 1927 r. ściągnął do Warszawy rodzinę, ponieważ tu dostał pracę jako podrzędny urzędnik w Ministerstwie Komunikacji. Dzięki swoim nieprzeciętnym zdolnościom lingwistycznym (znał 10 języków obcych) i znajomości prawa awansował w krótkim czasie do stanowiska radcy ministerialnego w Departamencie Zagranicznym. Jako Ukraińiec nie mógł wyżej awansować, jednak cieszył się dużym autorytetem.

Po zabiciu ministra Pierackiego przez ukraińskie podziemie dr Puszkarski stwierdził, że jest inwigilowany. Obrażony, złożył wypowiedzenie z pracy. Twierdził, że nie może pracować w instytucji, która nie ma do niego zaufania. Został przeproszony, więc wycofał wypowiedzenie.

Po wybuchu drugiej wojny światowej ministerstwo ewakuowano, jednak dr Puszkarski dostał specjalne polecenie od wiceministra Piaseckiego. W wypadku zajęcia Warszawy przez Niemców miał przekazać Niemcom gmach Min. Komunikacji przy ul. Chałubińskiego. Jak twierdził wiceminister: „...by potem Niemcy również w porządku przekazali nam z powrotem ten gmach...”. Dr Puszkarski w I wojnie światowej był austriackim oficerem, więc wiceminister przywydywał, że to mogło mu ułatwić kontakt z Niemcami.

W czasie okupacji dr Puszkarski odmówił pracy w kolejnictwie, więc został eksmitowany ze służbowego mieszkania przy ul. Targowej 70 m. 118. Otworzył prywatne biuro tłumaczeń przy ul. Kapucyńskiej 3 m. 3, gdzie mieszkał. Było to duże mieszkanie z dwiema klatkami schodowymi. Kolega ojca z ministerstwa, inż. kolejnictwa Witold Gorayski, w tym czasie oficer AK, uznał to mieszkanie za względnie bezpieczne i tu sypiał w dzień, ponieważ w nocy, pod fałszywym nazwiskiem (chyba Dąbrowski), pracował jako nocny stróż w pobliskim archiwum przy ul. Długiej. Fakt, że posiadał nocną przepustkę miał bardzo ważne znaczenie dla konspiracji. Inny kolega, dr praw Bisaga (imienia nie pamiętam) też związany z AK, redaktor konspiracyjnej gazetki (po wojnie wyrzucony z *Życia Warszawy* z tego powodu), w mieszkaniu dr. Puszkarskiego wysłuchiwał audycji radiowych BBC i stenografował dla potrzeb redakcyjnych. (Zgodnie z wywieszonym na murach miasta *Bekanntmachung* — zawiadomieniem — wszyscy Polacy musieli oddać swoje radia, a mogli je zatrzymać tylko Ukraińcy.)

W Warszawie przy ul. Kopernika 13 mieścił się UDK (*Ukraiński Dopomogowyj Komitet*). Głównym zadaniem tej instytucji było niesienie pomocy Ukraińcom, uciekinierom z ZSSR. W dniu 31.III.1944 wkroczyli tam terroryści z polskiego podziemia i zastrzelili przewodniczącego UDK, Michała Pohotowko, byłego podpułkownika armii Petlury, przyjaciela dr. Puszkarskiego. Zamordowali też czterech urzędników UDK. Od tego czasu dr Puszkarski odmówił udostępniania swojego mieszkania polskiemu podziemiu. Mimo tego dr Bisaga i inż. Gorayski dwa dni przed wybuchem powstania zawiadomili dr. Puszkarskiego o planowanym powstaniu i ten wraz z żoną wyjechał z Warszawy do Krynicy, a potem do Czechosłowacji.

Ołeh Puszkarski uczęszczał do szkoły w Stanisławowie. Gdy Niemcy w 1939 r. zamknęły gimnazjum im. Władysława IV, przeniósł się w 1940 r. do ukraińskiego gimnazjum w Jarosławiu, a w 1941 do podobnego gimnazjum w Stanisławowie. W 1943 r. zdał tam maturę i wraz z całą klasą maturalną

wstąpił do formowanej przez Niemców ukraińskiej dywizji strzeleckiej SS „Galizien” do walki z bolszewikami. W lipcu 1944 r. dywizja została rozbita pod Brodami: z 11 tysięcy żołnierzy zginęło lub zostało zabitych już po poddaniu się 7 tys., 2 tys. poszło do niewoli (wśród nich O. Puszkarski), 1 tys. przedostał się do UPA za liniami sowieckimi, a pozostali 1 tys. przebiegli z okrażenia na stronę niemiecką. Później, po uzupełnieniu dywizja walczyła w Austrii (już poza strukturą SS), a tuż przed kapitulacją Niemiec przeszła do Włoch, gdzie poddała się Anglikom.

Około 25% jeńców z ukraińskiej dywizji zginęło w ciągu pierwszych trzech lat w łagrach i transportach sowieckich. O. Puszkarski przebywał do końca 1946 r. w łagrze Stancja Uzłowa pod Moskwą, gdzie pracował w kopalni węgla, do maja 1947 r. był w łagrze w Stalinogorsku (gdzie większość jeńców stanowili AK-owcy z Wileńszczyzny), do marca 1951 r. w łagrach w Kijowie, do kwietnia tegoż roku w przejściowym obozie w Brześciu, a do czerwca 1951 r. w areszcie UB w Psim Polu, skąd został wypuszczony na wolność. Mieszkający obecnie w Warszawie O. Puszkarski opisał swe obozowe przeżycia po ukraińsku w książce pt. „Tryptyk łagierniczy”, którą zamierza wydać drukiem w niedalekiej przyszłości.

Niniejsze urywki wybrane zostały ze stalinogorskiego skrzydła tryptyku ze względu na jego polskie spotkania w tamtejszym łagrze. Ukazują one paradoks Europy środkowo-wschodniej lat 40-tych: czy mieszkańcy tej części Europy byli po jednej, czy po drugiej walczącej stronie, w końcu spotkali się przy tych samych więziennych pryzmach stalinowskiego imperium.

Bohdan STRUMIŃSKI

Dora KACNELSON

LOS Y OSSOLINEUM WE LWOWIE W LATACH 1961-1991

WSPOMNIENIA, Część 1

Bibliotekarz Jan Rogala

Piszę te szkice wspomnieniowe w grudniu 1991 roku w Drohobyczu, czasem zaglądając do luźnych kartek, na których niedługo naprędce notowałam swoje wrażenia o ludziach Ossolineum i ich opowiadania. Jestem emerytowanym docentem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Drohobyczu, odległym od Lwowa o 100 kilometrów. Tu w ciągu dwudziestu lat wykładałam literaturę światową; w programie tym jest też kilkanaście godzin

odczytów z literatury polskiej. Po raz pierwszy przyjechałam do Lwowa w roku 1961 ze Wschodniej Syberii, z miasta Czyty. Tam, pracując w Wyższej Szkole Pedagogicznej, prawie codziennie uczęszczałam do okręgowego archiwum, badałam losy polskich powstańców na katordze nerczyńskiej. Przyjechałam podczas urlopu do lwowskiego Ossolineum, żeby przeczytać książki i rozprawy o Polakach na Syberii, wydane po 1917 roku, których brak w naukowych bibliotekach Leningradu i Moskwy. Doznałam wielkiej życzliwości i serdeczności od starych bibliotekarzy: Polaków, Ukraińców, Żydów. Niektórzy pamiętali jeszcze stare Ossolineum. Nazwa już była inna — Lwowska biblioteka Akademii Nauk Ukrainskiej SRR, teraz nazywa się Lwowska Naukowa biblioteka imienia Wasyla Stefaniaka. Już od dawna zmieniła się też nazwa ulicy: z Ossolińskich na Stefaniaka.

Bibliotekarze chętnie pomogli mi w poszukiwaniach bibliograficznych, oprowadzali po mieście, Łyczakowskim cmentarzu, Stryjskim Parku, zapraszali do swoich nader skromnych mieszkań. Najwięcej opieki i pomocy doznałam od świetnego bibliografa, bibliotekarza-historyka Jana Rogali. Gdy wróciłam do Czyty, przysyłał odpisywane przez niego pilnie potrzebne mi fragmenty z pamiętników polskich Sybiraków.

Urzeczona ogromem wspaniałych polskich księgozbiorów i rękopisów, powróciłam do Ossolineum na zawsze we wrześniu 1966 roku. Jako Żydówka nie mogłam nawet marzyć o pracy na Lwowskim Uniwersytecie, znając urzędowy antysemityzm, panujący w tym totalitarnym państwie. Pracę w drohobyckiej WSP otrzymałam dzięki temu, że ówczesny rektor Anatol Czernienko był niekonsekwentnym stalinistą, miał w sobie nawet coś ludzkiego; właśnie przez to musiał wkrótce odejść. Po nim władzę objęła bezwzględna partyjna mafia.

Ukojenie i radość dostarczały mi częste wyjazdy do Ossolineum. Z czasem pogłębiła się moja przyjaźń z bibliotekarzami. Wtenczas zrozumiałam, że niesłuszne jest potoczne powiedzonko: „Ludzi idealnych nie ma”. Są, właśnie w Ossolineum spotkałam wielu ludzi idealnych. Kocham ich i lituję się nad nimi bezmiernie, bo życie ich było i jest nieprzerwanym łańcuchem cierpień. Ich uczciwej pracy ciągle przeszkadzali byli dymisjonowani oficerowie KGB, którzy zajęli wysokie urzędy w Ossolineum i których bał się sam dyrektor. Bibliotekarze z goryczą potajemnie nazywali ich „czarnymi pułkownikami”. Wśród nich był szef tajemniczego tak zwanego „pierwszego działu”, powołanego do kontroli nad realizacją zasad komunistycznej ideologii — Iwan Bakow. Zapisał się w dziejach Ossolineum bezlitosnym

paleniem książek i rękopisów, którego nie zaprzestawał nawet w latach *pieriestrojki*. Do „czarnych pułkowników” należał też denuncjant i niszczyciel skarbów kultury Oleg Kuszcz, kierownik tak zwanego „specjalnego zespołu” książek i archiwaliów. Bibliotekarze w swej codziennej pracy usiłowali stawiać opór.

Jednym z najdzielniejszych obrońców skarbów Ossolineum był Jan Rogala. Urodził się w 1904 r. we wsi Bitków stanisławowskiego województwa. Ojciec jego był robotnikiem na wieży naftowej, gdy poszedł w 1915 roku na wojnę, dziewięcioletni Jan podjął się tej pracy, żeby karmić rodzinę. W latach 1927-1933 studiował historię i polonistykę na lwowskim Uniwersytecie. Studia kilkakrotnie przerywał z braku pieniędzy. Po 1934 r. był prywatnym nauczycielem, ciężko chorował na zapalenie stawów. 4 maja 1942 roku zaczął pracę w Ossolineum, która trwała 34 lata.

Jan Rogala i jego koledzy swoją pracę biblioteczną, tak marnie opłacaną (90 lub 100 r. miesięcznie) uważali za wzniosłe powołanie. Pomóc czytelnikowi w poszukiwaniach bibliograficznych, poradzić, nawet bezinteresownie przetłumaczyć fragment z książki, na przykład włoskiej — było dla nich wielką radością. Polacy przyjaźnili się z Ukraińcami, pan Rogala, na przykład, utrzymywał dobre koleżeńskie stosunki z bibliotekarzem-historkiem, człowiekiem o wszechstronnym wykształceniu, znawcą polskiej kultury — Leonidem Zacharcyszynem; wiele godzin spędziliśmy we troje w pracowni pana Jana na rozmowach o polskich dziejach — dawniejszych i nowych. Często uczestniczyła w tych rozmowach Pani Stefania Zub, Ukrainka, która wiele lat życia poświęciła pracy w tak zwanym „specjalnym fondzie”. Był on przy sowieckim reżymie w każdej dużej bibliotece — zamykano na klucz i udostępniano do czytania tylko według trudno dostępnych pozwoleń na książki, uważane za niebezpieczne dla komunistycznej ideologii, na przykład religijne. W Ossolineum partyjna dyrekcja schowała do *specfondu* wszystkie polskie książki i gazety, czasopisma i rękopisy z lat 1917-1939. Dopiero w 1991 r. prezydent Gorbaczow przyczynił się do zniesienia nazwy *specfond* i udostępnienia tych zbiorów czytelnikom. Pani Stefania przez wiele lat porządkowała i ratowała, co się dało. Świetnie zna polską bibliografię, serdecznie przyjaźni się z Polakami. Jej autorytet i bezkompromisowość są tak wielkie, że w jej obecności szefowa *specfondu* Anna Rożko nie paliła i nie oddawała na makulaturę rękopisów i książek, czekając niecierpliwie na okazję, kiedy Pani Stefania otrzyma miesięczny urlop. Pani Zub dotychczas pracuje w tym oddziale, który teraz nazywa się zbiorem rzadkich książek i periodyków z lat 1917-1939. Jest radością rozmawiać

z nią, zawsze uśmiechniętą i życzliwą, czytelnicy właśnie do niej zwracają się podczas swoich poszukiwań bibliograficznych; jest bardzo pomocna i świetnie zna księgozbiory.

Wracając pamięcią do owych rozmów w pracowni pana Jana, przypominam sobie, że my wszyscy raczej byliśmy słuchaczami, od czasu do czasu zadając pytania lub wtrącając swój komentarz. Pan Jan opowiadał świetnie o zamordowaniu świętego Stanisława, o legionach i komendancie Piłsudskim, o katastrofie samolotu i tragicznym zgonie generała Władysława Sikorskiego. Mówił też o krwawym 1939 roku we Lwowie, były to wspomnienia smętne, tragiczne, nie upadał jednak na duchu pod ich ciężarem, zachowując męstwo i dając świadectwo historii. Opowiedział, że jesienią 1939 r. enkawudyści mordowali Polaków bez żadnej winy, chwyтали na ulicy i w domach, dużo było trupów w więzieniu na Brygidkach. Wszedł w skład delegacji ośmiu Polaków, którzy poszli do Wandy Wasilewskiej, bo była komisarzem u sowietów i przyczyniła się do zagłady wielu Polaków. J. Rogala przemówił do niej tak: „Pani jest Polką, znaną literatką, za co zabijają Polaków, prostych, biednych, zupełnie niewinnych, nie są ani hrabiami, ani milionerami lub generałami, przecież komunizm ma bronić biednych?” Wasilewska odpowiedziała: „Was zabijają? Mało was jeszcze zabijają, w 1917 r. dobrze zabijali”. Wobec takiej odpowiedzi delegacja poszła do naczelnika NKWD we Lwowie (nazwiska nie wymienił). Jan Rogala powtórzył to samo pytanie i otrzymał dosłownie taką samą odpowiedź.

W 1943 roku Jan Rogala czynnie przyczynił się do uratowania księgozbioru Ossolineum od zniszczenia. Oficerowi SS, który przyszedł do biblioteki w celu oddania rozkazu o paleniu zbiorów, Jan Rogala z zimną krwią powiedział w języku niemieckim, który dobrze znał: „Pan major może to spalić, ale prawdopodobnie Reich będzie niezadowolony, ponieważ książki są cenne i Ameryka może w przyszłości zapłacić za nie niemieckiemu rządowi walutą”. Oficer zrezygnował. Powstrzymanie sowieckiej tajnej policji od niszczenia zbiorów okazało się o wiele trudniejsze.

Jan Rogala w ciągu trzydziestu dwóch lat dzielnie wytrwał w okupowanej przez komunistyczną mafię bibliotece — od września 1944 r. do 26 lipca 1976 roku, kiedy to został wygnany przez dyrekcję i komitet partyjny. Na straconej placówce trwał przy swoich zasadach, bezkompromisowy. Każdy dzień jego pracy w Ossolineum był pełen heroizmu i poświęcenia. Gdy palono polskie rękopisy, nie chował się, stał obok i obserwował, próbując uratować chociażby szczątki. W 1950 r. kierownictwo *spec-*

fundu objął Oleg Kluszczyński, dymisjonowany oficer KGB. Rozpoczął od „czystki” *specfundu*, nazwanej przez uczciwych bibliotekarzy „Katyniem rękopisów”. Jedną z pierwszych ofiar padły rękopisemne zbiory wybitnego polonisty i sławisty światowej sławy, Juliusza Kleinera, byłego profesora Uniwersytetu im. Jana Kazimierza. Jan Rogala w czasie uniwersyteckich studiów był słuchaczem świetnych wykładów profesora. Wspominał, że w okupowanym przez hitlerowców Lwowie profesor Kleiner wychodził na ulicę z żółtą opaską na rękawie. Uczniowie i przyjaciele z trwogą mówili: „Ależ Pan Profesor jest Polakiem i katolikiem, po cóż narażać się?” Na co wybitny uczony spokojnie i twardo odpowiadał: „Moi przodkowie byli Żydami, więc wolę zginąć razem z tymi nieszczęsnymi”. Z trudem i ryzykiem dla życia uczniowie wywieźli profesora na wieś, do księdza, gdzie pod obcym nazwiskiem przetrwał jako organista; istotnie umiał grać na organach. Po wyzwoleniu Lwowa od Niemców natychmiast wyruszył do Polski, nie chcąc ani jednego dnia pozostawać pod sowiecką okupacją. W mieszkaniu profesora pozostało ponad sto skórzanych worków z rękopisami: notatki, bruliony nieukończonych naukowych prac, setki listów od sławistów z całego świata i polskich literatów. Worki te podczas zajęcia mieszkania przez nowoprzybyłych lokatorów zawieziono do biblioteki Ossolineum.

Jan Rogala wytrwale stał przy piecu, cierpliwie czekając na okazję. Udało mu się niepostrzeżenie wynieść kilka worków na strych. W czasie *pieriestrojki* z tych uratowanych archiwaliów ułożono zespół dokumentów Juliusza Kleinera. Zespół jest już zinwentaryzowany i obecna kierowniczka działu rękopisów, bardzo uczciwa, pracowita i życzliwa dla czytelników każdej narodowości — pani mgr Nella Grajcer — chętnie udostępnia go też naukowcom z Polski. Są tam m.in. listy Władysława Mickiewicza z Francji, dotyczące literackiego dziedzictwa ojca i Juliusza Słowackiego.

Znalazłam wśród ogromu korespondencji listy do J. Kleinera z Petersburga (Leningradu) z lat 30-tych, pisane przez mojego promotora, profesora-polonistę Wiktora Czernobajewa. Prześladowany przez stalinowski reżym, cierpiący z powodu aresztu swoich bliskich krewnych, niezłamany, rosyjski sławista poświęcił się sprawie prowadzenia na leningradzkim Uniwersytecie prawdziwej naukowej polonistyki: prosił Juliusza Kleinera o przysłanie nowych wydań Mickiewicza i Słowackiego i opracowań twórczości wielkich polskich romantyków.

Teraz nikt już prawie nie pamięta o uratowaniu przez Jana Rogalę części archiwaliów uczonego światowej sławy. Starzy biblio-

tekarze, koledzy pana Jana, którzy mi o tym opowiadali, mianowicie Kazimierz Giebułtowski i Bohdan Gordon, już nie żyją. Niezliczone przysługi oddał Jan Rogala bibliotece, podejmując ogrom pracy nad systematyzacją, uporządkowaniem zbiorów, zbierając i udostępniając czytelnikom porozrzucane w bezładzie książki i czasopisma. Bardzo ubolewał nad tym, że podczas sowieckiej okupacji zaniechano w bibliotece świetnej przedwojennej tradycji naukowych bibliograficznych opracowań, szerokiego udostępniania czytelnikom wszystkich katalogów, książek, rękopisów. Ze wzruszeniem wspominał o tym, że bibliotekarz lub kustosz przed 1939 r. był osobą szanowaną, dyrekcja i czytelnicy doceniali ich uczciwą, staranną pracę; ślady tej pracy pozostały jeszcze, mimo zwolnień najlepszych bibliotekarzy. Miałam w ręku wiele książek, wydanych anonimowo, na tytułowej karcie w nawiasach, ołówkiem napisane są ręką bibliotekarzy imiona i nazwiska autorów. Nigdy nie zauważyłam żadnej pomyłki.

Niestety, część opracowań, dokonanych żmudną wieloletnią pracą przedwojennych bibliotekarzy, zniszczono. Zniknął za czasów dyrektorstwa E. Iwanciwa, który był na tej posadzie w latach 1957-1971, katalog polskich czasopism i gazet od dawniejszych czasów do 1917 r., z którego niegdyś czytelnicy mogli swobodnie korzystać. Zaś katalog prasy z okresu międzywojennego został zamknięty do *specfondu*. Z ogromnym trudem otrzymywałam lwowskie pisma z XIX wieku, na przykład *Dziennik literacki* lub *Przyjaciel domowy*. Pozostawała tylko jedna nadzieja: prosić najstarszego wiekiem pracownika działu periodyków, pana Kolesę. Inteligentny i mądry Ukrainiec, świetny znawca ukraińskiej i polskiej kultury, przez wiele lat, nie żałując czasu, pomagał mi, odszukując gazety i czasopisma wśród tysięcy porozrzucanych na strychu tomów. On jeden umiał orientować się w tym bezładzie. Teraz nie widzę go w bibliotece, podobno został emerytowany. Dyrekcja kazała zlikwidować katalog i schować pisma dlatego, żeby niczego z periodyków nie oddać delegacjom z wrocławskiego Ossolineum, które kilkakrotnie otrzymywało pozwolenie na wyższych szczeblach w Moskwie na odzyskanie dubletów pism. Ze szczególnym okrucieństwem niszczyła plony pracy kilku pokoleń bibliotekarzy wicedyrektor biblioteki, Walentyna Połudzień, żona lwowskiego generała KGB. Nie miała pojęcia o bibliotekarstwie, ale żona tak ważnego dygnitarza musiała, według niepisanego prawa sowieckiego reżymu, otrzymać odpowiednią posadę. Polskiej delegacji odpowiadała cynicznie: *Periodiki u nas niet, widitie, daze katalogow niet*.

W tej fatalnej sytuacji Jan Rogala podjął inicjatywę ułożenia nowego katalogu periodyków, uparczywie o to prosił, nareszcie

pozwolono mu pod warunkiem, że sporządzane katalogi nie będą udostępniane czytelnikom. Dodano mu do pomocy kilku młodych bibliotekarzy, wśród nich była absolwentka polskiej szkoły we Lwowie, Jolanta Teleszew, wnuczka Halerczyka Rafała Wołoszyńskiego. Tej ciężkiej pracy odnalezienia na strychu gmachu Ossolineum i w magazynie w pojezuickim kościele przy ul. Teatralnej starych czasopism, ich uporządkowaniu i katalogizacji poświęcił Jan Rogala trzy lata swej działalności. Wierzył, że nadejdzie czas, gdy katalogi periodyków będą służyć czytelnikom, tak się też stało już po jego śmierci. Ogrom tej pracy na strychach i w zimnym, zalewanym deszczem kościele podjął dobrowolnie, bo swą nader skąpą pensję otrzymywał tylko za spełnianie obowiązków kierownika działu książek-dubletów, częściowo przeznaczonych do wymiany z innymi bibliotekami.

Dział ten znajduje się w bocznym skrzydle gmachu, na pierwszym piętrze, na parterze zaś mieścił się *specfond*. Pracownia pana Jana mieściła się na klatce schodowej, gdzie stały katalogi, a na podłodze leżały książki, i w jednej niewielkiej sali, w której razem z Janem Rogalą pracowały jeszcze cztery osoby — Polacy i Ukraińcy. Lubili i bardzo szanowali swego szefa. W tej ciasnej pracowni zdołał on stworzyć piękną podręczną biblioteczkę, wielce pomocną dla czytelników, podejmujących badania w dziedzinie polskiej, ukraińskiej, rosyjskiej lub nawet niemieckiej filologii, historii, sztuce, etnografii. Wśród słowników, encyklopedii, informatorów w różnych językach znajdowały się świetne polskie przewodniki bibliograficzne, na przykład „Bibliografia ludoznawstwa polskiego” Franciszka Gawelka (1914), „Bibliografia słowianoznawstwa polskiego” Edmunda Kołodziejczyka (1911), „Bibliografia pamiętników polskich” Edwarda Maliszewskiego (1928). Ustawił to wszystko na półkach w swej pracowni nie tylko dla potrzeb wewnętrznych — zachęcał wszystkich czytelników do korzystania z tych książek, życzliwie zapraszając ich do swej pracowni. Odnalazł byle gdzie porozrzucane po bibliotece teki Dzieduszyckich, umieścił w swej pracowni i udostępnił czytelnikom. Były to duże foliały, ładnie oprawione, zawierały zszyte druki ulotne. Tu znalazłam i odpisałam anonimowe poezje i odezwy z Wiosny Ludów i Powstania Styczniowego, wiersze Norwida, wydane we Włoszech na pojedynczych lub podwójnych kartkach, wiersze poetów lwowskich, poezje poświęcone zamordowanym przez rosyjskie lub austriackie władze polskim bohaterom.

Pamiętam, że w sierpniu 1976 roku wróciłam z Moskwy, gdzie spędziłam urlop dwumiesięczny w bibliotece przy instytucie słowianoznawstwa Akademii Nauk ZSSR. Gdy wpadłam do

biblioteki, od razu powiedział mi pierwszy napotkany współpracownik, że pana Rogalę zwolniono. Poszłam odruchowo do mego seminarium polonistycznego — tak nazywałam w ciągu dziesięciu lat pracownię pana Jana. Z trudem dostałam się, bo nowy szef, partyjniak Leonid Gałuszko, kazał podwładnym zamykać wejście na klucz, a gdy ktoś zadzwonił pytać, czego mu trzeba. Ale wpuszczono mnie. Weszłam i struchlałam: półek z książkami, skrzętnie zbieranymi przez Rogalę, już nie było. Gałuszko chciał mieć wolną przestrzeń i dużo powietrza. Zamiast ogromnego stołu, na którym leżały stosy książek i notatek, stał niziutki, małeńki stolik do picia kawy. Zniknęły też bez śladu teki Dzieduszyckich. Powiedziałam nowemu kierownikowi, że przyszłam po kilkanaście polskich dziewiętnastowiecznych książek, które mam otrzymać w trybie wymiany, bo już oddałam na odpowiednią sumę nowe rosyjskie książki. Rozgniewał się i zaczął krzyczeć (jako zrusyfikowany Ukrainiec częściej mówił po rosyjsku): *Ja wam nie Rogala! Ja nie pozwolu! Konczyło wasze udowolstwo! U mienia wy niczego nie połuczycie!* Gałuszko wołał wywozić dublety na zgubę do wilgotnych magazynów. Starając się zachować spokój, odpowiedziałam, że pan Rogala prowadził wymianę na prawnych zasadach i pokazałam kopię pozwolenia, podpisaną przez ówczesnego dyrektora biblioteki, Eugenia Stasiuka. Ale Gałuszko był już u zenitu upojenia swoją władzą, uważając, że tylko on wie, jak najlepiej służyć komunistycznej ideologii: *Czto mnie dyrektor? On nie ponimajet mojej raboty! Wy niczewo nie połuczycie i bolsze siuda nie chodziecie!* W międzyczasie bibliotekarka, Ukrainka, pani Maria Babij, poza plecami wrzeszczącego szefa porozumiewawczo mrugnęła i podniosła do góry palec — co oznaczało, że mam przyjść tu o pierwszej godzinie, kiedy Gałuszko pójdzie na obiad. Gdy przyszłam, koło progu na podłodze leżały związane sznurkiem dwie paczki książek, które miałam otrzymać. Taka była wierność koleżanek z pracowni dla sponiewieranego i wygnanego byłego kierownika.

Wieczorem tegoż dnia odwiedziłam pana Jana i jego rodzinę. Wiele razy w ciągu tych dziesięciu lat bywałam w ich ciasnym, ale romantycznym i gościnnym mieszkanku przy ulicy Wernyhory (miała też inną nazwę — Boczna Dekarta). Była to tak zwana „kawalerka”: jeden pokój, kuchenka, wąski korytarz, w którym leżały na starych podściółkach trzy psy: jeden z okaleczoną łapką, drugi z poparzoną skórą, trzeci z wyklutym okiem. Pan Jan przygarnął odnalezione na ulicy dwa biedne bezpańskie psy, trzeciego przyprowadziła jego córka Małgorzata. Były to nieszczęsne ofiary okrucieństwa komsomolców i pionierów. Pan Jan, jego żona Ala i córka starannie pielęgowali je, kar-

mili, wyprowadzali na spacer. Niektóre koleżanki pani Ali radziły nie trzymać w tak ciasnym mieszkaniu aż trzech psów, ale ja rozumiałam, że ich przygarnięcie spowodowane było pasją życia tej rodziny: spieszyc z ofiarną pomocą wszystkim pokrzywdzonym, ratować.

Jesienią 1975 r. Rogala rozpoczął potajemne nauczanie polskich dzieci ojczystych dziejów. Zbierało się ich kilkunastu u znajomej pana Rogali, bo w jego mieszkaniu nie zmieściliby się. We Lwowie istnieją dwie szkoły z polskim językiem nauczania. Ale dziejów Polski nie wykładano, nomenklatura partyjna pozwalała tylko na lekcje z historii ZSSR, jak gdyby przed rokiem 1917 nic się nie działo. Niestety, niedługo trwało szczęście uczniów, którzy słuchali odczytów tego świetnego historyka. W czerwcu 1976 r. padł on ofiarą denuncjacji; „politycznym przestępstwem” natychmiast zajęło się KGB. Podporządkowana jemu dyrekcja biblioteki otrzymała rozkaz „zdemaskowania antysowiecztwa” i wygnania go z biblioteki. Dyrektor Eugen Stasiuk, Leonid Gałuszko, jego małżonka Maria Gałuszko i wielu innych z ochotą i zadowoleniem zaczęło szczerzyć utalentowanego historyka i bibliografa. Na ogólnym zebraniu załogi urządzono sąd nad Janem Rogalą. Sowiecka władza często i chętnie stosowała tak zwane „koleżeńskie sądy” nad ludźmi, ażeby nieuzasadnione zwolnienie ich z pracy lub nawet oddanie niewinnego do rąk prokuratora potraktować jako wykonanie „woli całego kolektywu”. Tę metodę zastosowano wobec Jana Rogali. Niestety, na tym zebraniu prawie wszyscy, jak zwykle bywa w takich sytuacjach, posłusznie poparli projekt zawczasu zadecydowany przez dyrekcję i partyjny komitet. Większość przymusowo zebranych na ten sąd współpracowników prawdopodobnie zrobiła to z obawy, że narazi się dyrekcji i straci pracę. Jana Rogalę oskarżono o antysowiecką działalność, mianowicie o samowolne niemarksistowskie wykładanie historii. Krzyczano, że zhańbił całą załogę biblioteki.

Naczelnik kadr, Iwan Kaliberda, posunął się tak daleko, że bezprawnie pozbawił 72-letniego starca dokumentów niezbędnych dla otrzymania emerytury. Pani Ala nie miała też ani pracy, ani emerytury. Ale nie nędza i głód stały się główną przyczyną cierpienia pana Jana. Najboleśniejszy cios zadał mu jego następca Leonid Gałuszko. Gdy Jan Rogala przyszedł do pracowni, żeby robić odpisy ze swoich ulubionych książek, nie wpuścił go, trzasnął drzwiami, krzycząc: *Won, Lach, ty mnie biblioteku sozżesz!*

Nazajutrz po zebraniu przyszedł z rewizją do domu kagebiści. Pan Jan opowiedział mi, jak we troje z żoną i córeczką pilnie obserwowali tajniaków, żeby nie podrzucili jakichś kompro-

mitujących papierów albo narkotyków, jak to mieli zwyczaj robić. Zabrano własnoręczne notatki J. Rogali o dziejach Lwowa i kilkanaście książek.

Podjęłam starania o załatwienie emerytury, napisałam w imieniu pana Jana list do Breżniewa ze skargą na wyrzucenie z pracy bez emerytury. Kategorycznie odmówił podpisania, był konsekwentny w pogardzie do totalitarnego państwa, o nic nie chciał prosić okupacyjnych rządów. Podpisał się jego nazwiskiem nasz kolega. Pani Ala oddała list znajomemu konduktorowi pociągu Lwów-Moskwa, żeby w stolicy wrzucił go do skrzynki. Wiadomo było powszechnie, że lwowska poczta wszystkie listy z prośbami i skargami do Moskwy lub do Kijowa konfiskowała. Po dwóch tygodniach przyszedł do domu inspektor z ubezpieczalni i przyniósł dokumenty na otrzymanie emerytury — 80 rubli miesięcznie dla pana Jana i 40 — dla małżonki.

Pan Jan nie dał za wygraną. Zapraszał do siebie z polskiej szkoły pojedynczo dzieci, uczył je ojczystej historii, pisał dzieje Lwowa pod sowiecką okupacją i wspomnienia. O losie tych notatek niestety nic nie wiem. Po zwolnieniu żył tylko pięć lat, coraz częściej zapadając na zdrowiu. Leczyć się nie mógł, bo dzielnicowej lekarce zabrakło czasu i życzliwości dla biednego emeryta. Wiosną 1981 r., gdy wieczorem wyprowadził psy na spacer, upadł i potłukł się mocno. Po kilku dniach zmarł.

Pogrzeb odbył się 10 kwietnia na Janowskim cmentarzu. Oddanym kolegom i koleżankom z biblioteki dyrekcja nie pozwoliła wyjść wcześniej z pracy i nie mogli zdążyć na pogrzeb, który był wyznaczony na drugą godzinę. Przesunąć pogrzebu nie pozwolił urząd cmentarny: o 4-ej godzinie wszyscy musieli opuścić cmentarz, bo zaczynały się otoczone tajemnicą pogrzeby żołnierzy, których szczątki przywożono w ocynkowanych trumnach z Afganistanu. Przyszło wielu Polaków, około stu pięćdziesięciu.

Ze śmiercią pana Jana skończył się najszcześniejszy okres mojego życia we Lwowie i Drohobyczu. Straciłam promotora, który nasuwał mi nowe tematy do badań, wskazywał, jakie są w Ossolineum i Lwowskim Historycznym Archiwum mało znane niewydane rękopisy, zwłaszcza pamiętniki powstańców i listy Sybiraków. Za poradą pana Jana znalazłam, odpisałam i przygotowałam do druku kilka pamiętników, między innymi dziennik 18-letniego lwowianina, Edmunda Ślaskiego, który dzielnie walczył pod dowództwem generała Józefa Bema na Węgrzech w 1849 roku. W powstaniu styczniowym był dowódcą oddziału; ciężko ranny w bitwie pod Łączkiem w dniu 22 września 1863 r. zmarł po kilku dniach w szpitalu w Chwatowicach. Staram się o wydanie w Polsce tego i kilku innych pamiętników.

Jan Rogala poradził mi zbierać materiały do życiorysów Polaków, uczestników rewolucji węgierskiej 1848-1849 r. Przez kilkanaście lat badałam akta namiestnictwa i lwowskiej dyrekcji policji zawierające szczegółowe wiadomości o wszystkich prawie Polakach z Galicji, uczestnikach rewolucji węgierskiej 1848-1849 roku. Musiałam przy tym niemieckie teksty, pisane gotykiem, przepisywać łaciną, komentować, uzupełniać fragmentami z pamiętników i rozpraw historycznych. Część tych materiałów opublikowałam w zbiorach badań naukowych polskich i rosyjskich. Teraz we współautorstwie z węgierskim historykiem Isztwanem Kowaczem sporządzam bibliograficzno-biograficzny słownik „Polacy w rewolucji węgierskiej”.

Wielce był mi pan Jan pomocny w pracy nad książką „Folklor powstania styczniowego”, wydaną we Wrocławiu przez Ossolineum w 1976 roku.

Straciłam oddanego przyjaciela, który stale zachęcał mnie do pracy naukowej, wielokrotnie powtarzając słowa: „Podziwiam skąd bierze pani siły do opracowań w tak okropnej sytuacji prześladowania, szpiegowania, grózb zwolnienia z pracy”. Wiedział z moich opowiadań, że znęca się nade mną rektor Drohobyckiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej Wasyl Nadimianow i sekretarz partyjnej organizacji Michał Sawczyn.

Bibliotekarz Jan Rogala pozostał dla mnie na zawsze najświetniejszym wcieleniem wspaniałej polskości.

Dora KACNELSON

Zygmunt WENDA

Z MARSZAŁKIEM ŚMIGŁYM

WSPOMNIENIA, Cz. II

1.I.1940 r.. Co też nam przyniesie ten Nowy Rok? Czy ujrzemy wolną i niepodległą?

2.I. Telefon od Sławeńki, składa życzenia, podaje wiadomości. Sobolta i Pełczyński żyją.

3.I. Lekcję francuskiego, prowadzi mjr Krzeczkowski, bardzo wymagający. Po lekcji uczeń Feliksa gry na skrzypcach. Pan, prawie zawsze po obiedzie, czy też wieczorem, ma rodzaj pre-

lekcji z historii średniowiecznej. Dziś mówił bardzo ciekawie o starożytnych wodzach, o ich życiu i zwyczajach.

Co pewien czas nie mamy elektryczności. Wystarałem się u Pani Dima o lampy. Pożyczyła nam dwie. Pan skończył doskonale portret córki p. Vasiliu. Byłem w Rucar w sprawie garażu — za klitkę nie bardzo opatrzoną żądają miesięcznie 400 lei. Wstąpiłem do księdza Bacioniu — przygotowują się tam do niedopuszczenia do nas tyfusu, gdzie było już parę wypadków. Dostałem od księdza sporo polskich książek. Dostałem list od Sł., jedynej mojej nadziei i pociechy przyszłych, kto wie jak ciężkich dni. Był z Tobą tylko, a mimo wszystko wierzę, że będą jasne!

4.I. Wszystko bez zmian. Jest list od Szczapy Krzew[skiego] i od Zb. Lepeckiego, który już jest w Kurytybie u brata, który jako konsul honorowy został zredukowany... „Nie raz, Kochany Panie Pułkowniku, w pracy, w której miałem zaszczyt i wielką przyjemność być z Panem, różniliśmy się w drobiazgach, nigdy w rzeczach zasadniczych. Teraz, kiedy czasy są tak niepewne, niech Pan zechce przyjąć zapewnienie, że wśród Pańskich przyjaciół miał Pan we mnie najbardziej oddanego, ufego i zawsze pełnego najgłębszego szacunku. Pan był mi wzorcem ustosunkowania się do spraw publicznych. Takim zawsze widzę Was, Płk., i takim widzą Was również moi synowie”.

5.I. Zrobiłem zdjęcia córeczki p. V. — małej Miry. Pani V. przed wyjazdem zrobiła pokrowiec na stół, na którym grywamy w karty, by nie niszczyć peleryny doktora, którą przykrywaliśmy stół. Szkoda, że pp. V. wyjechali!

Sławeńka przysłała nam kaszę gryczaną, za którą tak się stęskniliśmy. W nocy przeczytałem wszystkie listy, które mi napisała od samego początku. Nad ranem zasnąłem i wnet się przebudziłem. Poczuję, że cały dom się trzęsie, dzbaneczki i szklanki dzwonią. Musiało to być lekkie trzęsienie ziemi gdzieś dalej, które powtórzyło się po paru godzinach. Tylko tego brakowało.

6.I. Dziś w nocy, około 12-tej, dał się odczuć głęboki i silny wstrząs. Ale dzień był piękny i słoneczny. Pan prosił, aby Mu kupić nikłowy zegarek kieszonkowy. Słabo słychać radio i raczej kompletna hegemonia niemieckiego i rosyjskiego radia.

8.I. Dziś dopiero nadeszła dla nas od Sławeńki piękna choinka i gałązka jemioly. Tak mi tylko żal, że Ona Bidulka sobie i Matce od ust odejmuje, by mnie i nam sprawić radość. Miałem list na 10 stron, jakże ona sprytnie potrafi podać wiele informacji i wiadomości. Są i miłe i przykre wieści, często nawet

lzy z oczu wyciskające. Ma przykrości od dwóch typów, ale sobie jakoś radzi i nie daje się. Szczapa Krzew. przysłał dwa listy, doskonale odzwierciedlające sytuację. Także dwa listy od Wragi, jeden tuż przed odjazdem, a drugi z Belgradu, gdzie widział się z Janem Zakrzewskim, który jest już zupełnie przekreślonny i wykreślonny na stronę prawowierną. Tym niemniej chłopak jest bardzo przyzwoity, tylko mało solidny. Narbuta ściągnął Kukiel, odwiedzając się za jakąś przysługę. Krok-Paszkowski napisał list do Sikorskiego i dostał wezwanie. Narbut pytany przez Krok-Paszkowskiego powiedział, że on by listu nie napisał.

Staramy się, ażeby strzelby Pana nie przepadły i żeby je wysłać za granicę.

Na Węgrzech sytuacja polityczna bardzo ciężka — liczyć się należy, że Niemcy wepchną Węgrów do wojny z Rumunami. Pakt kominternowski gra — Węgry fortyfikują granicę sowiecką. Sytuacja w obozach naszych tak wojskowych jak cywilnych bardzo przykra. Dużo agentów gestapo. Gen. Dembiński nie stoi na wysokości zadania, zresztą ma poważne trudności, kiedy agenci niemieccy wszędzie mają dostęp. Poseł Orłowski bez najmniejszej inicjatywy. Sytuacja, jeśli chodzi o ocenę w Kraju, na ogół zgodna z oceną Ciołkosza. Postawa bardzo dobra.

9.I. Wydaje mi się, że tam na Węgrzech będzie niedługo dość niebezpiecznie dla naszych ludzi.

Sławoj pociesza i pisze: „życzę spokoju ducha, tak koniecznego w naszej sytuacji, która jednak zmienia się w Europie. Kto miał prawo wyjechać, wyjechał, zostaje nas coraz mniej, stąd warunki bytowania idą ku górze”. Szczapa miał wyjechać — nie wyjechał — spaliło na panewce. Pisał Hartman z Friburga, szukają kwatery dla prezydenta I. Mościckiego. Za kilka dni on jedzie dalej, ciekawe jakie będzie tam miał trudności? Mjr Krzeczkowski przywiózł pieniądze wypłacone przez prefekturę: 21 tys. lei. Zwróciliśmy Panu 10 tys. lei.

11.I. Od Sławeńki mam dostać słownik francusko-polski. Bardzo się nam przyda. Ciekaw jestem, gdzie też ona go dostała? Na usprawiedliwienie tego zakupu pisze, że im podwyższyli i że ma teraz 2 i pół penga. Co to jest?! Wieczorem Pan nam czytał i tłumaczył książkę Maurice Murat „Grandeur des élites”, „Le gentelman anglais”.

Nie mamy światła — dwie lampy i świece.

Z Panem nie jest za dobrze, odczuwa bardzo często bóle wewnętrzne brzucha i to bardzo silne.

Dochodzą tu do nas wiadomości, że na piątkę zdajesz ten ciężki egzamin. Szczapa na Twój temat wypisuje *hossanne*. Cieszę

się, że Twoje mieszkanko, choć takie skromne, ale mimo to daje schronienie tylu bezdomnym i nieszczęśliwym, samotnym ptakom.

To szczęście, że postawa w Polsce jest nadzwyczajna. Tam kierownik grupy, którą kiedyś „Ziuk” Piłsudski dowodził, oświadczył, że jeśli idzie o Polskę, wszyscy jesteście „Pierwszą Brygadą”. W myśl hasła jedna jest Polska, jedna polska tragedia, jeden cel mają wszyscy Polacy, zawiesić na kołku wszystkie waśnie i razem budowę zaczynać od nowa. Jakże to inaczej brzmi niż to co mówią ci na emigracji.

Za drzewko, za kaszę gryczaną wszyscy Ci tu serdecznie dziękują. Wczoraj była kasza ze słoniną. Nie wymawiam, ale Pan dobrał drugi raz, a wszyscy o Tobie mówili, jaką nam niespodziankę i radość sprawiłaś. Grzesiak jest bardzo przygnębiony i złamany. Dostał wiadomość o śmierci ojca i bratowej.

12.1. A więc mamy Radę Narodową. Ciekawe, jak długo ten skład wytrzyma przy jednym stole? Ks. biskup Gawlina ze Schwarzbartem, Lieberman z Balickim. No i Jóźwiak, sądzę, że to ten z Poznania, też się tam znalazł i Mackiewicz, chyba za Berezę tak go wynieśli. Kto to ta Zaleska Maria?

Napisałem do Sł., że jeżeli to kogoś tam dziwi, to niech mu wytłumaczy, że to jest dla mnie zupełnie naturalne, że zostałem z Panem. Nie wydaje mi się też słuszne, ażeby z tego tytułu przypisywano mi jakieś specjalne zalety charakteru.

Mjr Krzeczkowski uczy się od Pana rysunku. Rysował jabłko, a wczoraj wazę. Pan wieczorem skarżył się na bóle żołądka. Wczoraj mówiłem Panu, że zarówno Twój jak i mój brat odnaleźli się. Popatrzył na mnie swymi dużymi, czarnymi oczami i powiedział: „Co Pan mówi, to prawda, ach jak to dobrze”. Tyle w tym człowieku dobroci i życzliwości. Tak nam to pomaga tu żyć.

We Lwowie działa podobno Orlik-Broniewski, oficer rezerwy naszego pułku.

Otrzymałem fotografię domu pp. Vasiliu, w którym mieszkają z opisem, kto jaki pokój zajmuje.

Z pokoju w którym obecnie się znajduję, dużym, jasnym, dawnym gabinecie Patriarchy, rozciąga się przepiękny widok. Pokój ten służy nam jako pokój do pracy. Jednym obiektem stąd oglądanym, i szczególnie przyciągającym nasz wzrok, jest poczta. Około 3-ciej czy 5-tej po południu ciągle któryś z nas podchodzi do okna i nadśłuchuje. W tym czasie bowiem nadjeżdża auto pocztowe, a kierowca już z daleka daje znać sygnałem. Jeśli są wiadomości, to ta chwila jest dla nas najrozkoszniejsza. Była wiadomość od Mili (Fieldorf), czytałem list jej na gó-

rze. Pan pochwała zamiary „bocianie” i chciałby się z nią zobaczyć. Czy to jest wykonalne? Ty, albo Miła, choćby na 24 godziny. Medytowaliśmy nad tym wczoraj i prosił, bym do Ciebie o tym napisał. Proszę o szybką odpowiedź. Wydaje mi się, że Miła może łatwiej mogłaby zrobić tę drogę. Należy się zastanowić. Na granicy, po naszej stronie, można byłoby zdeponować pieniądze na dalszą do nas drogę, jest tam bowiem rodzina naszej kucharki, która pomogłaby tę sprawę przeprowadzić.

Julek Piasecki nie może wydostać się z Francji, a pracy żadnej dać mu tam nie chcą. Podobno lekarze mają być z obozów zwalniani i mają pracować w rumuńskich szpitalach wojskowych.

Nasz doktor Cianciara kupił sobie flet i bardzo często koncertowo nam na nim gra. Ja trochę brzdąkam na skrzypcach.

Płk Głabisz jest na Węgrzech, co dla Dragoslavele jest miłą wiadomością. Jest również Adam Rudnicki. Fotografia willi, w której mieszkają, jest od strony zachodniej.

14.I. Późnym wieczorem grałem z Panem w szachy. Pan uczył mnie grać. Zawieje śnieżne i zaspy.

Moja Sławeńka daje schronienie, otacza opieką i dodaje otuchy całemu szeregowi moich bliskich znajomych i pisze, że robi to przede wszystkim dla mnie. Kiedyś wspomniałem to Panu i prosił bym Ci najdroższa za to podziękował. Emil Fieldorf pewnie do niej przyjedzie i nim też się zaopiekuje. Wyobrażam sobie, jak Emil się ucieszy (nasz przyjaciel — świadek na naszym ślubie).

16.I. Kupiliśmy Panu nowe pędzle. Mjr Krzeczkowski uczy się malować, robi to wytrwale i pilnie.

Sł. pisze, że Emil Fieldorf już jest i to w bardzo dobrej formie. Jak zawsze dzielny.

Opis fotografii willi: na górze dwa małe okienka od frontu i jedno z boku to sypialnia Pana. W przedłużeniu, od tyłu, widać tylko kawałeczek werandy — tam właśnie znajduje się mój pokój. Na górze, w lewo od sypialni, pokój pracy Pana, pod nim na dole kuchnia. Pod sypialnym Pana pokój, doktora i majora, w dali za altaną widać okno wspólnego naszego salonu-gabinetu. Nie wyobrażasz sobie, Sław., czym są dla nas wiadomości przez Ciebie i od Ciebie.

Do końca życia jestem dłużnikiem Stasia Czuryłły, że pomógł Ci się w ostatniej chwili z Tarnopola wydostać. Ciekawe, jak tam we Francji ustosunkują się do gen. Dęba Biernackiego. Pewnie ściągną z niego najrozmaitsze wiadomości, każą mu napisać sprawozdanie, które będą chcieli odpowiednio wykorzystać, a potem wsadzą go do obozu, gdzie zresztą bardzo dużo

ludzi naszych przebywa. Pomyśleć, taki Julek Piasecki, inżynier z zawodu, młody wiekiem, wcale nie wysoki szarżą, lotnik, obserwator, profesor wyższej szkoły, i jego nie przyjęli. Kazali mu pozostać w beczynności. Niech tam nie przesadzają na mój temat. Dla mnie i chyba dla Ciebie, jest to zupełnie jasne i proste, i nie zasługujące zatem na żadną dumę. Wiesz, że ani przekonań, ani upodobań nigdy nie zmieniałem. Za życia Komendanta byłem Jemu Jednemu bezgranicznie oddany, nigdy nie byłem u Niego niczym ambasadorem, że się tak wyrażę, a Jego sługą, bo w Nim czciłem i kochałem jego i Polskę. Brakło Go. Wiesz, jak prosty i *par excellence* żołnierski był zawsze mój stosunek do obecnego Pana. Tak jak Jego Poprzednikowi jestem, byłem i pozostanę Jemu wierny.

Szereg listów naszych nie podochodziło, widocznie ktoś w drodze polikwidował. Choćby, taki drobiazg, mjr Krzeczkowski prosił, ażeby mnie powiadomić, że dostanę piękne amerykańskie pończochy — kajzery, a nic o tym nie wiem. Ucieszyłbym się na pewno, bo to w naszych warunkach luksus. A i słownik francusko-polski gdzieś się w drodze zawieruszył. Tak ciężko było go zdobyć i tyle kosztował grosików. Reklamowałem i pewnie się odnajdzie.

Tam w Dragoslavele wypłacili im należność od 15 października po 200 lei dziennie. Mają teraz forszę i każdy z nich chciałby pomóc swoim najbliższym.

A cóż to za wstrętny ten ksiądz, co Ci Sł. dokucza? Czyż on wiary chrześcijańskiej zapomniał? Czy on nie wie, jaki powinien być jego stosunek do bliźniego?

17.I. Sekretarz prefekta dotrzymał przyrzeczenia i dzisiaj przysłał listę dla reszty naszego towarzystwa. Nie wiem tylko, dlaczego z należnych mi dziennie 100 lei dają tylko 80 lei?

Emil Fieldorf napisał kartkę, która sprawiła wiele radości. Szczerość jego jest szczytem. Pisze poza tym o sztandarze, o zamiarach własnych na wiosnę. Czytałem Panu — podzielił moją opinię. Wspomniał, że byłby nam potrzebny i dobrze byłoby, gdyby mógł przyjechać. Chciałby też, żeby i Sławeńka przyjechała.

18.I. Bardzo ważnym momentem w naszych „przedsięwzięciach” jest to, że tam mają kucharkę Węgierkę, której rodzina mieszka na granicznej stacji.

19.I. Pisał inż. Wędz. Robi na nas wrażenie, że brzydko wyszedł w stosunku do Pana, któremu tyle ma do zawdzięczenia w życiu.

20.I. Dzisiaj nastąpiła zmiana na stanowisku komendanta posterunku. Dowiadujemy się, że Wacek Stachiewicz wyjechał. Wędziag. prosił o odesłanie mu rzeczy. Mjr Krzeczkowski prosił

o żandarma celem odwiezienia tych rzeczy. Zezwolono i z tej racji Krzeczkowski jedzie do Bukaresztu jako pomocnik szofera. Zabiera Franię i byłego komendanta posterunku. Napisałem do Szczapy, żeby przyjechał.

O płk. Pełczyńskim jest piękna opinia.

Pan kończy mój portret — jest bardzo udany. Tylko czy i jak da się go przechować? Tu coraz częściej się słyszy, że na wiosnę rozpocznie się od Węgier lub od wschodu ruchawka, a wtedy? (Ja ten portret mam).

21.I. Wyjazd mjr. Krzeczowskiego napotyka na trudności. Ma być jakaś inspekcja majora żandarmerii. Jednak o 13-tej wyjechał, ale czy dojedzie do Bukaresztu. Od wieczora poczęły się dziać historie z racji, iż wyjazd Krzeczowskiego doszedł do wiadomości szefa żandarmerii w Campulungu. Ciągłe bieganie tutaj do telefonu i wysłuchiwanie wymyślań. Około godz. 19-tej dzwonił do p.dr. V., by się przekonać, czy Krzeczowskiego gdzieś po drodze przypadkiem nie zamknęli. Okazuje się, że dojechał szczęśliwie i znajduje się pod opiekuńczymi skrzydłami p. V., która zapewnia, że *tout finira bien*.

22.I. Od rana cała żandarmeria w ruchu. Sam pan major przyjechał i wydał zarządzenia, których respektować nie będziemy! Nie wolno nikomu opuszczać domu. Nawet dziewczyny z mlekiem nie wpuszczono. Frania na bramie pobrała mleko. Feliksa nie wypuszczono po papierosy. Ja od rana staram się o połączenie z panią dr V. Około godz. 12-tej mjr żandarmerii prosi Pana o auto do Campulungu, gdzie przyjechał ze stolicy generał żandarmerii, ale nie sądzę by w tej sprawie. Z rozkazu Pana dałem odpowiedź, że o ile (zmieni) wycofa dane ostatnio zarządzenia, to auto dostanie. Ponieważ, jak powiada, nie może — auta nie dostał. Niecierpliwie czekam, bo chcę po obiedzie wyjść, jeżeli by mnie spotkała przykrość ze strony posterunku żandarmerii, zamierzam odesłać swoją komandorię. Udało mi się wyjść, widocznie cofnął częściowo swoje zarządzenia. Tylko wieczorem po 19-tej nie wolno nikomu wychodzić. Zresztą prawie nigdy po tej godzinie nie wychodziliśmy. O godz. 13-tej dzwoniła p. V., że Krzeczkowski jutro przyjedzie, że wyrobiła mu pozwolenie, że niby wszystko w porządku, bliższych szczegółów dowiemy się od niego po powrocie.

Od p. Dima dowiadujemy się, że gruchnęła fama w naszej stolicy o udaremnionej ucieczce, że Krzeczkowski już złapany itd. Spotkałem podczas mego spaceru „bohatera” majora żandarmerii miejscowej, który wracał z obiadu. Przeszliśmy obok siebie — zresztą nie znamy się. Nastawienie posterunku żandarmerii wrogie. Komendant tutejszego posterunku, którego żonę leczył dr Cianciara, powiedział, że jeżeli po 19-tej spotka Po-

laka na ulicy, to zastrzeli. Mnie spotkawszy nawet się nie uklonił, co przedtem zawsze czynił.

List od Sławenki: „Tak mi pięknie piszesz o stosunku Twoim do Komendanta i do Twego Pana, którego tragedia wydaje mi się tak wielka, że sen z oczu spędza. Jest on dzisiaj wielkim niemową, ale przyjdzie czas, że zacznie się bronić sam, albo obroni Go historia. Wczoraj na ten temat zaczął mówić ktoś z tubylców. Po tej rozmowie tchu nie mogłam złapać. Nigdy o tym nie zapomnę, ale na wszelki wypadek zapisałam te słowa dla potomności: 'Bardzo niskie instynkty mają ci, co go chcą moralnie zgilotynować. Jego, który jest najczystsza i najserdeczniejszą łżą. Nie bronię regimu, nie bronię jakiegś tam polityki, ale bronię Jego świętego dla mnie Imienia i tych wszystkich, których dorobek całego życia przekreśla się jednym nikczemnym słowem'.

Czy Ty kiedyś pomyślałeś sobie, co to znaczy Dragosla-vele? Tak ładnie nazywa się Twoja miejscowość”.

Dostałem od Mańkowskiego list z odezwą rządu. Przecież to, co piszę, to boli gorzej, jak przeżycia za drutami, dokąd za chwilę wyjeżdżam — pisze Mańkowski.

Późnym wieczorem, ku naszemu zdziwieniu, — miał bowiem wrócić jutro — wrócił „ciupasem” nasz Jerzy Krzeczowski, dostawiony przez mjr. dypl. żandarmerii, który przyjechał tu na przeprowadzenie dochodzenia. Wczoraj wieczorem, bezpośrednio po moim telefonie, był telefon do mjr. żandarmerii i prefekta Campulungu do pani Vasiliu. Pani V. ich uspokoiła, że Jerzy K. po załatwieniu sprawunków zaraz wróci. Rano Jerzy K. poszedł na spotkanie z Wędz. do kawiarni, skąd p. V. zabrała Jerzego na zakup sprawunków i zaprosiła na 13-tą obu panów na śniadanie. Przyszli trochę później, bo Jerzy spotkał Kordiana Zamorskiego i zagadał się z nim, a po tym zaprosił na wieczór na 18-tą. A tymczasem, jak wrócił na to śniadanie, to już był mjr dypl. żandarmerii u pani V. i nie pozwolił Jerzemu na zjedzenie śniadania. Zabrał go i przywiózł na miejsce — do nas.

Szczapa miał jechać z Krzeczowskim do nas, ale pewnie dowiedział się od Wędziagolskiego o całej historii i doszedł do wniosku, że to nieodpowiednia pora na odwiedziny. Julek Pia-secki przyjechał do Bukaresztu z Francji.

23.I. Rano, przy pozwaniu, Pan zaczął mówić na Twój temat. Że swego czasu tak nadzwyczajnie i ofiarnie pracowałaś dla rodzin Koła Pierwszaków, no i że teraz nie tylko sama sobie radzisz, ale i pomagasz innym. Zastanawiał się nad sprawą dotarcia Twego do nas. Podczas przerwy w pozwaniu wpadłem do siebie i przyniosłem Twój ostatni list. Przeczytałem drżącym

głosem Twój list, którego Pan słuchał stojąc przede mną — widziałam w oczach Jego łzę. Po czym powiada: to chyba jedyna istota na świecie, która tak czuje. Widzi Pan, ja z nią nigdy o tych sprawach nie rozmawiałem, ale zawsze czułem, że to jest ktoś mi bardzo bliski i oddany. Wyobrażasz sobie, najdroższa, jaką mi to sprawiło przyjemność i radość, to tak było szczerze przez Niego wypowiedziane.

J. Krzeczkowski był przesłuchiwany przez mjr. żandarmerii, który go wczoraj przywiózł. O 14-tej przychodzi żandarm Zwierzański i komunikuje, że ktoś przy bramie chce się ze mną widzieć. Patrzę, a to Szczapa Krzewski. Ucieszyłem się ogromnie i uściskaliśmy się serdecznie. Zwierzańskiego posłałem do komendanta Petra, by powiedział o przyjeździe red. radiowego. Sam ze Szczapą idę w kierunku p. Dimy, gdzie go chciałem ulokować. Na wysokości poczty widzę Petra — pyta o zezwolenie ministerstwa na widzenie. Nie pozwala mi ze Szczapą rozmawiać i ciągnie go na posterunek. Idziemy tam razem. Mają telefonować do majora żandarmerii w Campulungu. Zatrzymali samochód ciężarowy idący do Campulungu, załadowali Szczapę i razem z plut. żandarmem pojechali do Campulungu. Ja wróciłem do domu, parę razy telefonowałem do prefekta, opowiedziałem mu całą historię i prosiłem, by zezwolił Szczapie na widzenie się ze mną. Obiecał, że to pomyślnie załatwi. Czekaliśmy, ale Szczapa nie przyjechał, czy mu tam jakiej krzywdy nie zrobili? Dobrze, że przy spotkaniu ze Szczapą mogłem zamienić parę choć zdań, przede wszystkim, żeby ostrzegł Julka Piaseckiego, żeby powiedział, aby najpierw rozmówił się ze mną telefonicznie. O 9-tej wieczorem przyszedł żandarm Zwierzański i powiedział, że plutonowy nie wrócił, natomiast podaje, że nie wolno nam jeździć po sprawunki do Campulungu. Tylko że on będzie załatwiał oraz wspominał, że obaj majorowie napisali jakieś nowe przepisy, które będą nas od jutra obowiązywać.

Dostaliśmy testament Biłyka: „Do całej Polski i wszystkich Polaków za pośrednictwem poselstwa polskiego w Bukareszcie. Mówiłem, aby Polska żyła, muszą ginąć Jej synowie, mówiłem: będziemy ginęli my i dzieci nasze, będzie żyła Polska. Mówiłem: będziemy przechodzić rzeczy straszne, ale zwycięstwo będzie nasze. Nie mogłem walczyć we Lwowie, gdyż zgodnie z wytycznymi Szefa Rydza, opuściłem go w warunkach, które mogą słowa moje postawić w pozorowanej sprzeczności z tym czynem. W ten sposób znalazłem się na emigracji. Dalsze moje życie zdaje się nie przedstawiać wartości dla Polski. Być internowanym do końca wojny nie chcę, chcę ocalić honor. Po Polsce wszystkie moje myśli przy Tobie, Marylu, Leszku, Basiu, Ewo i Jerzy — życie szczęśliwie, jeżeli to będzie możliwe. Proszę, aby te słowa

moje były rozgłoszone, aby nietkniętym został mój honor. Munkacz 19.IX.39r. Alfred Biłyk, woj(ewoda) lwowski. Przede wszystkim niech otrzyma o tym wiadomość Wódz Naczelny, Śmigły Rydz, Składkowski i moje miasto Lwów, Munkacz 19.IX.39r. Alfred Biłyk, woj. lwowski”.

24.I. Dzisiaj święto narodowe — Sarbatorea Nationala Unici. Pan przerwał pracę, bo tak silne miał bóle. Po obiedzie Pan napisał listy, które mjr K. przetłumaczył, ja zaś podpisałem i wysłałem do prefekta. „Panie Pułkowniku. Wczoraj zawiadomił nas żandarm Zwierzański, że aprowizację dla nas z Campulungu ma dostarczać on. Nie wiemy, czyje to zarządzenie. Wbrew najprymitywniejszym zasadom obowiązującej wszystkie cywilizowane armie kultury wojskowej, weszło w zwyczaj zwracanie się do nas przez szeregowego. Tak jakby nie istniał telefon ani nie istniała umiejętność pisania. (...) Ale jest widocznie. (...) W wypadku omawianym proszę Pana o decyzję na piśmie. Wiadomym Panu bowiem jest, że w Dragoslavele panuje tyfus. Mer ze względu na swą funkcję jest czynny stale w zabiegach zwalczających tyfus i ma stały kontakt z ludnością. Ze względu na możliwość infekcji zależy nam bardzo na ustaleniu odpowiedzialności. Dlatego prosimy o zarządzenie na piśmie. Łączę wyrazy szacunku. Z.W. 24.I.40r.”

W merostwie oddałem list do prefekta i pytałem telefonicznie, polecając szukać Bartczaka, który wg wiadomości otrzymanych dzisiaj od pani V. wczoraj po południu, razem z agentem wyjechali do nas. Spotkany plutonowy, który wczoraj odwoził Zakrzewskiego (?) nie mógł mi udzielić informacji, co się stało ze Szczapą, czy go czasem gdzieś nie przetrzymują. Ale chłop ma charakter, to nie „przyjaciół najbliższy” Wędzia, który boi się tutaj przyjechać na parę godzin. Około 9-tej wieczór wrócił Bartczak, którego przetrzymywano w żandarmerii w Bukareszcie do godz. 14-tej dnia dzisiejszego — przywiózł także ze sobą plut. Michai, który z miejsca został w Campulungu aresztowany. Przed mieszkaniem mjr. żandarmerii czekała zdeenerwowana p. Michai. Dzwoniłem do Bukaresztu do Giedroycia, no szczęśliwie Szczapa jest już na miejscu. Komunikowałem, żeby Julek P. zajechał do p. Dima. Prosiłem też, żeby powiadomił panią V., że Bartczak już jest. Żandarm Zwierzański powiedział, że wszystkie zarządzenia są cofnięte, ale zobaczymy, co prefekt odpowie na list.

25.I. Znów nowe zarządzenia. Otóż wolno nam jeździć do Campulungu, ale tylko pojedynczo — nie wolno we dwóch. (To Petra powiadomił o wyjeździe mjr. Krzeczowskiego).

26.I. Mój portret skończony. Ten portret mam u siebie (do dziś). Po śniadaniu przyszedł żandarm. Powiedział, że nie ma za

co wyjechać. Po naradzie z Krzeczkovskim daliśmy mu 500 lei. Sądzę jednak, że nas nabrał, że to nie żaden urlop, a po prostu już stąd odchodzi. Dr płk Bolek Pawłowski, taki wspaniały chirurg, w dalszym ciągu za drutami, a on bez „krajania” fatalnie się czuje.

27.I. Rano o 9-tej awantura z Petrą. Nie chciał pozwolić, aby Feliks — strzelec — pojechał z doktorem C. do Campulungu. Feliks miał jechać do dentysty. Zrobiłem P. piekielną awanturę i kazałem Feliksowi jechać. Dr C. był u płk. Badulescu, komendanta garnizonu — bardzo nam oddany i przyzwyczajony człowiek. Rozmawiał z nim o warunkach. Powiedział, że byleby do wiosny doczekać, to się to zmieni dla nas na lepsze. Dr C. omówił z płk. Najsarkiem przyjazd Julka P. Na temat przyjazdu i pobytu Julka rozmawiałem z panią Dima, bardzo miła i dobra kobieta. Chętnie przyjmie Julka, ale jak jej powiedziałem, że chciałbym zabrać go do nas na noc, powiedziała, że bardzo trzeba uważać, bo oczy i uszy plutonowego Petra pracują stale i na pewno by się dowiedział.

28.I. rano o 12-tej poszedłem do p. Dima, gdzie miałem oczekiwać przyjazdu Julka P. Pani Dima przygotowała obiad dla Julka. Nie doczekałem się do 2-ej, ale w czasie naszego obiadu mówił mi, że zajechało auto i ktoś przyjechał do nas. Myślałem sobie, że jeżeli to Julek, to chyba ma przepustkę, a jeśli nie, to sprawa stracona. Już widzę, jak Petra biegnie, aby mnie uprzedzić. To jest Julek, ale przepustki nie ma i mowy nie ma o wpuszczeniu go do nas. Petra poleca jechać do mjr. żandarmerii do Campulungu. Chcę od Julka zabrać bodaj pocztę dla Pana, siadam do wozu i chcę jechać razem z Julkiem, ale Petra wypycha żandarma, który po rosyjsku mówi. Petra widzi, że ja wsiedam — nie pozwala mi jechać razem. Ja go nie słucham, wtedy on usuwa z wozu tego żandarma i sam wsiada. Tyle tylko, że powiedziałem, że Najsarek czeka i że ma się ulokować u p. Dima. Pocztę nie odebrałem. Zaraz po obiedzie poszedłem do p. Dima doktor, a po tym Krzeczkowski, którego teraz okropnie pilnują. Ciągłe chodzi za nim żandarm. Na Julka się nie doczekali. Sprawa widzenia się z Julkiem jest dla Pana i dla nas niezmiernie ważna.

29.I. Pan miał wyjątkowo ciężką noc — nie spał, a zasnął dopiero ok. 8-ej rano. Dlatego też dopiero ok. 10-tej pojechałem do Campulungu. Nie dojeżdżając do cukierni zobaczyłem płk. Najsarkę. Okazuje się, że Julek jest w hotelu Regale, a on właśnie szedł wynająć taksówkę, którą mieli jechać do nas. Poszedłem do hotelu. Julek już ubrany czekał. To, co mi powiedział w stylu telegraficznym: prezydent Raczkiewicz jedyny, który chciałby coś zrobić, ale nie jest w stanie. Robota

idzie na całego przeciw ideologii Komendanta, inni przeprowadzają dochodzenia i obwiniają o Brześć, jeszcze inni za Berezę. Przestłuchiowano Wójcika, chcąc wmówić w niego, że Komendant zastrzelił Zagórskiego i Koryzmę (?) — co za draństwo. Wyszedł oficjalny zakaz śpiewania Brygady. Szef Sosnkowski jest najtragiczniejszą postacią, jak komunikuje Smoleński i Rysiński. Zestarzał się i nie czuje pracy w Kraju. Przed jego przyjazdem Łukasiewicz przypomniał Wład., by przywitać go na dworcu — wykręcił się. Poszedł sam Juliusz. Władysław Raczkiewicz złożył godność — Kazim. (chyba Sosnkowskiemu), zrezygnował. Wyszedł dekret o zastępstwie. Zaatakowany przez Strońskiego Szef Sosnkowski — biorąc winę na siebie — ratował *prestige* Wład. — nikt go nie poparł. Adam ani August nie zabierali głosu. Jaka szkoda, że Szef Sosnkowski nie znalazł w sobie na tyle siły i energii, nie trzasnął pięścią w stół i nie podyktował rozkazów. Julek miał z Szefem Sosnkowskim 3 i pół godzinną rozmowę, nie podając nic krytycznego w stosunku do osoby Pana, nie widzi innych możliwości jak rezygnacja. Nie było to tak formalnie wypowiedziane, ale biło to ze słów. Na propozycję ściągnięcia Pana odpowiedział — to są te imponderabilia, które Pan musi sam ocenić. Mówi o dekreście o N.W., o który podczas choroby Władysława Raczkiewicza zabiegał mocno Sikorski — do tego właśnie on nie dopuścił. Rozmowy nie dokończono — przyszedł Łuk. i zabrał Szefa Sosnkowskiego. Później, mimo starań, spotkany Dehmel powiedział, że na dłuższy czas jest zajęty i nie przyjmuje. Julek S., któremu Szef powiedział, że nie może kontraktować z ludźmi starego *regimu*, bo inaczej dla Polski nic nie wywalczy. Nie przyjął też ani Haukego, K.W. Bar., ani innych. Całą robotę na Kraj prowadzi Kot, który ma bardzo duży wpływ na Sikorskiego, któremu Szef Sosnkowski jest ultralojalny (?). Zachowanie się Strońskiego, Ładosia i innych członków tego rządu obniża *prestige* Polski. Po referacie przewodniczącego Towarzystwa Polsko-Francuskiego i referacie bardzo życzliwym jakiegoś płk. francuskiego Stroński oświadczył, że ani rząd ówczesny, ani Naczelnny Wódz nie stanęli na wysokości bohaterskiego żołnierza. Na otwarciu uniwersytetu — tyłem do portretu Komendanta — ani słowa o Komendancie, dopiero rektor uniwersytetu, Anglik, który przemówił w imieniu uczelni angielskiej i amerykańskiej, wskazując na popiersie Komendanta, mówił o jego ideologii, za co został nagrodzony oklaskami. Ładoś na zebraniu emigracyjnym szkłował były rząd i usłyszał od górnika: „parszywy sęp, co sra na własne gniazdo”, który przy oklaskach opuścił zebranie.

30.1. Nowe wojskowe regulaminy francuskie, dosłownie tłumaczone, utrudniają przeszkolenie kadr i żółtym krokiem postę-

puje formowanie wojska. Na ukończeniu formowanie w niebieskich łachmanach, bez dostatecznego sprzętu, lotnictwa, bez aparatów, artyleria bez armat. W najlepszym razie do końca roku 40 mogą być sformowane 3-4 dywizje, zatem, w wypadku rozstrzygających walk z początkiem wiosny czy lata tego roku, oddziały polskie nie wejdą w akcję. W związku z obrzydzeniem wszystkiego co związane z tradycją legionową, specjalnie z tradycją I Brygady, nasi oficerowie uważają, że to co tam zostanie zorganizowane nie będzie miało głosu w Kraju. To będzie coś na wzór armii Hallera. Istotny zatem punkt ciężkości, tak co do oblicza społeczno-politycznego, jak przyszłej armii leży w Kraju. Edziu (może Galinat) dokonał pięknego wyczynu, lądował w stolicy między okopami, miał zastrzeżenia, że łatwo tego rodzaju rozkazy wydawać z zagranicy. Karaś (chyba Tokarz) z rozkazu R. prowadzi robotę, kiedy Edzio miał rozkaz prowadzenia, Michał pytał zatem R, czy ma się Edziowi podporządkować. Oczywiście to Edzio się podporządkował. Anders pracował na okupacji bolszewickiej, został aresztowany i wywieziony. Japoniec pracuje u Kazika S. Robota idzie bardzo mozolnie, szalone represje. Edziu mówi o organizowaniu przez Niemców legionów ukraińskich z trójzębem w mundurach i uzbrojeniu polskim, czemu Salwatrol (?) nie chce dać wiary, bowiem z tego tytułu bardzo łatwo może być nieporozumienie między Niemcami a bolszewikami. Zyndram Koś.(ciałkowski) nie dotarł do Szefa Sosnkowskiego, pod naciskiem Raczkiewicza przyjęty został przez Wład. który się tłumaczył, że przecież dotąd szef Zyndrama nie przyjął, zaś Zyndramowi, który chciał jechać na robotę do Kraju powiedział, że tam mogą jechać tylko pewni, zweryfikowani oficerowie. Ponoć sztab rumuński proponował formowanie dywizji polskich, ale Sikorski się nie zgodził, może bał się przeciwstawienia i nakazał szybką likwidację elementu polskiego w Rumunii. Faury pisał do Noëla, by starał się wytworzyć atmosferę dla Marszałka jako N.W. i z tego powodu miał kłopoty po swoim przyjeździe do Francji, chociaż to się złądziło i jest inspektorem wyszkolenia.

Nieprzychylnie potraktowane zostało wypowiedzenie się Sikorskiego na wili: „Polska będzie albo sprawiedliwa, albo jej wcale nie będzie”. Płk R. tak się wyraził...

Aparatem, którym przyleciał Edzio R. wysłał Kaz. Pies. (?) *via* Kowno do Paryża z meldunkami do Pana.

List od Kazia Glabisza z Węgier, gdzie jest w kontakcie ze Sławą. Dzielnie się trzyma i napisał, że jeżeli go nie ściągną, to będzie wracał do Kraju. O, jakże on by się nam przydał. A pod koniec pisze: „Towarzyski życia można Ci pozazdrościć i gratulować. Że jest dobra i piękna, wiedziałem. Tutaj przekonałem

się, że także dzielna. Trzyma fason! Wygląda dobrze, nieco nawet utyla. Tęskni za Tobą bardzo. Nie upada na duchu". Jakże dumny jestem z Ciebie, Najdroższa.

31.I. Napisałem list do Kazia Glabisza, zostawiając ostatnią stronę, bo Pan chciał się dopisać. Napisałem parę słów do Julka P., które wysłę przez p. Dimę, bo jedzie do Bukaresztu. Muszę ją też prosić o kupienie paru drobiazgów, które chciałbym, aby potem przez Julka jej przesłać, bowiem pieniędzy żadnych nie chce przyjąć. Papiery Pana w Londynie stoją wysoko, we Francji są w trakcie wybielania Jego Osoby. Ponoć sytuacja Becka idzie w górę w Londynie, a w Paryżu nadal bardzo nisko. Szykuje się pakt o nieagresji rumuńsko-sowiecki, gwarantowany przez Niemców; może się tu kryć i coś innego, choć na pewno Anglicy zaangażowani w 72 % w przemyśle naftowym tutaj, będą się potem opierali. Potwierdza się, że na granicy b. pogranicza polsko-rumuńskiego stoją oddziały niemieckie. Jakaś Angielka stwierdza oddziały niemieckie na kierunku Odessy — przeciw Turkom. Weygand w Salonikach — Italia skłania się do wystąpienia z aliantami, choć Niemcy robią wszystko, aby do tego nie dopuścić. Chodacki na podstawie rozmowy z Biddlem komunikuje, że w dniach wrześniowych alianci byli absolutnie nieprzygotowani, podobno razem mieli 700 płatowców. Obecnie wyczuwa się, że grają na zwłokę, do maja będą mogli osiągnąć równowagę w powietrzu, od maja mają dopiero zapewnione 5000 płatowców miesięcznie. August Z. trochę podobno zmienił zdanie, pomógł Julkowi uzyskać paszport. Adam Koc odsunął się od polityki i naszych ludzi, uważając, że mu to szkodzi. Paciorkowski bez skutku (...) zresztą za to go gromił. Julek P. z Adamem nie rozmawiał, nie chcąc się narazić na nieprzyjęcie, a Adam Koc, wiedząc o pobycie Julka, nie starał się też nawiązywać z nim kontaktu. Mogą być i takie rezultaty, że ten rząd w walce z ideologią Komendanta przegra. Łukasiewicz zmienia front i dochodzi do wniosku, że możliwy jest wcześniejszy rozkład bolszewicki jak niemiecki. Prystor stwierdził możliwość współpracy z Litwinami, rozmawiali oni z nim, kiedy bolszewicy proponowali im kawałek Wileńszczyzny. Prystor odradzał, namawiał, by klócili się o większy kęsek, toteż podobno Litwini najpierw odmówili i dlatego później dostali więcej.

Dzisiaj wyjeżdża na paręnaście dni pani Dima (bardzo żałujemy) do Bukaresztu. Mam teraz trochę groszy, więc poszedłem do niej i dałem jej trochę lei i prosiłem, żeby kupiła dla Ciebie materiał na kostium wiosenny, dwie nocne koszule i cieszyłbym się, gdyby Julek mógł Ci to doręczyć. Dostałem Twój list z wytknięciem, że coś nieostrożnie napisałem. Może i tak.

1.II.40r. Julek słyszał, że podobno kursuje wiadomość, że

Pan ukrywa się w Karpatach, a inna znów, że Pan przed zakończeniem wojny wydał rozkaz rozstrzelania Ulrycha i Kasprzyskiego (jest to życzliwie przyjmowane). Jeśli chodzi o Kasprzyskiego, to odniósł się on pismem do Sikorskiego, który odpowiedzieć miał, że Polska nie potrzebuje i nie będzie potrzebowała jego współpracy. Potwierdza się też wysłanie listu przez Sikorskiego do Sławoja, który w częściowym odpisie miał Wańkowicz. Prezydent I(gnacy) M(ościcki) dostaje emeryturę w wysokości 4.400 franków szwajcarskich. Emigracja rosyjska liczy na upadek komun.[izmu] teraz lub nigdy.

Jaklicz przechowuje *akt umowy*, zachodzi obawa wykradzenia. Odpis pewnych punktów został doręczony poszczególnym naszym oficerom.

Szczapa nie dostał się do nas i pisze: „mogę powiedzieć, że byłem w Rzymie i papieża nie widziałem”.

Dąb-Biernacki miał już wszystkie instrukcje Pana i był przez nas w Budapeszcie przygotowany i wyekwipowany do kraju. Kiedy zwracał się do Sikorskiego i meldował, to ten go odrzucił. (Ale jak przeciekła wiadomość, że idzie do kraju, wtedy natychmiast dostał wezwanie Sikorskiego. Myśmy wiedzieli, co to znaczy, no ale nie mógł nie wypełnić rozkazu. I właśnie już z drogi, chyba z Włoch, napisał do Dragoslavele list o spotkaniu z Wieniawą, o rozmowach z ludźmi. Co też go spotka z Sikorskim?)

Dostałem list od Cieplaka. Píše: „o którego honor codziennie staczam boje”.

Do Skwarczyńskiego listy nie dochodzą (moje listy). Odnalazł ślad żony — jest lekarzem w Warszawie. Grzesiak odwiózł panią Dimę do Campulungu i tam trochę sobie posiedział. Naturalnie Petra zaraz napisał meldunek, a plutonowy, który z nim był, dostał 5 dni aresztu.

4.II. Pan maluje skrzypce z naturami. Skończył i mówi, że to chyba najlepszy obraz dotychczas malowanej martwej natury. Namawiam doktora, żeby poszedł po p. Dima i tam trochę przepalił, i żeby od czasu do czasu ktoś tam był, posłuchał radia, i żeby zachować pozory na wypadek przyjazdu Julka P.

5.II. Miałem trochę czasu, więc pofotografowałem trochę prac Pana. Miał przyjechać Dąbrowski. Chciałem pojechać do Campulungu, ale plutonowy nie chciał mnie puścić, zasłaniając się rozkazem, że wolno tylko jeździć po zakupy i alimentacje, a dziś niedziela i sklepy są zamknięte. Nie dałem za wygraną i powiedziałem, że na dworcu w Campulungu jest paczka żywnościowa nadana przez panią Dimę. Dzwoniłem do prefekta, potem do majora żandarmerii, ale nie zastałem, aż w końcu udało mi się Petrę namówić, żeby jeszcze raz dzwonił do żandar-

merii, no i dostałem zezwolenie na wyjazd. W Campulungu, w ognisku, spotkałem Dąbrowskiego, który wręczył mi list, który przywiózł w bucie. Na dworcu był rewidowany, walizeczkę też mu przewrócił wywiadowca. Przy pomocy prezesa tutejszego ogniska ustaliliśmy przyjazd Juliana P.

Szczapa uważa, że jednym z kapitalnych zadań dla polskiej myśli politycznej jest rozwiązanie zagadnienia, jak utrzymać w przyszłości państwo wobec ciągle grożącej możliwości sojuszu rosyjsko-niemieckiego. Nie mniejszej wagi jest utrzymanie wiary wśród ludu polskiego w możliwość istnienia silnego państwa polskiego. Pierwsze zadanie uważa za naczelne dla emigracji — nie zgadzam się z tym, trzeba pamiętać, że jakkolwiek w pierwszym chodzi tu o interes Polski, to jednak kwestia ta związana jest bardzo ściśle z Zachodem — z intencjami zwycięskiej wojny. Byleby po tym nie znalazł się jakiś Lloyd George, Wilson itp. Drugie uważa, że jest tematem pracy (?) krajowej. Uważam, że wszystkich Polaków. Wiadomość — Wacław Stachiewicz zwał Rumunom.

Dostałem reprimendę za zbyt śmiało napisaną kartkę do Sławeńki, ale myślałem, że na kartki nie zwracają takiej uwagi jak na listy. W międzyczasie wyprawili do Sikorskiego Emila Fieldorfa, bo po prostu zaczął im przeszkadzać na Węgrzech. Julek usiłuje dostać się na Węgry i to bardzo przykre, że już Emila nie będzie. Ale nie ma strachu — jest komu zaopiekować się Julkiem!

Wszyscy czekamy na jakąś wiosnę powszechną ludów! Sława dostaje adres pani V.: dr Milutza Vasiliu, Bukareszt, Slatinianu 9B (na wypadek odwiedzenia nas). Do Ciebie myślą biegnę, do Twego ramienia silnego głowę swą skołatana tulę — Zygmunt.

Do czego dochodzi, Dąbrowskiego wyprawili na dworzec prokurator z żandarmem.

Wieczorem przyszedł się pożegnać z nami plutonowy rezerwy, Nikołaj Gascou. Szkoda, bo to bardzo porządny człowiek. Przed paru dniami nadeszła książka, którą Pan pilnie studiuje, rozgryzając pewne zdania. Dzisiaj przyszło wzmocnienie naszego posterunku o 2-ch podoficerów. Zapowiadają w ciągu paru dni uzupełnienie o dalszych 24-ch żandarmów.

Na Węgrzech ludzie trochę odetchnęli po wyjeździe tego łobuza ks. Miodońskiego. Przede wszystkim Sława odetchnęła, a miała z nim istne piekło.

Miejsce postoju w Dragoslavele obstawili posterunkami. Było szereg oficerów, kręcili się, rozmawiali, ale nie z nami. Nie jest odpowiednia atmosfera na przyjazd Julka P., choć chwała Bogu dostał zezwolenie.

7.II. Włóczę się za każdym a nas, coś jakby weszli, jakby nas o coś posądzali. Około 2-ej telefonował Julek, że jutro w południe przyjeżdża do Campulungu, o jakże się cieszymy.

Tyle miesięcy upłynęło od wybuchu wojny, a sojusznicy nasi jeszcze przygotowują ostateczną rozprawę i nie przystępują do niej, mając na uwadze siły przeciwnika. Więc Polska nie ma powodu do wstydu wobec nikogo, a wstyd tylko, że sami Polacy ulegają propagandzie hitlerowskiej i że za nią powtarzają brednie i fałsze. Wstyd, że członkom rządu dzisiejszego nie wystarczy nasza nie do uniknięcia klęska na polu bitwy. Oni chcą wmówić, że to nie Niemcy i bolszewicy są winni rozboju dokonanego na Polsce, lecz że to Polacy są winni. Przytoczone zostały wśród wielu podobnych najbardziej tylko charakterystyczne (...) dzisiejszego rządu. Wobec tych faktów każdemu rozsądnemu i uczciwemu obywatelowi polskiemu wyrwa się z ust tragiczne pytanie: dla kogo ten rząd pracuje? Czy dla Polski?

Tyle już miesięcy minęło, a wypuszcza się z Węgier, z Rumunii tylko tych „prawowiernych”, to znaczy takich, którzy dmuchają w tę samą dudkę co ci dyrygenci we Francji. Zagrożenie z dnia na dzień staje się większe i wreszcie zostaną skazańcy zdani na łaskę i niełaskę rozzuchwalonych Niemców. To też nic dziwnego, że ludzie zaczynają się buntować po obozach.

8.II. Julek P. przyjechał o godz. 16-tej do Campulungu. O 18-tej przyjechał do nas taksówką, przywiózł gazety i papiery dla Grzesiaka oraz 24 tys. lei od wydz. (...) Odbyla się rozmowa z Julkiem w związku z jego wyjazdem na Węgry (konkretnie sprawa ucieczki Marszałka).

10.II. późnym wieczorem przyszedł do mjr. Krzeczковского mer Dragoslavele, mówiąc, że dostał polecenie załatwienia numeru i opłacenia naszego wozu Buicka. Mieli pojechać o 10-tej do Campulungu. Mjr K. prosił, żebym ja pojechał, bo on już nie ma dla nich sił. Ale Petra powiedział że nie puści auta do Campulungu. Mimo to siadam do auta i jadę. Na posterunku Petra zaczyna awanturę przy posterunkowych mówiąc, że mjr żandarmerii nie zezwala, abym ja wyjeżdżał, ma jechać mjr K. Mówię, że ja pojadę, tylko, że czekam na mera. Przychodzi mer, wchodzimy na górę i ja chcę telefonować do mjr. żandarmerii, ale nie mogę się z nim połączyć. Mam rozmawiać z kapitanem żandarmerii, ale ten mnie nie słyszy. Wreszcie dodzwoniłem się do prefekta, który pozwala na wyjazd do Campulungu. Prosi mnie, bym zjechał wprost na posterunek żandarmerii, gdzie mnie będzie oczekiwał. Podjeżdżam na posterunek, już jest i mówi mi, że mieli przez wyjazd mjr. Krzeczковского wiele przykrości. Kapitan żandarmerii dostał 10 dni aresztu domowego, ale że wszystko jeszcze dobrze się ułoży, byle tylko

byśmy uważali i przed każdym wyjazdem zgłaszali się do niego lub do żandarmerii. Uskarżałem się na despotyzm plut. Petry.

W Campulungu załatwiam sprawę auta. Spotkałem płk. Najsarka, który powiedział mi, że do 15-go marca wszyscy mają stąd wyjechać. Z prefektem omawiałem sprawę należności dla szoferów, którą obiecał załatwić. Kazał do siebie przyjść prefektowi.

Dr. B. Pawłowskiemu dało się wyrwać z Rumunii.

11.II. Emil Fieldorf został wezwany i wyjechał do Francji, niemniej jednak jest zdecydowany, aby znaleźć się w kraju. I znalazł się tam (jako „Nil”). Pan przysłał Ci bardzo serdeczne pozdrowienia, kiedy widzi, że ja do Ciebie piszę, to prosi o zakomunikowanie jego najlepszych życzeń. Na listach Twoich dostrzegam ciągle jakieś znaki i cyfry — to na pewno cenzura.

Wyjazd Julka na Węgry idzie mu bardzo opornie, bo niezmieennie trudno jest dostać wizę, choć ma paszport dyplomatyczny. Jeśli się nie uda, to pojedzie do Włoch i stamtąd może dostanie się na Węgry — choć to przedłuży sprawę. Ja mocno to podkreślam, że Julkowi wierzę i ufam. Wierzę, że jeżeli ktoś czegoś pragnie, to zawsze jest to osiągalne — zatem Julek z tych spraw wyjdzie zwycięsko!

A wreszcie i plutonowy dostał karę 10 dni aresztu za dokuczanie nam. Pan maluje mjr. Krzeczковского.

Sławenka napisała: „Pana Twego pozdrów najserdeczniej i najmocniej. Często o nim nie piszę, ale zawsze o nim pamiętam i myślę tak, jak się myśli o kimś Najbliższym i Najlepszym”.

12.II. Od paru dni mamy kłopoty z wodą i urządzeniami wodociagowymi. Wody jest minimalna ilość, a w dodatku z piaskiem. Dzień jak co dzień — każdy robi swoje. Doktor odwiedza swoich chorych. Zaniósł 500 lei od Pana kobiecie, która ma raka żołądka, a ma troje dzieci. Pieniądze zostały przyjęte ze łzami.

Po obiedzie napisałem kartkę do Szczapy wymyślając mu, że śmiał mnie posądzić o upadek ducha i brak humoru.

13.II. Sprowadziłem z Campulungu mechanika do naprawy. Podczas mojej nieobecności był u nas jakiś płk żandarmerii, który powiedział, że na skutek naszych skarg plutonowy Petra dostał dobrą reprimendę za stosunek do nas. Mjr Krzeczkowski miał wiadomość do Mańkowskiego, który za drutami siedzi w Targu Jiu.

14.II. Od rana kują zamarznąłą ziemię i naprawiają instalacje. Po południu mieliśmy wizytę jednego z 4-ech pretorów, mjr. Roussanescu, bardzo miły i przyjemny człowiek, który bardzo interesował się naszym tutaj położeniem. Przed udaniem się na spoczynek Pan pytał o Ciebie i prosił o załączenie pozdrowień w każdym liście.

15.II. Sprawa naprawy wodociągów posuwa się bardzo wolno. Nie mamy wody, co wprawia nas w zły humor. List od Ciebie znów najwidoczniej był otwierany i cenzurowany. Żeby już nie mieć złudzeń, wszystkie do Ciebie wysyłam otwarte, by cenzura nie miała kłopotu.

Znów drań Miodoński wrócił na Węgry i dręczy ludzi. Strzępi sobie język jakoby jakimś awansem, który miał otrzymać Wenda Z. Opowiada głupoty, żeby ludzi nastawiać na ludzi, a te ploty przywozi z Francji. Gołąb pisze, że za 5-6 tygodni już nie będzie Pana i jego bliskich w Dragoslavele, bo mają przyjść Niemcy.

16.II. Piąty miesiąc zaczynamy w Dragoslavele. List od płk. K. Głabisza z dopiskiem Pana nie doszedł do odbiorcy. Unikam poruszania pewnych tematów w listach — Julek dopowie. Jedno jest pewne, że nie sposób siedzieć w tej sytuacji z założonymi rękami. Sama Sława pisała, że ktoś z nas musi być przy odradzającej się Ojczyźnie. Otóż przede wszystkim to mój obowiązek i może Bóg mi pozwoli go sumiennie wykonać i da tę łaskę, bym jeszcze na własne oczy raz wtóry Ojczyznę wstającą widział!

17.II. Był telefon, Julek ma jeszcze przesłać przez panią Dima pewne informacje i wyjaśnienia. Nasz Jazdowski był w Campulungu w sprawie swoich papierów na wyjazd. Grzesiak radził się, co ma robić. Powiedziałem mu, że najwyższy czas, by zmykał do Francji. Są jednak poważne trudności, będę rozmawiał z prezesem ogniska w Campulungu.

18.II. Wieczorem grywamy w szachy. Pan bardzo lubi. Z wodą ciągle kłopoty. Nareszcie dostałem słownik (od Sławy).

20.II. Rano pojechałem z mjr. Krzeczkovskim do Campulungu, by u dr. Nicolau (Bank Powiat.) załatwić sprawę należności za reperację kanalizacji. Dyr. (...) przemawiał do sumienia przedsiębior. i wreszcie wziął 7.600 lei. Byłem u prefekta w sprawie naszych poborów i mają napisać raport. W żandarmerii spotkałem plutonowego Petrę, który właśnie dziś nas opuścił.

21.II. Cenzura jest bardzo pilna i konsekwentna. Chwała Bogu, że jest jeszcze „inna droga”. Już nam dokuczyło, że co ciekawsze listy nawet ginęły. Inne listy wysyłam w ogóle nie zalepione, bo tak wymaga poczta. Są wiadomości, że ci którzy dostali się do Francji, a byli niewygodni, to są w takiej nędzy, że jak trywialnie się wyrażają, nawet nie mają czym s... Rozgoryczenie wzrasta z dnia na dzień. Irytują się ci nowi rządcy, że światła pod kocem się nie schowa. Ciągłe mnie to niepokoi, Sławenko, że Ty tam z Matką cierpisz biedę, a ja nie mogę Ci przyjść z pomocą, bo mam leje, których przesłać nie można, a zresztą na co by się tam zdały? Z naszych pieniędzy mam 300 zł

(na Węgrzech z wielką sympatią i opieką odnieśli się do Sławy członkowie Klubu Szermierzy z ich szefem, generałem S. (Somogyi Andras). Bardzo ciekawy materiał zawiera książka „Le livre jaune français”. Ciekawe! We Francji zorganizował rząd polski obozy dla Polaków niepożądanych — zdaje się, że tam się znalazł i Hartman.

Nadeszły wiadomości, że dr Szarecki transportowany z okupacji sowieckiej do niemieckiej w wagonie otwartym, odmroził ręce i w Warszawie amputowano mu obie ręce — chirurg bez rąk. Panem bardzo się martwimy, nie sypia po nocach, całymi zaś dniami pracuje — tylko noc chciałby od siebie odsunąć.

22.II. Pan stara się czytać bardzo ciekawe książki. Teraz ma „Franz Joseph II” autorki amerykańskiej, bardzo ciekawa historia związana z tą epoką. Po przeczytaniu wieczorami opowiada nam i dyskutujemy.

23.II. Zawiadomiono mnie, że jest Szczapa w Campulungu. Zaraz tam pojechałem. Przywiózł go płk Badulescu. Rayski pozabawiony odznaczeń i skazany przez n. rząd na 7 miesięcy więzienia. Dąb Biernacki, jakoby za obrazę Francji i urzędującego ministra Kota, został aresztowany. Z prasy wynika, że może państwa skandynawskie opowiedzą się po stronie Niemiec, co byłoby bardzo niekorzystne dla aliantów i dla naszej sprawy, chyba wtedy zaważyć by mogła Ameryka.

24.II. Posterunki dzienne krążą koło domu. Już nie możemy tego znieść. Od paru dni (chyba nas straszą), ale cała wolna od służby „gwardia” kilkunastu żandarmów ćwiczy pod domem na moście.

Sławenka pisze, żebym ostrożnie wspominał Julka w listach, bo jak przyjedzie na Węgry, to mu tu nie dadzą żyć. Jak ktoś niewygodny, to gotowi zepchnąć do Dunaju.

25.II. Pan maluje pejzaże — wodospad na Dębowitzy przy moście. Żandarm cały czas stał na moście i nie spuszczał nas z oczu. Piękny, już chyba wiosenny dzień. Pszczoły latają. Czasem gramy w brydża, a jak karta Panu nie idzie, to jest niezadowolony.

Telefonowała pani V. i pytała, czy czego nie potrzebujemy.

27.II. Rocznicą konstytucji — gmachy udekorowane. Bardzo przykra wiadomość od Sławenki. Pracowała w Inst. Polsk. i pozbawiono ją pracy. Sprawa jest dla mnie zrozumiała, bo jeżeli nie mogą się odbić na mnie, to na niej. Co za podłość. Ileż Ona jeszcze tego rodzaju przykrości z powodu mojej osoby mieć będzie. Ale jestem głęboko przekonany, że i to potrafi mężnie znieść.

28.II. Od rana jesteśmy z Panem nad wodospadem Dębowitzy. Pan dostał bardzo miły i serdeczny list od Polki, p. Kaz. Styczyńskiej z Ameryki.

Podobno wraca pani Gregorescu — cieszymy się (Francuzka?)

29.II. Jesteśmy z Panem koło wodospadu — Pan maluje. Odwiedził nas mjr Krzeczkowski. Ja jestem koło Pana, a Petra zatruwa nam życie swoją obecnością tuż koło nas. List od Sławeńki. Nareszcie ma ciepły sweterek, a w czymże Ona całą zimę chodziła.

P. Irena, żona gen. Kruszewskiego, pisze: „Od 1-go września zrozumiałam, że nie śmierć jest niemiłosierna, tylko życie... Od Dęba Biernackiego nie mam wiadomości, ale chodzą tak potworne wieści, że jeśli się sprawdzą, to trzeba zwątpić w prawo Polaków do istnienia jako naród”. Wydaje mi się, że bardzo krzywdzące i niesłuszne zdanie — z tytułu kilku niedowważonych i zaciętrzewionych umysłów ludzi piastujących tak wysoką i odpowiedzialną godność — z miejsca wyciągać takie twierdzenie w stosunku do wszystkich Polaków?!

1.III. Po obiedzie mieliśmy wizytę zastępcy d-cy pułku żandarmerii, ppłk. Bleanu, mjr. Roseanu w towarzystwie majora żandarmerii z Campulungu i ppor. Paskovic Eustachy, który obejmuje dowództwo tutejszego posterunku. Ciekawe, co znaczy ta zmiana i co to będzie za człowiek? Rozumie on trochę po polsku, mówi po niemiecku. Francuskiego nie zna.

2.III. Doktor i major pojechali do Campulungu. Przyszedł ok. 10-tej ppor. żandarmerii, którego przedstawiłem Panu, który z nami rozmawiał wspominając wielką wojnę, mówił o wielkich korzyściach, jakie Rumunia osiągnęła po wojnie. Na co on oświadczył, że Rumuni zdecydowali o zwycięstwie nad Marną. Dopiero Pan wyprowadził go z błędu. Zapytany, czy zadowolony z tak długiego pobytu jako zdemobilizowany odpowiada, że nie może powiedzieć, czy zadowolony czy nie, może jedno powiedzieć, że przede wszystkim spełnia obowiązki. Mówi, że stryj jego, kapitan oficer zawodowy armii polskiej, poległ pod Kutnem. Po obiedzie zupełnie niespodziewanie przyjechał nasz Julek na 3 godziny — nic specjalnie ciekawego.

3.III. Byłem w Campulungu i jeszcze widziałem Julka. Byliśmy na nabożeństwie. Niezapomniane wrażenie, chór polski — słabe kazanie ks. K., na zakończenie „Boże coś Polskę” i dyskretnie trzeba było łzy ocierać. Petra był zaniepokojony, nie widział, jak wszedłem do kościoła, był 3 razy w kościele, pytał Bartczaka, który powiedział, że nie wie co się ze mną dzieje. Musiałem wracać, więc pożegnałem się z Julkiem, który poszedł na obiad do pp. Badulescu — nadzwyczajnie mili ludzie. Po powrocie Pan wydał mi jeszcze dyspozycje dla Julka dotyczące Twojej osoby, Sławeńko. Nie mogąc wydzwonić stąd centr. musiałem jechać do Rucar i tam załatwiłem. Listy, które teraz przy-

chodzą do St. na Węgry mają w załączeniu znaczki pocztowe wymienne, żeby nie narażać jej na wydawanie pieniędzy.

4.III. rano był ppor. żandarmerii i zapytałem go, kto wydał rozkaz rewidowania p. min. Piaseckiego J. odpowiedział, że na podstawie rozkazu d-cy korp. żandarmerii. Wtedy zapytałem go, czy zatem rewizja p. P. po wyjściu od nas była podyktowana troską o bezpieczeństwo osoby Pana. Odpowiedział, że rewizja miała miejsce (wg meldunku plut. Petry) i przed przybyciem i po odejściu, ale rewizja raczej dla formy. Stąd Julek tłumaczył sobie, że oby podobie....? Następnie mówił, że dla niego jako dla człowieka i Rumuna ta służba jest bardzo ciężka, a przecież zdajemy sobie sprawę, że tutaj nie może on nam dać takiej przysługi, jak gdyby był w innych dotychczasowych obozach. Robi na ogół pod tym względem dobre wrażenie.

Pan dziękuje za pozdrowienia Zosi, a ty wiesz, co masz Mu jeszcze powiedzieć.

„Panie tymczasowy” — powiedzenie tego gazeciarza w Warszawie bardzo nas ubawiło. Krzeczkowski mówi, że on tego dowcipnego gazeciarza dobrze zna, to jest ten morowiec, którym się opiekował, oddając mu swoje podniszczone części garderoby. Cieszymy się, że potrafiłaś tylu wartościowych ludzi zgrupować koło siebie i że stworzyłaś taką atmosferę. Pan się tym bardzo cieszy, ale i obawia się, by Cię tam jakieś łobuzy nie wykończyły, bo któż by Ciebie tam zastąpił? Opowiedziałem Panu całą historię z tym księdzem, który Ci tak dokucza, a Pan, który zawsze jest tak uważający, nie mógł się powstrzymać, by parę słów gorzkich i nieprzyzwoitych nie wypowiedzieć pod adresem tego draniuszka.

Najdroższa, nie wiem, ile w tym prawdy, ale doszły do nas wiadomości, którym nie chcemy po prostu dać wiary. To p. R. (chyba Rayski) i tak bardzo wysoki z tytułem Tuńcia (był generałem) dostał siedem miesięcy więzienia i pozbawiono go orderów. Stefana (chyba chodzi o Dęba Biernackiego) ponoć za obrazę tam gospodarza i urzędującego ministra (chyba Sikorskiego) lub Kota, wsadzono do więzienia i mają mu wytoczyć proces. Trudno zrozumieć tego rodzaju postępowanie. Dlaczego Sosnkowski ani Adam (chyba Koc) nie reagują, a odwrotnie, siedząc w tym środowisku, wyrażają tym samym *placet* na takie widowiska. I to jest ta nowa sprawiedliwość! A ludzie biegną tam jak do Mekki, by móc dalej spełniać swoje jedyne, jakie im pozostało, zadanie i takiego tam doznają przyjęcia. Czy któryś z tych drani choć w jednej setnej dał z siebie to, co na przykład dał w życiu Stefan Dąb Biernacki, a dzisiaj oni jego chcą sądzić i co gorzej będą — czyż to nie woła o pomstę do Boga!

Niechże Bóg da wiele zdrowia temu, kto Ci ten sweterek

sprezentował. Taki byłem niespokojny, jak Ty tam sobie w zimie poradysz. Boć tymi *heisse Marone*, to jedynie nosek można sobie ogrzać, no i przy tym go pobrudzić. Myśmy z tą zimą mieli też wiele kłopotów, bo „willa” — szumna nazwa — jest willą letnią, tylko tyle, że ma piec. Ale ściany tylko na jedną cegłę i mimo to, że wiele paliliśmy, to jak przyszedł wiatr z północy, to tak wyziębił, że trudno było wstawać rano, taki chłód był w pokoju.

Doszło do nas ostatnio z prasy, że wszyscy Polacy spod okupacji bolszewickiej mają być przerzuceni na okupację niemiecką, wprost nie do uwierzenia i zdawać by się mogło nie do zrealizowania, ale dla przejściowych gospodarzy nie ma nic niemożliwego. A może z dwójga złego to byłoby może i lepsze, niż wysyłka na Syberię.

I znów te przykrości od tego klechy (Miodoński). Ileż Ty już miałaś i ile jeszcze mieć będziesz przykrości z racji mojej mizernej i skromnej osoby. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale dzisiaj niestety nic na to nie mogę poradzić, nie mogę Ci przyjść z pomocą. Żyję tylko nadzieją, że dasz sobie, maleńka Moja, radę — wierzę w Ciebie. Czasem wydaje mi się, że cały szereg tego rodzaju wypadków pomijasz milczeniem, ażeby mi nie robić przykrości, ale ja zdaję sobie sprawę, ile Ty, Bidulko, za mnie i przeze mnie wycierpieć musisz. Bardzo Cię za to, Najdroższa, przepraszam. Bardzo mnie martwi złe samopoczucie Pana, który kiedyś jechał z nami do Antków (chyba Głabisza Kazia). Postaraj się zaradzić jakoś i przeciwdziałać. Sam oczywiście nie zdaję sobie sprawy, jak by to należało zrobić, ale Ciebie, najdroższa, proszę, sprowadź „to” na normalne tory. Wierzę głęboko, że jeżeli się weźmiesz do tych spraw, to za niedługo wszystko będzie w porządku.

Nie napisałaś mi, czy w dalszym ciągu i regularnie Wam wypłacają i czy te dwa pengos, to nie jest tyle, że za mało by żyć, a za dużo żeby umrzeć?

Teraz coraz częściej słyszy się o obozach wprowadzanych przez Sikorskiego, że zaczyna się wierzyć, że to prawda. Podawane są różne nazwiska ludzi, którzy za to czy owo w tego rodzaju obozach są przetrzymywani i oczywiście nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że gdybym się znalazł na tamtejszym terenie, na pewno musiałbym dzielić los tych, których czekają sądy i rozprawy. No, ale ja się na tego rodzaju pracę dla Ojczyzny nie palę. Zdaję sobie sprawę, co muszą przeżyć i jak cierpieć ci wszyscy, którzy po spełnieniu zadania w dalszym ciągu z narażeniem własnego życia ciągną tam, by spełnić swój obowiązek żołnierski, a tymczasem zamykani są do obozów jak złoczyńcy! Aż coś się burzy w człowieku, trzeba się powstrzymać

wać, by nie nazwać i ludzi i rzeczy, które wyczyniają, po imieniu.

Tak ogromnie cieszę się Twoimi listami, ale jak spojrzę na opłatę, to na samą myśl, że to dla ciebie taki wydatek, zimno mi się robi. Spróbuj przysłać listy nie opłacone, ja zaś będę płacił — na pewno w lejach to nie będzie tak dużo, a zawsze choć w tej formie przyjdę Ci z pomocą, bo zaoszczędzisz dla siebie to, co wydajesz na korespondencję do mnie.

Dostałem list od Sławoja, wyobraź sobie wysłany przez niego 5.XI.39 r. I do Pana przyszedł list od Polki z Ameryki też z października — dopiero teraz.

Jakkolwiek nigdy tego nie poruszałaś, to jednak wyczuwam, że masz do mnie żal o to, że nakłoniłem Cię do wyjazdu z Polski. Wiele razy się nad tym zastanawiałem i zdaje mi się, że w tym wypadku jestem usprawiedliwiony. Znając Twoją ruchliwość i chęć do każdej pracy, zdawałem sobie sprawę, że byłabyś ciągle narażona na wielkie przykrości od „tymczasowych”. To zdecydowało, że tak kategorycznie postawiłem sprawę. A zresztą popatrz, ile poprzednio i teraz możesz oddać usług i pracy na tym terenie. Wyobraź sobie, jak by się teraz czuło wielu ludzi w tej sytuacji, gdyby Ciebie nie było. Jak Ty, Bidulko, bez ciepłej sukienki i bez ciepłego płaszcza wytrzymasz tę zimę?

Jeżeli chodzi o Dęba Biernackiego, to naprawdę okropne wiadomości do nas dochodzą. To wszystko woła o pomstę do Boga, a Ty, Najdroższa, ludzisz się jeszcze nadzieją, że to są jakieś chwilowe pomyłki tych ludzi, którzy stanęli na czele i że się opamiętają. Przecież takie szyszki muszą wiedzieć o tym co się dookoła dzieje i co zrobiono ze St. Dąb Biernackim i z innymi, więc dlaczego się nie przeciwstawiają łajdactwu. Ja nie mogę zrozumieć Adama (Koca), a przede wszystkim Szefa (Sosnkowskiego), że nie uderzy w stół i nie weźmie rozbratu z tymi panami. Siedząc przy wspólnym stole, nie reagując ani na ataki na Komendanta, ani w takich przypadkach jak Stefan (Dąb), tylko ułatwiają tym panom ich zamysły.

Przypominam sobie Twój list, w którym piszesz: proszę i jeszcze raz proszę, abyś czytał swoje listy po napisaniu. Sądzę, że odnosi się to i do tego, co powyżej napisałem.

Załączam specjalne znaczki, które przylepiaj na listy wysłane do mnie. Jaka szkoda, że tak późno o tym się dowiedziałem i że Ty tyle pieniędzy wydałaś na pocztę.

Ludzie Sikorskiego wmieszali Dęba Biernackiego w sprawę Cywińskiego, wmieszali również płk. Bogdana Seligowskiego. Gazety, które Julek przysyłał, *Słowo* z artykułem Cata, *Robotnik* z artykułem Liebermana i Pragiera i różności z *Głosu Polski* są straszne, ohydne, pałające zemstą i nienawiścią — czytać tego w tej chwili absolutnie nie można.

5. III. Po obiedzie przyszedł ksiądz tutejszy, który po śmierci swojej żony (?) zjawił się u nas pierwszy raz. Zachwycony był pracami Pana i ich dużą ilością. Odprowadziłem go, a po drodze spotkałem ppor. żandarmerii, który pytał o mnie, co ma zrobić, bowiem dostał rozkaz z korp. żandarmerii, żeby zamieszkał w naszej willi.

6. III. Rano był u nas ppor. P., pokazywał mi rozkaz podpisany przez d-cę korpusu żandarmerii z dnia 4. III. — każe mu mieszkać przy nas. Dzwonił do p. Vasiliu i dostał zezwolenie. Duże ograniczenia. Panu już nie wolno wyjechać autem tak jak poprzednio nawet z żandarmem. Spacerować dozwolone tylko do Rucar. Ktoś z oficerów może jechać do Campulungu po sprawunki żywnościowe, ale tylko jeden. Natomiast przedłużono godzinę wyjścia do 8-mej wieczór. Wyraźnie podkreślono, że teraz prefekt nie ma nic do powiedzenia w naszych sprawach. Po południu byłem na spacerze z Panem, towarzyszył nam P. Ciekawe są wywody o ruchu Codreanu.

List od Szczapy z wiadomościami.

7. II. Rano pojechałem po sprawunki do Campulungu. Spotkałem tam naszego ppor. P., który był u dentysty, bo ma ropę pod zębami. Przyjechały pp. D. i G., które miały ze sobą pocztę dla nas, w tym list od żony Pana. List od Sławy, która najęźsz mrozy przetrzymała, a teraz dopiero się zaziębiła. Jakoś wyjaśniła sprawy z Miodońskim, ale czy na długo? Przyśłała mi artykuł z *Więści Polskich* z Budapesztu z 2. III. na temat N.D. w czasie dni wrześnieowych — bardzo umiarkowany i bezstronny — choć o pomocy aliantów nie wspomina, natomiast... rząd rumuński rozkazał ich internować.

8. III. Znów jakieś szykany, nie wypuszczają naszych ludzi za bramę, są bez chleba, bez papierosów. Feliksa, który szedł po papierosy dla Pana, zawrócono. Poszedłem do ppor. P., ale nic nie wiedział o tych nowych zarządzeniach plut. Petry. Przez innego podoficera zarządził odwołanie. Niestety po południu, kiedy kucharka nasza chciała iść po kartofle, znowu jej nie wpuścili. Wezwałem ppor. P. do siebie i zrobiłem mu awanturę.

Nie masz jak kochana moja Sławenka! Żebyś Ty wiedziała, czy mogła być świadkiem naszych rozmów z Panem o Tobie, tobyś już najbardziej mogła być przekonana, że to co powyżej napisałem, jest najoczywistszą prawdą. Zresztą da Bóg doczekać, pomówimy kiedyś na ten temat, przeczytasz moje pamiętniki, wtedy uściskasz i powiesz: wierzę, wierzę.

9. III. Około 3-ej znów była awantura z Petrą. Przyszedł ze strażnikami wyrzucać rzeczy służby z pokoju, w którym ma zamieszkać ppor. P. Petrę wyrzuciłem i poleciłem mu, żeby ppor. P. przyszedł do mnie. Około 5-ej przyszedł ppor. P., prze-

praszał mnie, że znowu Petra go nie rozumiał. Obsztorcowałem ppor., przy czym po polsku dzielnie sekundował mi mjr Krzeczkowski. Zaprowadziłem ppor. P. do kuchni bardzo wilgotnej i świeżo pobielanej, zapytałem go, czy może w tej kuchni dzisiaj zamieszkać; chciałem odłożyć jego wprowadzenie się bodaj na kilka dni. On zaś ma rozkaz telefonować po godz. 8-ej wieczorem do mjr. R., że już mieszka u nas. Meldowałem o incydencie Panu. Opróżniamy pokój, służące wprowadzają się do pokoju, w którym mieszkał Krzeczkowski na parę dni, jak kuchnia wyschnie, wrócą do kuchni. Najlepiej nasz tłumacz-zandarm Nikita powiada, że ppor. P. w dwa wiatry dużej, że wydaje sam rozkazy, a przyciśnięty przeze mnie zwała na Petrę.

Pan zniecierpliwiony napisał list do Gafencu. Mnie nie wydaje się, aby go warto było wysłać.

10. III. Przepisałem list Pana do Zefirka (chyba Szczapa), który prześlę przez p. G. — autograf doręczę przy okazji. Od jutra znów zaczynam lekcje francuskiego. Będę zajęty, to i nie będzie czasu na różne rozmyślania. Dzisiaj zapusty i u tutejszych zabawa. Roma nasza chciała się wybrać, ale ppor. P. nie puścił jej.

11. III. Pan od paru dni pisze sprawozdanie, przeżywa tę tragedię po raz nie wiadomo który, toteż humor i samopoczucie bardzo przykre. Tak mi żal patrzeć na tę Jego mękę, a nic pomóc nie mogę.

12. III. Rano było w Campulungu. Złożyło się doskonale, bowiem jutro jedzie do stolicy płk B. (może Badulescu), który zabierze list do Zefirka.

Wieczorem Pan miał trochę lepsze samopoczucie. Udało nam się zrobić wycieczkę z Panem i naturalnie z Petrą kawalek w góry. Byliśmy bardzo zmęczeni, Pan musiał zmienić koszulę, bo była zupełnie mokra od potu. Ale plut. Petra po tej wycieczce to chyba jutro nogami nie będzie mógł ruszać.

13. III. Rano pojechał do Campulungu po pieniądze. Otrzymaliśmy za 3 miesiące do końca marca 24.570 lei. Wysłałem list do Sławoja, by gen. Litwinowicz przysłał ze swego działu potrzebnych danych do pracy Pana dotyczących przemysłu wojskowego, przygot. „mob” i budżetów inwestycyjnych.

Z dzienników dowiedzieliśmy się, że Finlandia przyjęła warunki pokojowe. W *Kurierze Polskim* podano o posiedzeniu Rady Naczelnej, która powstaniem z miejsc witała wchodzącego Sikorskiego. Pomyśleć, że kiedyś opierali się wstać przy wejściu Marszałka Piłsudskiego. Jakieś drańskie zarzuty — Sikorski, który powiada, że stan zaopatrzenia armii był lepszy w 25 r. niż w 39 r. „Wspomina naturalnie o swoich 46 dywizjach na papierze”.

15. III. Znowu chyba nas straszą i dziwne przedstawienia wyczyniają, przeprowadzają zmianę posterunków (jeden przed bramą, dwa przy domu w asyście dziewięciu żołnierzy) — tylko orkiestry brak. Namawiałem ppor. P. na jazdę po zakupy do Brasov. Jest niezdecydowany, ale jutro ma dać odpowiedź.

Nowy rząd robi dochodzenia w stosunku do życia i pracy Komendanta! Niestety ten i ci co mogliby odpowiedzieć i zająć stanowisko mają usta zamknięte i ręce związane.

Wiadomość od Ciebie, Sławeńko, że zaczynają u was przenosić osoby cywilne do obozów, napawa mnie niepokojem. Żebyś Ty się od tego uratowała!

19. III. Ma być nabożeństwo w Campulungu — św. Józefa. Ciekawe, czy nam tam pozwolą jechać, bo przecież wolno nam jeździć tylko po jednym. Może jednak zrobią wyjątek.

„Cieszę się, że G. (chyba Glabisz) jest tak jak zawsze porządne homo” — opiekuj się nim, Kochana, i nie pozwalaj mu upaść na duchu, bo on na pewno na Twoją opiekę zasługuje. Wiesz, jak bardzo go lubię za jego męski i zawsze prostoliniowy charakter.

Pytasz, Kochana, o zdrowie Pana. Nie jest tak, jak byśmy sobie tego życzyli, coś jest nie w porządku z kiszkami i co gorzej z woreczkiem żółciowym. Często ma bardzo ciężkie bóle i w nocy spać nie może. Kiedy namawiam Go, by rano trochę dłużej spał, nie chce się zgodzić powiadając, że można się do tego późnego wstawania przyzwyczaić, co nie byłoby dobre i każe się o 8-ej stale budzić. W ciągu dnia pracuje. Przepracowuje dokumentarycznie, o ile Go stać na to w tej chwili, i utrwała na piśmie wszystko to, co z całą tą tragedią było związane. Jakby to Olimpijczyk (chyba Glabisz) się Mu przydał, był wszak tak blisko tych spraw, ma doskonałą pamięć. Pewnie będzie musiał w przyszłości uzupełnić.

Jest tu płk Najsarek, który zna Ciebie Sławeńko z Zegrza, z Twoich dziecinnych prawie lat. Bardzo źle się wyraził o H. Cepie.

16. III. Wiadomość od Zefirka, że wysłał ci paczkę. Lolcio i Julek przysłali życzenia dla Pana. Pisał Mares. Przyszły i inne życzenia, no i naturalnie Twoje.

18. III. Rano o 8.15 pojechaliśmy wszyscy trzej do kościoła. Ks. Kosiba odprawił nabożeństwo, chór śpiewał polskie pieśni, było sporo ludzi. Po mszy poszedłem podziękować księdzu, który ze łzami w oczach prosił, bym Panu złożył życzenia i zameldował, że modlił się jak umiał najlepiej. Przywiozłem Panu życzenia Badulescu, Najsarka i innych. Po przyjeździe złożyliśmy Panu życzenia na górze. Około 12-tej przyszedł złożyć życzenia ppor. P. Poszedłem na górę, wręczyłem Panu cygarniczkę z (...)

złożyłem życzenia w Twoim imieniu i przeczytałem to, co napisałaś. Pan prosił, bym Ci pięknie podziękował. Poczta przyniosła sporo listów z życzeniami i telegramy od Sławoja i Mańkowskiego. Byłem pełen podziwu, bo nadeszły róże od Ciebie — jak Ty to zrobiłaś? Poszedłem je wręczyć — był bardzo rozczulony — prosił, bym pisząc do Ciebie zostawił miejsce dla dopisania. Zrobiłaś wielką przyjemność, strasznie się cieszę i bardzo dziękuję.

Był duży list od Kazika Glabisza. Nie rozumiemy, co w nim oznacza „cynk” i „wizyta”. Lolcio powiadomił, że posłał Sławence 1000 zł. Przyszły też farby i papier, które wręczyliśmy Panu. W liście od Szczapy dopisał się Julek P., który odesłał polecenie złożenia sprawozdania z pracy swojej przed i podczas wojny.

Wysłałem Sławence *coupon réponse international*. Znaczką tym można opłacać każdy zagraniczny list zwykły. Mili i kochani są ci nasi chłopcy, którzy proponują Ci pomoc pieniężną.

Wysłałem Sławence paczuszkę. Załatwiła to pani D. Jest to materiał na kostium i dwie zmiany bielizny. Chciałbym, żeby przyjechała ten prezent takim sercem, jakim ja to Jej daję. Parę dni temu wypłacili nam całą masę pieniędzy, bo od 1.I. do 31.III. 40r. po 270 lei dziennie.

Święta mamy za pasem. Byłem w Campulungu i zamówiłem trochę wędliny, a resztę załatwi nasza kucharka, tak bardzo nam życzliwa — Węgierka.

19. III. Rano pojechałem z doktorem do Campulungu na mszę św. za Komendanta. Przed kościołem spotkałem kapelana Kosibę, który w pierwszy dzień świąt koniecznie chce do nas przyjechać ze mszą św. Meldowałem o tym Panu, który bardzo sobie tego życzy i polecił mi zrobić w tym kierunku starania. Rozmawiałem z ppor. P.

Msza św. za Komendanta była długa, ale nie w czarnym kolorze. Jednak kapelan Kosiba o Komendancie ani słowem nie wspomniął. Po nabożeństwie modlił się za Ojczyznę, za zmarłych i poległych w pracy w służbie Ojczyzny. Po tym poszliśmy do M. (...) dokąd potem poszedł płk Badulescu. Telefonowaliśmy, żeby na nas z obiadem nie czekano. Trochę się zasiedzieliśmy i wypiliśmy trochę wina. Dr C. rozczulił się, opowiadał o ostatnich chwilach Komendanta. Był oburzony na ks. Kosibę, że nie wspomniął Komendanta na nabożeństwie. Powiedział też, że nie może darować, że Kuba Krzem. niósł serce Komendanta — to ma dużo racji.

Wieczorem byłem na lekcji francuskiego. Dwukrotnie przychodził ppor. P. pytając: 1) czy i wiele płacimy za kwaterę, 2) czy i kto jest w pokrewieństwie z pp. Vasiliu. Cóż to u nich

za porządki, bo pytał, skąd myśmy się tu właściwie wzięli?!

20. *III.* Był ppor. P. i powiedział, że sprawy ks. Kosiby i mszy nie może załatwić. Po obiedzie mieliśmy wizytę kapitana żandarmerii, który przyjechał — zdaje mi się — w związku z opłatą za kwaterę.

Dostałem list od Sławoja, pisze, że Litwinowicz pracuje nad materiałami i wyciągi za tydzień będą gotowe. Napisał też gen. Kasprzycki, który również pracuje nad zestawieniami dla Pana. Jeden wyciąg załączył.

21. *III.* rano byłem w Campulungu. Zawiozłem list od Pana dla płk. Badulescu oraz bilety dla Najsarka, Kosiby i prok. Szarbińskiego. Z Campulungu zabrałem syna p. Dima, który po odrze otrzymał w szkole kadeckiej parę tygodni urlopu. Miałem wiadomości od Szczapy, który otrzymał list od Szefa, ale nic specjalnie ciekawego.

Wiadomości o zmianie rządu we Francji oraz najrozmaitsze wnioski i hipotezy związane ze spotkaniem Hitlera z Mussolinim.

22. *III.* Rano wysłaliśmy auto z por. P. do Brasov po sprawunki, ale w związku z zakazem spożywania mięsa (środa, piątki) grama mięsa ni smalcu nie sprzedano.

Nadeszło jeszcze parę życzeń dla Pana.

Feliks z Grzesiakiem przygotowuje na jutro ołtarz w drugim domu. W ołtarzu piękna rzeźba Chrystusa na krzyżu znad łóżka Pana, pod nim M.B. Wileńska. Chorągwie w kolorach narodowych.

24. *III.* Przyjechał ks. Kosiba z płk. Szarbińskim i płk. Najsarkiem, których Petra — nie rozumiejąc słowa „ministrant” — wziął za ministrów. Ppor. P. był jeszcze nie ubrany, poprosił mnie do siebie, był w dużym zakłopotaniu, że jacyś ministrowie, dopiero ks. Kosiba wyprowadził go z błędu. Na nabożeństwie byliśmy wszyscy. Pan, tak jak i my wszyscy, w mundurze. Była też p. Georgescu. Bidulka ciągle oczy ocierała. Po nabożeństwie, po modlitwie za poległych odśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”. Pan po nabożeństwie odszedł do okna, by nie pokazać, a kiedy podszedłem do niego — miał te kochane oczy pełne łez i chusteczką je wycierał. Po nabożeństwie ksiądz i „ministrowie” zostali na śniadaniu. Ks. Kosiba, mając jeszcze jedną mszę dzisiaj, nie mógł nic jeść. Opowiadano o różnych perypetiach swoich i naszych uchodźców. Płk Najsarek opowiadał o „mordobiciu” pułkowników i majorów rumuńskich przez naszych uchodźców. Po południu pojechaliśmy do dr. C. (i ppor. P.) do pp. Badulescu, którzy na nas czekali ze święconym. Było kilka osób, a między innymi Julek Piasecki. Była bardzo przyjemna atmosfera — przemawiał płk Badulescu. Udało mi się przez dłuższą chwilę

porozmawiać z Julkiem i ustalić pewne sprawy ze względu na jego wyjazd na Węgry. Byliśmy w kościele na tę intencję.

25. III. Pojechałem do Campulungu i jeszcze widziałem się z Julkiem, Najsarkiem i p. Badulescu. Naturalnie ppor. P. ze mną. Julek przywiózł różne listy. Od Pani, od Niezbrz.[yckiego] i innych. Wieczorem przyjechali pp. Badulescu i Najsarek — byli na kolacji. Wieczorem czytaliśmy z panem otrzymane listy.

26. III. (Już raz jej nie dopuścili). Ppor. P. zakomunikował, że p. Tatiana (Giedroyc) otrzymała zezwolenie przyjazdu do nas, a on za niestosowne zachowanie się w stosunku do pani G. ma być ukarany. Według mnie nie jest on winien, ale ofiara zawsze musi się znaleźć i on jest tą ofiarą.

Przeglądałem artykuły w *Słowie* i coś tam za nagonka na Pana. Mylą się, jeśli myślą, że tą drogą zyskają powodzenie czy zaufanie. Wydaje mi się, że efekt będzie odwrotny.

27. III. Przyjechała p. G. (Tatiana Giedroyc), spotkałem ją na dworcu. Pojechałem z nią do żandarmerii. Okazuje się, że może się widzieć z Panem tylko w towarzystwie komendanta żandarmerii z Campulungu. Kapitan chce jechać z nami, ale dopiero za półtorej godziny, bo chce zjeść obiad i przebrać się. Tłumaczy, że ma mało czasu. Pani G. powiada mu, że jest głodna i nie ma zamiaru czekać. Zgadza się, by w jego imieniu asystował ppor. P. Na obiedzie u nas asystował ppor. P., ale potem wyszedł. Pan przeszedł z p. G. do gabinetu na kawę, myśmy zostali przy stole. Po niespełna godzinie przyjechał kapitan żandarmerii, wszedł sam do pokoju, gdzie zresztą przedtem wepchnęliśmy ppor. P., zameldował się Panu, po chwili usiadł i był obecny przy rozmowie. Kiedy ppor. P. chciał wyjść, kapitan polecił mu zostać. Nawiasem mówiąc głupiutki jest ten kpt. B. O godz. 16-tej odwiozłem ją po wręczeniu listu do p. M., pojechaliliśmy razem z ppor. P. na dworzec. Miał on się potem zameldować dla spisania protokołu w komendzie żandarmerii. Ponoć nie byli zadowoleni z relacji ppor. P. Oczekiwali enuncjacji o rozmowach politycznych.

W dniu imienin Komendanta w Bukareszcie odbyło się nabożeństwo oficjalne. Był ambasador Raczyński i pełny kościół ludzi.

29. III. Charakterystyczny jest memoriał p. Wł. Stud[nickiego]. „Byłem twórcą i kierownikiem klubu zwolenników (...) państw, który to klub miał na celu utworzenie państwa polskiego sprzymierzonego z Niemcami”. „...W czasie 20-lecia niepodległego państwa polskiego przepracowałem niezmordowanie zbliżenie niemiecko-polskie. W 1923 r. występowałem w gazecie *Słowo* przeciw wydaniu niemieckich oponentów. (...) Nazwałem wojewodę Grażyńskiego, z powodu jego niewłaściwej polityki anty-

niemieckiej, 'największym szkodnikiem sprawy polskiej'. W kwietniu, maju i czerwcu rozwinąłem żywą propagandę przeciw wojnie z Niemcami. Ówczesny rząd polski usiłował sterroryzować przeciwników wojny, aby ich skłonić do milczenia. Tak np. posłano do obozu koncentracyjnego bardzo uzdolnionego i popularnego red. Cata-Mackiewicza, wydawcę *Słowa Wileńskiego*, stojącego od dawna pod moim wpływem politycznym. Obawiano się bowiem, że w wypadku przedwczesnego poddania się Warszawy stworzę nowy rząd i zawrę oddzielny pokój z Niemcami. Okazało się, że przewidziałem wszystkie wydarzenia, że przymierze z Anglią musi wywołać wojnę z Niemcami i klęskę wojskową Polaków. Żądania niemieckie zawarte w ultimatum w przeddzień wojny, pomimo że szły o wiele dalej, winny być także — moim zdaniem — przyjęte. Polegały one na przyzwolonym i sprawiedliwym rozdziale obu państw i interesów dwóch narodów”.

Dostałem list od Ryszarda: „Wszystko tu układa się na płaszczyźnie emocjonalnej, ciągłych intryg i niekończących się powikłań personalnych. Osobny rozdział to p. Kazimierz (chyba Sosnkowski). Jak w tej atmosferze nastawionej na (...) Piłsudskiego, zohydzania całego dorobku, tępienia ludzi dla prywatnych i osobistych porachunków, jegomość uważa za możliwe pozostawać i coś tam markować, czy też firmować. Będzie to jego prywatną zagadką. Dominuje obawa przed utratą popularności i konkurencją. Wbrew wszystkim tu opiniom i pozorom, twierdząc z całą stanowczością, iż teren Francji i Anglii jest bardzo podminowany komunizmem i emocjami anarchiczno-rewolucyjnymi, że Moskwa mimo (Finlandii) całkiem nie utraciła swego *prestige'u*, wprost przeciwnie, pozytywne zainteresowanie nią wciąż wzrasta, że należy się zupełnie poważnie liczyć z dużymi niespodziankami Paryż-Moskwa, zwłaszcza jeżeli chodzi o paraliżowanie inicjatywy Naczelnego Dowództwa. (...) Na specjalną uwagę zasługuje rozłam w PPS (Barlicki, Dubois) b. skrajna lewica, coś w rodzaju narodowego komunizmu. Arciszewski, Zaremba — umiarkowany program drugiej międzynarodówki. Myślę, że ten pierwszy jest w dzisiejszych warunkach bardziej zdrowy i raczej zwycięży. (...) Ze sfer dobrze poinformowanych francuskich dowiaduję się, że rząd francuski wytrzymuje obecnie bardzo dużą presję idącą od soc. rad., i skrajnej lewicy w kierunku zawarcia pokoju. (...) Ruch komunistyczny i propaganda moskiewska na tutejszym terenie wzrastają z dnia na dzień”.

31. III. Ppor. żandarmerii P. to zdaje się Parcovic. W czasie śniadania wielkanocnego płk Najsarek wręczył Panu pisanekę, na której Ksionda, też ze Zgierza, wyrzył szczyrykiem po jednej stronie orła polskiego, a na drugiej inicjały i buławę. Podał ten

prezent w małej, pięknie haftowanej jedwabnie chusteczce, którą zrobiła żona rumuńskiego płk Badulescu. Ta rodzina nadzwyczajnie opiekuje się naszą Polonią.

Przy liście z dnia 31.III. dopisał się Marszałek: R.S. Idąc do siebie — po obiedzie — przypomniał mi Pan o liście do Ciebie, bym napisał i do dopisania przyniósł. Skończywszy list, poszedłem na górę. Pan prosił, bym list zostawił, a po dopisaniu się odnieś mi. Paniusiu, serduszko moje, jak pięknie napisał: „Droga Pani. Bardzo, bardzo dziękuję za pamięć i życzenia. Ma Pani więcej serca niż tysiące kobiet, więc więcej szlachetnego męstwa i godności, niż tysiące mężczyzn. Swoją postawą wywołuje Pani tyleż wzruszenia, co podziwu”. Sławenko Najdroższa, jakże dumny jestem z Ciebie.

Około godz. 16.30 prok. Szarbiński prosi o wóz dla ppor. P., którego gościł i podejmował. Pojechałem. Ppor. P. opowiadał mi rozmowę z Sidorovici, jakoby Hitler z Mussolinim w Brennerze poruszają sprawę pokoju. Odbudowa Polski, Czech, bez Austrii. Nie wydaje mi się to prawdopodobne, a tego rodzaju ploteczki mogą być niebezpieczne na terenie państw neutralnych, choć i na społeczeństwo francuskie czy angielskie też mogą oddziaływać ujemnie. Poza tym mówił mi o spotkaniu kolegi z dawnych lat szkolnych, który pracuje w ambasadzie niemieckiej, który wiedział, że Pan jest tutaj, proponował mu forszę. Mówił też, że matka żony jego nazywa się Ludomiła Stocka.

2.IV. Rano wyciągnięto mnie z łóżka, bo przyjechał z ambasady mjr Chorąży z papierami od płk Zakrzewskiego do mnie. Oświadczyłem na piśmie, z lewej imię i nazwisko, z prawej Dragoslavele 2.IV.40r.: *Attaché* Wojskowy RP w Bukareszcie. W odpowiedzi na 1.dz.711/Att/40 Tjn. z dn. 14.II.br. komunikuję, że pieniądze w kwocie sto tysięcy dol. am. od kapt. Niezb.[rzyckiego] z rozkazu NW otrzymałem, które według rozkazów NW wydatkowałem. Odnośnie 1.dz.526/sj.40 z dnia 19.II. komunikuję, iż kasotę z wymienionymi dokumentami od mjr. Goł. otrzymałem.

Mjr. Chorążego odwiózł do Campulungu mjr Krzeczkowski. Wydaje mi się być on typkiem, który już dostosował się do warunków, między innymi powiedział, że „bolszewicy uratowali nasz honor”.

3.IV. Listy dla Pana od Sławoja, Litwinowicza, Julka i od Szczapy. Ludzie Sikorskiego odebrali Stachiewiczowi papiery i skierowali go do Algieru. Mamy wiadomość, że sprawy dr. Cianciary stoją dobrze i w niedługim czasie nas opuści. List od Bronowicza z Ameryki.

4.IV. Mjr Krzeczkowski pojechał z ppor. P. do Brasov — ciekaw jestem, czy nie będzie jakiejś awantury z tego powodu.

Słyszeliśmy, że Dąb Biernacki, będąc we Francji, dostał areszt domowy za to, że jakoby będąc na Węgrzech niepochlebnie wyrażał się o dzisiejszym rządzie. Pani Irena Kruszyńska pisała nam, że na temat Biernackiego chodzą tak potworne wiadomości, że jeżeli to jest prawda, to trzeba zwątpić w prawo Polaków do istnienia jako narodu. Wydaje mi się, że trochę zagałowała, ale cóż, przemawia przez nią rozgoryczenie, i słuszne. Mamy egzemplarze *Słowa*, które Cat-Mackiewicz wydaje w Paryżu. Cóż to za drań niepoprawny, co też on nie wypisuje. Niemcy weszli na teren Danii i posuwają się naprzód — no może coś się zacznie, może na zachodzie otworzą im się oczy.

7. IV. Przyjechał ks. Kosiba, mieliśmy mszę św. Był także prok. Szarbiński i płk Najsarek. Modliłem się tak gorąco.

Okropna zawieja śnieżna.

8. IV. Zawieja ustała. Wpadłem do p. Dima, żeby im zrobić parę zdjęć domu i ogrodu.

9. IV. Byłem z Panem na spacerze. Potem poszedłem na lekcję. Wieczorem mówiliśmy o artykułach Kwiatkowskiego o jego gosp., Pan jednak go broni. Wspomnił Pan o zebraniu z dyrektorami banków, podniósł, że od maja obaj z Prezydentem przekonali Kwiatkowskiego o konieczności pokrywania zapotrzebowania wojskowego — mocno za późno.

Przyszły gazety, w których jest mowa Sosnkowskiego i Strońskiego. Po co Szefer mówi takie rzeczy, czy to podnosi na duchu obywateli: „odslaniając w całej pełni niebezpieczeństwo rządów niekontrolowanych, ekskluzywnych, i za to musi powstać system rządzenia, gdzie o doborze ludzi będzie rozstrzygać kompetencja, zdatność, uczciwość, a nie przynależność grupowa czy partyjna”. Dlaczego nie przyjrzy się, jak to tam teraz wygląda, a dalej: „W cierpieniu zmieni się nasza umysłowość, nauczymy się odpowiedzialności zbiorowej, doprowadzi w oswobodzonym Kraju do zmniejszenia ilości stronnictw, uprości życie polityczne”. A czyż nie tego samego żądał Komendant i marszałek Śmigły?

11. IV. Ppor. chodzi dwa razy dziennie słuchać radia i przynosi nam wiadomości. Zabrano z Norwegii do niewoli 45 Niemców, a Narwik ciągle w ręku Niemców.

Cieszę się, że już masz materiał na płaszczyk. Bardzo Cię proszę, że jak go uszyją, to przyślij mi fotkę swoją już w tym nowym okryciu.

Rumuni są zadowoleni z działań na północy i wydaje im się, że może już nic im nie grozi. Zobaczymy.

Borkiewicz nie pisze?!

Mieliśmy od czasu wiadomości przez Hartmana o tym co z Prezydentem, ale niezbyt przyjemnie i niewesoło na nowym miejscu. Teraz cisza.

Piątek, 12.IV. Rano dr C. pojechał do Campulungu, skąd, zupełnie za wiedzą ppor. P., przywiózł Julka (niby swojego gościa). Julek nawet przenocował u nas. Jest przed wyprawą do Budapesztu. Propozycje Zakrzewskiego szły w tym kierunku, żeby Julek przejął pewne obowiązki. Julek P. ostrzega przed prok. Szarbińskim, który jakoby mjr. Chorążemu ofiarowywał pewne usługi. Podobno Kordian Zam. godzinami z własnej ochoty przesiaduje u p. Aleksandrowicza, który tu z ramienia Kota przeprowadza dochodzenia.

Julkowi dałem list do Sławenki i przekazałem pewne drobiazgi, jak pled, zegarek, legitymację oraz fotki. Pan dał mi dla Sławenki pejzażyk, widok z okna. Napisałem, jakże byłbym szczęśliwy, gdybym tak jak on mógł ciebie zobaczyć, Sławenko. Cóż bym za to dał, za to szczęście.

Julek ma mi o wszystkim dokładnie opowiedzieć, opisać po przyjeździe do Budapesztu. Julek zabrał dla mnie, poza listem, drobiazgi i pejzaż namalowany przez Pana i 300 zł.

Sobota, 13. IV. Z ppor. P. odwieźliśmy Julka P. do Brasov. Grzęźliśmy w śniegu, założyliśmy łańcuchy. Pożegnałem Julka P.

Jesteśmy przejęci wiadomościami działań na północy. Wykombinowaliśmy radio, które Grzesiek próbuje zainstalować. To co podają alianci dementują zaraz Niemcy i odwrotnie. Dobrze, że nareszcie coś się zaczęło! I tak to wojna się zaciągnęła na Boga ducha winne narody. Mamy atlas i z wielkim zainteresowaniem, tak jak i Ty, śledzimy wydarzenia.

Tomirowie zmienili się bardzo, są obecnie bardzo „pro” (Beck) nastawieni. Ostatnio bardzo przeszli na stronę swego szefa.

Poniedziałek, 15. IV. Czyżby to już było pół roku?

Wtorek, 16. IV. Byłem z Panem, który malował. Dostałem wiadomości od Sternaka, siedzi w Vichy, dokąd go ściągnęli. Pisał Mańkowski, który prosi o zezwolenie odnośnie zmiany mieszkania, chyba ma zamiar zwiewać.

17. IV. Rano byłem z Panem. Dzwoniła p. Vasiliu, że przyjedzie wieczorem, że ma bardzo ważne wiadomości i że muszę natychmiast dać odpowiedź. Żegnaliśmy księdza Kosibę, który wyjeżdżał do obozu, by stamtąd dalej. Moja Najdroższa Sławenka przyjechała z p. V. Żandarmi mówią *Vostra konkona Poloneza*. Języka w ustach zapomniałem, nogi z radości i szczęścia się trzęsły pode mną i nie chciałem wierzyć, że to Ona. Okazuje się, że Pan spodziewał się, że Sławenka przyjedzie. Powiadomiłem Lolcia, że radości i szczęścia pełno! Co za zbieg okoliczności. Julek w drodze do Budapesztu, a Sławenka u nas. Prawie całą noc prowadziła rozmowy z Panem. Było tyle tematów, a jeden najważniejszy. Jak nad ranem wyszli przed dom, Mańsza-

łek pokazał Jej ręką na północ. Zgodnie z Jego nieodwołalną decyzją to był kierunek Jego drogi, a metą ukochana, a tak bardzo udręczona Ojczyzna.

FRAGMENT PIÓRA SŁAWY WENDA

Ja zdawałam Marszałkowi meldunek z prac wykonanych na terenie węgierskim, wszystko co tylko miałam polecone wykonać wykonałam. Na Węgrzech miałam już wielu przyjaciół, bo poznałam język i wiele domów życzliwych, które po tym bardzo się nam przydały. Mówiłam o każdym spotkanym na Węgrzech ze znanych Marszałkowi ludzi i każdego charakteryzowałam. Ich przydatność w naszym wysiłku i możliwości. Słuchał uważnie, a co mnie zastanawiało, że mówił o ludziach z wielką przychylnością. Nawet wtedy, jak rozmowa przeszła na temat ludzi z nowego rządu, od których doznał tylu przykrości, a nawet podłości — o czym jeszcze oddzielnie napiszę — jeśli nie mógł powiedzieć nic, co by ich mogło tłumaczyć, to raczej nic nie mówił, albo zmieniał temat. O Sikorskim, Strońskim czy Kocie mówiłam z zacieklą pasją, a On milczał. Oni byli daleko, a my tak blisko naszego Kraju i tylko o tym mówił, bo to co było w naszych planach, było przecież najważniejsze. Stanowiliśmy już jedną mocną organizację OPW, która miała wytyczony cel. Muszę przyznać, że bałam się tego spotkania, bo wydawało mi się, że ten człowiek będzie jakiś załamany, zmaltretowany i przygięty do ziemi, bo przecież tyle się na Niego zważyło. Podobno w czasie zaistniałego tam trzęsienia ziemi w nocy walił się na Niego nawet i ten hebanowy krucyfiks, co wisiał nad jego łóżkiem. (Było to naprawdę łóżko takie, jakie przystoi archimandrycie Mironowi). I dziwna rzecz, jak spotkałam Marszałka, poczułam się w jakiś dziwny sposób podniesiona na duchu, tyle w Nim dostrzegłam jakiejś nadziemskiej mocy, tyle hartu ducha i tak jakby od Niego emanowała jakaś dziwna siła. Miał w sobie tyle godności i tyle szlachetności. Aż się zawstydyłam, że mogłam przez chwilę myśleć o jego załamaniu. On przez moment jeden nawet nie zwątpił i nie załamał się. To, co mi o Nim pisał i mówił Zygmus, w całej rozciągłości mogłam stwierdzić. Jakże byłam szczęśliwa, że nareszcie dotarłam do tego człowieka. Na terenie Rumunii byłam już trzeci raz, bo miałam rozpracowany pewien odcinek granicy. Poza rodziną ich kucharki, Irmą, miałam i innych znajomych Węgrów w tych okolicach i tą drogą szedł potem Marszałek, Zygmus i inni na Węgry.

Tamte wyprawy moje były bardziej ryzykanckie niż ta, która była już jakoś podbudowana pewnymi papierkami i pomocą

p. Vasiliu, która miała duże stosunki. O wielu sprawach wiedziałam, ale ta rozmowa w dwoje w ciągu nocy wyjaśniła mi niektóre wątpliwości, rozszerzając moją orientację. Wyjątkowym po prostu stosunkiem do mnie, swoją szczerością, zaufaniem i prawdą, nieklamana miłością do Ojczyzny, związał mnie na śmierć i życie ze swym losem, za który czułam się odpowiedzialna do ostatniego tchnienia. Wydaje mi się, że nigdy Go nie zawiodłam i nie zawiodę po śmierci Jego, która tak szybko, po przejściu do Polski, skosiła Jego życie. Tyle tych brzoźowych krzyży na Jego mogile pozmieniałam na nowe i chciałabym, żeby pamięć o tym szlachetnym wspaniałym człowieku, i o tym wiernym żołnierzu Komendanta, nie przeszła bez echa.

Spędziłam tych parę dni z moim Zygmuntem, który tak bardzo mnie kochał i tak blisko tego wspaniałego człowieka, ale godzina powrotu nagiła. Wiem, że obydwaj myśleli o tym, czy też Julek Piasecki nie będzie miał jakichś trudności na terenie Węgier, jeśli mnie tam nie zastanie, a przecież szedł do mnie. Dla Julka to było zaskoczeniem, że mnie nie zastał na miejscu, bo trochę się błąkał po Budapeszcie, a ja przecież miałam dla niego przygotowaną kwaterę i instrukcje dotyczące terenu. Niestety trochę źle to wypadło, ale ta moja okazja powstała tak nagle, że już nie mogłam się cofnąć. Tylko parę dzionków spędziłam w Dragoslavele w niezwykle serdecznej atmosferze, jaką mi stworzyli mieszkańcy willi archimandryty Mirona. Jakież to piękne wnętrze tego domu, ile obrazów, kryształów i ikon. Byłam zaskoczona, bo Marszałek przy posiłkach oddał mi pierwsze miejsce. Na drugi dzień skądś przywieziono żonkile złociste, które włożono do jakiegoś wazonu, który jednak Marszałkowi — jako malarzowi — nie wydał się odpowiedni i zobaczyłam przez uchylone drzwi, jak te kwiaty przekładał do błękitnego kopenhaskiego wazonu. Mój Zygmus wodził za mną oczyma, gdzie tylko się ruszyłam. Udało Mu się zorganizować wycieczkę do pieczary w Dembovitrovy (?). Mam zdjęcia z tej wycieczki. Moje zjawienie się zaskoczyło tamtejszą policję, więc zaczęli dochodzić skąd, co i jak. Ale był bardzo przyjemny szef policji, który raczej bardziej mnie się przyglądał, niż tym zagadkowym papierom. W prefekturze było trochę trudniej, ale jakoś ten protokół został spisany, choć dziwnie głowami kiwali.

Z moim Zygmuśm przeprowadziliśmy rozmowę na temat gen. Zagórskiego, bo ten to po prostu zgroza, ile ja miałam przykrości na Węgrzech z powodu tego człowieka. Po tej rozmowie miałam już zupełnie jasny obraz sprawy, bo Zygmus mi opowiedział, jak ta sprawa przedstawia się, a potem przysiągł mi, że żadna plama na nim nie ciąży. Opozycja czepiała się paru ludzi, których oskarżali w tej sprawie, ale jeżeli chodzi o niego,

to mi powiedział, że Bóg jest świadkiem, że to oskarżenie jest zupełnie bezpodstawne i niesprawiedliwe. Po tej rozmowie poczułam wielką niechęć do tych, co mi życie chcieli zatruć na Węgrzech, ciągle wiążąc nazwisko mego męża ze sprawą Zagórskiego. Ludzie są tacy podli!

Dnia 23. IV. Odjechałam do Bukaresztu do pani Vasiliu, żeby jej opowiedzieć, jak to było w Dragoslavele i jakie były rozmowy z policją. Wieczorem spotkałam Szczapę, człowieka z którym przed wojną mieszałam czasem jakieś utarczki, bo mi Zygmunta godzinami zatrzymywał w mieście. Z tego, co mi teraz mówił o nim Marszałek i Zygmunt wynika, że zasługuje on na największe zaufanie, bo stosunek jego do ludzi w Dragoslavele jest nadzwyczajny. I tak przy dobrym winie w jakimś lokalu popłakaliśmy sobie nad losem polskich tułaczy. I dziwił się, że w tak ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazł się Naród, odkryliśmy jednocześnie tyle brzydoty ludzkiej i tyle niepotrzebnej dodatkowej krzywdy. Ale i promienie słońca też radują serca ludzkie. A takimi promieniami jest prawdziwa przyjaźń między ludźmi, umiejętność poświęcania się i chęć ratowania tych, co są w największym utrapieniu. Pisząc te słowa myślę sobie o rodzinie pp. Vasiliu, a szczególnie o p. Vasiliu. Spędziłam dzień i parę godzin w jej domu w Bukareszcie i przy jej pomocy, już jakimiś normalniejszymi drogami, obdarowana upominkami, wracałam do Budapesztu. Pamiątkowy krzyżyk z Jeruzalem — Milutza Vasiliu zawiesiła mi na szyi, żeby mnie bronił przed wszystkim, co mnie jeszcze miało czekać.

Wracając 25. IV. na Węgry czułam, że wstąpiły we mnie jakieś nowe siły, tak jakby mi skrzydła u ramion urosły. Przed odjazdem jeszcze zatelefonowałam do Milutzy V. do Dragoslavele, żeby ich pożegnać.



Sobota, 27. IV. Rano przyjechał Szczapa i przywiózł listy dla Pana od Julka, a dla mnie od Radwana i Sławeńki, która napisała na odjezdnym. Julek zawiadomił, że Jim (Beck) świństwa nie robi. Chodziło tu pewnie o to, że nie będzie wiał z Rumunii przed Panem, ale zdaje się, że tego nie dotrzymał. A poza tym, że nie jest źle nastawiony Jim do Pana.

Niedziela, 28. IV. Rumuni w tym dniu obchodzą Wielkanoc. Mjr Krzeczowski poszedł na przyjęcie do p. Georgescu a ja z ppor P. i jego żoną pojechałam do płk. Badulescu. Stamtąd zabraliśmy dr. C., który po prostu płacząc mówił, jakim bólem przeżywa go jego postępek (pewnie chodzi o jego decyzję wyjazdu). Wypiłem z nim bruderszaft.

Poniedziałek, 29. IV. Pan nie czuje się dobrze. Rano był dr C. i badał pana.

Wtorek, 30. IV. Całą noc wiał bardzo silny wiatr — w górach śnieg, a przed południem zaczął padać śnieg i u nas.

Czwartek, 2. V. Dzień moich imienin. Byłem w... chcąc się zobaczyć z Beckiem lub Romanem — nie zastałem, bo byli na śniadaniu u Anglików w Ploesti. Rozmawiałem krótko z p. Sokołowską.

Dostałem parę listów z życzeniami.

Piątek, 3. V. Na lekcji u p. G. dowiedziałem się o sytuacji w Norwegii. Pani G. była tak przejęta, że ze łzami w oczach tłumaczyła artykuły i depesze. A tu p. Ch. znów mowę wygłosił, cóż za kompromitacja, jaki to wpływ ma na małe państwa neutralne. Kiedyż nasi sprzymierzeńcy zaczną się bić naprawdę. Dostałem pierwszy list od Borkiewicza.

Sobota, 4. V. Radosne komunikaty niemieckie są nie do zniesienia. Wielka kompromitacja dla Anglików. Coś też komunikat mówił o koncentracji sił morskich alianckich na Morzu Śródziemnym. Co z tego wyniknie?

Niedziela, 5. V. Dzień paskudny, wiatr i deszcz. Około godz. 9-ej przyjechał ksiądz dziekan Zapła z Cianciarą i Najsarkiem. Razem z Najsarkiem służyłem do mszy św. odmawiając ministranturę z książeczką. Ks. Zapła jest bardzo przyjemny i miły. Przed wojną był dziekanem WP w Krakowie.

Komunikat niemiecki głosi: czarny dzień floty angielskiej. Ciekawe co przyniesie wtorkowe zebranie Parlamentu?

Poniedziałek, 6. V. Około 8.15 wieczorem dał się odczuć silny i głęboki wstrząs ziemi. O 9.30 strzały na posterunku, podobno ktoś z latarką podchodził pod willę.

Wtorek, 7. V. Jeszcze silniejszy wstrząs niż wczoraj, a o godz. 13.25 jeszcze jeden.

Środa, 8. V. Wyszliśmy z Panem, ale ppor. P prosił, abyśmy wracali do domu, bo gen. Benlin (?), szef korpusu żandarmerii, przyjechał na inspekcję. Marszałek mówił mi, że dostał list od dziekana z Węgier, a w nim: „Wasza Ekscelencjo, Najdostojniejszy Panie Marszałku, Naczelnny Wodzu Polskich Sił Zbrojnych. Dziekanat WP wyraża Panu, Panie Marszałku, swe całe zaufanie, tak w stosunku jako do NW Polskich Sił Zbrojnych, jak w stosunku do człowieka w ogóle. Niestety, które spadło na Polskę, nie może być przypisywane Panu. Jesteśmy winni wszyscy, albo nikt z nas z osobna. Mam mocną wiarę, że Pan ucieleśnia w sobie ideał polskiej szlachetności, honor i dzielność polskiego żołnierza, a wypadki ostatnie raczej podkreśliły te cechy Jego szlachetnego charakteru, a stanowczo nie umniejszły go w niczym. Muszę przyznać szczerze, że dziś Pana

kocham najbardziej, że często moje myśli krążą przy Nim, najbardziej bolesnym Synu Polski, najbardziej biednym spośród nas wszystkich Polaków, przy Nim najniewinniej upokorzonym do cna, przy Nim złamanym bezpodstawnie przez charaktery podle. Publicznie od swego urzędu i siebie daję Panu, panie Marszałku i NW Polskich Sił Zbrojnych, ten wyraz, z wyrazami hołdu najwyższego, jako dokument od siebie, który niech będzie tymczasem zadatkem najwyższego odznaczenia Polski nowej, który sam Panu położę”.

A oto drugi list: JWP Marszałku. Próbuje szczęścia. Piszę do Ciebie, Panie Marszałku, słów kilka, aby Ci donieść, że dla nas większości wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych, jesteś nadal słoneczną smugą, że dla nas jesteś Marszałkiem, któremu wierność przysięgamy. Były chwile grozy i łamania rąk i rozpacz bezdena i cały bieg wypadków leciał na nas prosto z krwią przesiąkniętych pól, ale znając Twój kryształowy charakter, Twoje zasługi, P.M., nie ma zwątpienia w naszych sercach. Piszę, aby Ci złożyć, P.M., raport, że jesteśmy pełni wiary i optymizmu. Pracujemy w pocie czoła, zbieramy pieniądze, organizujemy się na wielką skalę, wspomagamy żołnierzy internowanych, prowadzimy stałą korespondencję, wysyłamy im bieliznę, ubrania, pieniądze i potrzebne artykuły. Raportuję, że moment wahania znika, że przychodzi okres brania się za bary i rehabilitacji. Proszę wybaczyć moją śmiałość... piszę, bo wiem, że otulony jesteś, P.M., welonem tęsknoty, oczy Twoje biegną hen w dal siną... gdzie zostało wszystko na łaskę losu. Lecz tęsknota Twoja, Marszałku, nagrodzona jeszcze będzie. My zrozumieliśmy sprawę doskonale, tylko ci, którym nie zależy na Ojczyźnie, którzy dorwali się do prowizorycznej władzy, sączą mnóstwo urągów, które bez efektu, jak groch o ścianę rzucony, rozbijają się w potopie zdrowej myśli i hartu ducha. Twoja podobizna, P.M., zdobi moją ścianę, bo w Ciebie wierzymy. Cokolwiek zrobiłeś, panie Marszałku, zrobiłeś dobrze, bo mogło być gorzej. Bądź dobrej myśli i dalej ucz maluczkich kochać Polskę, jak nas uczyłeś. My wiemy, że Polska to Twoja religia, Marszałku, i za nią życie byś oddał w pokorze. Inni może tego nie wiedzą, ale na nich nie trzeba zwracać uwagi. Nie będę pisał więcej, bo więcej słów nie trzeba. Między liniami tych słów i zdań leży nasze serce polskie i Tobie, Panie Marszałku, oddane. Spotkałby mnie najwyższy zaszczyt, gdybym mógł od Pana Marszałka słów kilka otrzymać. Daję żołnierskie słowo honoru, że korespondencja pozostanie w ścisłej dyskrekcji. Mogę podzielić się bardzo ważnymi wiadomościami w przyszłości. Jestem młodym człowiekiem, który po ukończeniu służby wyjechał do Ameryki do ojca. Liczę 30 lat, z zawodu jestem anonserem (?) rozgłośni radio-

wej, żonaty z obywatelką amerykańską. W imieniu całej Polonii przesyłamy gorące pozdrowienia. Niech żyje Polska! Niech żyje Marszałek Rydz Śmigły! Wiernie oddany Włodzimierz Z. Sikora”.

Czwartek, 9.V. Byłem w Campulungu. Rozmawiałem z ks. Zapalą, przyjedzie odprawić mszę żałobną za Komendanta.

Nasza Węgierka Irma choruje i leży. Kutnik gotuje obiad. Panuje grypa. Przysłali nam znowu Petrę, a Roseanu koniecznie chce przyłapać ppor. P., żeby mu udowodnić, że bez przepustki dopuszcza do nas. Nawet Petrę indagowano w tej sprawie, ale był na tyle przyzwoity, że zaprzeczył.

Piątek, 10.V. Pan źle się czuje, bardzo Go boli ręka, nie wychodzi. Dowiadujemy się o nalotach na miasta francuskie.

Sobota, 11.V. Pan namalował cerkiew, ale nie skończył. Na jutrzejszej uroczystości mamy być w mundurach.

Niedziela, 12.V. Ks. dziekan Zapalą przyjechał o godz. 9-tej, ale okazuje się, że w dniu dzisiejszym nie może być mszy żałobnej. Po odczytaniu Ewangelii ks. dziekan zapowiedział, że msza dzisiejsza jest na intencję Komendanta, potem odmówiliśmy litanię do Matki Boskiej na intencję Polski. Trzeba było słyszeć modlitwy Pana, trudno się było od łez powstrzymać. Ksiądz dziekan, Cianciara, płk Najsarek wraz z por. C. zostali na obiedzie.

Pani Vasiliu jeszcze raz podziękuję za jej serdeczność do Ciebie. Są to rzeczywiście bardzo serdeczni dla nas ludzie, tak zresztą jak i znakomita większość tutejszego społeczeństwa. Sławenko Najdroższa, jeszcze raz najserdeczniej i najpiękniej za tych parę cudownych dni, jak z najpiękniejszej bajki, dziękuję i proszę wierzyć mi, że do ostatnich chwil swoich o nich nie zapomnę.

Rozczuliła mnie p. Milutza Vasiliu ofiarowanym Ci krzyżem z Jeruzalem i słowami wypowiedzianymi o Tobie. To bardzo zacna i godna niewiasta. Wszyscy bardzo ją lubimy i szanujemy. Jakże się cieszę, że miałaś od niej tych parę groszy i mogłaś za nie zjeść coś ciepłego.

Radio bardzo się nam przydało. Często słucham Budapesztu i tak sobie wtedy myślę, że może i Ty razem ze mną słuchasz. Jak znajduję koncert orkiestry węgierskiej, to wołam Irmę, która słuchając popłakuje sobie, ta kobieta to bardzo zacna osoba. Chorowały nam zresztą obie, tak Irma jak i Roma — gospodarzem i kuchcikiem zarazem był nasz zawsze kochany i nieoceniony Kutnik.

Otrzymałem bardzo miłą kartkę z życzeniami od Borkiewicza. Napisałem mu, aby mimo obawy, jaką ma przed Hubicką, się z Tobą skontaktował.

Poniedziałek, 13.V. Pan malował stary młyn przy ogrodzie p. Dimy. Miałem list od D. Biernackiej z Wilna.

Wtorek, 14.V. Pan dostał list od żony, a ja od Ryszarda i Bogdana Szeligowskiego, którego też tak maltretują jak Dęba. Pisał również Kaciukiewicz i Henisz.

Środa, 15.V. Zelektryzowany jestem wiadomością o mobilizacji na Węgrzech i bardzo niespokojny o Ciebie. Jest duża różnica między komunikatami niemieckimi i francuskimi. Tym ostatnim chciałoby się wierzyć. Dzisiaj np. mówiąc o tankach i dywizjach zmotoryzowanych, podkreślają, że mat. franc. jest lepszy, ale mało — stosunek 1:3 na korzyść Niemców — to wstęp do jakiejś przykrej wiadomości z terenów walk. Komunikaty raczej przykre, sytuacja w Belgii bardzo poważna. Sądzę, że trzeba się liczyć, że właściwy opór będzie stanowić linia Maginota na granicy belgijsko-francuskiej. Te straty lotnicze, które podają Niemcy — jeżeli chodzi o alianatów — są zastraszające i chyba nie są prawdziwe.

Piątek, 17.V. „Walter (?) Sikora, Chicago Illinois 7704, Diversey Ave, USA. Szanowny i Drogi Panie! z głęboką radością dowiaduję się, że Wy Polacy w Ameryce jesteście pełni wiary i optymizmu, że pracujecie, że zwątpienie nie ma przystępu do Waszych serc i że staracie się dopomóc żołnierzom i internowanym. Za to, chociaż oficjalnie nie reprezentuję i w niczym imieniu przemawiać nie mogę, Bóg Wam zapłać! Pisze Pan o urąganiach. O tak, wiem o nich, dochodzą one do mnie tutaj. Plują jadem i śliną, najgorsze to że część tej śliny na Polskę spada. Ale od czasu do czasu — nie często zresztą — los daje im odwet w postaci takiego listu jak Pański. Jeszcze dużo ciężkich przejść jest do przeżycia, ale jeśli żyję to tylko dlatego, że mam wiarę w przyszłość i że sądzą, że mogę się jeszcze na coś przydać. Miło mi będzie mieć od Pana wiadomości, a tymczasem serdecznie ściskam dłoń”.

Cieszę się, że masz częste wiadomości z Paryża, czego ja o sobie nie mogę powiedzieć. Rzeczywiście wiadomości są ciekawe. Tak jest mi miło, że na Kazia możesz liczyć. Ja mu zawsze bardzo ufałem (Glabisz) i wart był tego zaufania. Pamiętaj, żebyś w korespondencji do Paryża tych serdecznych ludzi i ode mnie pozdrowiła. Jednak sprawy wyjazdu rozważ, bo jednak na tym terenie Węgier bardzo jesteś nam potrzebna. Wiem, że razem ze St. Dębem uwięzili kupę ludzi. Piłują ich tam, przesłuchują i chyba mowy nie ma, żeby mogli się z ich szpon wyrwać. Wydaje mi się jednak, że obecna sytuacja może wpłynąć na polepszenie ich losu, może teraz już im nie będą bronili prawa do walki o kraj. Z listu P. wynika, że Naczelna Rada Narodowa postawiła wniosek, który przeszedł przy jednym głosie

sprzeciwu (Cat), by natychmiast ściągnąć cały poprzedni rząd z Panem i oddać wszystkich pod sąd. Dopiero dzięki interwencji ambasadorów Francji i Anglii odstąpili od wykonania uchwały, ale samą tą uchwałą bardzo się pyszną. Biedny ks. kapelan Tyczkowski, jak on tam daje sobie radę u bolszewików. Bardzo też podupadł na zdrowiu Bogdan Szeligowski, do czego przyczyniły się i te szykany Sikorskiego. Grozi mu jeszcze jedna operacja brzuszna, byłaby to 13-ta w życiu. Za to drugi Franek (?) jest morus, jeżeli tego rodzaju pętałów bije po mordzie, tylko że on tam jest w mniejszości.

Ciągle sprzeczne komunikaty o sytuacji. Chodzą słuchy, że tam coś będzie ze strony Ameryki!? Ale najwyraźniej widać, że alianci nie byli i nie bardzo są jeszcze dzisiaj przygotowani do wojny i teraz wydaje się być zupełnie oczywiste, dlaczego pozostawaliśmy w naszych akcjach osamotnieni.

Sławenko, dlaczego opłacasz listy wysyłane drogą lotniczą — nie rób tego!

Naszej Irmie powiedziałem, że skorzystałaś z podanych adresów (na granicy).

Pan i mjr Krzeczkowski proszą o przyjęcie najserdeczniejszych pozdrowień i ukłonów.

Dr Cianciara nadal siedzi w Campulungu, a sprawa jego nie posunęła się ani na krok naprzód. Nie sędzę też, aby coś było z tego wyjazdu.

Cieszę się bardzo, że udała się wam akademia (w Budapeszcie) w rocznicę śmierci Komendanta, a obrazek, który opisujesz ze składaniem wieńca pod tablicą Marszałka w takim dużym gronie i razem z legionistami węgierskimi, robi duże wrażenie. I że, niestety, z pewnymi objawami trzeba się kryć, to tak jak pierwsi chrześcijanie z modlitwą.

Sobota, 18.V. Zastanawiamy się nad tym, żeby Najsarek zorganizował wysyłkę obrazów i niektórych listów. Chciałbym też, ażeby mój portret namalowany przez Pana dotarł do Twoich rąk (posiadam go). To drugi nie dotarł.

Niemiecki komunikat podaje o zajęciu Antwerpii, a także o sukcesach we Francji. Cóż na to generalissimus Stroński i inni strategowie?

Niedziela, 19.V. Przyjechał ks. dziekan Zapała, Najsarek i dr Cianciara. Służyłem do mszy św.

„Wyjątkowy i Wielce Miły Księżu Dziekanie! Z całej duszy dziękuję za szlachetny, głęboki, ludzki i wzruszający odruch serca, odczuwającego moje ciężkie dni i myśli i pragnącego z daleka przestać mi słowa otuchy wtedy, gdy strach zamyka usta ludziom uczciwym, a bezkarność otwiera je ludziom nikczemnym lub głupim. W nagłówku pozwoliłem sobie użyć słowa 'wy-

jątkowy', słowo to jest określeniem odnoszącym się do Osoby Księdza Dziekana, a równocześnie bradzo wiernie charakteryzuje stosunek dzisiejszych ludzi do mnie. Przede wszystkim oburza mnie nie polowanie na mnie, lecz to, że w czasie tego padają strzały, które godzą w interes Polski. Oto szlachetni polscy myśliwi tłumaczą światu, że Polska sama sobie winna, że zasłużyła na to, co ją spotkało, a jednocześnie obdzierają własny Naród z tej moralnej wartości, jaką stanowi walka podjęta w obronie Ojczyzny. Za podobiznę bardzo dziękuję i zawsze, kiedy spojrzę na nią, uprzytomnię sobie nieśmiertelną prawdę, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie i nieszczęściu. Bóg zapłać za wszystko — przyjaźnie oddany E.R.Ś."

Słuchamy komunikatów rumuńskich, tylko z tłumaczeniem mamy kłopot, bo nasz „podskakiwacz” nie wszystko chwyta, bo są mówione bardzo szybko. Ma też trudności z tłumaczeniem. Sytuacja aliantów ciężka — cóż teraz powie ten żydowin Stroński, który tyle napyskował się na nasze naczelne dowództwo. Alianci nawet po 8-miu miesiącach przygotowań nie mogli przeciwstawić się uderzeniu Niemców. Trzeba się liczyć z dalszymi niepowodzeniami, ale rezultat końcowy absolutnie należy do aliantów! Na pewno cały świat zrozumiał, jak to musiało być ciężko u nas, nie mówiąc już o beznadziejności sytuacji, jak przyszło uderzenie od tyłu.

Bardzo martwiłem się sytuacją Lojzka (brata). Cóż to za drańskie postępowanie, nie mogąc mnie osiągnąć mszczą się na nim. (Pracował na jednej z placówek w Budapeszcie i był szukanowany przez ks. Miodońskiego). Cieszę się, żeś zajęła mocne stanowisko w tej sprawie i żeś udaremniała ich zamierzenia odnośnie wysłania Lojzka do obozu karnego. Rozumiem, że może im się nie podobać jego nos, ale cóż to za nikczemne zarządzenia, żeby wysyłać go do obozu karnego!?

Poniedziałek, 20.V. Szczapa przesyłkę od nas otrzymał i będzie się starał wysyłać w bezpieczne miejsce. Tadeusz Skinder a pewnie i Iranek przeniesieni i kto wie, czy nie wiąże się to ze sprawą Tomira Drymmera?

Z komunikatów dowiadujemy się, że na miejsce Gamelina przyszedł Weygand. Do rządu wszedł Pétain. Odnoszę wrażenie, że chodziło o uspokojenie społeczeństwa. Sytuacja bardzo poważna. Pewna część zaangażowanej armii ma bardzo przykrą sytuację.

Wtorek, 21.V. Wiadomości o rozbiciu IX armii i wzięciu do niewoli d-cy, gen. G., który przed paru godzinami zaledwie osiągnął swoją kwaterę, przysłany na ten odcinek przez Weyganda. Pan zna osobiście gen. Giraud, przyjmował Pana w Metz. Gamelin przedstawił go Panu jako najzdolniejszego oficera. Pan

uważa, że na pewno sytuacja zmieni się na lepsze, że to jest chwilowe. Dałby Bóg, aby się nie mylił.

List od Lolcia: „Długosz w poglądach przyzwoity, ale mi odmówił. Kordian — szkoda po prostu gadać i wstyd. Zapewne będzie miał wszelkie 'grzechy' odpuszczone. Janik Głuch. w bardzo dobrej formie”.

Środa, 22.V. Dzień chłodny, po południu poszedłem do Pana, Pan malował. Poza tym przyszedł mjr Krzeczkowski, więc ja na lekcję. Wieczorem, w związku z ogłoszoną mob. czy koncentracją — jak nazywają — ppor. P. dzwonił do Bukaresztu — kazano mu pozostać. Natarcie niemieckie dochodzi do Amiens, podobno nawet zdąża do Calais.

Czwartek, 23.V. Rano ks. Zapała odprawił mszę św., służyłem razem z Najsarkiem. Przed ich odjazdem dostałem list od Lolcia: „Nadeszła depesza szyfrowana, podpisana przez Sikorskiego i Zaleskiego, która dzieli Polaków na dwie części — przeznaczeni do ewakuacji 1. do Francji, 2. do Afryki Płn. — śladami Styka (Stachewicza). Do tej drugiej kategorii należy Pan, Ty i ja, mały (chyba Skwarczyński) oraz rząd bez Sławoja (Łuk., Kwiatkowskiego i Kalińskiego). Wojskowi drugiej kategorii, a więc dotyczy to nas, otrzymują pouczenie, że nieusłuchanie rozkazu wyjazdu równa się nieusłuchaniu Naczelnego Wodza w czasie działań wojennych”. W tej drugiej kategorii na Rumunię widnieje i Julek Piasecki, a na Węgrzech Adaś Rudnicki.

Nie mogłem dzisiaj kupić biletu kolejowego, a taksówkę na 26 km zwrócono ze mną. Lolcio musi szukać nowego lokum. Grozi mu utrata karty pobytu w stolicy Rumunii. Zaostżenia ogromne. Dzwoniłem do niego. Trudności z połączeniem. Dopiero wieczorem. W tej sprawie dopiero ambasador ma rozpocząć rozmowy.

Piątek, 24.V. Niemcy bombardują Calais, następnie zajmują Calais — doszli do morza.

Staramy się dużo chodzić. Petra, który był z Panem, dostał porządną szkołę. Zrobili bardzo dużą i szybką wycieczkę. Jak nam mówił ppor. P. z Petry woda się lała. Nie wiemy, co się dzieje, bo ppor. P. zachorował i nie był przy komunikacie.

Niedziela, 26.V. Mszę św. mieliśmy o 10-tej i zaraz ksiądz z Najsarkiem wyjechał, zabierają list do Szczapy.

Poniedziałek, 27.V. List od Szczapy, który podaje dalszą listę „Scypionów afrykańskich”: Pan, Beck, Kasprzycki, Grabowski, Ulrych, Piasecki, Skwarczyński, Kostek-Biernacki, Bociański, Nakoniecznikoff (bądź Jerzy Krzymowski, bądź Marian Krzeczkowski), Dziadosz, Jędrzejewicz, Schaetzel, sen. Sokołowski, Zygmunt Zdzisław Wenda, Kominkowski, Idzik, Tadeusz Wańko (lub Bańko), Szczapa, Roman, J. Poniatowski, J. Demant (?),

Marian Wojtek Malinowski; z Węgier: Trojanowski, Sawicki, A. Rudnicki, Józef Tymiński, Drymmer, Jarecki, Rogowski. Nie wiadomo, rozmowy z Rumunami już rozpoczęto (?).

W kontrofensywę dla uratowania oddziałów francusko-belgijsko-angielskich, działających na terenie Belgii, nie wierzę. Włochy to już pozycja stracona dla aliantów. W tych dniach pewnie Benito się wypowie.

Wtorek, 28.V. Pan cierpiął całą noc, jakieś okropne bóle w stawie biodrowym.

Zdrada króla Leopolda nie do wiary.

Chcieliśmy sprowadzić z Campulungu dr. Cianciarę, ale nie wrócił z Bukaresztu. Przyjechał dr K. do nas. Zrobił zastrzyk Panu i na noc kazał dawać kompres. Mówił, że to stan zapalny w biodrze. W związku z przedłużającym się pobytem dr. K. Petra zrobił ordynarną awanturę, odgrażając się, że kopniakiem wyrzuci dr. K. Szkoda, że ppor. P. nie było na miejscu.

Środa, 29.V. Pan miał trochę lepszą noc, koło 3-ej nad ranem zasnął. Choruje i ppor. P., ma wymioty i temperatura wysoka. Znow pojechałem po dr. Kuczyńskiego. Jak się okazuje, ma on infekcyjne zapalenie kiszki. Zapisał środki. Odwiedził też Pana przy okazji ppor. P.

Z wiadomości polskich — formowanie Legii Oficerskiej.

Czwartek, 30.V. Pogodna ciągle pochmurna. U Pana polepszenia nie widać, bardzo cierpi i spać nie może. Z ppor. trochę lepiej. Po obiedzie pojechałem do Campulungu po doktora. Spotkałem Najsarka, wrócił i przywiózł list od Lolcia: „Z rozkazu Naczelnego Wodza, p. gen. Sikorskiego, winien Pan udać się niezwłocznie do północnej Afryki francuskiej, gdzie otrzyma Pan dalsze rozkazy. W związku z tym proszę o przybycie w terminie do dnia 1.VI. do Bukaresztu, Str. Aurel (?) Vlaicu 14 (radca Kasperski) celem załatwienia formalności wyjazdowych. W razie niewykonania powyższego rozkazu Naczelnego Wodza zostaną wyciągnięte pełne konsekwencje dyscyplinarne i sądowe. Zakrzewski ppłk dypl. 24.V.40r.”

A to dobre, więc uważają, że niespełnienie takiego rozkazu może być karane. Pewnie w tych dniach i ja takie pismo dostanę, ale chyba Panu nie odważą się przysłać czegoś podobnego. Wszystkich mają ewakuować. Kontratakują statki transportowe do Afryki, które mają odejść 2, 6 i 12.VI.40r. Podobno Bociński zgodził się na taki wyjazd. Więc najpierw robili najrozmaitsze trudności w wydostaniu się stąd, by spełnić powinność w stosunku do Ojczyzny, a dzisiaj chcą przerzucić do Afryki (Algier). O jakże jestem o Ciebie Sławeńko niespokojny, by nie zechcieli Tobie zrobić jakiejś krzywdy! Boże Drogi, błagam Cię o opiekę nad Nią!

Piątek, 31.V. Pan czuje się trochę lepiej, choć bardzo trudno mu stąpać. Ppor. P. już bez gorączki. Sławoj pisze, że wielu dostało „zaproszenie” do Afryki, a on z powodu choroby swojej żony otrzymał wizę francuską, przy czym poruszony był nawet prezydent Republiki Francuskiej. Dunkierka broni się, choć Niemcy podają, że już zajęli.

Sobota, 1.VI. Wczoraj wieczorem ppor. P. powiedział, żeby mjr Krzeczkowski jutro pojechał do Campulungu po pieniądze, bo był telefon, od kpt. Triffina. Na T. czekałem godzinę i w tym czasie rozmawiałem z mjr. Roseanu. Okazuje się, że pieniędzy nie ma, a więc trzeci miesiąc jesteśmy bez poborów. Szkoda, że ppor. P. chory, bo by połączył się z płk. Boleanu, który był u nas, i zapytał. Obawiam się, że to R. robi jakieś siuchty. Pan czuje się trochę lepiej, niemniej jednak boli Go noga, spać nie może. Ppor. P. bez temperatury, ciągle chce jeść i mówi, że jest głodny. Mjr Krzeczkowski dostał list od brata z Ameryki, i tam na podstawie sytuacji na zachodzie opinia odnośnie wypadków wrześniowych poprawia się, poza tym podaje, że ma wiadomości, jakoby nam proponowano zmianę postoju.

Niedziela, 2.VI. rano przyjechał ks. dziekan Zapala razem z Najsarkiem i przywiózł list od Szczapy, który potwierdza, że będą wysłane transporty do (...), a drugie do Afryki. Arciszewski, który przyjechał z Paryża i ponoć znów jedzie do Francji na stanowisko pełnomocnika, twierdzi, że listę, którą zaczyna Pan a kończy Wojtek Malinowski, ułożyła komisja śledcza i że są na niej „oskarżenia” i „świadkowie”. Szef Sosnkowski jest ponoć w Belgradzie, Arciszewski mówi, że wycofuje on się z polityki, że ma zostać ambasadorem w Waszyngtonie. Pierwszy transport do Afryki ma jechać 13.VI. Między innymi radio donosi, że Rayski został przyjęty w stopniu kapitana do armii francuskiej. Pan czuje się trochę lepiej, ale w nocy zawsze niedobrze. (Można zauważyć, że to co tu jest podawane, to zawsze w sposób oględny, żeby nie wpadło do rąk niepożądanych. A przecież wszystko jest przygotowane i to planowo do ucieczki Pana z miejsca internowania. Ks. dziekan Zapala, płk Najsarek są w pobliżu, Julek i ja i inni na Węgrzech, odcinek granicy filtrowany, zarówno jak i wszystkie dojsčia).

Martwię się, że Sławienka starzyznę sprzedaje, bo tam musi być krucho, a ja nic pomóc nie mogę. Jest jedna możliwość, proszę Cię sprzedać mój zegarek, jakkolwiek jest on stary, to jednak ma swoją wartość i choć na jakiś czas zaspokoii Wasze potrzeby. Zrób to Dziecino dla mego spokoju.

Jak widać Julek P. dobrze się u was porusza, chwala Bogu! Tutaj mamy bardzo życzliwego człowieka w księdzu Zapale, ale

boję się, że Tobie pewnie by się nie podobał, bo jest zapalonym myśliwym. (Okazuje się, że Zygmus omylił się, bo ks. Zapala po przejściu na Węgry został moim wielkim przyjacielem. On chował Zygmunia, a po Jego śmierci mówił mi, że był spowiednikiem Zygmunia i może mi powiedzieć, że był to człowiek wyjątkowo prawy, uczciwy, szlachetny i wartościowy. Prawie codziennie chodziliśmy na cmentarz do Zygmunia i zawsze pocieszał mnie jak umiał. Przed jego podróżą do Polski pożegnał się ze mną i z mamusią wieczorem, a potem jeszcze rankiem spotkałam go. Zostawił mi Ewangelię i mały budzik oprawiony w safian. To było takie ciemno-czerwone, zamykane pudełeczko. Ks. dziekan odchodząc do Polski jadł ze mną rano śniadanie i kazał mi słuchać, jak on delikatnie dzwoni. Prosił mnie, ażebym, ile razy usłyszę to dzwonienie, o nim wspomniała.

W każdym liście Zygmus pamiętał o mojej kochanej matce i pisał, żeby naszą najukochańszą babulenkę pozdrowić. A trzeba wiedzieć, że to moje matczysko, to też współpracowało z nami w tej organizacji. Ona była we wszystko wtajemniczona, znała każdego z imienia i z nazwiska. Ona wiedziała, gdzie jest na podwórku na Fecte utca przechowywana broń. Ona prała i cerowała ludziom bieliznę i zawsze pamiętała o tych, co w drodze i o tych, co mają przyjść i kiedy. Zawsze w kuchni stała w rondlu zapasowa porcja dla tych, co są zziębnięci i głodni. Była kochana i uwielbiana przez wszystkich.)

Jeżeli chodzi o robienie z nas ofiar i Scypionów afrykańskich, to nie wiem, czy się im uda nas stąd zabrać i nie wyobrażam sobie, ażeby gospodarze zechcieli w stosunku do nas stosować prawo siły. W każdym bądź razie nasi prześladowcy skompromitowali się nawet w oczach świata.

Słyszeliśmy tu o kazaniu ks. Kaczyńskiego i zastanawiamy się, jak taki drań mógł być kapłanem prezydenta RPO. Wyobrażam sobie, jaki on musi być teraz ważny, bo podobno jeździł z odręcznym pismem prezydenta Raczkiewicza do Ojca św. Na to nic nie można poradzić, bo cała historia Kościoła wykazuje szereg ludzi godnych i zacnych, ale również całą plejadę indywiduów nie zasługujących na miano ludzi, to samo zresztą odnosi się i do polskiego kleru.

To co piszesz w związku ze środowiskiem węgierskim i z zasłyszanymi zmianami bardzo nas ucieszyło. Pan twierdzi, że Tobie to można zawdzięczać. Odnosnie tych dwóch panów, co Ci chcą umożliwić ewentualnie możliwości wyjazdu, mam wiele wdzięczności, bez względu na to, czy skorzystasz, czy nie. W każdym bądź razie w jakiejś niebezpiecznej sytuacji na Węgrzech będziesz miała oparcie w życzliwych ludziach i mogących ci pomóc.

W czasie choroby ppor. P. znów do głosu dochodzi ten antypatyczny Petra. Od paru dni robi nam jakieś przykrości i wstręty. Po prostu szaleje. Naprawdę ciężki nasz los z tym typem. Wczoraj postanowiliśmy, że pojedą do Campulungu do komendanta żandarmerii i stanowczo będą żądał zmiany Petry, bo jego obecność może doprowadzić do niepotrzebnych skandali. Ale jeszcze poczekamy, może się zreflektuje? Z nich wszystkich to ppor. P., nasz „podskakiwacz”, jest jeszcze najlepszy. Jest tu cały szereg podoficerów i żandarmów, ale ci starają się zachowywać w sposób ludzki, a ten Petra, to po prostu bestia w ludzkim ciele, bo inaczej określić go nie można.

Dr Cianciara już parę dni jest w Bukareszcie i przekazał wiadomość, że nie ma mowy odnośnie uzyskania możliwości wyjazdu do Francji. Może jechać do Syrii, ale to zbyt droga eskapada i na to go nie stać. Wyobrażam sobie, jak on tam musi się czuć i zastanawiam się, dlaczego tak od nas się wyrwał, choć jeszcze tak niedawno deklarował, że pozostanie przy Panu do końca.

Bzy i u nas zakwitły, i może tu jest i pięknie, ale cóż, kiedy to wszystko serca nie cieszy.

(Wiele listów nie dochodzi z powodu cenzury.)

Maj minął jakiś taki nie majowy. Niby bzy kwitną i to w pięknych gatunkach, i pachną niby, a nie pachną. Ale ciągle zimno, tak, że trzeba nawet palić w piecu, wielka wilgoć, która bardzo szkodzi Panu i miewa większe bóle. Czasem chodząc musi posługiwać się laską. Kochany nasz Kutnik całe dni pracuje w ogrodzie i chciałby tą swoją pracą doprowadzić ogród do porządku, by nam sprawić jakąś radość. Powiększyła nam się tu rodzina, bo Lola ma dwa szczeniaki, okrągłutkie, pulchniutkie jak kluski. Za to biedna Koka poroniła nieżywe, prawdopodobnie kopnął ją któryś z żandarmów. Ale skoro chodzi o psy, to muszę Ci się poskarżyć na nie — oto wczoraj rano przyniosła nam tu mleko dziewczynka, która już od paru tygodni nosi (11-letnia) i pomyśl sobie, suczki się na nią rzuciły i pogryzły ją. Pan kazał odwieźć ją do szpitala, a tam ją opatrzyli i powiedzieli, że pogryzienia nie są i nie powinny być złośliwe i groźne. „Podskakiewicz”, ppor. P. ukarał Lolę i kazał ją wziąć na łańcuch.

Ta wilgoć w powietrzu bardzo źle wpływa na stan zdrowia Pana. Z nogą niby lepiej, ale uskarża się na ogólne bóle w kościach. Bierze różne środki, choć najbardziej pomogłoby słońce, a tego nie ma. Jest On też bardzo niespokojny o p. Martę (żonę), która — okazuje się — jest zupełnie sama, gdyż siostra razem z mężem wyjechała. Dawno już nie miał od niej wiadomości, no i wydaje mi się, że niedługo połączenia w ogóle będą bardzo trudne.

Poniedziałek, 3.VI. Wczoraj ksiądz dziekan przyniósł dla Pana piękną wiązankę kwiatów od p. inż. ogr. Wietrznej, której pan bilecikiem odręcznym podziękował.

Dzwoniłem do płk. Boleanu w sprawie poborów, ale go nie było. Dostałem kartkę z Aten od Mańkowskiego, zachwyca się Tobą i pisze: „dobrze te rzeczy ujmuję w realizacji, dzielna niewiasta”. Dostałem list od Gołębia, w którym donosi, że z Baile Herculanium są już w Targoviste (bez Sławoja i Kasprzycy) mieszkają w innej części miasta, oraz list od Janika.

Wtorek, 4.VI. Rano pojechałem do Campulungu, skąd przywiozłem dla Pana dentystę Springera.

Niemieckie komunikaty donoszą o wkroczeniu do Dunierki, o wzięciu do niewoli 3-ch generałów i 30 tys. Francuzów. Dzwoniłem wieczorem do Szczapy, ale już tam nie mieszka.

Pani Dima jechała po kwiaty i pojechałem z nią. Przy okazji zwiedziłem klasztor z 1530 r. w Stamst. Zakonnice robią piękne dywany, stroje narodowe itp. Rozmawiałem ze Szczapą i prosiłem o przesłanie obrazów Pana do Ameryki. Wieczorny komunikat niemiecki donosi o rozpoczęciu nowej ofensywy i o wielkich stratach przeciwników. Pan jest wyraźnie zdenerwowany, widać z tego, że Niemcy dążą za wszelką cenę do szybkiego zakończenia wojny. Wydaje się, że parę dni i Włosi już zaczną. Sytuacja aliantów wydaje się bardzo poważna. Co gorsze nie wydaje się, aby oni tych osiem miesięcy wykorzystali odpowiednio. Nie mam listów, może przyczyną tego są tam te wielkie powodzie, jakie mają miejsce i u nas. Nasza Dobovitzza bardzo wylała, no bo też pada bez ustanku.

Gen. Skwarczyński przeniesiony wraz z innymi z B. Herculanium do Targoviste.

Czwartek, 5.VI. Dzisiaj uroczystości poległych w wielkiej wojnie. Mimo bardzo brzydkiego dnia zebrało się bardzo wiele ludzi i przemawiał uczestnik wojny i d-ca tegoż odcinka, płk (?). Obecny był mer z Campulungu. Przemawiał też i nasz ppor. P.

Dostałem list od Sławenki. Podpisali się bliscy, a także Julek P.: „Szczęśliwy jestem, że poznałem bliżej Twoją najcenniejszą i najdzielniejszą Panią Sławenkę, jej przede wszystkim zawdzięczając — nastroje rosną”. Z każdej strony superlatywy o Tobie, jakże się cieszę.

Piątek, 7.VI. We wtorek Feluś otrzymał kartę od pokojówki pani, która zmieniła miejsce pobytu Lamalon les Bains. Na pewno wiadomość ta uspokoiła Pana, przynajmniej nie grozi jej bezpośrednie niebezpieczeństwo. Rano mjr przywiozł dentystę Springera, który poprawił protezę. Mjr Krzeczkowski odwiózł do Campulungu i tam spotkał dr. Cianciarę, który nie załatwiwszy swych spraw wrócił do Campulungu i musi zrezygno-

wać z dalszej podróży. Wyobrażam sobie, że musi się on czuć kiepsko — tak (...) sprawy.

Dostałem list od Sławienki, która jest bardzo niespokojna o Pana i o nas w związku z sytuacją.

Przyjechała żona płk. Najsarka z córeczką — uroczą dziewczynką. W niedzielę przyjedzie do nas Najsarek i będzie trochę wiadomości. Była u nas p. Dima, przywiozła do ogrodu sadzonki. Mówiła, że rozmawiała z płk. B. w sprawie naszych poborów i zaległości.

Sobota, 8.VI. List od Szczapy.

Obchodzono tu dzisiaj 10-lecie powrotu króla — też rocznica. Komunikat niemiecki donosi, że osiągnęli powodzenie na skrzydle północnym i południowym, choć sami przyznają, że piechota francuska trzyma się terenu. Francuzi mówią o przedarciu się tanków niemieckich, które zostały izolowane. Anglicy mówią o zbombardowaniu Berlina, czego Niemcy nie mówią.

Ppor. P. dzwonił do mjr. Roseanu w sprawie jutrzejszego nabożeństwa. Pozwolił na przybycie ks. Zapały, ale bez ministrantów, zezwolił na przybycie jednego ministranta, zwymyślawszy ppor., że w swoich meldunkach nigdy nie podawał, że przyjeżdżało dwóch ministrantów z księdzem. Zawiadomiłem o tym Najsarka, prosząc żeby przeprosił doktora, o którego będziemy się starali w ciągu tygodnia.

Niedziela, 9.VI. rano przyjechał ks. Zapała, płk Najsarek z córeczką, która wczoraj przyjechała z matką z Rzymu. Po mszy mała Bożenka bardzo rezolutnie opowiadała swe wrażenia z Kraju i u makaroniarzy. Ma ona 12 lat. Ma doskonale spostrzeżenia, jest bardzo inteligentna i mądra nad wiek. Mówiła, jak wyglądają i kto u makaroniarzy robi manifestacje przeciw-alianckie. Mówiła o bohaterskiej obronie Warszawy, o postawie obrońców, o obecnych nastrojach. Ta mała rezolutna dziewczynka opowiadała to tak, że wierzyć się nie chciało, że to mówi dziecko.

Deszcze wielkie padają, poczty nie przywozi się. Cieszę się, że masz zaufanie do Julka, bo to naprawdę wyjątkowo kryształowy człowiek. Szkoda, że przed tym nie miałaś możliwości bliższego poznania go, ale on był zawsze zapracowany, nie miał możliwości się udzielać. Ale zawsze wiedziałas, jak bardzo go kocham za kryształowy charakter, za pracę jaką zawsze dawał i za jego głębokie serce. Piszesz mi o jakichś specjalnych zapomogach, które chyba z nieba mają spaść. Ale to tylko, żeby mnie uspokoić, ale ja w to nie wierzę. Właśnie p. Najsarkowa opowiadała, że w Kraju wypłacono żonom, ale tylko tym, których mężowie byli w obrębie Sikorskiego, a ona, jako że jej mąż był tutaj, nic otrzymać nie mogła.

Piszesz o zmianie nastrojów. I my to obserwujemy, bo coraz częściej przychodzą do Pana listy, które go o tym zapewniają. Trzeba było, żeby aż tyle czasu upłynęło, trzeba było przeżyć tyle zgryzot, nocy nieprzespanych, że rodacy kochani zaczynają inaczej rozumować, bo powoli im bielmo z oczu schodzi. Urywki Twego listu przeczytałem Panu, bowiem pytałem mnie co donosisz, jak się czujesz. Prosił, by przekazać Ci Jego pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Ciągle z tą nogą ma wielkie kłopoty. Jak siedzi, to jako tako. Spać nie może. To sprawa nerwu kulszowego. Czekamy na dr. Cianciarę, może coś pomoże. Jest jedno u Pana dobre, jeżeli chodzi o leczenie, że lekarstwa — jak zresztą sam Ci mówiłem — wszelkiego rodzaju przyjmuje bez zająknięcia.

Ciekawy jestem, jak tam delikwenci na waszym terenie (ci z listy Sikorskiego na wyjazd do Afryki). U nas tu dwóch się zdecydowało, ale nie wiem, czy wyjadą ze względu na sytuację.

Francuzi obliczają siły natarcia na 100 dywizji, mówią, że trzymają się terenu. Niemcy mówią o sukcesach. Musimy być przygotowani na wiele niespodzianek, ale jedno jest pewne, że alianci tej wojny nie przegrają. Przypomina mi się moment, kiedy w 18-tym roku, bodaj w lipcu, Niemcy osiągnęli, tak jak dziś podają, Chemin des Dames, kiedy Clemenceau powiedział: „może uda się im zająć Paryż, ale to mnie nie wstrzyma, bym dalej prowadził wojnę”. Wymieniając następnie ewentualne linie oporu do Pirenejów włącznie, powiedział: „przenigdy nie skapitulujemy”. Wierzę, że nie inaczej i dzisiaj cała Francja myśli.

Jutro wyślę do Ciebie znaczki na korespondencję.

Sławańka pisze: „Julek P. jest skarbem bezcennym, a przy tym chłopak ma szczęście. (Dotyczy Pana) Trzeba być nie lada silnym człowiekiem, aby przeżyć te straszne dni i noce. Żeby bez słowa obrony z zaciśniętymi zębami przetrzymać nikczemnie stawiane bezpodstawne zarzuty, te kalumnie rzucane i tendencyjne plotki i obelgi. Czy jest do pomyślenia, aby Polska mogła sądzić człowieka bez skazy, najlepszego, najszlachetniejszego i najdzielniejszego z jej synów”.

Poniedziałek, 10. VI. Italia wypowiedziała wojnę Francji i Anglii, a więc dotrzymali przyrzeczenia Niemcom. Sytuacja ciężka. Wydaje mi się, że Niemcy i w tej ofensywie mają prowadzenie. W nocy ma przemawiać Roosevelt, coś on powie, Ameryka na pewno też nie jest przygotowana. Francuzi bronili się po bohatersku, ale musieli ulec przewadze.

Wtorek, 11. VI. U nas leje i leje, a tam biedni Francuzi o deszcz Boga proszą. Mjr Krzeczkowski i ppor. P. byli w Campulungu i przywieźli baterie. Będziemy może lepiej mogli coś usłyszeć.

Paryż zbombardowany pali się. Kochana, coś za serce chwyta — stolicę i serce Francji bombardują, palą, to tak jakby znów naszą Warszawę i Kraków bombardowali. Opowiadał mjr Krzeczkowski, że dr Cianciara dostał list z okolicy K., które bombardowali i bomby padały na ołtarze, co wprowadzie cenzor skreślił, ale i tak można było odczytać. Pan jednak ciągle jest dobrej myśli i uparcie wierzy w zwycięstwo aliantów. Pomyśleć, jak teraz my wyglądamy, sami przeciw temu kolosowi, cóż teraz nasi „geniusze” na to powiedzą.

Środa, 12. VI. Pan maluje. Po obiedzie przyjechał dr C., badał Pana. Mówi, że za parę dni będzie już dobrze. Dr C. jest bardzo przygnębiony i psychicznie rozbity — teraz dopiero żałuje swego kroku. Po kolacji odjechał. Reims zajęte, Niemcy są o 20 km od Paryża, który w paru punktach pali się.

Czwartek, 13. VI. Pan maluje. Ppor. P. dostał 6 dni urlopu, jedzie w sobotę rano. Komunikaty wysoce niepokojące, podobno premier R. zwrócił się do Roosevelta o pomoc. Dobrze, że jeszcze nie rozpoczęli Włosi. Z bijącym sercem słuchamy komunikatów, choć nie tracimy nadziei i nie upadamy na duchu. Wierzymy, że musi przyjść zmiana sytuacji.

Chwała Bogu, że zdrowie Pana poprawia się, tak bardzo to nam jest potrzebne. Szkoda tylko, że trochę zmizerniał.

Z powodu sytuacji transporty scypionowskie odejść nie mogły. A i te inne też muszą być wstrzymane. Nie wiem, co to będzie z ludźmi, których ściągnęli do stolicy, a gorzej jeszcze z tymi, których wypadki spotkały trochę dalej, a mimo to daleko od celu podróży.

Piątek, 14. VI. Rano Pan malował w ogrodzie. Wieczorem z komunikatów dowiadujemy się o zajęciu Hawru, o wkroczeniu Niemców do Paryża. Jak na jeden dzień dosyć. Gdzie oni teraz zamierzają stawiać opór? Jaką odpowiedź da Roosevelt na odezwę Reynauda? Rosyjskie radio donosi, że Daladier został wylany za chęć zawarcia odosobnionego pokoju. Późnym wieczorem rozmawiałem telefonicznie ze Szczapą i Skinderem. Niewiele się dowiedziałem, bo przez telefon nie chcieli mówić. Okazuje się, że drogą morską nikogo nie wysłali, zamierzają jednak wybrać drogę lądowo-morską. Ppor. P. pożegnał się, bo jutro na urlop. O jaki on szczęśliwy!

Najdroższa, tam u ciebie tyle słońca, a u nas tak go brak, jak brak mi Ciebie!

Sobota, 15. VI. Rano przyjechał kpt. Triffin, który zastępuje ppor. P. Pan maluje. Słuchaliśmy radia z Moskwy ale nic ciekawego. Po obiedzie z radia dowiedzieliśmy się, że z rozkazu Hitlera stanął posterunek honorowy przy trumnie Napoleona i przy nieznanym żołnierzu francuskim, cóż za bluff. Kpt. T. nie włada

żadnym innym językiem poza rumuńskim, jako tłumacz przyjechał Zwierzyński. Dostałem list od gen. Kasprzyckiego z danymi dla Pana. Sławoj i Grabowski wyjechali do Bukaresztu. Kwiatkowski bardzo ciężko chory na wątrobę. Wieczorem komunikat niemiecki o dalszych postępach na linii Maginota. Oto właśnie wczoraj wieczorem opowiadał Pan o pobycie w Nancy, o targach przy pożyczce w Rambouillet i o tym, jak to chwalił się Gamelin o środkach technicznych, które gwarantują przebicie linii Zygryda. Ciekawe, co da dzisiejsza rada gabinetu francuskiego. Przed północą słuchałem radia niemieckiego po francusku, komunikują o zmianie rządu i o zawarciu pokoju — oczywiście to wymysły niemieckie. Te najbliższe 24 godziny mogą być w skutki bardzo brzemienne.

Niedziela, 16. VI. Rano pogodnie. Po godz. 11-tej spóźniony przyjechał ks.dz. Zapła z dr. Cianciarą. Okazuje się, że Najsarek nie dostał zezwolenia na przyjazd. Zawsze Roseanu robi swoje świństwa. Około 5-tej przyjechała żona kpt. Triffina. Ja odwiozłem księdza do Campulungu, bo chciałem zobaczyć się z Najsarkiem, który we wtorek ma jechać do Bukaresztu. Niestety nie zastałem go. W komunikacie Niemcy mówią o okrążeniu Verdun i o braku działalności lotnictwa francuskiego na linii Maginota. Wysuwają wniosek, że lotnictwo francuskie nie istnieje.

Przed paru dniami, w związku z chłodnymi nocami, Pan zainteresował się żołnierzami (żandarmami). Okazuje się, że są bez ciepłych płaszczy. Pan rozmawiał na ten temat z ppor. P., który interweniował u swoich władz, ale bezskutecznie. Dopiero inspekcja płk. B. na to zaradziła, choć niestety wszyscy żołnierze już się pozaziębiali.

Poniedziałek, 17. VI. Prawie że nie spaliśmy, taka szalona burza przeszła nad Dragoslavele. Ale rano był słoneczny. Pan malował. Komunikatów nie mogliśmy zrozumieć, a kpt. T. nie umiał nam nic wytłumaczyć, bo mówi tylko po rumuńsku. Pan polecił, żeby mjr Krzeczkowski poszedł do p. G., może on coś powie. Chodziło o działania na granicy szwajcarskiej — okazuje się prawdziwe. Odnosnie zmiany rządu, to obecny skład utwierdza nas, że to jest rząd dalszej wojny. Wieczorem słuchaliśmy radia i uszom własnym nie chcieliśmy wierzyć, bo okazuje się, że Pétain zwrócił się z propozycjami pokojowymi. Jezus! Maryja!., co to się dzieje. Pobiegłem na górę, by Panu zakomunikować. Pan przejął się tą wiadomością i to tak, że aż Mu się twarz zmieniła. Szuka widać odpowiedzi, zmieszany pyta, że widocznie może być powodem sytuacja, która wymaga wstrząsu społeczeństwa, może Niemcy postawią takie warunki pokojowe, że Francuzi zrozumieją, że muszą się bić do ostatka. Dałby

Bóg, żeby takie powody były, lub żeby taki obrót sprawa wzięła.

O godz. 10-tej radio moskiewskie mówiło o zajęciu Łotwy i Estonii, a potem potwierdzają przed półtorej godziny słyszany komunikat francuski. Anglicy stwierdzają, że walczyć będą do końca. Boże, co z tego wszystkiego wyniknie. Czyżby i Polska musiała się z tym rozstrzygnięciem pogodzić i z sytuacją? Już prawie 10 miesięcy jesteśmy tutaj i to tylko miesiąc i parę dni wojny Francji, Anglii, Belgii i Holandii z Niemcami.

Co będzie z nami? Przyjdzie się tułać po obcej ziemi, wśród obcych ludzi. Niemożliwe, to tak się skończyć nie może. Poprzedniej nocy nie spałem i tę przespać będzie trudno.

Dr C. znowu badał Pana i dalej utrzymuje, że to nerw kul-szowy, że przyczyną jest ta ciągła wilgotność powietrza. Stwierdził, że ten obrzęk trochę się zmniejszył, ale jeszcze trzeba poczekać. Pan jest przygnębiony tą chorobą i brakiem sprawności w chodzeniu, a przecież w tej sytuacji (ucieczki) trzeba mieć fizyczną sprawność. Martwi Go też brak wiadomości od pani. Musi być jednak przygotowany, że z wiadomościami z Francji będzie teraz coraz gorzej. Ale mimo to wszystko jest bardzo spokojny, to jest coś takiego, co trudno sobie wytłumaczyć, jaki On jest opanowany, jaki jest spokojny i najlepszych myśli odnośnie sytuacji na zachodzie. Zawsze patrzę na tego człowieka z największym podziwem, bo on może człowiekowi zaimponować swoją postawą, swoim taktem i swoim opanowaniem. Masz rację, Sławenko, w tym co piszesz, że Francja i Anglia — tak bogate narody, żeby tak były nieprzygotowane, żeby tak nie wykorzystały naszych doświadczeń w tej wojnie i żeby tak zmarnowały tych kilka miesięcy i doprowadziły do takiej sytuacji, to po prostu okropne!

W dalszym ciągu nie wypłacają nam należności i jesteśmy na „garnuszku” u Pana. Co by było, gdyby Pan nie miał swoich pieniędzy, jakbyśmy wtedy wyglądali?

Piszesz mi, że nie trzeba tam było politykować, mądrzyć się, szukać winnych do osądzenia, a raczej tym na zachodzie należało kłaść w głowę wnioski z doświadczeń w Polsce. Na pewno wiele zawinili ci nasi politykierzy w rodzaju Strońskich. Oni przekonywali nie tylko nasze społeczeństwo, ale i zachodniaków, że to co się stało u nas, to było przez nas zawinione, przez nieudolność, przez złą wolę, ale że tam na Zachodzie to coś podobnego nigdy nie mogłoby mieć miejsca. Że u nas nie było rządu jedności, że nie było odpowiedzialności, że nie było odpowiedzialnego i odpowiedniego NW itp. No i popatrzeć na tamtejsze efekty. Na pewno nadejdzie taki dzień, że społeczeństwo polskie innymi oczyma popatrzy na wydarzenia i że histo-

ria bezstronnie wypowie się o tym co się działo, jak i inaczej oceni postać Pana i nie da Go skrzywdzić w pamięci pokoleń.

Pétain, cóż za tragedia, żeby w 84 roku życia, pełnego blasku i chwały, tak fatalnie skończyć.

W jednym z listów przypomniałaś mi rozmowę z Panem o kwiatach, gdzie tak zdecydowanie opowiedział się za kwiatami polnymi. Wspomniałem to Panu i powiedział mi, że dlatego woli kwiaty ogrodowe, bo łatwiej wśród nich znaleźć piękne. Widziałem, że było mu przyjemnie, że tę rozmowę pamiętasz.

Załączony list otwarty p. M.K. sprawił nam dużą przyjemność, bo jakże on inny od tych, które można znaleźć w *Kurierach*, *Więściach* itp. Choć o dziwo *Głos Polski* go przedrukował.

Ci, których stąd wywozili, to jedna grupa dotarła do Pireusu i tam ją na brzegu wysadzili. Z drugą grupą zrobili to samo w Constanzy. Rozkazy Sikorskiego są bardzo konkretne i stanowcze, ale cóż, kiedy nie do wykonania w obecnej sytuacji.

Wtorek, 18. VI. Rano pojechałem do Campulungu, bo należało naszego Buicka przedstawić na komisję, przy czym przyszło do dowództwa korpusu z Craiovej zwolnienie Buicka z rekwizycji do dnia 31. III. 41 r. Pan polecił przywieźć Springera, bo Panu bardzo dokucza ząb trzonowy i zdecydował się go usunąć. Springera nie zastałem i za poradą dr. C. i ks. Zapały, zdecydowałem się zaprosić dr. (?), który ten ząb usunął z zamrożeniem. Odwiozłem doktora dentystę do Campulungu i chciałem się widzieć z Najsarkiem, ale wyjechał do Bukaresztu. Komunikat donosi o spotkaniu Hitlera i Mussoliniego w Monachium. Wieczorem donoszą, że Anglia będzie walczyć do końca; na froncie francuskim trwają walki.

Środa, 19. VI. Znowu deszcz, a potem burza. Demb. w okolicy Rucar wystąpiła z brzegów.

Francuska rada ministrów wyznaczyła upoważnionych parlamentariuszy pokojowych. Jakże to pp. Hitler i Mussolini wyobrażają sobie nową Europę?

Czwartek, 20. VI. Mjr Krzeczkowski z kpt. T. pojechali do Campulungu, by wysłać podoficera żandarmerii po nasze pobory do Targu. Lolcio donosi, że z brygady naszej w Norwegii (Szyszko-Soch.) zostały szczątki (był tam i Władek Ziętkiewicz, który poległ); dwie dywizje polskie z rejonu Nancy otoczone przez Niemców.

Nikt z Polaków w tej chwili nie może opuścić Rumunii. Arciszewski robi starania, aby ludzie politycznie zaangażowani mogli wyjechać na razie do Turcji, a potem do Syrii. Rumuni zdecydowanie nie chcą puścić Sławoja, Becka, no i Pana. Wieczorem około 11-tej rozmawiałem z Lolciem i komunikowałem

mu o anonsowaniu odejścia statku do Nowego Jorku, chodziło mi o to, by obrazy Pana odesłać.

Piątek, 21. VI. Byłem w Campulungu. Z prasy dowiadujemy się, że 16.000 Polaków przeszło granicę szwajcarską; dzięki, że nie wpadli do niewoli niemieckiej. Niemcy w dalszym ciągu robią postępy. Komunikat wieczorny mówi o spotkaniu delegacji francuskiej z Hitlerem??

Wrócił ppor. P., ale podobno ma od nas odejść. Kogóż nam dadzą?

Sobota, 22. VI. Rano pojechał mjr Krzeczkowski z ppor. P. do Campulungu po nasze pobory. Kiwnęli nas, bo oto potracili dziennie po 100 lei, co za 32 miesiące wynosi 10.000 lei. Teraz będą już płacili tylko po 170 lei dziennie, a to jest mało.

Jeszcze tli się we mnie iskierka nadziei, że przecież nie złożą broni, że przecież zaważy na szali odezwa gen. de Gaulle'a.

W związku z Twoimi imieninami, Kochana, wysyłam życzenia i pan prosił, żeby mógł się dopisać do mego listu. „Droga Pani! Korzystam z użyczonego mi miejsca, aby przesłać Pani te najlepsze myśli, na jakie mnie stać. Niechaj Bóg pomaga Pani na tej ciężkiej drodze, która nas wszystkich czeka. E.R.Ś.”. Pięknie Panu podziękowałem i list-ekspres wysłałem. Sądzę, że dojdzie na czwartek.

Z komunikatu wynika niejasne stanowisko Francji, lub odwrotnie, w związku z zawarciem traktatu handl. (chodzi o zawieszenie broni) z Niemcami zupełnie jasne. Niewyraźne też stanowisko Egiptu. Dochodzą wiadomości o zajęciu Kłajpedy przez bolszewików. Ci ostatni dementują, jakoby 180 dywizji stało gotowych do akcji z Niemcami. Prezydent Raczkiewicz przyjechał do Londynu, gdzie go powitał król angielski. Sikorski ze sztabem, który samolotem osiągnął Londyn?! I tak zginął Naczelnny Wódz, jak on to pięknie napisał w tym swoim rozkazie — zginiemy do ostatniego żołnierza — ze mną NW. I oto nie zginął i znalazł się szybciotko w Anglii. Ciekawe, jakie oni mają teraz miny — na pewno nie zabrali nic z potrzebnych materiałów wojennych, ale o aktach biura dochodzeń to oczywiście nie zapomnieli i załadowali. Pertraktacje trwają i można przypuszczać, że przyjmą wszelkie warunki.

Niedziela, 23. VI. Rano od pani G. dowiedzieliśmy się, że warunki pokojowe zostały przyjęte przez Francję — wierzyć się temu nie chce: 1) Zabezpieczenia na terenie Francji celem dalszego prowadzenia wojny, 2) demobilizacja i całkowite rozbrojenie, 3) oddanie wybrzeży i miast atlantyckich oraz rozbrojenie floty, 4) rejon Paryża nie będzie zajęty ani przez Francuzów, ani Niemców, dalsze warunki przy zawieraniu pokoju z Anglią, 5) na-

tychmiastowy pokój z Włochami. Ponoć komisja z gen. Hautzingerem już udała się do Włoch. Pomieścić się to nie może w głowie, jak Francja mogła się na to zgodzić? Oto efekt Pétaina i Weyganda. Nie bardzo można liczyć, by w tych warunkach Anglia mogła długo się trzymać — to tylko przeciąganie i dalsze wyniszczenie. Nic nie wiadomo, jak postąpi zgrupowanie w Syrii, chyba się nie podda? Mjr Krzeczkowski, pół żartem pół serio, mówi żeby wysłać depeszę do p. Wł. Sikorskiego z powodu cudownego ocalenia (nawiązując do cudownego ocalenia rodziny cara Mikołaja II).

Przyjechał ks. Zapała z dr. Cianciarą i Najsarkiem.

Bardzo jestem zdenerwowany z powodu zlikwidowania na Węgrzech towarzystwa, które wypłacało wam zasiłki. Wydawało mi się, że na Węgrzech, tak jak w Rumunii, zasiłki wypłaca rząd. Jakże dacie sobie tam radę z Twoją matulenką? Z czego będzie żyła cała masa znajdujących się tam uchodźców? Sytuacja Wasza nie daje mi spokoju, ja zaś jestem też bezsilny. I tak bardzo obniżyli stawkę dzienną i obawiam się, że pójdą w ślady waszego towarzystwa i wtedy nie wiem, co będzie z tą gromadą jeszcze bardzo liczną, która na tutejszej gościnnej ziemi rumuńskiej się znajduje.

Tak jak przypuszczałem, Julek stoi na wysokości zadania i widzę, że w zupełności zasługuje na Twoje względy i zaufanie. U nas kłopoty z korespondencją — widocznie nie dopuszczają. Lolcio ma wiele trudności, a do tego cukrzyca go gnębi.

Co za głupi był ten rozkaz Sikorskiego. Z takim patosem potępiał Marszałka i mówił, że powinien być zginąć, a oto on w takiej samej sytuacji, czy podobnej, tak się salwował ucieczką i to samolotem do Anglii. Pomyśleć, że ocalał i to cudownie! Ciekawe, jak im tam teraz musi być tyso. Co też oni znajdą na swoją obronę. Stają teraz w oczach różne szkalowania Sikorskiego dotyczące przeszłości, oczywiście, jakże inaczej miała wyglądać teraźniejszość, a w związku z tym i przyszłość, a tymczasem. Jakież to poematy pochwalne pisała na cześć Sikorskiego (z 1920 r.) Rada Narodowa, jak wzrastała jego pozycja w związku z objęciem stanowiska p. W., przecież to była nierozzerwalna sitwa. Cóż za bzdury wypisywała prasa: *Głos Polski*, a za nim i nasza tutejsza prasa; *Kurier Polski* na temat trzeciego wymiaru, który wprowadził p. W — rzeczywiście „wymiar”. Szkoda o tym i pisać, i myśleć, bo to dziś nic nie da. Dużo naszych ludzi po klęsce we Francji przekroczyło granicę. Ciekawe, gdzie jest prezydent RP Mościcki i gdzie nasi ludzie, których uwięził Sikorski pod różnymi pozorami.

Poniedziałek, 24. VI. Dzwoniłem do Szczapy — nic nowego. Statek do Ameryki prawdopodobnie nie odejdzie. Polecilem, aże-

by starał się wysłać tę walizeczkę. Dostałem list od Henisza, który pisze o wielkich przeobrażeniach w umysłach naszych uchodźców, pisze też o mającym się utworzyć rządzie Studnickiego i Rómmła. Radio rosyjskie mówi o zawarciu pokoju z Włochami, nie wspominając warunków. Churchill proponował Lloyd George'owi wejście do gabinetu — odmówił, nie chce współpracować z Chamberlainem. Późnym wieczorem złapaliśmy Londyn i słuchaliśmy przemówienia gen. de Gaulle'a. Ponoć w Anglii powstaje Naczelny Komitet Narodowy Francuski. Do tego wszystkiego, co przeżywają Francuzi, jeszcze rozdzielenie narodu.

Wtorek, 25. VI. Wczoraj przyjechał por. (...), który ma zastąpić ppor. P., ale dzisiaj znów zmiana decyzji, ppor. P. zostaje, a tamten wraca do Bukaresztu.

Komunikat południowy mówi o podpisaniu pokoju z Włochami i zaprzestaniu obustronnych działań wojennych. We Francji zarządzono żałobę. W Niemczech chorągwie mają wisieć przez 10 dni, a przez 7 dni dzwonić w kościołach. Wyobrażam sobie, jak to przygnębiająco musi podzielać na naszych w kraju!

Jaki jestem niespokojny o Nią. Julek miał Jej dopomóc finansowo, ale widocznie ma trudności i nie może.

Środa, 26. VI. W dzisiejszej prasie podano 26 punktów żądań włoskich, które przez Francję zostały przejęte. Ładnie będzie wyglądała druga część układu pokojowego.

Czwartek, 27. VI. O godz. 7-ej rano obudziłem się. To dzień Twoich Imienin i naszego ślubu. Ósma rocznica. Zmówiłem pacierz na Twoją intencję. O 8-ej z Panem i ppor. P. pojechaliśmy nad Demboviczore, niestety słońca nie było, więc pojechaliśmy w kierunku na Brasov, tam gdzie z Tobą byliśmy. Tak się ucieszyłem, że właśnie i dziś tam byłem.

Piątek, 28. VI. Rano, około 8.30 ppor. P. odmeldował się, Pan podziękował mu za służbę, nadmieniając, że przykro mu, że odchodzi i to w tej tak bardzo niepewnej sytuacji.

Ppor. P. rozplakał się jak dziecko — to jednak był bardzo porządny chłop. Pojechali do Campulungu razem z mjr. Krzeczkovskim. Z radia dowiadujemy się o odpowiedzi rządu rumuńskiego na notę sowiecką. A wieczorem radio mówi o zajęciu przez bolszewików Czerniowiec, Kiszyniowa i Akermanu. Biedny ppor. P. nie dojechał do Bukaresztu, kiedy bolszewicy byli już w Czerniowcach. Znowu tylu Polaków dostanie się pod but sowiecki. Uspokajają jeśli chodzi o Bułgarię i Węgry. Fatalne wiadomości z Maroka francuskiego i Syrii, ponoć dowódcy tamtejsi kapitulują i oddają broń — co za straszna kapitulacja!

Sobota, 29. VI. Mjr Krzeczkowski rozmawiał z panią Vasiliiu,

która w związku z sytuacją chwilowo odkłada przyjazd. Dzwoniłem do Szczapy — połączenia nie można uzyskać. Z komunikatu południowego dowiadujemy się o mobilizacji Rumunii. Chodzi o zagrożenie Węgier albo Bułgarii, choć może gdyby Sowieci chcieli iść na zachód od Prutu, będą się przeciwstawiać. W wieczornym komunikacie podają linię zajęta przez bolszewików, uspokajają i dementują odnośnie Bułgarii i Węgier. Brygada polska w Syrii pod dowództwem gen. Kopańskiego przechodzi do oddziałów angielskich, by dalej walczyć. Już około 11-tej w nocy przyjechał taksówką brat p. Vasilu, ksiądz, który przywiózł rzeczy, wręczył list dla Pana majorowi Krzeczkowskiemu, któremu por. żandarmerii wyrwał go ordynarnie, pytając w jakim języku pisany. Kiedy się dowiedział, że w niemieckim — oddał. Ksiądz niewyraźnie, ale tak jakby przyznał, że sytuacja posuwania się bolszewików jest jeszcze ciągle niezupełnie wyjaśniona — apetyty mają duże, ale prowadzi się rozmowy na ten temat. Wieczorem powiadomiono nas, że Grzesiak i Jazdowski, jako osoby cywilne, mogą odejść. Żal mi Grzesiaka, ale może sobie da jakoś radę.

Niedziela, 30. VI. Rano po pożegnaniu z Panem i z nami Grzesiak i Jazdowski odjechali do Campulungu. Ks. Zapła z doktorem i Najsarkiem przyjechali dopiero o 12-tej. Prawie godzinę czekali przed Legiuną (?) na Roseanu, który wreszcie nie chciał dać zezwolenia. Najsarek mówił, żeby jechał ktoś inny. Dopiero ks. Zapła mu wytłumaczył i zapytał, czy za tego innego R. bierze odpowiedzialność, bo ksiądz nie. No, jakoś pozwolił. Koło 13.30 posłaliśmy auto do dyspozycji R., ale nie przyjął i odesłał. Okazuje się, że por. żandarmerii powiedział mu, że niechętnie dajemy.

Oto półrocze straszego 1940 r. Jak będzie dalej? Cieszę się opinią, jaką Sławeńka wystawiła Julkowi, bo naprawdę wart on jest samych superlatywów.

Poniedziałek, 1. VII. rano przyszedł żandarm i oznajmił, że przyszło zezwolenie na wysłanie naszej ciężarówki do Bukaresztu do dyspozycji pani V. — pojechał Bartczak. Około południa na moje ręce Pani przysłała telegram, czy ma zmienić miejsce pobytu. Z polecenia Pana odpowiedziałem, żeby została na miejscu. Myślę, że Pan otrzymaną wiadomością musiał bardzo uspokoić się o los Pani. W ogóle, że jest. Ale jak sobie daje radę? Oddziały sowieckie na północy osiągnęły Sarat, na południu Prut i dalej Dunaj. Żydzi zachowują się beczelnie, nie tylko na terenach okupowanych, ale i przed poselstwem sowieckim w stolicy demonstrują i skarżą się, że jako mniejszość są tutaj gnębieni. W Galaczu były jakieś rozruchy stłumione. W związku ze śmiercią marszałka Balbo, radio angielskie coś demen-

towało, czego nie mogłem zrozumieć. Około 20-tej nawiązaliśmy kontakt z Lolciem.

Oto Sławoj i Grabowski nakryci przez Londyn u Sokolnickiego (Ankara) nie mogą dalej jechać. Wprost wierzyć się nie chce, że może być taka podłość.

Wtorek, 2. VII. Napisałem do gen. Kasprzyckiego w sprawie wyjaśnień odnośnie nadesłanych zestawień. Późnym wieczorem wrócił Bartczak i przywiózł rzeczy pani Vasiliu. Okazuje się, że jak jechał Bartczak do Bukaresztu, to Roseanu kazał mu zabrać swoje rzeczy i obiecywał mu przez Zwierzyńskiego jakąś posadę u generała w Bukareszcie. Chciał się też dowiedzieć, co my tu o nim mówimy. Oczywiście Bartczak zwymyślał Zwierzyńskiego i nic mu nie chciał opowiadać. Po chwili wszedł Roseanu i pytał Bartczaka, czy się na niego nie gniewa, a ten mu powiedział że oczywiście tak, bo jak pan śmiał przypuszczać, że ja dam się przekupić.

Dziś długo siedziałem u Pana na górze, wspominał swoje dzieciństwo i opowiadał ciekawe szczegóły z tego dzieciństwa. Mówił, że minister spraw zagranicznych Węgier rozmawiał z Ribbentropem. Co z tego wyniknie?

Środa, 3. VII. Rano Bartczak pojechał po resztę rzeczy pani Vasiliu. Otrzymał zezwolenie, bo widać, że Roseanu ma jeszcze coś do wysłania do Bukaresztu. Bartczaka eskortował Petra i o dziwo zgodził się na zabranie Grzesiaka do Bukaresztu. Zabrali list do Szczapy.

Sławoj i Grabowski w Turcji, a tam w Londynie Sikorski szaleje, żeby ich dalej nie puszczać. Opętany strachem facet Sikorski polecił Sokolnickiemu odebrać im dokumenty, ale odmówił.

Niemcy podają o zdobyciu jakichś bardzo ważnych dokumentów, na podstawie których wydadzą białą książkę. To co mówią wydaje się prawdopodobne, ale czyżby aż taki był popłoch, że nie potrafiono zniszczyć tych dokumentów?

Lolcio podaje: „Już oficjalne meldunki głoszą, że rząd angielski leży w Kraju i to zupełnie”. A więc kto teraz jest w tym oficjalnym?

Czwartek, 4. VII. Rano byłem z Panem. Pan malował akwarełę. Cudowne powietrze i przepiękny dzień. Z komunikatu wynika, że doszło do starć między flotą angielską a flotą francuską.

Gigurtu (?) mianowany szefem sztabu Partii Narodowej. Urdecanu odszedł na szeregowca. Wieczorem podają o zmianie rządu, o Gigurtu i sporo ponoć „codreanistów”, ale jest też obecnie jasne, na czym żołdzie byli, a tak nie chciał się z tym zgodzić nasz „podskakiewicz”, ppor. P. Wczoraj ukończono ewa-

kuację ptn. części Bukowiny i Besarabii, nie podano dokładnie granicy, radio podało o incydentach w związku z (...) Do wczoraj była żaloba, radio tylko w czasie komunikatów było czynne. Mówi się o incydentach krwawych na granicy rumuńsko-bułgarskiej i rumuńsko-węgierskiej.

Piątek, 5. VII. Wczoraj wieczorem wrócił Bartczak, okazuje się, że Ros. znowu korzystał z auta, że przesłał do Bukaresztu jakieś kury, walizki i nawet kazał sobie przywieźć z Bukaresztu jakieś graty. Dzisiaj po raz trzeci pojechał wóz, a ponieważ Bartczak był bardzo zmęczony, pojechał Kutnik, który odgrażał się, że nie weźmie żadnych rzeczy Roseanu. Bartczak jest wezwany do konsulatu niemieckiego w Bukareszcie — przygotowuje się do wyjazdu. Jest to jednak porządny chłop, bo kiedy Kutnik go zapytał, co on, Kutnik, powinien zrobić, powiedział: „ciężka rada, ale ja na twoim miejscu będąc, nie opuściłbym Pana”.

Wczoraj późnym wieczorem wpadła do nas pani Dima z prośbą o auto na jutro, gdyż wnuczek jej przyjeżdża. Przy okazji Pan poruszył sprawę (...).

Z południowego radia dowiadujemy się o zmianie kierunku polityki zagranicznej tutejszego rządu za wyraźną polityką Osi. Ale, żeby min. pełn. Niemiec wskazywał członkom rządu, to nie wiem, czy to będzie z pożytkiem dla tego kraju. Wreszcie auto p. Dima nie było potrzebne, bo po południu wnuczek z mamusią przyjechali. Mówią, że jest bardzo silna kontrola dokumentów osobistych na drogach.

Sobota, 6. VII. Pan maluje w domu róże, mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu po sprawunki. Przywiózł listy od Stacha (?) i wiadomość, że R. nie dostał zezwolenia na przyjazd ks. Zapały. Nie można się zorientować, czy to zarządzenie z wyższego rozkazu, czy też w związku ze zmianą sytuacji gorliwość R.

Są wiadomości, że Wraga w Londynie, ciekaw jestem, czy i Dąb-Biernacki tamże się znajduje. W kom. są wiadomości, że trwają walki floty angielskiej z francuską, coś za tragedia. Trudno zrozumieć, jak sobie to tłumaczyć? Przebąkiwania o zmianie konstytucji francuskiej — kończą wreszcie ze swoją demokracją. Mjr Attlee tak coś mówił na temat konieczności ograniczenia prasowego.

Wieczorem wrócił Kutnik z Bukaresztu i przywiózł resztę rzeczy pani V., która w poniedziałek przybędzie — będzie z tym trochę kłopotu. Martwię się, że nie mogę dostać kuponów międzynarodowych, żeby Ci wysłać, ażebyś nie wydawała ostatnich groszy na listy do mnie. Z tego co się dzieje, to nie zanosi się na to, żebyśmy się mogli prędko zobaczyć.

Rumuni bardzo głęboko odczuli, ale z pełną godnością znieśli

zadany im cios przez bolszewików, ale co mieli zrobić, musieli się bezapelacyjnie podporządkować. Od paru dni zmieniony rząd, który zadeklarował bardzo wyraźnie kierunek zmiany polityki zagranicznej na osiowy, no i w związku z tym poważne zmiany, jeśli chodzi o politykę wewnętrzną. Jeśli chodzi o tę połąć, która odpadła, to sprawa ilości Polaków, osiadłych na tamtych terenach od dawna, jeżeli nie zdążyła zwać, to wielu z nich dostało się pod bat bolszewików. Jest tutaj jedyna organizacja młodzieży (państwowa), która w tym właśnie okresie bardzo wydajnie pracowała i w każdym ośrodku przychodziła z pomocą biednym uchodźcom. Nasz biedny „podskakiewicz”, ppor. P., w pierwszych dniach zajmowania przez bolszewików terenów odszedł od nas. Przed południem odjechał, śpieszył do Czerniowic, gdzie mieszka żona z matką. Niestety on jeszcze w Bukareszcie, nie dojechał, kiedy w Czerniowcach już byli bolszewicy. Nie wiemy, co się z nim dzieje, obiecał napisać, ale dotąd nie dał znaku życia — jedno jest dla mnie pewne, że z zaszłej zmiany w rządzie na pewno się nie cieszy. Z tym jego zastępcą mamy wielkie kłopoty, raz, że nie możemy się z nim porozumieć, bo mówi po rumuńsku, *secundo*, że w związku z tym wszedł w ślady Petry, którego chwala Bogu, wreszcie stąd zabrano.

Bardzo mi było ciężko rozstać się z Grzesiakiem. Dałem mu parę groszy, jak również i Pan, no i sądzę, że może lepiej mu będzie na wolności niż tu.

Bartczak (też szofer) dostał papiery z konsulatu niemieckiego, bo prosił, aby mu pozwolić na powrót i wnet nas opuści. Sądzę, że poza Kutnikiem (szofer) wszyscy stąd pójdą. Martwi mnie los Składkowskiego i Grabowskiego, bo nie mogą się wydostać z Ankary. Tamtejsza ambasada dostała dyspozycje od Sikorskiego, żeby ich nie wypuszczać. To są sprawy wprost niewiarygodne, czegoż on się boi? Przecież, jeżeli nawet wyładowują w Londynie, to przecież tam nie zrobią rewolucji. W rozmowach z ludźmi daje się odczuć, że chcą wracać do Kraju. Stara się o powrót i dr Cianciara (gorączka powrotów).

Ten B. nie pozwala na przyjazd ks. Zapały na nabożeństwo, bo może obawia się, żeby ksiądz nie porwał nas pod sutanną. Poczta źle funkcjonuje i są trudności kolejowe. Mamy coraz większe trudności aprowizacyjne. Na wsi nic nie można dostać, a w miasteczku, zresztą powiatowym, też są wielkie trudności z dostaniem prowiantów.

Ambasador Sokolnicki w Ankarze przeciwstawia się poleceniom Sikorskiego odnośnie zatrzymania i odebrania papierów Składkowskiemu i Grabowskiemu. Podobno zachowuje się bardzo przyjemnie i po ludzku do dawnych ludzi. Myślę, żeby pra-

ce malarskie Pana jakoś doręczyć Sokolnickiemu, może mu się uda spokojnie przechować, a może stamtąd przez jakąś okazję przesłać bratu Jerzego Krzeczковского na drugą półkulę, gdzie może doczekałyby lepszych czasów.

Czerwony wóz przywozący pocztę zlikwidowali, raczej przestał jeździć, bo go zarekwirowali. Pocztę będą dostarczali w innych godzinach i mniej punktualnie. Tak byliśmy przyzwyczajeni i tak wyczuleni na sygnał tego czerwonego wozu, że teraz będzie nam przykro, że go nie usłyszymy więcej. Tyle miłych wspomnień z nim związanych a teraz nagle przestał istnieć (linia była przerwana). Ma być teraz linia komunikacji autobusowej rządowej, której wóz jest szary. Sygnału tego jeszcze nie znamy.

W momencie, jak kończyłem list do Ciebie, przechodził nasz kochany Kutnik i pytał, czy to do Ciebie piszę, a jak mu powiedziałem, że tak, to prosił by Cię najserdeczniej pozdrowić i załączyć ucałowanie rączek. Jak to miło z jego strony.

Niedziela, 7. VII. Było nam bardzo przykro, bo mszy św. nie mieliśmy. Grzesiak już jest w Campulungu, ale po obiedzie do nas przyjechał, zobaczył go por. i zrobił awanturę podobiecowi Lupu, że go wpuszcili do Dragoslavele. Radio nie podaje komunikatu angielskiego, wszystkie inne depesze tylko agencji Stefanii lub D.N.B.

Według wiadomości Szczapy Raczkiewicz podobno przygotowuje dla Pana i dla Becka paszport w wypadku, gdyby tutaj Niemcy mieli się zjawić. Ryszard proponuje rozmowy z jego obecnymi gospodarzami (Anglikami), choć ja nie wiem i nie rozumiem, jak on to sobie wyobraża, bo przecież Pan nie ma możliwości przeprowadzenia tych rozmów, a poza tym wcale nie uważam za słuszne, aby inicjatywa miała wyjść od Pana.

Poniedziałek, 8. VII. Pan rozpoczął olejny obraz — młyn w Pradion. Sławenka pisze: „Taka jestem szczęśliwa, że te sztucznie nagromadzone chmury wokół imienia Pana rozchodzą się i że nikczemność i podłość ludzka nie ma takiej mocy, aby przesłonić to co piękne i szlachetne”.

Bartczak dostał wiadomość, żeby przyjechał do Campulungu i pewnie pojedzie do Bukaresztu, skąd dalej do Warszawy. Odmeldował się Panu, szkoda nam go bardzo, bo to zacości dusza.

Z komunikatu wygląda, że wojna Francja-Anglia rozpoczęła się na dobre. Tragedia.

Wtorek, 9. VII. Rano pojechałem do Campulungu. Bartczak zostaje tutaj do wieczora, potem jedzie do Bukaresztu. Wysłałem list Pana do Karola (?) i Becka, w którym Pan prosi o pewne szczegóły z jego raportu do swojej pracy.

Państwo Vasiliu przyjadą jutro.

Pan ma tylko jedną, jedyną koncepcję, a mianowicie powrotu do Kraju i o niczym innym słuchać nie chce. Zresztą sprawa już jest dobrze zaawansowana. W tym sensie napisałem do Szczapy. Wysłaliśmy depeszę do ppor. P. z zapytaniem o jego żonę.

Kpt. Triffin prosi o wóz, ma tam coś sobie przywieźć. Pan zezwolił (chodziło o drzewo).

Środa, 10. VII. Rano Kutnik pojechał do Campulungu z drzewem dla Triffina, drzewo złożono, ale nie zjawił się nikt, żeby go choć zapytać, co się należy za benzynę. Mój list do Szczapy Kutnik doręczył Najsarkowi. Rozmawiał z dr. Cianciarą, który rwie się do Kraju.

Co przyniosą rozmowy w Monachium? Czyżby rozmawiano z Telekim i Csaky bez przedstawiciela Rumunii? *Nous verrons!*

Czwartek, 11. VII. Pan maluje tartak p. Predoin.

Z radia dowiadujemy się, że premier i minister spraw zagranicznych Węgier wrócili, przypuszczalnie interesujące oba kraje zagadnienia zostały odsunięte (po zakończeniu wojny).

Dzisiaj oddałem do reperacji spodnie cywilne, które się przetarły, chodzę w dobrze połatanych wojskowych i długich butach.

Piątek, 12. VII. Pan od rana maluje — jestem przy Nim i przygotowuję się do lekcji. Pan denerwuje się komunikatami, więc słucham sam. Lebrun rzekł się na korzyść Pétaina, któremu Zgromadzenie Narodowe uchwaliło pełnomocnictwa. I tam jakiś senator stawiał wniosek, by zająć się tymi, którzy Francję doprowadzili do tego stanu, ale Herriot przeciwstawił się temu. Gdzieś w prasie Boncour tłumaczył się, że to Anglia zachęciła Francję do wojny i wskazuje, że Anglia pierwsza wypowiedziała wojnę. Co oni chcą tym osiągnąć.

Coś niewyraźnie z akcją floty angielskiej. Zdaje się, że nie wytrzymała natarcia włoskiego. Około godz. 10-tej wieczór przyjechali pp. Vasiliu. Kutnik za pozwoleniem R. pojechał na dworzec w Campulungu po bagaż i po resztę gości. Pp. V. opowiadają o niesamowitym zachowaniu się bolszewików na terenach świeżo okupowanych i co dziwniejsze o tym, że komunizm we Francji zmusił rząd francuski do zażądania warunków pokoju — podobno żołnierze francuscy nie chcieli się bić. Nie chce się temu wierzyć!

Sobota, 13. VII. Wcześniej rano mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu na targ. Gwarzyliśmy trochę z p. V. Podziękowałem jej za opiekę i za to wszystko co dla Ciebie uczyniła w związku z Twoim przyjazdem. To wyjątkowo zacna niewiasta. Mjr Krzeczkowski przywiózł listy dla Pana od Lolcia, z któ-

rych dowiedziałem się — od Pana — że Szefer ponoć za Sikorskim, że Kot w niełasce, że Krajewski i Kornaus aresztowani na Węgrzech. Jeżeli chodzi o tych ostatnich, to wiele ich nie żałuję, ale na miły Bóg, czy przez to nie została wyspana robota w Kraju. To, co słyszałem o Krajewskim i Korn., to sądzę, że areszt dobrze im zrobi.

Niedziela, 14. VII. Nie wiem czemu i komu mamy do zawdzięczenia, ale ks. Zapała razem z Heniem Cianciarą i Romkiem (chyba Najsarek) przyjechali, mieliśmy mszę św. Oto ks. i Romek parę razy byli w Legiune; nie zastawszy Roseanu rozmówili się z Triffin, który pozwolił na przyjazd księdza i „ministrów”. Po obiedzie rozwinęła się szeroka dyskusja na temat wytworzonej sytuacji i perspektyw na przyszłość. Jeżeli przyjąć zwycięstwo Niemców, po czym musi przyjść rozprawa między Niemcami i bolszewikami, która znowu pewnie obje się o nasze ziemie. Doszliśmy do wniosku, a raczej zostało postawione pytanie, która z okupacji jest groźniejsza dla nas. Pan precyzuje, że ze względu na siłę groźniejszą jest niemiecka, bowiem rosyjska, jako zlepek tylu państw i państewek, musi się rozlecieć. Ja uważam za groźniejszą bolszewicką, bo zgniecie zupełnie element polski. W końcowym wniosku Pan precyzuje nasze zadania, które w dwóch słowach wyglądałyby: rozradzać się (?) i trzymać (?) ducha — naród zginąć nie może.

Wieczorem przyszli pp. V. i graliśmy w karty. Dr. V. przyniósł dwie flaszki dobrego wina.

Poniedziałek, 15. VII. Rano Pan maluje. Doktor i ksiądz wyjechali z p. V. i zabrali list do Lolcia, w którym proszą go o stare dzienniki angielskie. Dostałem też list od Lolcia — wysyłka walizki załatwiona, obrazek do Ciebie miał pójść wczoraj. Listy do p. Marty (żona Pana) odeśle z powrotem. Wysłał do Ciebie list pol(econy) i dep(eszę) ostrzegające przed Łączkowskim, który jest podobno agentem Kota. Stracił ślad Switka, Stachiewicz w Algierze, Wieniawa, Beckowa, Górecki, Rogoyscy w Lizbonie. Lolo pisze: „Roman Najsarek jest ciekawski, ale każdy z nas tyle tylko powinien wiedzieć, ile mu do pracy Pana jest potrzebne”. Słuszne!

Dostałem kartkę od Gołębia, nastrój u nich w większości słaby, wiara stanowczo reflektuje na powrót.

Przed kolacją siedziałem sobie przed domem i przeglądałem ostatnie Twoje fotki i oto fotka z Feteke (Cyganka węgierska) — bardzo się ucieszyłem, bo oto masz na ręku mój zegarek. Tak mi miło, że go nosisz, jakże ja się cieszę, że masz stale przy sobie dawną moją rzecz — w tym wypadku zegarek. Lolcio zaniepokojony, że listy do Ciebie nie dochodzą. Mnie to też bardzo niepokoi.

Wczoraj w czasie nabożeństwa pomyliliśmy się w ministranturze. Najsarek dostał po uchu od ks. Zapały.

Za Bartczakiem wybierają się inni — Roman, a może i Feluś. Jak tam u was z tymi powrotami (z Węgier?). Pani V. śpiewała tu na Twoją cześć psalmy pochwalne, bardzo Ciebie polubiła, bo też tego zresztą warta jesteś, Sławenko. Wspomniała, żeś do niej przemiły list napisała i prosiła, by pisząc do Ciebie pozwolił przy okazji dopisać się.

Początkowo myślałem, że przyjazd ich bardzo będzie nas krępował, a tymczasem tego się nie odczuwa, są bardzo uważający, by właśnie Pana nie krępować. Podobno Sosnkowski ma być zastępcą Sikorskiego. Miau-miau (Kot) ponoć odwołany, ale jego agent w osobie brata śp. Orlicza grasuje tutaj i spełnia bardzo nieprzyzwoicie swoje obowiązki. Sam kiedyś dopuścił się w Strzelcu kolosalnych malwersacji, ale jak zwykle ze względu na osobę brata nie wytoczono mu procesu, a teraz się odpłaca.

W Rumunii zaczęły się wkrótce ciężkie czasy dla naszych ludzi, którzy zmuszeni będą pozostać — likwiduje się Towarzystwo Opieki, a nawet Y.M.C.A. zwija swoje gościnne podwoje. Natomiast z Kraju są wiadomości, że wielu ludzi wraca z Niemiec z obozów do domu. Co to będzie z tymi, którzy są jeszcze po różnych obozach. Wiem jedno, że upadli obaj bardzo na duchu, że stracili wiarę i trudno im się nawet dziwić. Odpukać, ale zdrowie Pana w porządku.

16. VII. Rano piękna pogoda. Pan malował. Około 11-tej przyszedł pp. Dima, Predoin z małym Bougazilem (?) ażeby podziękować za auto. Wiadomości od Szczapy.

Środa, 17. VII. Wczoraj późnym wieczorem był telefon od dr. V. do żony, po czym okazało się, że to ich rocznica ślubu, zostaliśmy zaproszeni na lampkę wina i doskonałe papierosy.

Czwartek, 18. VII. Rano Pan malował. Komunikat donosi, że Kościół nawiązał bliższe stosunki z faszyzmem i nacjon. socjalistycznym, które to ideologie praktycznie przeprowadzają, co Kościół głosi — nie wydaje mi się to prawdopodobne.

Piątek, 19. VII. Pan maluje od rana. Przyszedł por. Vacari i prosi o wóz, bowiem żona jego jest w Campulungu. Pojechał, żony nie znalazł i wóz tylko niepotrzebnie chodził. Po północy przyjechał dr B. z bratem pani V. i jego żoną. Jutro ma być nabożeństwo za patriarchę Mirona. Zupełnie przypadkowo złapałszy z panią V. przemówienie Hitlera w Reichstagu — ile znów kłamstw i groźba przeciw Anglii.

Cieszymy się, że mamy ciągłe wiadomości od Julka i o rozwijającej się organizacji na Węgrzech.

Sobota, 20. VII. Rano byliśmy na parostas — nabożeństwo za-

łobne za patriarchę Mirona. Podczas tego nabożeństwa placek *koliwa* trzymany przez wszystkich członków rodziny, huśtany przez nich, przy czym rodzina popłakuje. Po nabożeństwie byłem z mjr. Krzeczkovskim na obiedzie u pp. (...), gdzie byli zaproszeni wszyscy tutejsi notable. Przed kościołem rozdano 800 bochenków chleba, bryndzy, wina biednym, poza tym dla najbiedniejszych rodzin (dwudziestu pięciu) wydano paczki żywnościowe. Ksiądz, który przypominając zasługi patriarchy, wyliczał w tej kolejności: szosa asfaltowa, odremontowanie cerkwi, dopomożenie w wydaniu książki o Dragoslavele, którą właśnie tenże pop napisał. Wieczorem byliśmy u pp. V. na kartach. Jakże miło wspominały Cię nie tylko p. V., ale i pp. Iljana i Nana.

Niedziela, 21. VII. Rano przyjechał ks. Zapała z dr. Cianciarą i Najsarkiem. Po śniadaniu graliśmy w brydża. Po obiedzie, gawędząc, ksiądz opowiadał o różnych starych kronikach parafialnych, w których lubił grzebać. Wspominał o kłopotliwych warunkach ewakuacji sztabu Korpusu Krakowskiego, o panicznym strachu niektórych oficerów. Opowiadał też o Korpusie Kad. w Modlinie, którym się zachwycił. Około 5-tej wyjechali. Najsarek zabrał błony do wywołania, zrobiłem zdjęcia Pana, ale pewnie nic z tego nie wyjdzie, bo było ciemno w pokoju. Wieczorem poszliśmy z Panem do pp. V., niby to na karty, ale raczej na rozmowę o charakterze politycznym. I znów mówili, że Francuzi wcale nie chcieli się bić. Bolszewizm szerzył się w oddziałach francuskich i to było powodem zaprzestania wojny. Najciekawsze jednak, czego świadkami byliśmy wczoraj przy obiedzie, tak jak i teraz wieczorem: wszyscy wymyślają i pretensje mają, że tak późno król poparł ruch żelaznej gwardii „codreanistów”. Wszyscy są przekonani, że gdyby „codreaniści” byli wcześniej doszli do władzy — Rumunia nie straciłaby Besarabii. Głęboko wierzą w to, że w tym wypadku Hitler przyszedłby im z pomocą. Jacy naiwni! Radia nie możemy słuchać, bo wyczerpały się akumulatory. Nic nie wiemy, co się dzieje, czy była jakaś odpowiedź ze strony Anglii.

List od Sławeńki i to express. O jakże mnie to boli, że Ona wydatkuje się niepotrzebnie. Listy, jak i kartki noszą wyraźne ślady cenzury. Są duże opóźnienia, ale chwała Bogu są te listy, przynosząc mi pokrzepienie serca, tak bardzo w tych chwilach potrzebne.

Mjr Krzeczkowski miał wiadomości od brata z Ameryki, w którym wspomina o przybyciu na tamtejszy teren Wieniawy i znacznej grupy Polaków. W czasie nabożeństwa żałobnego przed cerkwią leżały te stosy chleba — 800 bochenków, tyleż puszek bryndzy i sporo wina. Wszystko to jako jałmużnę rozdano

biednym. Podczas nabożeństwa na dużej srebrnej tacy leżał duży placek, *koliwa*, na placku tym znak krzyża, zrobiony z kremu i świeca paląca. W pewnym momencie pop bierze tę tacę do ręki, przy czym wszyscy członkowie rodziny zmarłego również tej tacy dotykają równocześnie, lekko ją wznoszą i opuszczają. Panie z rodziny patriarchy popłakują w tym momencie, kiedy takim jak ja trudno było utrzymać powagę.

Wszyscy w Dragoslavele wraz z Panem stale interesują się i stale Sławie przesyłają pozdrowienia. Listy nadaje się na podstawie dowodu osobistego i bardzo trzeba uważać co się pisze. Cenzura wszystko przegląda i często nawet konfiskuje listy. Rodzina ks. Zapłaty, wraz z poświęceniem Sapiehy, wniosła podanie o jego powrót do Kraju. Bardzo się tym martwimy. Będziemy bardzo biedni, jak on wyjedzie.

Stanowisko Anglii jest nam znane — walka do końca.

Poniedziałek, 22. VII. Wczoraj ksiądz komunikował, że prof. Makowski z żoną przyjechali do Campulungu, ponoć w drodze go okradli. Będę się chciał z nim przy okazji zobaczyć. Najsarek pojechał do Bukaresztu — zabrał list Pana ze wskazówkami dla Szczapy.

Ciekawe wiadomości z Węgier, oto Kot wybiera się do kraju. U Sławienki i u Julka częste odwiedziny policji węgierskiej, przerzucają im kąty, a nawet po parę dni przetrzymują. Bardzo się tym denerwujemy.

Wtorek, 23. VII. Co się tam z nimi dzieje na Węgrzech, przecież mogą pokrzyżować wszystkie plany, a to już 5 minut przed dwunastą. Wczoraj około 10.30 odczuliśmy nowy wstrząs ziemi, to chyba piąty czy szósty z kolei.

Akumulatory wysłaliśmy do naładowania i nic nie wiemy, co się dzieje w polityce. Bardzo to niemiłe uczucie, bo jednak ziemia pali się nam pod nogami.

Środa, 24. VII. Ranek pogodny. Pan uczy rysunków syna brata pani V., Mircia (?). W południe telefon od Najsarka, ażeby przyjechać do Campulungu około godz. 14-tej — wyjechałem. Spotkałem Lolcia, który przywiózł list od Becka i Skwarczyńskiego dla Pana. Poniatowski dwukrotnie aresztowany zwał raz z prefektury, a drugi raz spod konwoju. Skwarczyński był w Bukareszcie. Okazuje się, że mogą oni wyjechać na słowo — namawia na drogę Feliksa (?). Zakrzewski podzielił w obozach ludzi na trzy grupy: oddanych Sikorskiemu, na czele których stoi Konc. (?), tych którzy mają zasilić brygadę Kopańskiego i resztę tych niezdatnych. Jak widać drańską robotę robi się dalej.

Czwartek, 25. VII. Rano Pan maluje. Z radia wiadomości o Warszawie. Nowy dworzec ukończony, sklepy i restauracje otwarte i zaopatrzone. Na ulicach słyszy dużo niemieckiego.

Piątek, 26. VII. Dzisiaj imieniny śp. Anuleńki (pierwszej żony Zygmunta), w tym dniu bywałem zawsze w Wilnie, nigdy mi tego nie brałaś za złe, najmniejszym grymasem nie dawałaś poznać, choć wiedziałem, że nigdy nie lubiłaś jak wyjeżdżałem z domu. Dzisiaj na pewno nikt na Jej grobie kwiatów nie złoży.

Rano poszedłem z Panem, towarzyszył nam p. V.

Sobota, 27. VII. Bardzo gorąco i dlatego Pan nie malował, a dziś jest dzień p. Marty, pewnie o niej myśli, martwi się o nią, bo nie wiadomo jaki jej los. Wczoraj późnym wieczorem przyjechał dr V. Dzwonił też Najsarek, obawia się co będzie z niedzielą, czy dostaną zezwolenie, a w każdą niedzielę po mszy św. tyle spraw aktualnych omawia się i ustala. Myślimy, żeby Lolcio przyjechał, jako gość pani V. Może się uda.

Niedziela, 28. VII. No, jakoś udało się, że przyjechali: ksiądz, dr Cianciara i Najsarek. Szczapa nie dojechał, dostał pietra. Pan miał do mnie pretensje, że wiedząc o trudnościach ze strony żandarmerii, nie pojechałem po niego. Naturalnie Pan miał popsuty humor, bo były ważne sprawy do załatwienia z Lolciem. Dr Cianciara badał naszą kucharkę, Węgierkę Romę. Zachodzi konieczność zbadania krwi. Posądza, ale nie może mieć pewności. Grzesiak znowu dzisiaj przyjechał do niebogi.

Koło domu w Dragoslavele, tuż obok przepływa rzeczka, a w niej bardzo zimna woda. Rzeczka górską. Córeczki p. V., Mira — ta starsza, a najmniejsza, paromiesięczna, nazywana przez nas Malutka, jest uroczym dzieckiem. Często się z nią bawię, a ona mnie poznaje. Szczapa ma kłopoty, bo nie może dostać swoich papierów. Jakiś imiennik jego (lotnik), którego on nawet nie zna, przysłużył mu się w ten sposób, biorąc go za wojskowego i w dodatku za lotnika. Wzięliby go na komisję lekarską i zaraz przekonaliby się, że nie mają do czynienia z wojskowym, a już w żadnym wypadku z lotnikiem, no ale ja mu tego poradzić nie mogę. Grzesiak ma jechać i ciągle ociąga się, trzyma go sentyment do Romy. Chciałby się tu gdzieś z nią urządzić. Kto odszedł to odszedł, ale przecież my mamy swoją Irmę, Węgierkę, oddaną całym sercem i Kutnika, który jest nie do zastąpienia — kochany człowiek.

(...)

Panu powracają bóle nogi i spać nie może. To jest duże nasze zmartwienie.

Z nowym podskakiewiczem (żandarmem) mamy wiele kłopotu. Sytuacja zmieniła się tu radykalnie. Tu prawie wszyscy sympatyzują z Niemcami i występują przeciw Żydom. Żydzi gwałtownie zmieniają religię, choć mają z tym wielkie trudności. Naszych Żydów z różnych obozów skoncentrowali w jednym.

Poniedziałek, 29. VII. Przeszła wielka burza. Pan nie wycho-

dził. Po obiedzie mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu. Około 5-tej poszedłem z Panem na spacer. Przy kolacji Pan mówił o dolegliwościach. Ból kiszek, żeby znów nie wróciło to, co już było i czym tak się wymordował.

Wtorek, 30. VII. Kapitałny był reportaż sowiecki z wojny z biało-Polakami, jak dzięki strategii Stalina rozgromili III Armię, w ogóle aż do Wisły i Warszawy, tylko o bohaterstwach. Później załatwili się krótko — wina Trockiego i Tuchaczewskiego, ale oto 17. IX. i wyrządzoną krzywdę Stalin znowu naprawił — nie zapomniał on nigdy o braciach Ukraińcach i Białorusinach.

Środa, 31. VII. Rano pochmurno. Pan pracuje u siebie. List od Szczapy z wycinkami z *Bukarester Tageblatt* z 27. VII, domagający się zlikwidowania naszej ambasady i konsulatów na terenie Rumunii. Późnym wieczorem przyszedł por. Vacari i ppor. Georgescu, którego przedstawił jako swego zastępcę. Por. Vacari jutro odjeżdża. Zobaczmy, jak będzie wyglądał ten zastępca.

Czwartek, 1. VIII. Pan, niestety, czuje się ze zdrowiem nie-dobrze i dlatego humor mu nie dopisuje. Ma też od czasu do czasu bóle żołądka, na które uprzednio już się nie skarżył.

Cenzura naszych listów jest coraz bardziej dokuczliwa.

Piątek, 2. VIII. Okropna burza z piorunami.

Nowy nasz władca robi trudności pani G. i każe jej pisać podania do Bukaresztu, ażeby uzyskać zezwolenie na przychodzenie do nas (konwersacje francuskie z Panem).

Pani Vasiliu dzwoniła dwukrotnie do mjr. B. — uzyskała zwolnienie pokoju i por. G. będzie mieszkał nad garażem — to dla niej nadzwyczajna rzecz, uzyskanie tak potrzebnego pokoju, no i dla nas również lepiej. Wczoraj Feliks złowił pstrąga, którego Panu usmażono na kolację. Wieczorem i dzisiaj od wczesnego ranka do południa łowił Kutnik, ale bez skutku i jest niezadowolony.

Sobota, 3. VIII. Tak zimno, że trzeba było napalić w piecach. Jak to dobrze, że w Budapeszcie jeszcze im płacą zapomogi. Pan dostał list od Pani — na mnie adresowany. Biedna zwichnęła nogę i trzy tygodnie leżała. Warunki mają bardzo ciężkie, bo obcokrajowcom nie wolno poruszać się po okupowanej Francji. Dostał Pan też bardzo przyjemny list z Ameryki od p. Alursted. Komunikaty nie przynoszą nic ciekawego.

Niedziela, 4. VIII. Rano przyjechał ks. Zapała i dr Cianciara i Najsarek. Pani Georgescu nie była na mszy św., bo chora, za to por. G. asystował. Po śniadaniu graliśmy w brydża i Pan wygrał wszystkie siedem robrów — wygrał wszystkie orzechy od Ciebie. Dr Cianciara badał Pana i przepisał środki lecznicze na 5

dni. Wieczorem był dr V., który ma duże nadzieje, że pod koniec grudnia br. będzie (...) pokonana. Pan mu tłumaczył, że to nie jest takie proste, że to dłużej potrwa i że nie można być tak pewnym zwycięstwa. Wieczorem, jak każdej niedzieli, odchodzi polityka. Pan wierzy, że Polska będzie, bo być musi, ale czy my będziemy ją oglądali — trudno przewidzieć. Jedno jest pewne, że czeka nas wszystkich niesamowity wysilek, jak również, że dni powojenne będą dla nas inne, jak te, które przeżywaliśmy na krótki okres przed wojną. Agencja Campulungu podaje wiadomości, jakoby bolszewicy od Niemców zażądali powrotu do granic na wschodzie jak przed wielką wojną, w dodatku Niemcy mieli wyrazić swoją zgodę.

Feluś dostał list od pokojówki Pani, ta ostatnia zwichnęła nogę przy łowieniu ryb i bardzo boleśnie to przechodzi.

Wtorek, 6. VIII. Pan maluje duże płótno (Ninę). Po południu zrobiłem z Panem wycieczkę.

W telegraficznym skrócie chcę zanotować wypadki dzisiejszej nocy, które dotąd są niewyjaśnione. Około godz. 10-tej wieczór mjr Krzeczkowski poszedł do pp. V., a ja z Kutnikiem i Felusiem siedzieliśmy w kuchni. Kutnik opowiada swoje wspomnienia na temat łapania ryb. Po chwili wychodzę z kuchni i przez okno jadalni widzę na zewnątrz światła latarek i słyszę jakieś rozmowy. Otwieram drzwi i widzę mjr. Krzeczkowskiego i panią V. z żołnierzem: pokazują na ziemi kałużę krwi i ślady prowadzące do płotu i nawet dalej — ślady krwi. Żołnierz ma bagnet na długości 15 cm zakrwawiony. Podobno usłyszał ruch w okolicy piwnicy i zbliżając się tam, zobaczył uciekającego człowieka, który na „stój” obrócił się i chciał się rzucić na posterunek, ale ten był szybszy i przebił go bagnetem, ponoć nawet gonił go jeszcze — nie strzelał, gdyż miał niewypał. Pani V. objęła komendę, rozmawiała z posterunkami, a za chwilę przyszedł por. G. i podoficer. Przybiegła też Irma. Po chwili szukaliśmy psa Loli i nie znaleźliśmy. Kutnik i podoficer poszli na patrol. Irma nie chce iść spać, trzyma posterunek.

Zameldowałem Panu, który u siebie będąc, nie słyszał żadnych podejrzanych ruchów. Szukają suki Loli, ale nie można jej znaleźć, wreszcie zjawia się, ale jest wystraszona, powąchała krew, ale nie chce się ruszać z miejsca, jest zdenerwowana. Patrol wrócił. Pani V. poleciła por. G. zrobić apel swoich żołnierzy. Byłem umęczony i poszedłem spać. Budzę się, 2-ga w nocy, a pod oknami moimi słyszę krzyk trwożny „stój, stój”, potem strzały i ucieczkę, znowu „stój, stój”. Uwieram się szybko po ciemku, biorę rewolwer i schodzę na dół, a tutaj widzę Kutnika z szablą w ręku, w następnym pokoju mjr Krzeczkowski, który jest na warcie. Okazuje się, że oni się nie

kładli. Słyszę na górze ruch, Pan schodzi. Poszliśmy telefoniować, ale okazuje się, że telefon w dalszym ciągu nie działa. Są wiadomości, że znaleziono trupa w okolicy Namart (?), ale to nie może mieć związku z naszą sprawą. Zanim poszliśmy do Pana, był jeszcze jeden strzał. Z domu nie można wyjść, bo podenerwowani żandarmii będą strzelać. Zostawiwszy Pana zszedłem na dół. Rozmawiamy przez pewien czas, ale wreszcie postanawiamy iść spać.

W międzyczasie, jak byliśmy na górze z Panem, mjr Krzeczkowski zszedł na dół, bo chciał porozmawiać z posterunkiem, ale nikt nie odpowiadał. Mjr K. wrócił i opisuje pozycję Kutnika z szablą w ręku siedzącego na stołku. Pożegnawszy się poszedłem na górę, rozbieram się bez światła, zdjęłem bluzę, a tu znowu strzały. Ubieram się na nowo i schodzę, ale niczego dowiedzieć się nie można. W międzyczasie znowu pojedyncze strzały, ale to chyba wystraszeni żandarmi na posterunku strzelają sobie na dodanie odwagi. Poszedłem na górę, ale zasnąć już nie mogłem, choć zapanował spokój.

Rano dowiaduję się, że został spisany protokół i bagnet dla analizy krwi został odesłany do Campulungu. Pojechał Kutnik, a ma przyjechać kpt. Triffin. Okazuje się, że prowadzą dochodzenie po najmniejszej linii oporu, zażądano paszportów służby pp. V., w Campulungu przetrzymano Grzesiaka i Jazd., którzy udowodnili, że w tym czasie byli na zebraniu w *casa polona* (?). Trup pod Namart — okazuje się — spadł z auta ciężarowego i zabił się na miejscu — nie ma śladu zranienia bagnetem. Kpt. Triffin nie przyjechał, w ogóle głucho. Widząc na posterunku po południu żołnierza, który przebić miał złodzieja, mówię mu, że telefonowano z Campulungu, że krew jest z psa. Robi minę zdziwioną, ale nie zaprzecza, w ogóle dziwnie się zachowuje. Czy przypadkiem nie jest to (...) w związku z tym, że p. V. zwróciła się do por. G. w sprawie kradzieży poprzedniej nocy w piwnicy?!

Przed lekcją zrobiliśmy spacer z Panem. Przedtem Pan zabił z floweru, ofiarowanego przez PZU, metalowego młodego jastrzębia. Po obiedzie położyłem się spać, zasnąć jednak nie mogłem.

Po spacerze wspomniałem Panu, że to rocznica Zjazdu Krakowskiego.

Środa, 7. VIII. Telefon w dalszym ciągu nie działa — uszkodzony. Żadnych bliższych danych o analizie nie nadesłano. Wojtek Malinowski z racji rocznicy sierpniowej przesłał Panu życzenia, a i dla mnie parę słów. Sławenka pisze, że z nieba spadło jej 75 pengo i jest z tego bardzo zadowolona.

Szczapa pisze, że poszły wiadomości do Budapesztu. Ucieszy-

lem się nawiązaniem przez Sławę stosunków z Węgrami pod Budapesztem.

Przemila jest najmłodsza córeczka p. V. Powietrze tutejsze i tych parę dni słonecznych zrobiły maleństwu doskonale, jest opalona, dobrze je i śpi — świetnie wygląda. Bawi się ze mną doskonale, poznaje mnie i niejednokrotnie już ją uciszałem, tak że nawet nikt tego nie spostrzegł, bowiem całymi godzinami jest w ogródku (koło marmurowego stołu, który pamiętasz). Idąc do pani G. albo wracając od niej, spotykam w ogrodzie 4-letniego synka córki p. Dimy i zabawa odchodzi na całego, zaleźnie zresztą od czasu. Nieraz nie chce on mnie w ogóle puścić do p. G., tylko koniecznie bym się z nim bawił. Oto, jak widzisz, nasze rozrywki i zabawy, jak zdajesz sobie sprawę dla mnie są one bardzo miłe, gdyż wiesz, że dzieciarnię lubię, a cóż dopiero tak miłego chłopaka jak Bonżerol. Bardzo przyjemna jest p. Vana, siostrzenica p. V., taka tylko biedna krewna. Poznałaś ją u p. V., jest zachwycona Tobą i ciągle mnie pyta, czy mam wiadomości od Ciebie, czy i kiedy będę pisał, i by pisać przesłać Ci jej pozdrowienia. Mira, starsza córeczka p. V., przychodzi do Georga (mjr Krzeczkowski) codziennie bodaj ma z nią pół godziny lekcji angielskiego. Pan ją buntuje, że wakacje są na to, by wypocząć, a nie uczyć się. Trafił jej tym bardzo do przekonania, powołuje się na opinię Pana i Georg K. ma trudności.

Jaka ta nasza Irma — Węgierka — jest kochana i uczynna. Oto niewymowne podarły mi się. Poświęciłem kamizelkę, by je połączyć i oddać chciałem do krawca. Irma zaprotestowała, wzięła się sama do roboty, zrobiła tak, że najlepszy krawiec męski nie powstydziliby się takiej roboty i zupełnie nie znać. Nie chcę wydawać pieniędzy na nowe, zresztą na tutejsze warunki to najzupełniej wystarcza i tak gatunkowo to pewnie najlepszy garnitur w całym powiecie.

Czwartek, 8. VIII. Pan pracuje na górze. Dostałem list od Szczapy — ponoć sprawy poszły do Ciebie i że Tadeusz ma dostać przepustkę do nas. Spodziewa się Karol, że dziś lub jutro otrzyma odpowiedź plus przesyłkę od Julka (z Budapesztu). Telefon w dalszym ciągu nie działa, żadnych wiadomości o analizie, a to wszystko jakoby ze względu na bezpieczeństwo. Wysłałem kartkę do Stachewicza, ale nie mam odpowiedzi. Prosiłem go o interwencję odnośnie naszych należności.

(Dokończenie nastąpi)

Zygmunt WENDA

RECENZJE

Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

„POLSKA I ŚWIAT” W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Pod koniec 1990 r. ukazała się na polskim rynku wydawniczym wydana przez Editions Spotkania synteza autorstwa dr. Witolda Pronobisa¹. Autor postawił przed sobą ambitne i trudne zadanie opracowania „podręcznikowego zarysu dziejów Polski i świata” w naszym stuleciu, doprowadzając go do chwili obecnej, tzn. prawie do wydarzeń „jesieni ludów 1989 r.”, kiedy to rozpadł się system komunistyczny w państwach Środkowo-Wschodniej Europy. Książka miała wypełnić dotkliwą lukę, jaką niewątpliwie stanowi brak syntetycznego opracowania powyższej problematyki, a szczególnie okresu po II wojnie światowej. Dotychczasowe pozycje, omawiające historię powojenną, pisane w myśl wskazówek komunistycznej propagandy, uważane były przez elity rządzące za narzędzie walki politycznej i ideologicznej indoktrynacji społeczeństwa. Z tej racji często grzeszyły tendencyjnością, licznymi przemilczeniami i przeinaczaniem faktów. Zaznaczyć trzeba, iż w wielu przypadkach historycy w kraju nie mogli — z racji potężnego aparatu cenzury i ograniczonego dostępu do archiwów — prowadzić nieskrępowanych badań oraz prezentować ich wyniki. Stwierdzenie to dotyczy

1. W. Pronobis, *Polska i świat w XX wieku*, Warszawa 1990. Ukazało się potem drugie wydanie, ale bez zmian w treści.

zwłaszcza okresu po II wojnie światowej; wydarzenia lat wcześniejszych z biegiem czasu można było opisywać względnie swobodnie. Skądinąd ciekawe byłoby podjęcie badań nad dorobkiem historiografii PRL; zauważyć można, że niektóre kierunki badawcze miały dobre warunki rozwoju, zaś realizowanie innych było bardziej lub mniej utrudnione. Np. można było badać politykę okupanta hitlerowskiego w czasie II wojny światowej, zaś wobec polityki okupanta sowieckiego w latach wojny panowało milczenie. Stąd też dorobek historiografii jest dosyć zróżnicowany, obok pozycji słabych istnieje wiele pozycji wybitnych, co w dużym stopniu wynikało właśnie z uwarunkowań politycznych. Jak pisze W. Pronobis, historia stanowiła przedmiot manipulacji, język jakim ją przekazywano był „sztuczny”, zaś materiał „spreparowany i przesiąknięty ideologią”. Stąd też jego książka jest próbą odrzucenia dotychczasowej historiografii i zaprezentowania nowej wizji historii XX wieku. Zaznaczyć trzeba, że próbą drugą, po książce W. Roszkowskiego (A. Alberta)².

W. Pronobis niewątpliwie musiał borykać się z licznymi trudnościami, porusza bowiem ogrom wydarzeń XX wieku, nie ograniczając się tylko do dziejów ojczystych, lecz rzutując je na szeroko naświetlone tło historii powszechnej. Problematyka jest więc niezwykle rozległa, nie zamyka się wyłącznie w geograficznych ramach Europy i Ameryki Północnej, lecz obejmuje również tereny Azji i Afryki. Dokonanie syntezy tak szerokiego wachlarza zagadnień wymagało przeanalizowania ogromnej literatury. Kolejną trudność sprawia nierówny poziom i niewielka ilość opracowań nt. powojennej historii krajów bloku sowieckiego. Historyk piszący syntezę dziejów najnowszych powinien odpowiednio wyważyć racje różnych stron, zachować niezbędny dla obiektywnej analizy dystans do opisywanych wydarzeń, unikać rzutowania własnych sympatii i antypatii politycznych i ideologicznych na prezentowane oceny. Jest to czasem bardzo trudne, zwłaszcza gdy było się świadkiem, a nawet uczestnikiem wydarzeń, ale konieczne. W sytuacji obecnej, kiedy właściwie nie ma jeszcze tak niezbędnych dla edukacji nie tylko szkolnej, ale i społecznej opracowań, każda pozycja spełniająca choć częściowo powyższe postulaty jest cenna i ważna. W dodatku, naszym zdaniem, nie musi ona być „specjalnie” antykomunistyczna — wystarczy bowiem zachowanie niezbędnego obiektywizmu, aby ukazać wszelkie negatywne cechy systemu komunistycznego;

2. W. Roszkowski (A. Albert), *Najnowsza historia Polski 1918-1980*, Londyn 1989. W 1991 r. ukazało się drugie wydanie tej pracy, nakładem wydawnictwa Aneks. Należy również wspomnieć o wydanej innej książce tego autora, *Historia Polski 1914-1990*, W-wa 1991, bodaj najlepszej w porównaniu z poprzednią, jak i recenzowaną tutaj książką W. Pronobisa.

prowadzenie propagandy jest po prostu niecelowe, wystarczy prezentować wydarzenia takimi, jakimi były naprawdę. Książka W. Pronobisa została zatwierdzona przez Ministerstwo Edukacji Narodowej „jako lektura pomocnicza dla nauczycieli i uczniów szkół średnich”. Powstaje więc pytanie, czy spełnia ona warunek obiektywizmu i czy jest na tyle wolna od potknięć, aby mogła taką rolę pełnić. Niestety, na to pytanie trzeba odpowiedzieć negatywnie.

Przed wszystkim wydaje się, że w niektórych przypadkach mamy do czynienia z wyraźnym brakiem koncepcji. Autor często „skacze” po chronologii, raz wybiegając daleko naprzód, to znów powracając do omówionych już wcześniej wypadków. Często są powtórzenia, natomiast szereg ważnych wydarzeń nie znalazło całościowego omówienia; w niektórych przypadkach informacje zostały rozdzielone pomiędzy kilka rozdziałów. Tak jest np. z postanowieniami Traktatu Wersalskiego, które nigdzie nie zostały przedstawione w sposób wyczerpujący; wręcz przeciwnie, autor rozparcelował informacje na ten temat aż w trzech miejscach (str. 38-39, 75-79 i 83). Podobnie jest w przypadku wczesnego okresu ruchu hitlerowskiego (informacje na ten temat znajdujemy na str. 83-86 i 153-154). Bardzo poważnym błędem, utrudniającym lekturę książki, jest częste mieszanie datacji według starego i nowego stylu, w przypadku opisywania wydarzeń w Rosji: raz w starym, raz w nowym, a czasem w obu jednocześnie, bez zaznaczenia, którego używa w konkretnym przypadku. Aby nie być gołosłownym: data deklaracji Rządu Tymczasowego (str. 17) i data „ofensywy Kiereńskiego” (str. 18) podane zostały według nowego stylu, data buntu gen. Korniłowa i zabójstwa gen. Duchonina (str. 21) według starego stylu, zaś następna data powołania Milicji Robotniczej według nowego, a powołania WCzK — według starego (str. 21). Wreszcie szokująca liczba błędów merytorycznych właściwie każe zakwestionować przydatność tej książki do celów edukacyjnych. Zadaliśmy sobie trochę trudu i wynotowaliśmy szereg spośród nich.

Pierwsze błędy dotyczą jeszcze okresu sprzed I wojny światowej. Wbrew temu, co pisze W. Pronobis, „trójporozumienie” ukształtowało się w 1907, a nie w 1904 r. (str. 11). Podczas I wojny bałkańskiej armia bułgarska zwyciężyła pod Kyrkkilise, a nie Kirklisie, zaś serbska pod Kumanowem, a nie Rumanowem (str. 11). Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji 1 VIII, a nie 31 VII, zaś Francji 3 VIII, a nie 1 VIII (str. 12). Ofensywa państw centralnych rozpoczęła się 2 V, a nie „latem 1915 r.” (str. 15). USA wypowiedziały wojnę Niemcom 6, a nie 2 IV 1917 (str. 16). Wieloma błędami okraszony jest opis rewolucji lutowej w Rosji: kwatery główna cara znajdowała się w Mohylewie, a nie w

Pskowie; car abdykował 15 III 1917 r.³ na rzecz w. ks. Michała, ten zaś następnego dnia zrzekł się tronu; dynastia Romanowych panowała 304, a nie 904 lata; Tymczasowy Komitet Dumy powstał na prywatnym zebraniu posłów nocą 12/13 III, a nie po abdykacji Mikołaja II; Rząd Tymczasowy ukonstytuował się 14 III, a nie „w kilka dni” po abdykacji cara (str. 16-17). Rokowania brzeskie między Rosją Sowiecką a Niemcami zostały zerwane 10 II, a nie w styczniu 1918 r. (str. 20). Powstanie lewicowych eserów w Moskwie miało miejsce 6-7 VII 1918 r., a nie w czerwcu (str. 22). Działacz SDKPiL nazywał się Leon Jogiches (ps. Jan Tyszka), a nie Leon Tyszko (str. 32). Polsko-ukraińskie zawieszenie broni podpisano 1 IX 1919, a nie w maju (str. 49). Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe proklamowało 12 XI (a nie w październiku) 1918 r. powstanie Niemiecko-Austriackiej Republiki, a nie Republiki Niemieckiej Austrii (str. 79). Z innych kwestii: niespotykanym wręcz kuriozum jest przedstawienie prohibicji w USA jako przyczyny wielkiego kryzysu ekonomicznego w 1929 r. (str. 81) i z tej samej strony: słynny „czarny czwartek” na Wall Street miał miejsce 24 X, a nie 24 IX 1929 r. Choć porozumienie, na mocy którego powstał w 1923 r. drugi rząd W. Witosa, nosi nazwę „Paktu Lanckorońskiego”, to — wbrew temu, co pisze W. Pronobis (str. 112) — zostało podpisane w Warszawie, a nie w Lanckoronie. Nie mogła nastąpić „radikalizacja programu” PSL „Piast” „od 1931 r.” (str. 106), bowiem w tym roku stronnictwo to przestało istnieć, wchodząc w skład powstałego wtedy Stronnictwa Ludowego. Są to tylko przykłady, podobnych usterek znaleźliśmy o wiele więcej, ale nie sposób wzmiankować o wszystkich; recenzja nie jest przecież erratą.

Szereg błędów i poważnych usterek znajdujemy też w rozdziałach omawiających przebieg II wojny światowej. Przede wszystkim brak w książce szczegółów o polityce polskiego rządu na obczyźnie, a zwłaszcza o pracach nad utworzeniem konfederacji polsko-czechosłowackiej, co było jednym z głównych celów gen. W. Sikorskiego. Nie istnieją w niej wręcz inne oprócz Armii Krajowej ugrupowania podziemne, jak Bataliony Chłopskie czy Narodowe Siły Zbrojne. Praktycznie brak wszelkich informacji o działaniach wojennych na Dalekim Wschodzie, o wojnie z Japonią, co jednak stanowiło bardzo ważny rozdział w II wojnie.

Z drobniejszych usterek: dekret z 29 XI 1939 r. nie „nakażywał traktować mieszkańców zagarniętych terenów [tj. polskich Kresów Wschodnich — przyp. aut.] jako obywateli radzieckich”

3. Stosujemy datację wg nowego stylu.

(s. 199), lecz wprost nadawał im, bez jakichkolwiek zresztą starań z ich strony, obywatelstwo sowieckie. Takie uściślenie jest istotne, bowiem wydanie tego dekretu miało następnie donieść następstwa dla tych ludzi, między innymi można było tych mieszkańców powoływać do służby w Armii Czerwonej, a w okresie późniejszym bardzo komplikowało to Polakom życie i szalenie utrudniało ich sytuację. Inną nieścisłość znajdujemy we fragmencie omawiającym powstanie ZWZ — otóż kraj podzielono najpierw na Obszary, ale było ich sześć (a nie dwa, jak pisze W. Pronobis — okupacji niemieckiej i sowieckiej): Warszawa, Kraków, Lwów, Toruń, Białystok, Poznań; rychło jednak zrezygnowano z tego i cały kraj podzielono na okupacje: niemiecką i sowiecką (str. 234). Płk E. Macieliński był komendantem Obszaru Lwowskiego ZWZ-1, a nie okręgu lwowskiego, jak pisze W. Pronobis (str. 235).

Nieścisłe są informacje o działaniach 27 DP AK. W lasach szackich do jej dowództwa nie mogły jeszcze dojść informacje o rozbrajaniu oddziałów AK i rozstrzeliwaniu dowódców, bo — pomijając nieliczne wtedy incydenty — jeszcze na Wołyniu nie miało to miejsca. Dlatego też nie „ukryła się” dywizja w lasach parczewskich, lecz w bojach przeszła przez Wołyn i Polesie na Lubelszczyznę, gdzie wzięła udział w realizacji „Burzy” i dopiero potem została rozbrojona (str. 296). Absolutną nieprawdą jest stwierdzenie: „Pod względem wojskowym cele «Burzy» zostały osiągnięte, akowcom udało się nawet zdobyć kilka dużych miast, jak Lwów czy Wilno, zanim wkroczyły tam wojska radzieckie” (str. 296). Wystarczy sięgnąć do powszechnie dostępnej literatury historycznej, traktującej o „Burzy”, by powyższe zdanie włożyć między bajki. Wręcz kuriozalne jest stwierdzenie, iż w czasie Powstania Warszawskiego straty niemieckie były wyższe, niż oddziałów AK (str. 309-310); nie można przecież nie pamiętać o śmierci 180 tys. mieszkańców stolicy! Poza tym pertraktacji z dowodzącym siłami niemieckimi gen. von dem Bach-Zelewskim nie prowadził T. Bór-Komorowski, lecz delegacja na czele z płk. K. Irankiem-Osmeckim (str. 309). Kolejna pomyłka: gen. Żymierski nigdy nie dowodził 1 Armią Wojska Polskiego, jak twierdzi W. Pronobis (str. 327), lecz po Z. Berlingu dowództwo jej objął S. Popławski. Nieprawdziwe jest stwierdzenie: „Ogromny i widoczny był udział AK w wyzwoleniu Krakowa” (str. 328). Na następnej stronie kolejna nieprawdziwa informacja o okupowaniu w 1945 r. przez wojska sowieckie Finlandii (str. 329); przecież państwo to wzięło udział w walkach z Niemcami na Dalekiej Północy w tym czasie. Całkowitą nieprawdą są informacje, jakoby Niemcy w 1944 r. „całkowicie rozgromili” komunistyczną partyzantkę J. Broz-Tity,

a wojska sowieckie zajęły Belgrad (str. 330). Było akurat na odwrót, przy czym udział Rosjan w zdobyciu Belgradu był symboliczny. Nieprawdziwa jest informacja o działaniach w 1945 r. 25 pułku piechoty AK.

Przy omawianiu wydarzeń powojennych autor źle umiejscowił fragment o konflikcie pomiędzy Jugosławią a ZSSR, w podrozdziale „Czystki w krajach tzw «bloku wschodniego»” (str. 363-364), zamiast wcześniej w części dotyczącej Jugosławii. Stąd też informacje o represjach w krajach bloku wschodniego, w trakcie których zarzucano komunistom przynależność do grup „titoistowskich”, są często zawieszane w próżni. Inną nieścisłość znajdujemy w części poświęconej położeniu Kościoła w Polsce na przełomie lat 40-tych i 50-tych: *Tygodnik Powszechny* nie został zawieszony w marcu 1953 r., lecz przekazano go PAX-owi (str. 398) i do 1956 r. był w jego posiadaniu i przez niego wydawany. Kazimierz Moczarski aresztowany został przez UB nie w 1946 r., lecz 11 VIII 1945 r. (str. 400). Marsz. K. Rokossowski opuścił Polskę już po przełomie październikowym 1956 r., nielogiczne jest więc włączanie tej informacji w tok narracji omawiającej poprzedzające październik 1956 r. wydarzenia (str. 404). Trudno zgodzić się z opinią W. Pronobisa, że w 1962 r. „Chruszczow zmuszony został do pospiesznego wycofania swoich wojsk” z Kuby (str. 440), bowiem dopiero w drugiej połowie 1991 r. sowieccy politycy zapowiedzieli ten krok, do którego zresztą nie doszło do chwili pisania tych słów w marcu 1992 r. Z innych drobniejszych błędów: na ostatnim XI Zjeździe PZPR powstała Polska Unia Socjaldemokratyczna (PUS), a nie „Unia Socjaldemokratyczna Rzeczypospolitej Polskiej” (str. 488), trudno uważać K. Czernienkę za „radzieckiego przywódcę pokolenia przedrewolucyjnego” (str. 506), skoro urodził się on w 1911 r.

Szereg błędów znajdujemy w zamieszczonych notkach biograficznych. Mylne jest stwierdzenie o pobycie Z. Berlinga w ZSSR w latach 1944-1949 (str. 535), powrócił on bowiem z Moskwy w 1947 r. Gen. E. Fieldorf aresztowany został przez NKWD nie w Małopolsce, lecz w Milanówku pod Warszawą (str. 545). Żadne ze znanych do tej pory źródeł nie potwierdza faktu odbycia przez W. Jaruzelskiego studiów wojskowych w ZSSR (str. 553); żadne również nie potwierdza faktu zamordowania gen. L. Okulickiego przez NKWD (str. 571), a przedstawione do tej pory przez władze sowieckie dokumenty wskazują raczej na naturalny charakter jego śmierci. Sądzymy, że należy raczej dokumentować faktyczne zbrodnie NKWD i innych organów komunistycznych, niż szukać ich „na siłę”. Zdumiewa zestaw załączonych mapek — oto ich tytuły: „Państwo bolszewi-

ków 1918-1920. Wojna domowa i 'obca interwencja'", „Rosja Lenina", „Radzieckie obozy pracy", „Wspólna radziecko-niemiecka granica 1939-1940" (dodatkowo błąd merytoryczny w tytule, granica ta istniała do 22 VI 1941 r.), „Niemiecka inwazja na ZSRR 1941", „Deportacje", „Radzieckie przygotowania sowietywizacji Polski 1944-1945", „Radzieckie zdobycze i straty wojenne we wschodniej Europie", „Radziecko-chińska pomoc wojskowa dla komunistycznej Korei Północnej", „Interwencje radzieckich czołgów". Nie ma nic oprócz ZSSR, nawet mapy przedwojennej Polski, mapki przedstawiającej walki Polskich Sił Zbrojnych w czasie II wojny światowej, mapek z okresu I wojny światowej i wielu innych. A przecież było coś jeszcze oprócz Związku Sowieckiego! Innym, bardzo istotnym błędem warsztatowym jest swoiste materii pomieszanie w zamieszczonych po każdym rozdziale „tekstach źródłowych". Oprócz wspomnień i dokumentów — a więc faktycznych źródeł historycznych — autor zamieścił tam cytaty z opracowań, m.in. K. Kersten (str. 410) i A. Bullocka (str. 161, 260).

Na to wszystko nakładają się polityczne sympatie i antypatie autora. Widoczne są one przy opisach Polski międzywojennej, gdzie pomija on fakty kompromitujące ekipę sanacyjną i przemilcza wiele faktów, które składają się na dorobek innych obozów politycznych (choćby brak jakiegokolwiek wzmianki o polskich korpusach w Rosji w latach 1917-1918). Dodatkowo autor posługuje się bardzo specyficznym językiem, mającym zawoalować te niewygodne fakty, których nie da się całkowicie przemilczeć, uwypuklić zaś i podkreślić inne, na które kładzie szczególnie nacisk. W tym celu używa bardzo często eufemizmów, które w istocie wypaczają wymowę faktów. Największe skupienie tego typu słownictwa pojawia się właśnie w przypadku obozu sanacyjnego oraz dla uwypuklenia negatywnej oceny ruchu komunistycznego i usprawiedliwienia represji wobec wszelkich ugrupowań choćby tylko lewicowych. Nie kwestionujemy tych negatywnych ocen, ale uważamy, że należy stosować jednolite kryteria wobec poszczególnych obozów politycznych. Sądzymy zresztą, że należy ukazywać ruch komunistyczny takim, jaki był naprawdę, a nie poprzez przemilczenia budować nieprawdziwie pozytywny obraz innych ruchów politycznych, aby na tym tle tym gorzej wypadł komunizm. Takie zabiegi uważamy za zbędne i niepotrzebne.

Jak więc ocenić tę książkę? Napisana w pośpiechu, jako „zarys podręcznikowy dziejów Polski i świata", adresowana do młodzieży, nie może spełnić założonej roli podręcznika. Pominiecie wielu ważnych faktów, całych obszarów dziejów najnowszych, liczne przypadki „pomieszania materii", niewiązania z sobą

wydarzeń w sposób przyczynowo-skutkowy, ogólnikowe oceny zamiast rzetelnego i solidnego przedstawienia faktów oraz liczne błędy merytoryczne i faktograficzne ją do tej roli dyskwalifikują. Co więcej, książka przeznaczona dla uczniów polskich szkół winna reprezentować bardziej „polską” wizję przeszłości. Problemem bowiem nie jest prezentowanie historii XX wieku jako walki z doktryną i praktyką komunizmu; kwestią fundamentalną nie jest sam antykomunizm. Istotą zagadnienia jest, zwłaszcza dla książki mającej być uzupełnieniem podręcznika, na ile antykomunizm jest zgodny z polską racją stanu; innymi słowy: nie antykomunizm jako taki jest najważniejszy, lecz ukazywanie, co leżało, a co nie, w interesie Polski i Polaków; istotny jest nie jakiś abstrakcyjny antykomunizm, lecz tylko taki, który leży w tym interesie. Dobrze więc, że ukazują się książki których celem jest przedstawienie wydarzeń z punktu widzenia niekomunistycznego, które podejmują krytykę tego systemu, których podstawowym celem nie jest — jak miało to miejsce w Polsce przez ostatnie dziesięciolecia — dostarczanie argumentów komunistycznej propagandzie; źle, że książki te są słabe, wręcz na żenującym poziomie, upstrzone kolosalną ilością błędów i tendencyjne. Zdziwienie więc budzi fakt, że tak w sumie nieudana i słaba książka została przez Ministerstwo Edukacji Narodowej zarekomendowana nauczycielom i uczniom szkół średnich. Nienajlepiej świadczy to o kompetencjach pracowników tego resortu. Książka W. Pronobisa jest wprawdzie pewnym nowym — naszym zdaniem niezbyt udanym — ujęciem historii XX wieku, ale z uwagi na kolosalną ilość błędów, przemilczeń, rzucającą się w oczy tendencyjność, nie powinna być używana ani jako podręcznik, ani jako lektura pomocnicza, uzupełniająca. Tego typu książka winna bowiem przede wszystkim prezentować uczniom podstawowe fakty w jak najbardziej poprawnej postaci; błędy merytoryczne, faktograficzne, są w takim przypadku niedopuszczalne.

Warto przy tej okazji pokusić się o kilka refleksji natury ogólniejszej. Po pierwsze, jasna jest pilna potrzeba jak najszybszego opracowania nowego podręcznika historii Polski oraz historii powszechnej okresu po II wojnie światowej. Po drugie, jak już powiedzieliśmy, winien on prezentować nasze dzieje z większym uwzględnieniem polskiego punktu widzenia. Powinny być ujęte wszystkie podstawowe fakty, a zarazem ukazane możliwości różnych ocen i interpretacji. Dalej, przy omawianiu wydarzeń powojennego 45-lecia należy stosunkowo szybko podjąć dyskusję nad wieloma istotnymi zagadnieniami z tego okresu. Trzeba na przykład zastanowić się nad fundamentalną kwestią oceny tego okresu, postaw różnych grup społecznych, zwłaszcza

w stosunku do władzy komunistycznej. Należy ponadto przebadć mechanizm komunistycznego systemu i jego ewolucję. Uważamy, że w tej materii konieczne jest wyważenie ocen i wzięcie pod uwagę wszelkich argumentów. Należy zastanowić się nad skutkami tak długich rządów komunistycznych w Polsce — jest to kwestia podejmowana obecnie przede wszystkim przez polityków, którzy chcą na eksploataowaniu tego problemu zbić kapitał polityczny, ale stopniowo należy przybliżyć się do refleksji historycznej. Zdajemy sobie sprawę, że szereg ocen będzie bardzo kontrowersyjnych, że w wielu przypadkach pojawią się odpowiedzi być może dla wielu ludzi niewygodne, ale nie należy ich unikać. Trzeba zdać sobie sprawę z prawd być może dla wielu osób bardzo niewygodnych: taką prawdą jest zarówno fakt, że dla wielu ludzi, zwłaszcza w latach 50-tych i 60-tych, poparcie nowego systemu było równoznaczne z awansem społecznym i postępem, jak też fakt, iż system komunistyczny upadł nie dlatego, że był zły, ale dlatego, że nie realizował podstawowych interesów zarówno społeczeństwa, jak i poszczególnych ludzi. Okazał się on po prostu nieefektywny. Nie można też tworzyć mitów, jakoby przez cały okres po II wojnie światowej społeczeństwo polskie walczyło nieprzerwanie z systemem komunistycznym. Przez wiele lat mieliśmy do czynienia z koegzystencją i nad jej przyczynami należy się zastanowić. A przede wszystkim należy postawić pytanie następujące: jakie Polska miała szanse i możliwości rozwoju zarówno w 1918 r., jak w 1939 i 1945 r.? Czy były inne możliwości i w jakim stopniu zostały wykorzystane? W jakim stopniu system komunistyczny i zależność od Związku Sowieckiego tworzyły możliwości rozwoju, a w jakim go uniemożliwiały? Czy wreszcie były szanse uniknięcia tego scenariusza wydarzeń, który doprowadził do uczynienia Polski państwem „demokracji ludowej” (jak określali to komuniści), czy też takich szans nie było? Takich i innych pytań jest o wiele więcej. Uważamy, że konieczne jest podjęcie poważnej dyskusji nad historią Polski ostatniego okresu i próba jej poważnej oceny.

Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

O POLSKIEJ DYPLOMACJI

Przed kilkoma miesiącami ukazała się w Krakowie ciekawa, wnikliwa i ogromnie bogata — z punktu widzenia zawartego w niej materiału — książka pt. *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941* (Wydawnictwo Literackie, 1991). Autor jej, Henryk Batowski, profesor emeritus Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest nestorem historii dyplomacji i wielkim znawcą dziejów Słowiańszczyzny. Sama zaś książka stanowi nową wersję dzieła wydanego w 1984 roku pt. *Z dziejów dyplomacji polskiej na obczyźnie; wrzesień 1939-lipiec 1941*. Podkreślam daty wydań ze zrozumiałych względów. Inaczej można było pisać o wydarzeniach odnoszących się do drugiej wojny w roku 1984 niż w dwa lata później (kiedy to obecny tom został ukończony), a autor zdołał wprowadzić już tylko drobne zmiany w roku 1990, kiedy oddawał książkę do druku.

Omawiany tom jest obszerniejszy od poprzedniego wydania o kilkadziesiąt stron. Rozszerzona została przedmowa, rozbudowana baza źródłowa i przypisy. Zamiast pierwotnych czternastu rozdziałów mamy ich teraz piętnaście. Przybył trzeci aneks dotyczący problemu granicy polsko-niemieckiej, sześć nowych dokumentów, jak również tabela zawierająca nazwiska premierów i ministrów spraw zagranicznych innych państw, a wreszcie addenda informująca czytelnika o powrocie do Polski prywatnego archiwum Gen. Sosnkowskiego, oraz dwa dodatkowe listy Churchilla do Sikorskiego. Pod tym względem dzieło Henryka Batowskiego jest istną kopalnią wiadomości i danych, które niełatwo można znaleźć w jakiegokolwiek innej książce. Znana czytelnikom prac Henryka Batowskiego precyzja i dokładność — chciałoby się powiedzieć pedanteria — pozwalają i w tym przypadku polegać bez zastrzeżeń na tych wszystkich faktograficznych danych.

Tytuł książki odpowiada dokładnie treści, książka bowiem koncentruje się na dyplomacji, w odróżnieniu od polityki zagranicznej — choć często używamy tych dwóch terminów wymienne — czyli poświęca dużo miejsca samej praktyce dyplomatycznej, organizacji centrali i placówek, aspektom prawa międzynarodowego itp. Rozdział pierwszy zajmuje się losami przedwojennego MSZ we wrześniu 1939, drugi nosi tytuł „Nowe Ministerstwo Spraw Zagranicznych na obczyźnie”. Następne to: Mię-

dzynarodowe położenie Polski we wrześniu 1939; Polska polityka zagraniczna: październik 1939-maj 1940; Stosunki z sojusznikami; Dwie *Białe Księgi*; Nowe pokolenie MSZ w Londynie; Zacieśnienie sojuszu polsko-brytyjskiego; Niewypowiedziana wojna — Polska i Włochy; Stosunki z Rumunią i Węgrami; Stosunki z państwami neutralnymi; Spojrzenie ku Ameryce; Niedoszła konfederacja; Największy problem; Próba kompromisu. Książka zawiera ilustracje, mapy i streszczenia w językach francuskim i angielskim (w poprzedniej wersji mieliśmy też w rosyjskim).

Tom wydany jest bardzo starannie. Zauważyłem tylko jedną literówkę i błąd w dacie pod fotografią Zaleskiego: 1945 zamiast 1946. W dwóch miejscach skrót DSPR (*Documents on Soviet-Polish Relations*) występuje jako PSR. Poprawna nazwa jednostki wysłanej do Narwiku jest brygada podhalańska, a nie wysokogórska. Te drobne i nieistotne pomyłki pokazują, że nawet najstaranniejsza korekta nie jest w praktyce w stanie wyeliminować wszystkich błędów. Ale to mało ważne. Smutne jest, iż w związku z obecną sytuacją na polskim rynku wydawniczym, którą można określić jako katastrofalną, dzieło Batowskiego ukazało się w nakładzie 400 (*sic!*) egzemplarzy. Wystarczy więc na zaopatrzenie ważniejszych bibliotek w Polsce i na świecie. Indywidualni posiadacze tej książki mogą się szczycić posiadaniem białego kruka.

Zarówno baza archiwalna *Polskiej dyplomacji* jak podana literatura przedmiotu mogą jedynie wzbudzić podziw. Nie jest bowiem łatwo uczoneму polskiemu — a można tu dodać: który skończył lat osiemdziesiąt — przeprowadzić tak imponującą kwerendę i mieć wgląd w najnowsze wydawnictwa zachodnie. Ponieważ jednak Henryk Batowski jest perfekcjonistą, nie weźmie mi z pewnością za złe, jeśli zasygnalizuję kilka pozycji, które mogłyby być jeszcze uwzględnione. Wśród archiwaliów mamy papiery Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego w Londynie, chociaż zapewne były jeszcze w posiadaniu jego syna w Paryżu, gdy Batowski pisał swe dzieło. Autor nie mógł też wiedzieć w 1990 roku o odkryciu dokumentów MSZ w archiwum waszyngtońskim (są to zapewne dokumenty wywiezione przez Niemców, o których Batowski pisze w arcyciekawym aneksie „Losy archiwum MSZ i niektórych poselstw”). Dokumenty te, oficjalnie przekazane Polsce, nie są jeszcze chyba fizycznie w Warszawie.

Jakkolwiek można się zastanawiać nad tym, czy autor powinien był uwzględnić w spisie zbiorową pracę pod red. Gordon Martela, *The Origins of the Second World War Reconsidered: The A.J.P. Taylor Debate after twenty-five years* (Boston, Londyn, 1986) to Detlef Brandes, *Grossbritannien und seine osteuropäischen Alliierten 1939-1943. Die Regierungen Polens, der*

Tschechoslowakei und Jugoslawiens im Londoner Exil vom Kriegsausbruch bis zur Konferenz von Teheran (München, Wien, 1988) niewątpliwie na to zasługiwała. Rozdział, w którym autor omawia tematykę polsko-rumuńską, wzbogaciłby się przez uwzględnienie artykułu mego ojca (o charakterze dokumentu) „Likwidacja polsko-rumuńskiej umowy naftowej w r.1939”, *Zeszyty Historyczne* nr 7 (1965), str. 163-185.

Szczegółowe omówienie tak bogatego w treść tomu, porównanie go z poprzednią wersją (w jakimś sensie pouczające, bo wskazujące na zmienny sposób pisania o sprawach polsko-sowieckich), jak też ustosunkowanie się do niektórych tez autora przekraczałyby ramy tej recenzji. Dlatego też chciałbym się ograniczyć do kilku wybranych spraw. Ogólnie biorąc Henryk Batowski ma stosunek krytyczny do polityki zagranicznej rządu Sikorskiego i dość surowo ocenia „nierealistyczne” nastawienie wobec ZSSR. Ton krytyczny przeważa zresztą w analizie takich spraw jak przygotowanie *Białej Księgi*, czy w ocenie takich osób jak Zaleski czy nawet Raczyński. Komentując okólnik ministra Spraw Zagranicznych z 30 sierpnia 1940 r. w którym mowa o Niemczech i Rosji po wojnie, autor podkreśla „krótkowzroczność, jeśli nie wprost ślepotę polityczną, której Zaleski dowiodł zresztą niejedną raz, i przedtem i potem...” (str. 207). Podobnie, określając Edwarda Raczyńskiego jako jednego „z najinteligentniejszych polskich dyplomatów”, nie szczędzi krytyki jego memoriałowi z 11 listopada 1940 r., który nazywa „przedziwną mieszaniną fantazji, *wishful thinking*, braku realizmu i... trzeźwości, której przeblysłk nie przeszkodził wypisaniu owych zawieszonych w powietrzu twierdzeń i pomysłów” (str. 306-307).

A o co tu chodzi? Batowski krytykuje polską dyplomację na obczyźnie za brak realizmu wobec ZSSR i w związku z tym za zaniedbywanie w pierwszym okresie spraw terytorialnych na zachodzie. Czyli mówiąc słowami autora, postulat odzyskania granic wschodnich „przesłaniał nadal sprawę granic zachodnich” (str. 179). Gdy w 1940 r. zarysowało się zbliżenie Londyn-Moskwa, Batowski stwierdza słusznie, że rząd polski nie mógł mu zapobiec i dodaje „dla dobra wspólnej sprawy przeszkadzać mu nie należało” (s. 183).

Można się zgodzić z autorem, iż dyplomacja polska w Angers, a zwłaszcza w Londynie, nie rozporządzała wielu atutami i niejednokrotnie miała tendencje do *wishful thinking*. Jedynym wariantem, który mógłby w pełni zadowolić interesy polskie, było powtórzenie sytuacji po pierwszej wojnie światowej, czyli podbite Niemcy i osłabiona Rosja.

Zapewne podświadomie i świadomie na ten wariant liczono, ale czy rząd emigracyjny mógł prowadzić *Realpolitik* w pełni tego

słowa znaczeniu? Czy mógł zrzekać się połowy terytorium państwowego i przechodzić do porządku nad sprawą katyńską? Wydaje mi się, że w istniejącym układzie nie było to możliwe. Batowski przyznaje to na końcowych stronach swej książki, gdzie sformułowania, choć nie zasadnicza myśl, różnią się nieco od wcześniejszego wydania. Pisze on: „Otóż w położeniu państwa zwyciężonego i rządu nie dysponującego własnym terytorium rząd gen. Sikorskiego raczej nie mógł więcej osiągnąć” (str. 336). Z tym ujęciem mogę się w pełni zgodzić.

Summa summarum, dobrze się stało, iż Henryk Batowski mógł doprowadzić do wydania rozszerzonej wersji swojego cenzonego dzieła, nawet jeśli ceną był mikroskopijny jego nakład.

Piotr WANDYCZ

Józef LEWANDOWSKI

POWSTANIE, KRYZYS I ROZPAD BLOKU SOWIECKIEGO W EUROPIE

Ta praca* wychodzi naprzeciw autentycznemu zamówieniu społecznemu, wiążącemu się ściśle z dość powszechną degradacją wiedzy historycznej w Czechach i na Słowacji, zarówno na poziomie badań, jak i świadomości społecznej. Tak zwana *normalizacja*, jaka nastąpiła w Czechosłowacji po 22 sierpnia 1968 roku, była próbą wznowienia stalinizmu w nieco tylko okrzesej postaci. W Czechosłowacji za Husáka nie mordowano, przynajmniej w skali masowej, jednak — obok prześladowań — wprowadzono nader ścisłą blokadę informacyjną we wszystkim, co miało związek z ideologią, a więc w pierwszym rzędzie z historią. Mało, że usunięto z uczelni i instytutów większość wykwalifikowanych historyków, to również niemal idealnie przecięto więzy z nauką zachodnią, zresztą i z nauką polską. Biblioteki naukowe оголоcono z książek, nie dopuszczano nie-

* Vladislav MOULIS, JAROSLAV VALENTA, Jiří P. VYKOUAL. *Vznik, krize a rozpad sovětského bloku v Evropě 1944-1989*. Ostrava 1991, s. 372. Tabl. chronologiczna. Indeks nazwisk.

prawomyślnej literatury, nawet w prohibitch. Może to się wydawać niewiarygodne, ale pod wieloma względami blokada informacyjna w Czechosłowacji w minionym dwudziestolecu była dotkliwsza niż w Polsce w okresie stalinizmu.

Indoktrynacja była częściowo skuteczna. Co prawda nie wierzano narzucanej ideologii, a zastęp partyjnych fanatyków był nieliczny, jednak potrafiło skutecznie zdeorganizować społeczeństwo i przytłumić świadomość historyczną. Ponoć jak długo ludzie byli zajęci życiem prywatnym, brak wiedzy o tym, co się naprawdę dzieje w kraju i w nieco szerszym świecie, nie był szczególnie kłopotliwy dla społecznej przeciętności. Martwili się opozycjoniści, zagryzali historycy, wyrzuceni z pracy, palący w kotłowniach czy czyszczący kanały, ale aktywna opozycja zgrupowana wokół *Karty 77* liczyła raptem kilka tysięcy osób w Pradze, kilkanaście na prowincji i nie więcej niż kilkadziesiąt w Bratysławie. W rezultacie „historia, świadomość historyczna i w ogóle świadomość naszych współobywateli należą do sfer, które najostrzej zostały dotknięte najrozmaitszymi deformacjami” — piszą autorzy *Vzniku*.

Kłopoty z historią — jak wynika z relacji — nastąpiły wraz z upadkiem „realnego socjalizmu”. Nieprzypadkowo najdotobitniej odczuli je nauczyciele, dotychczas dukający martwy kanon dziejów i egzekwujący u uczniów *jedynie poprawne odpowiedzi*. Ta grupa społeczna, wychowana przez drętowych wykładowców na równie drętwej literaturze, okazała się nieprzygotowana do sprostania zadaniom wynikającym z otwarcia na świat. Nie tylko jednak oni znaleźli się w kłopotliwej sytuacji; w nie lepszej znaleźli się rodzice, nie znajdujący odpowiedzi na pytania młodzieży, zwłaszcza że młode pokolenie o wiele mniej skłonne było godzić się z oportunistem starszych pokoleń. W kłopotcie znalazły się również liczne inne grupy zawodowe, nie wyłączając dziennikarzy, nawet opozycyjnych, albowiem nawet najlepsze intencje nie są w stanie zastąpić brakującej wiedzy.

Blokada informacyjna spowodowała więc w pewnym momencie głód informacyjny. Na czoło wysunął się brak wiedzy o elementarnych faktach z niedawnej historii. Nawet pobieżna lektura gazet i czasopism dowodzi, że społeczna dyskusja raz za razem potyka się właśnie o prymitywny próg niewiedzy, braku książek, informatorów itd. Brakowało i nadal brakuje wiedzy o dziejach najnowszych własnego kraju, o najbliższych sąsiadach, o Związku Sowieckim i zmontowanym przez Stalina bloku. Zresztą, mimo luk edukacyjnych, chyba dla nikogo myślącego nie ulega wątpliwości, że kluczem do zrozumienia problemów Czechosłowacji, tak jak i każdego państwa wcielonego do niedawnego bloku sowieckiego, jest znajomość współczesnej historii Związku Sowieckiego.

Próby odpowiedzi na niektóre przynajmniej pytania podjął się

zespół zakładu Akademii Nauk, noszącego do niedawna nazwę Instytut Historii Krajów Socjalistycznych, a obecnie Instytut Historii Europy Środkowej i Wschodniej. W latach sześćdziesiątych instytut ten cieszył się zaufaniem, głównie za sprawą kilku utalentowanych badaczy, wśród których można wyróżnić Jaroslava Valentę, Jaroslava Opatu i Milana Hübla. W czasie krótkotrwałej odwilży lat 1964-69 każdorazowa niemal publikacja tych autorów była wydarzeniem bądź naukowym bądź politycznym, często jednym i drugim. Współpracownicy instytutu łączyli na ogół dobre rzemiosło z szerokim pojmowaniem zjawisk dziejowych, nie mówiąc o tym, że poszerzali granice dozwolonego. Ich prace były tym bardziej pojętne, że kontrastowały z na ogół intelektualnie szarymi publikacjami historycznymi tzw. „obozu socjalistycznego”. Nic dziwnego, że instytut ten i jego uczeni zostali szczególnie okrutnie potraktowani w czasie *normalizacji*. Oddany w pacht czołowemu inkwizytorowi *czystości ideologicznej*, Václavowi Králowi, instytut stracił charakter naukowy, a jego produkcja spadła poniżej poziomu jakiegokolwiek przyzwoitości.

Niemal jednocześnie z aksamitną rewolucją zaczęła się rekonstrukcja instytutu. Kierownictwo objął doc. Valenta jako przewodniczący Rady Naukowej oraz dr Milan Svankmajer jako dyrektor. Wrócili do pracy inni usunięci badacze, o ile przeżyli i nie objęli innych stanowisk. Wielu pracowników z okresu *normalizacji* musiało odejść z braku kwalifikacji i mimo powrotu starych badaczy stan osobowy uległ redukcji niemal do połowy.

Omawiana praca jest pierwszym, o ile się nie mylę, zespołowym dziełem odnowionego instytutu, w każdym bądź razie — pierwszym dużym dziełem. Brało w nim udział, poza wymienioną na wstępie redakcją, jeszcze 14 osób, zespół dość heterogeniczny pod względem kwalifikacji i doświadczenia. Wracający badacze reprezentowali — z jednej strony — duże doświadczenie i szerokie spojrzenie, z drugiej jednak byli przez dwa dziesięciolecia pozbawieni możliwości kompletowania żmudnego warsztatu historycznego. Co ci pozostali jako spuścizna *minionego okresu* mieli wygodę ciągłości i wdrożenia do zbierania dokumentacji, jednak byli obciążeni spuścizną narzucanej latami nowomowy.

Stąd też łatwo doszukać się można w przedstawionej pracy ujemnych konsekwencji pośpiechu. Naszym jednak zdaniem nie można w tym wypadku traktować pośpiechu jako wady. Przeciwnie, mam dużo uznania dla sprawności organizacyjnej zespołu, który w przeciągu nie więcej niż roku potrafił opublikować potrzebne społeczeństwu dzieło. Myślę, że nie skrzywdzę innych uczestników przedsięwzięcia, jeśli stwierdzę, że owa sprawność jest w znacznej mierze zasługą (mianowanego w międzyczasie profesorem) dr. Jaroslava Valenty, znanego pod tym

względem i starszej generacji historyków polskich.

Przypuszczam, że wspomniana heterogeniczność zespołu spowodowała konieczność dużych zabiegów redakcyjnych, zacierających w rezultacie autorskie oblicze poszczególnych tekstów. Redakcji nie pozostawało nic innego jak przedstawić pracę bez wyszczególniania autorów poszczególnych fragmentów. Nie zmienia to faktu, że wykwalifikowany czytelnik w wielu miejscach dostrzeże sprzeczność nie tylko założeń metodologicznych, ale również jakieś relikty nowomowy, czy pragnienia nadmiernej, wykraczającej ponad naukową miarę obiektywizacji. Na szczęście są to sporadyczne zgrzyty, nie zmieniające ogólnego tenoru pracy.

Praca składa się z następujących rozdziałów: 1. Budownictwo bloku sowieckiego (1944-1949); 2. Stalinizm a pierwsza fala kryzysu; 3. Nieurzeczywistniona reforma systemu; 4. Od neostalinowskiej rekonstrukcji do rozpadu bloku sowieckiego. Zamyka pracę podsumowanie, tabela chronologiczna i rejestr osobowy. Każdy rozdział zaczyna się omówieniem sporów ogólnoblokowych i przechodzi w omówienie spraw poszczególnych państw. Konstrukcja pracy jest przejrzysta. Do niewątpliwych minusów zaliczę brak jakiegokolwiek, chociażby selektywnej bibliografii. Minus tym poważniejszy, że praca jest pozbawiona odsyłaczy źródłowych. Zdaje się, że pomijanie bibliografii jest dość ugruntowanym w Czechosłowacji nawykiem, inaczej niż w Polsce, gdzie prace historyczne były i są przeładowane kosztownymi nad miarę potrzeb obfitymi bibliografiami. Mam nadzieję, że znajdzie się dla jakiejś rozsądnej bibliografii miejsce w następnych wydaniach.

Powstanie bloku sowieckiego było konsekwencją drugiej wojny światowej i sowieckiego imperializmu. Autorzy nie godzą się z często spotykanym zdaniem, że w Jaltie doszło do podziału Europy na sfery wpływów. „Gdy Stalin zażądał, by w wyzwolonych krajach nie doszły do władzy antysowieckie rządy, Churchill i Roosevelt zgodzili się na to. Było tragicznym nieporozumieniem (?-JL), że polityka sowiecka nie rozumiała przez to lojalnych sąsiadów, ale reżymy satelitarne” (s. 12). Natomiast faktem jest, że „Zachód ograniczył do minimum swoje zainteresowanie tym regionem i pomógł w ten sposób w przekształceniu wschodniej Europy w sferę wyłącznej dominacji sowieckiej” (*ibid.*).

Stanowisko autorów nie jest zbyt konsekwentne, bowiem niebawem akcentują znaną, zapisaną na serwetce umowę między Stalinem i Churchilllem o rozdzieleniu wpływów w krajach wyzwolonych spod hitlerowskiej okupacji. Dobrze jednak, że różnica zdań daje czytelnikowi możliwość własnego wnioskowania.

Ostro oceniają autorzy stanowisko Czechosłowacji w końcowym okresie II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Ina-

czej niż w Polsce, wojska sowieckie szybko wycofały się z Czechosłowacji, tworząc w ten sposób możliwość samodzielnego określenia struktury politycznej i społecznej. Ta możliwość została zaprzepaszczona. Co prawda w pracy to sformułowanie nie pada, ale autorzy dowodzą, że zarówno komuniści jak i krąg wokół Beneša dużo uczynili, by samemu włożyć głowę w jarzmo. Ważnym momentem sowietyzacji było odrzucenie — latem 1947 roku — planu Marshalla. O podróży do Moskwy, w czasie której sternicy czechosłowackiej polityki przyjęli sowiecki dyktat, syn twórcy republiki, Jan Masaryk, powiedział w zaufanym gronie, że „... do Moskwy jechał jako minister spraw zagranicznych suwerennego państwa, wracał do kraju jako pacholek Stalina” (s. 26). Zaznaczmy, że termin pacholek ma w czeskim drastyczniejsze znaczenie niż w polskim.

Słusznie akcentowany jest obłudny charakter łączących blok sowiecki porozumień. „System układów stwarzał formalne wrażenie równoprawnych, partnerskich sojuszków, podczas gdy w rzeczywistości tworzone sieć powiązań, stosunków i kanałów, za pomocą których Związek Sowiecki mógł następnie te kraje totalnie opanowywać” (s. 31). Wypadałoby jednak zaznaczyć, że w istocie rzeczy opanowanie wcale nie było uwarunkowane traktatami, lecz zakulisowymi powiązaniami, w pierwszym rządzie poprzez zależność od Moskwy narzuconych władz, nie posiadających oparcia we własnych społeczeństwach.

Dużo miejsca poświęcają autorzy problemom niemieckim. Ich zdaniem okupacja Niemiec nie była z góry przemyślana i ustalona, jej forma i treść była określona w toku rozwoju wydarzeń. Dla polskiego czytelnika ciekawy jest fragment o planach konfederacji między Jugosławią a Bułgarią, lansowanych zarówno przez Titę jak Dymitrowa. Mniej ciekawe są dla nas fragmenty poświęcone Polsce, choć i tu znajdujemy niekiedy inspirujące sformułowania.

W ogóle, jeśli chodzi o pierwszy rozdział, to brak w nim społecznego bilansu II wojny światowej, a zwłaszcza okupacji hitlerowskiej. Autorzy słusznie podkreślają, że w przypadku Węgier, Rumunii i Bułgarii introdukcja stalinizmu była ułatwiona tym, że państwa te były sojusznikiem Hitlera i poniosły klęskę w wojnie, że ich rządzące elity zostały skompromitowane zarówno opowiedzeniem się po stronie nazizmu jak i krótkowzrocznością polityczną. Brak natomiast stwierdzenia, że również w Polsce i Czechosłowacji ciąg historycznych wydarzeń, przedwojennych i wojennych, ułatwiał sowietyzację.

Oczywiście, polityka sowiecka była zaborcza, ale właściwie stwierdzenie nie wyczerpuje problemu, jakie były środki i etapy sowieckiej polityki w odniesieniu do tzw. *państw demokracji lu-*

dowej, czyli tzw. kadeelów. Dużo wskazuje na to, że kadeele były przejściową formą, mającą przygotować pełną inkorporację. Moje dotychczasowe badania zdają się potwierdzać tę hipotezę.

Słusznie autorzy nie przywiązują większej wagi do komunistycznej strony ideologii sowieckiej i akcentują jej nacjonalistyczno-imperialistyczny charakter, choć zdarzają się zdania, np. na s. 84, przypisujące Stalinowi socjalistyczne pragnienia. Słuszne jest zdanie, że „niewolnicza recepcja stalinizmu (w krajach demokracji ludowej) nie płynęła tylko ze strachu, ale również z osobistych a czasem i nacjonalistycznych kalkulacji” (s.89), myślę jednak że jest to stwierdzenie zbyt uogólniające, a jego dosłowna akceptacja utrudniłaby zrozumienie kryzysu w bloku, mającego źródło w niemożności akceptacji stalinizmu przez jakąś część nie tylko szeregowych komunistów ale i establishmentu. W innym przecież miejscu autorzy słusznie akcentują, że przy zlikwidowanych strukturach społecznych komunistyczni rewizjoniści przez jakiś czas byli główną siłą opozycyjną.

Akcentując antysemicki charakter rozmowy ze Śláńským i innymi zamordowanymi w procesach 1952 roku, może należałoby dodać, że antysemityzm w pewnym momencie stał się immanentnym składnikiem sowieckiej ideologii, zarówno jako wyraz nastrojów arraywistów, jak i próba zjednania jakichś warstw społecznych poza władzą. A w ogóle źródła sowieckiego antysemityzmu są głębokie i mają korzenie w starym rosyjskim antyokcydentalizmie.

Rola zbrojeń w destrukcji gospodarki sowieckiej, słusznie zaznaczona na s.108, wymaga jednak szerszego i bardziej zasadniczego omówienia. Zbrojenia są problemem ekonomicznym i politycznym, w zbrojeniach znajduje ekonomiczny wyraz imperializm sowiecki i jego przygotowania do rozpętania III wojny światowej. Zdanie jest tak słabo rozbudowane i tak w kontekście uboczne, że można obawiać się, iż mało kto zorientuje się, iż został w nim zasygnalizowany jeden z centralnych problemów ekonomiki sowieckiej.

Stosunkowo dużo miejsca, i słusznie, bo są to wydarzenia mało znane a ważne, autorzy poświęcają buntom 1953 roku w Czechosłowacji i w NRD. W cieniu jednak znalazły się bunt więźniów w łagrach w samym ZSSR. Trafne jest sformułowanie, że „tajny” referat Chruszczowa na XX zjeździe „...uderzył w samo serce stalinizmu” (s.120), ale może warto byłoby dodać, że nie tylko stalinizmu, ale i komunizmu — po XX zjeździe komunizm stracił swój charyzmat i nigdy już się nie podreperował, Związek Sowiecki został odarty z ideologicznego uzasadnienia, stał się tylko tym czym w istocie był, państwem zachłannego i krwawego imperializmu. Mniej zadowolenia odczuwa się przy czytaniu relacji o wydarzeniach 1956 roku w Polsce, w któ-

rych zauważyłem dość dużo potknięć. Nieporozumieniem jest termin *ekipa Bieruta* dla miesięcy, jakie przyszyły po XX zjeździe, skoro Bierut z XX zjazdu do Polski wrócił już w trumnie. Co najmniej dyskusyjny jest pogląd, że „KC PZPR wyraźnie czekał na dalszy rozwój w Moskwie” (s.127), skoro niemal dosłownie wraz ze zjazdem nastąpiła dekompozycja partii na *rewizjonistów* i *natolińczyków*, skoro Ochab natychmiast po wybraniu rozpoczął otwarte działania podważające represyjną politykę swego poprzednika, tudzież podjął kroki mające na celu zmniejszenie zależności od ZSSR. To ostatnie — wypada zaznaczyć — inaczej niż jego następca Gomułka. Przesadą jest również przypisanie Gomułce rozwiązania spółdzielni produkcyjnych, te same się rozpadły, Gomułka tylko zadeklarował zaprzestanie kolektywizacji. Natomiast słuszne jest uogólniające, nieco niezgrabne zdanie, że mimo wszystkich ograniczeń „...linia polityczna wprowadzona przez kierownictwo PZPR w kontekście państw europejskich bloku sowieckiego stanowiła nowy wariant początkowej sowieckiej koncepcji nowego kursu” (s.130), oczywiście, jeśli w ogóle przyjmując, że wspomniana „sowiecka koncepcja nowego kursu” w ogóle istniała. Należy raczej przypuszczać, że ów *nowy kurs* był wypadkową nieplanowanych działań, tudzież płynących z nich wydarzeń i zjawisk, w dużej mierze wymykających się spod kontroli — sowiecka socjotechnika była bardzo niedołączna gdy wykraczała poza działania policyjno-terrorystyczne. Warte zapamiętania jest zdanie, że „usunięcie najdrastyczniejszych form terroru sądowego nie oznaczało jednak wprowadzenia rządów prawa” (s.137).

Nieporozumieniem jest sąd, że „z punktu widzenia dnia dzisiejszego można powiedzieć, że w latach 60-tych socjalizm w państwach bloku był na względnym szczycie swego rozwoju”. Powiedzieć można, bo papier wytrzyma wiele, ale pomijając niedefiniowalność socjalizmu, to trudno znaleźć cokolwiek, co by zdanie to potwierdzało. Szeroki ruch rewizjonistyczny, na który powołuje się autor, był dowodem nie wzlotów, ale kryzysu *real-socjalizmu*. Zresztą, w innym miejscu, na s.197, znajdujemy definicję rządów Breżniewa, czyli okresu od 1964 roku, jako *kontrreformacji*. Termin ten, budzący przykre skojarzenia i w Polsce, w Czechach ma szczególnie drastyczną konotację i w żadnym wypadku nie kojarzy się ze szcзыtem rozwoju.

Pożyteczny, choć ze zrozumiałych przyczyn niepełny jest wykład poświęcony dekompozycji Związku Sowieckiego. Autorzy zwracają uwagę, że świadomość załamania się systemu narastała stopniowo i że w pewnych przynajmniej kręgach rządzących była dość jasna przynajmniej kilka lat przed ogłoszeniem *pieriestrojki*. Powołują się na Aganbegiana, który już w 1981 roku

mówił o wyczerpaniu możliwości ekstensywnego modelu, czyli sowieckiej gospodarki w ogóle.

Co prawda wydarzenia polskie ostatniej dekady istnienia bloku są w Polsce stosunkowo najlepiej znane, ale dla czytelnika w Pradze czy Bratysławie, latami karmionego inwektywami, strony poświęcone Solidarności, stanowi wojennemu, kapitulacji władzy i ustrojowi, na pewno są pożyteczne.

Refleksyjne podsumowanie pióra J.P. Vykoukala co prawda odbiega od ogólnej, przyjętej stylistyki całej publikacji, ale jest dobre i świadczy o przemyśleniach, drążących młodych historyków.

Czas na podsumowanie. Myślę, że jak by nie było pożyteczne opublikowanie pracy umożliwiającej orientację w skomplikowanej materii sowietologii, to największą wartość ma publikacja jako punkt wyjścia do szerokiej dyskusji na temat sowietyzmu. Jako główny temat dyskusji widziałbym zbadanie skomplikowanych relacji między opresyjnym państwem a poddanym mu społeczeństwem. Zresztą sowietyzm nie był tylko narzuconym ustrojem, ani w imperium rosyjskim, ani w podbitych krajach, opierał się przecież na pewnych warstwach, budził jakieś nadzieje, komuś coś na jakimś etapie miał do zaoferowania. Struktury społeczne owego czasu czekają na zdefiniowanie. System sowiecki był nierozzerwalnie związany z wojenną destrukcją, ze zniszczeniami i lumpenproletaryzacją. Upadek systemu miał charakter reakcji łańcuchowej, w której *pieriestrojka* w ZSSR podcięła reżym w Polsce, co z kolei spowodowało załamanie się reżymu w NRD i w Czechosłowacji. Oszałamiająca widowiskowość tego zjawiska przyćmiła widzialność zjawisk społecznych, a przecież upadku systemu sowieckiego nie należy rozpatrywać w oderwaniu od zmian socjalnych we wszystkich państwach bloku. System wprowadzono w kraju nie tyle rolniczym co chłopskim, w kraju jeszcze niezbyt wolnym od okowów systemu pańszczyźniano-poddańczego, w kraju nagminnej niepiśmienności. System upadł dlatego, że coraz głębszy i wyraźniejszy stawał się konflikt między ogólnym wzrostem aspiracji odradzającego się społeczeństwa a niewolniczym systemem sprawowania władzy.

Niezbyt wysoko ceniąc osiągnięcia zachodniej sowietologii, uważam jednak, że dyskusja winna wykorzystać również narzędzia współczesnych nauk politycznych, operujących analizą modelową. Ta dyskusja będzie ułatwiona wszelkimi postępami wiedzy szczegółowej.

Niezależnie jednak od wszystkich postulatów dobrze byłoby, gdyby czytelnik polski dysponował publikacją tak rzeczową i wolną od partyjnego zaciętrzewienia.

Józef LEWANDOWSKI

OKRUCHY HISTORII

Janet ZMROCZEK

RUCH WYDAWNICZY W POLSCE PO R. 1945*

Aż do najnowszych czasów całość bieżących wydawnictw kursujących w powojennej Polsce można podzielić na trzy kategorie. Pierwszą stanowiła oficjalna produkcja wydawnictw państwowych i innych działających legalnie (głównie kościelnych) oraz bardzo szczupła grupka druków prywatnych, wydawanych w miniaturowych nakładach, jak drobne wydawnictwa bibliofilskie i muzealne, np. związane z wystawami. Drugi obieg stanowił materiał podziemny. Najwcześniejsze z tych wydawnictw pojawiły się w r. 1956, ale dopiero powstanie KORu w r. 1976 spowodowało przełom od materiału pisanego na maszynie do powielanego sposobem domowym, co szybko doprowadziło do druku, który umożliwił duże nakłady książek, biuletynów, gazet i czasopism.

Ruch wydawniczy na emigracji (kontynuacja z czasów wojny) rozwijał się od 1945 r., szczególnie w Londynie i Paryżu. Wydawnictwa te, zabronione w Polsce i narażające ich posiadaczy na poważne kary, do r. 1989 stanowiły trzeci obieg.

Niniejsze opracowanie jest poświęcone pierwszym dwom kategoriom.

* Referat wygłoszony na Międzynarodowym Kongresie Bibliotekarzy-Slawistów w Harrogate, Anglia w lipcu 1990, opublikowany pierwotnie w: *Solanus: International journal for Russian and East European Bibliographic Library Publishing Studies*. New Series. Vol. 5, 1991, London: Standing Conference of National and University Libraries, 1991.

I. ZARYS POLITYKI WYDAWNICZEJ W POLSCE DO R. 1976

Ustanowienie państwowej kontroli wydawnictw i likwidacja sektora prywatnego, 1945-50

Ruch wydawniczy i rynek księgarski w powojennej Polsce musiały pokonać olbrzymie trudności. Podczas okupacji około 85 % księgarni i bibliotek (70 % prywatnych zbiorów i 99 % zalegających na składzie w domach wydawniczych) zostało zniszczone¹. Do strat tych należy dodać zburzone budynki i wyposażenie oraz przetrzebienie personelu wydawniczego. Odbudowa była bardzo trudna. Uznano ją jednak za jedno z najpilniejszych zadań i Kongresowi Związków Zawodowych w 1945 r. towarzyszyło hasło: „Fabryka-mieszkanie-książka — to trzy najważniejsze zadania odbudowy²”.

Przemysł wydawniczy kwitł w Polsce przedwojennej i r. 1946 zastał 250 firm tej kategorii, wśród nich 105 prywatnych³. W r. 1945 wielu przedwojennych wydawców podjęło przerwana działalność. Początkowo władze, nie będąc w stanie zaspokoić ogromnego głodu książki towarzyszącego odbudowie instytucji kulturalnych i oświatowych, były gotowe wykorzystać fachową wiedzę dawnych firm prywatnych. Ich działalność odciążała wydawnictwa państwowe, zasypane zamówieniami na druki administracyjne i urzędowe. Wydawcy prywatni otrzymali nawet państwowe kredyty bankowe i umowy kredytowe z drukarniami państwowymi⁴. Ta polityka współpracy była jednak krótkotrwała. Zacieśnianie kontroli państwowej rozpoczęło się w lipcu 1946 z powstaniem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

Pod koniec lat 1940-tych istniało wielkie zapotrzebowanie na książki, wynikłe z rządowej polityki oświaty i walki z analfabetyzmem, a także propagandy komunistycznej i wydawania klasyków marksizmu. Szczególny nacisk kładziono na wydawanie klasyków literatury polskiej. Firmy prywatne, jak Gebethner i Wolff, wydawnictwa przyczyniały się do zaspokojenia tych potrzeb,

1. Stanisław Arct, *Odbudowa książki w Polsce* (Warszawa, 1946).

2. Maria Danilewiczowa, „Ruch wydawniczy”, *Kultura*, numer specjalny (Paris, 1952), str. 219.

3. Wanda Dąbrowska, „Dwulecie naszej powojennej produkcji wydawniczej”, *Bibliotekarz*, nr. 1-2 (1946), str. 163.

4. Adam Bromberg, „Książki i wydawcy”, Wyd. nowe (Warszawa, 1966), str. 29.

choć ustawa z 9 kwietnia 1946 postanowiła, że „wielką dwunastkę” pisarzy-klasyków można drukować tylko z pozwoleniem Ministerstwa Kultury, które roztoczy nadzór nad wydawcą, jakością wydawnictwa i opłatą z tytułu praw autorskich. Było to równoznaczne z pozbawieniem starych domów wydawniczych przywileju wydawania dzieł ważnych pisarzy, którym cieszyły się od dawna. Choć w teorii mogły ubiegać się o prawo wydawania tych dzieł, w praktyce ta dochodowa część ich działalności przypadła teraz wydawnictwom państwowym jak PIW i Książka (od 1948 r. Książka i Wiedza).

W 1947 i 1948 r. *Nowe Drogi* i inne organy PPR ciągle krytykowały chaotyczny stan przemysłu wydawniczego. Od 1947 r. Ministerstwo Handlu Wewnętrznego prowadziło ogólnokrajowy rejestr wydawców spółdzielczych i prywatnych, którego celem było zlikwidowanie „oportunistycznych”, czyli dzikich wydawców, uważanych za najgorszy przejaw systemu wolnorynkowego. (Wydawcy państwowi zarejestrowali się w Prezydium Rady Ministrów). W 1948 r. wprowadzono ulgowe ceny papieru i usług drukarskich dla wydawnictw państwowych. Stawało się oczywiste, że partia w swej rewolucji kulturalnej nie przewiduje miejsca dla prywatnych wydawców. W 1948 r. oświadczone, że: „wydawcy prywatni są drobnymi kapitalistami, przedsiębiorcami, którzy oderwani od ustroju kapitalistycznego, nie odnaleźli jeszcze swojego miejsca w ustroju demokracji ludowej”⁵.

Dla wyprodukowania, zgodnie z życzeniem Bieruta, „dobrej taniej książki”, partia zalecała „zerwanie z elitaryzmem wydawniczym, skierowanie całego nieomal wysiłku w kierunku zaspokojenia potrzeb bibliotek i szerokich mas — to założenie planu wydawniczego wydawcy, a w konsekwencji państwowego planu wydawniczego”⁶.

W roku 1949 kontrola objęła całość przemysłu wydawniczego, który został znacjonalizowany dekretem Rady Państwa z 22 kwietnia. Ten sam dekret zarządził, że wszyscy drukarze muszą uzyskać licencję od Ministerstwa Przemysłu Lekkiego za zgodą Prezesa Rady Ministrów. Ogromna większość zakładów drukarskich miała podlegać bezpośredniej kontroli państwa, tylko nieliczne przyznano społecznym i politycznym organizacjom, spółdzielniom i organom administracji terenowej. Od 21 września 1949 wydawcy książek i druków nieperiodycznych mogli działać tylko za zezwoleniem Ministra Handlu Wewnętrznego za

5. Adam Bromberg, „Zagadnienie planowania wydawnictw”, *Nowe drogi*, nr 7 (1948), str. 99.

6. *Ibid.*, str. 106.

zgoda Prezesa Rady Ministrów. Warunkiem było zobowiązanie wydawcy, że będzie działał zgodnie z urzędowym planem Komitetu Ministra do Spraw Kultury. Dekrety z grudnia 1949 i lipca 1950 objęły centralną kontrolą rozprowadzanie czasopism przez przekazanie ich Państwowemu Przedsiębiorstwu Kolportażu Ruch, księgarnie również zostały znacjonalizowane i związane z państwową organizacją Dom Książki Polskiej. Ta organizacja sprawowała kontrolę także nad importem i eksportem wydawnictw⁷.

W ten sposób prywatne firmy wydawnicze zostały stopniowo wyeliminowane. Biliński oblicza, że do r. 1950 istniało ok. 300 takich firm, od dużych przedsiębiorców po indywidualnych autorów. W r. 1945 wydały one 55 % i w 1947 48 % wszystkich wydawnictw na rynku krajowym. W r. 1948 ich wkład skurczył się do 33 %, w 1949 do 23 % i w 1950 do 8 %⁸. Konsekwentna polityka ich likwidacji odniosła pożądany skutek przy pomocy restrykcyjnego ustawodawstwa, ograniczania dostaw papieru (od 1948 przydział papieru był uzależniony od zgody Prezydium Rady Ministrów) oraz nieuczciwej konkurencji ze strony wydawnictw państwowych, które płaciły sztucznie obniżone ceny za zaopatrzenie i usługi.

Pierwszy plan pięcioletni w przemyśle wydawniczym i centralizacja w latach 1950-55

Centralizacja zacieśniła się w latach 1950-55. Plan sześcioletni na okres 1949-55 szczegółowo wytyczył rozwój przemysłu, społeczeństwa i kultury. Zgodnie z nim przemysł wydawniczy oparł się na mocno zredukowanej liczbie firm, co ułatwiło ich kontrolę. W okresie 1951-53 miało działać tylko 20-30 wydawnictw. W r. 1955 z 5.029 wydanych książek 97 % pochodziło od 33 wydawców⁹. Dążono do specjalizacji, np. Państwowe Wydawnictwo Muzyczne miało wydawać materiał określony jego nazwą, a Nasza Księgarnia literaturę dziecięcą. Konkurencja nie istniała i ograniczenie poszczególnych firm do właściwej im tematyki nie wymagało szczególnego wysiłku. Plan wydawniczy na okres 1949-56 przewidywał zwiększenie liczby tytułów wydawanych w obrębie jednego roku do 9.000, tj. wzrost o 90 %, a wydawnictw periodycznych o 82 %.

7. Danilewiczowa, *op. cit.*, str. 224.

8. W. Stańkiewicz, S. Siekierski, „Kształtowanie się polityki wydawniczej w minionym trzydziestoleciu”, *Rocznik Biblioteki Narodowej* 10 (1974), str. 83.

9. Bromberg, *op. cit.*, str. 53.

W r. 1951 miejsce Centralnej Rady Wydawniczej zajął Centralny Urząd Wydawnictw, Przemysłu Graficznego i Księgarstwa (CUWPGiK), któremu bezpośrednio podlegały te przemysły i który kontrolował i koordynował wszystkie przedsiębiorstwa wydawnicze i drukarnie podległe poszczególnym ministerstwom i spółdzielniom. CUWPGiK sprawował nadzór nad przydziałem papieru, usług drukarskich i dystrybucji dla wszystkich wydawnictw z wyjątkiem tych, które bezpośrednio podlegały ministerstwom, jak Ossolineum i PWN. Sprawy finansowe i personalne były w rękach CUWPGiK, podobnie jak rezerwy walut zagranicznych przeznaczonych na wydawnictwa.

We wczesnych latach 1950-tych oczekiwano od tego nowopowstałego przemysłu wydawniczego rzeczy wzajemnie wykluczających się. Choć osiągnięto rekordowe nakłady, potrzeby polskiego czytelnika nie zostały zaspokojone i nakłady polskich klasyków nie nadążały za zapotrzebowaniem. W r. 1947 nakłady klasyków wynosiły 22 % całości wydawnictw, a w 1952 tylko 8 %¹⁰. W 1953 sytuacja jeszcze pogorszyła się i co trzeci amator literatury pięknej nie zdołał nabyć ani jednej książki. Próbowano jakoś wypełnić tę próżnię, np. wydając mocno subsydiowane serie jak *Biblioteka Prasy*, tylko dla prenumeratorów prasy partyjnej. Ogromne subsydia oraz system, w którym cele polityczne stały się ważniejsze od potrzeb czytelnika, przekreśliły zasady racjonalnej gospodarki w instytucjach wydawniczych. Spod pras wychodziły ogromne nakłady propagandy, której nikt nie czytał. Np. *Dzieła Stalina* w 13 tomach ukazały się w nakładzie 1.800.000 kompletów; jednocześnie brakowało literatury naukowej i technicznej, koniecznej do odbudowy kraju. Obliczono, że koszt niesprzedanych książek zalegających księgarnie i magazyny był dwukrotnie wyższy od wpływów ze sprzedanych¹¹. Dom Książki zakupywał w całości nakład każdej książki w dniu jej wydania, wydawca nie musiał się więc troszczyć, czy została rozsprzedana, czy nie. Często książki kosztowały mniej niż papier, na którym je wydrukowano: cena powieści wynosiła równowartość dwu paczek papierosów, a książki naukowej czterech¹². Ta próba zdekomercjalizowania kultury dała skutek odwrotny od zamierzonego, ponieważ wykroczyła za daleko poza rzeczywiste możliwości przemysłu wydawniczego.

10. *Ibid.*, str. 62.

11. Stańkiewicz i Siekierski, *op. cit.*, str. 85.

12. Bromberg, *op. cit.*, str. 63.

Odwilż i dalej: rozwój ruchu wydawniczego w latach 1956-70

W r. 1956 spóźnione odejście Bieruta ze sceny politycznej zapoczątkowało odwilż i destalinizację w polskiej polityce kulturalnej. Wiele miało się zmienić również na odcinku wydawniczym. Wprowadzono nowe, bardziej zbliżone do rzeczywistości ceny papieru i druku oraz opłaty poczwowe, co podniosło ceny książek o ok. 40 % i w r. 1958 handel przestał automatycznie wykupywać całe nakłady. Skutkiem tego było, że w latach 1957-61 produkcja wydawnicza spadła, co częściowo było skutkiem przyhamowania ogromnych nakładów materiału propagandowego i literatury socrealistycznej, a częściowo prawdopodobnie fascynacją nowymi formami masowej komunikacji, szczególnie telewizją¹³.

Najmniejszą liczbę tytułów wydano w r. 1958, a jednak — jeśli chodzi o poziom — koniec lat 50-tych był okresem pewnego postępu. Polityka całkowitego izolowania Polski od myśli i literatury Zachodu nieco się rozluźniła; wydawanie (aczkolwiek selektywne) współczesnej literatury światowej wywarło głęboki wpływ na polskich czytelników i pisarzy. Ilość wydawnictw historycznych i ekonomicznych znacznie wzrosła, pojawiła się nowa tematyka, jak socjologia i psychologia, i nawet usiłowano wydać trochę lekkich powieści.

Przemysł wydawniczy skoncentrowany był w Warszawie — pierwszym odbudowanym mieście, jego drugim ważnym ośrodkiem był Kraków. W r. 1958 75 % wszystkich książek wydano w Warszawie, ale pod koniec lat 50-tych i we wczesnych 60-tych nowe domy wydawnicze powstawały w Poznaniu, Lublinie, Łodzi i innych miastach. Nawiązano kontakt ze światem zewnętrznym na pierwszych Międzynarodowych Targach Książki w Poznaniu w 1956 r., następnie przeniesionych do Warszawy. Powstała Ars Polona, która przejęła handel książką polską za granicą i odpowiednio wzrosła ilość zagranicznego materiału oraz praw wydawniczych zakupionych dla polskiego rynku. Ta międzynarodowa współpraca w większości ograniczała się jednak do bloku sowieckiego. Polskie Towarzystwo Wydawców Książek, zlikwidowane w 1950 r., zostało restaurowane w 1956 i pojawiły się dwa nowe stowarzyszenia zainteresowane książką: Towarzystwo Przyjaciół Książek i Stowarzyszenie Księgarzy Polskich. Wydawców zaczęto zachęcać do twórczego zainteresowania swą pracą, popierania obiecujących młodych pisarzy i wyszukiwania oraz zamawiania nowych tekstów dobrej klasy.

13. B. Gołębiowski, „Ruch wydawniczy — refleksje nie tylko rocznikowe”, *Nowe drogi* nr 7 (1974), str. 177.

Lata 60-te rozpoczęły się od najniższych ilości wydawnictw od czasu wojny. Można to wyjaśnić częściowo potrzebą eksportowania papieru, co ograniczało jego krajowe użycie, oraz lepszymi warunkami oferowanymi autorom, w tym zwiększeniem wypłacanych zaliczek. Choć czwarty zjazd PZPR w 1964 r. nadal podkreślał ważną rolę ruchu wydawniczego w „ofensywie kulturalnej”, lata 60-te były okresem niezaspokojonego popytu czytelników i braku szkolnych podręczników, choć nastąpił znaczny wzrost publikacji naukowych i technicznych. W dwu ostatnich latach swych rządów, od 1968, Gomułka zapoczątkował ambitny program reform, którego celem było uzyskanie zachodniej współpracy i ekwipunku. Niestety, selektywne inwestycje w branży takie jak elektronika, maszyny i przemysł chemiczny wydrenowały z funduszy inne dziedziny gospodarki.

W tej sytuacji nastąpiła w marcu 1970 r. poważna reorganizacja przemysłu wydawniczego. Jego kierownictwo przejęło Zjednoczenie Przedsiębiorstw Wydawniczych pod nazwą Naczelny Zarząd Wydawnictw, któremu odtąd miały podlegać instytucje będące pod bezpośrednim zarządem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Na podstawie osobnych umów domy wydawnicze należące do innych ministerstw i organizacji również oddano pod zarząd Zjednoczenia. Głównym zadaniem Naczelnego Zarządu było opracowanie i wprowadzanie w życie planu wydawniczego oraz usprawnianie (finansowe i ogólne) produkcji i handlu książką i poziom jej opracowania. W tym czasie działało w Polsce 48 domów wydawniczych, z tego 36 w Warszawie. Przydzielanie papieru było w rękach Ministerstwa Kultury i Sztuki, ale stały brak papieru nadal uniemożliwiał wykonywanie planów wydawniczych i prasa poświęcała wiele uwagi niezaspokojonemu popytowi na książki.

We wczesnych latach 70-tych, pod władzą Gierka, Polska próbowała uczynić „skok naprzód” i w okresie 1972-75 miały miejsce duże inwestycje we wszystkich dziedzinach gospodarki, z przemysłem wydawniczym włącznie. Nowe drukarnie otrzymały nowoczesne maszyny i zwiększono przydziały papieru, którego 40 % pochodziło z importu. Skutkiem tego był poważny wzrost ilości wydawnictw na głowę ludności, od 3,6 w r. 1970 do 4,5 w 1973 i 6,4 w 1975. Ale to ciągle jeszcze nie wystarczało, szczególnie na odcinku oświatowym¹⁴.

14. Zarys spraw wydawniczych w latach 1970-tych: zob. Lucjan Biliński, *Zarys dziejów ruchu wydawniczego w PRL*, (Warszawa, 1976).

II. CENZURA

*I tak bardzo żal mi Marka
Że pracuje jako cenzor
I zabija ludzkie myśli jak zwierzęta¹⁵*

W powojennej Polsce cenzura ukrywała się pod eufemistyczną nazwą „kontrola prasy i wydawnictw”. W latach 1940-tych wprowadzono cenzurę prewencyjną: teksty poddawano kontroli przed oddaniem do druku i zezwalano lub nie na ich wydanie. Dekret z 5 lipca 1946 powołał GUKPPiW (Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk) i 28 lipca 1948 zwiększono zakres jego kompetencji, poddając jego kontroli drukarnie oraz udzielanie zezwoleń na wydawanie periodyków. Kontrola drukarni przygotowała pole dla ustawy z r. 1949, która znacjonalizowała przemysł wydawniczy. Odtąd cenzor miał oficjalne prawo interwencji, jeśli uznał przedłożony mu do wglądu materiał za sprzeczny z systemem politycznym PRL, naruszający tajemnice państwowe, zakłócający stosunki międzynarodowe, sprzeczny z prawem i moralnością lub szerzący kłamstwa. Te oficjalne kompetencje cenzury pozostały nienaruszone do r. 1981 i skutkiem ich było, że aż do powstania wydawnictw podziemnych wiele tematów i całe dziedziny wiedzy, niedostępne dla wydawców w Polsce, stały się monopolem wydawnictw emigracyjnych.

Jak to opisał Marek Świca, starszy radca Okręgowego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk w Lublinie, gdzie pracował 22 lata¹⁶, działalność cenzury okryta była ścisłą tajemnicą. Przyjęty do pracy w latach 60-tych, przeszedł intensywne przeszkolenie z zakresu co wolno, a czego nie wolno ujawniać, a po nim dwumiesięczny kurs o podstawach postępowania. Oczywiście konieczną kwalifikacją na tę posadę była nienaganna przeszłość polityczna. Dlatego jednym z najbardziej sensacyjnych przecieków informacji w powojennej Polsce było doręczenie KORowi przez Tomasza Strzyżewskiego, byłego funkcjonariusza GUKPPiW, ogromnego zbioru materiału wyjawiającego najtajniejszą działalność warszawskiej cenzury. Wydanie go przez Aneks w Londynie¹⁷ spowodowało burzę polityczną: nareszcie

15. Z piosenki z lat 70-tych Jana Kelusa. *Gazeta Wyborcza*, 8 stycznia 1990, str. 4.

16. M. Świca i M. Rybiński, „Czy cenzor myli się tylko raz?”, *Kontakt*, 11/88, str. 32-45.

17. *Czarna księga cenzury PRL* (Londyn: Aneks, 1977-78). T. I zawiera „Księgę zapisów i zaleceń”, jest to „Biblia” cenzora i podstawa wszystkich decyzji. T. 2. składa się ze zbioru informacji o materiałach cenzurowanych i decyzjach cenzora.

światło dzienne ujrzał materiał dowodzący, że cenzura bynajmniej nie ogranicza się do spraw naruszających bezpieczeństwo i obronność państwa, ale że jej celem jest obrona monopolu informacji partii, ukrywanie przed obywatelem kłopotliwych danych ze wszystkich dziedzin życia społecznego, politycznego i gospodarczego. Spośród tysięcy szczegółowych przepisów warto przytoczyć:

„Należy eliminować informacje o bezpośrednim zagrożeniu życia i zdrowia ludzi spowodowanym przez przemysł i środki chemiczne stosowane w rolnictwie”.

„Nie należy dopuszczać do publikacji w masowych środkach przekazu danych liczbowych obrazujących stan i wzrost alkoholizmu w skali całego kraju”.

„W szkole nr 80 w Gdańsku stwierdzono wydzielanie się szkodliwych substancji z materiału używanego do uszczelniania okien. Zajęcia w szkole zostały przerwane. Nie należy zwalniać absolutnie żadnych informacji na ten temat”.

„Nie należy dopuszczać do publikacji żadnych informacji na temat katastrofy w kopalni 'Katowice', w której poniosło śmierć czterech górników¹⁸”.

Czasem nawet poszczególne nazwiska i tytuły książek były objęte całkowitym zapisem¹⁹, ale często — szczególnie w dziedzinie literatury, kultury i nauk społecznych — wielu z ok. 400 działających cenzorów musiało polegać na własnym rozeznaniu sytuacji. Świca wyjaśnił, że choć formalnie nadzór nad decyzjami cenzorów sprawował Główny Urząd w Warszawie podległy Radzie Państwa, to w rzeczywistości decyzje wydawał Biały Dom. Sprawozdania wysyłane corocznie przez regionalne urzędy do centrali często były fałszowane i zawsze podawały mniej wypadków interwencji cenzury, niż *de facto* miało miejsce.

Ustawa z 31 lipca 1981 O kontroli publikacji i widowisk wprowadziła ważne zmiany, nakazując oznaczać ślady interwencji cenzury, z powołaniem się *in extenso* na odpowiedni paragraf ustawy, który został naruszony. Szczególnie *Tygodnik Solidarność* i *Tygodnik Powszechny* pedantycznie oznaczały ślady działalności cenzora. Przez kilka miesięcy roku 1981 wiele wydawnictw w ogóle omijało cenzurę, w tym wewnętrzne biuletyny Solidarności i innych organizacji społecznych, ale ta swoboda skończyła się z chwilą wprowadzenia stanu wojennego.

18. *Ibid.*, t. 1, str. 6-9.

19. *Ibid.*, t. 1, str. 66. Ob. zapis z 21 lutego 1976 wymieniający m.in. Stanisława Barańczaka, Stefana Kisielewskiego, Jana Józefa Lipskiego i Marka Nowakowskiego.

Niejasną sytuację przedłużyły poprawki do ustawy o cenzurze z lipca 1983 r., dotyczące wydawnictw zagrażających bezpieczeństwu i obronności państwa. Zakres interwencji cenzora bywał bardzo różny i obejmował usuwanie całych artykułów na szczególnie drażliwe tematy jak Katyń, pakt Ribbentrop-Mołotow i inne epizody ze stosunków polsko-sowieckich, przy czym stosowano regułę, że nie wolno ogłaszać niczego na temat ZSSR, co nie mogłoby być ogłoszone tam. Ale o wiele powszechniejsze były małe, ale „strategiczne” poprawki. Tę taktykę często stosowano do *Tygodnika Powszechnego*: przez skreślanie paru starannie dobranych wierszy przemyślna cenzura mogła cały artykuł pozbawić sensu, tak że redakcja musiała go wycofać.

Władza cenzury obejmowała również wydawnictwa zagraniczne dzięki instytucji „debitu”. Debit oznaczał zarówno swobodę rozpowszechniania, jak i prywatnego posiadania tych wydawnictw na terenie PRL. W praktyce prawo przyznawania debitu nie należało wyłącznie do GUKPPiW, ale i do milicjantów i celników, którzy wykorzystali ten pretekst do konfiskowania wszystkiego, co wydawało im się podejrzanе. Lista „bezdebitowych” czasopism z r. 1988 obejmuje *Zeszyty Literackie*, *Kulturę*, *Kontakt*, *Puls* i *Aneks*.

Porozumienie Okrągłego Stołu z maja 1989 częściowo przywróciło bardziej liberalną ustawę z 1981 r. i usunęło „elastyczne” przepisy dotyczące bezpieczeństwa państwa i rozprowadzania materiałów będących „oczywistym przestępstwem kryminalnym”, co dotychczas uniemożliwiała pisanie o Solidarności. W r. 1989 Małgorzata Niezabitowska, rzecznik rządu Solidarności, ogłosiła, że w ubiegłym roku miało miejsce 2.528 interwencji cenzury, tj. 13 % więcej, niż w 1987. Z tych 80 % dotyczyło tylko dwudziestu tytułów z łącznej liczby 3.400 — głównie wydawnictw niepokornych katolickich instytucji. Ostatecznie w kwietniu 1990 r., po dyskusjach o celowości utrzymania jakiegś formy cenzury dla zapobieżenia rozprowadzaniu pornografii i innych niepożądanych materiałów, cenzura została zniesiona 266 głosami, z ośmioma wstrzymującymi się od głosu i ani jednym przeciw.

III. PRASA: DAWID I GOLIAT — GAZETA WYBORCZA I RSW

RSW

W najwcześniejszych latach powojennych nastąpiła eksplozja czasopism, szczególnie gazet codziennych. W 1944-45 wycho-

dziło 374 periodyków, w tym 42 dzienniki, a w r. 1948 było już 790 tytułów, w tym 136 dzienników. Liczby za następne lata są nieosiągalne aż do r. 1955, gdy zarejestrowano 638 tytułów. W r. 1973 było ich już 2.630, ale rekordowa liczba dzienników już się nie powtórzyła: w 1955 było ich 43, a w 1973 — 56²⁰.

Dzieje wydawanych oficjalnie periodyków w powojennej Polsce są w dużym stopniu historią RSW Prasa-Książka-Ruch. RSW powstała 25 kwietnia 1949 jako Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa”, powołana do życia przez Centralny Komitet PZPR. Jej celem było: „Popularyzowanie programu PZPR i podnoszenie świadomości socjalistycznej, kształtowanie obywatelskich postaw patriotycznych, ogólnego poziomu wiedzy społecznej i kultury²¹”. Złożył się na nią majątek i czasopisma wydawane dotychczas przez różne instytucje. W następnych latach przyjęła liczne dalsze tytuły, włącznie z wydawanymi przez Czytelnika w r. 1950 i przez Ruch w 1973. Skutkiem tego rozrostu było, że w przededniu stanu wojennego w 1981 r. RSW wydawała 271 tytułów, w tym 45 dzienników o łącznym nakładzie 21,8 miliona egzemplarzy²².

W teorii RSW była spółdzielnią, ale było to typowe przedsiębiorstwo państwa jednopartyjnego, wydające prawie wszystkie gazety i posiadające monopol dystrybucji, sprzedaży i druku. RSW było właścicielem całej sieci kiosków Ruchu — jedynej stałej sieci rozprowadzania czasopism. Ale władza RSW sięgała o wiele dalej, bo podlegały jej trzy ważne wydawnictwa książek: Książka i Wiedza, Krajowa Agencja Wydawnicza i Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, które łącznie wydały 13 % wszystkich ukazujących się tytułów oraz 17 % nakładu, jaki ukazał się w r. 1987. Do RSW należał również import i eksport gazet i periodyków *via* Ars Polona, Centralna Agencja Fotograficzna oraz agencja prasowa Interpress. Po raz pierwszy RSW spotkało się z krytyką dopiero w r. 1981, nie tylko jako instrument partii dzierżący monopol informacji, ale też jako ważne źródło dochodów PZPR, zasilające jej kasę ogromnymi sumami wolnymi od podatku. Każdy klient kupujący gazety, papierosy, żylетки czy prezerwatywy w kiosku Ruchu dokładał do funduszków PZPR. Dotąd nie jest zupełnie jasne, jakie sumy partia czerpała z RSW, ale wiadomo, że w r. 1986 z tego źródła pochodziło 87,4 % jej rocznego budżetu.

20. Biblioteka Narodowa, Instytut Bibliograficzny *Ruch Wydawniczy w liczbach 1944-1973* (Warszawa, 1974), s. 27.

21. A. Chećko, M. Henzler, „...Ponieśli i wilka”, *Polityka* 13 (1717), 1990 str. 3.

22. *Ibid.*

Obraz ten uległ radykalnej zmianie, gdy w r. 1989 reformy, wynikłe z ugody Okrągłego Stołu i powstania rządu pod egidą Solidarności, wprowadziły ceny rynkowe papieru, druku i transportu, co położyło kres przywilejom RSW i nałożyło podatek na jej dochody. Do końca r. 1989 wkład RSW do kasy PZPR skurczył się o połowę, a liczba podległych jej tytułów wynosiła tylko 160, z czego 73 przynosiły straty. RSW teraz przystąpiła do likwidacji kiosków Ruchu i czytelní wiejskich oraz masowego zwalniania personelu, którego liczba obejmowała 80.000 osób. Charakter polskiego przemysłu prasowego szybko się zmieniał: prasa podziemna wyszła na powierzchnię, cenzura została drastycznie ograniczona, powstawał wolny rynek papieru i plan poddania *mass mediów* kontroli społecznej. 20 marca 1990 rząd zaakceptował plan ustawy rozwiązującej RSW, zgodnie z którą powstała komisja likwidacyjna, mająca nadzorować całość tego procesu. Części składowe RSW mogły teraz przejść spółdzielnie, których co najmniej połowa personelu rekrutowała się z dotychczasowych pracowników RSW. Pozostałe komórki RSW wraz z resztą jej majątku miały być sprzedane i, po zapłaceniu długów, pozostałe sumy odprowadzone do skarbu państwa.

Gazeta Wyborcza

„Nie ma wolności bez Solidarności” — pod tym hasłem ukazał się 8 maja 1989 pierwszy numer *Gazety Wyborczej*, pierwszego masowego niekomunistycznego dziennika we Wschodniej Europie od czasu wprowadzenia władzy komunistycznej. Była ona rezultatem porozumienia zawartego przez podzespół Okrągłego Stołu ds. środków masowego przekazu i, dostarczając bieżących wiadomości o wyborach, szybko zdobyła popularność jako żywa i nowatorska gazeta codzienna. Jej pierwszy numer, w nakładzie 150 tys. egzemplarzy, przynosił oświadczenie redakcji:

„Oto, po z górą czterdziestu latach, pierwszy w Polsce, a chyba i całym bloku normalny, wielkonakładowy dziennik niezależny. Przez 'normalny' rozumiemy taki, który stara się przede wszystkim informować — wszechstronnie, szybko i obiektywnie, wyrażnie oddzielając komentarz od informacji. Takie gazety znamy dotąd tylko ze słyszenia, teraz zamierzamy je robić...”

W swym najwcześniejszym okresie *Gazeta* zdobyła tak wielką popularność, że w maju 1989 poszczególne numery, kosztujące 50 zł., odbite na kopiarkach, sprzedawano po podwójnej cenie na Placu Konstytucji w Warszawie²³. Podziwiano wysoki

23. *Gazeta Wyborcza* (17), 31 maja 1989.

poziom pisma; był on zasługą wiedzy technicznej i środków bardzo zasłużonej ekipy gazety podziemnej *Tygodnik Mazowski*. *Gazeta Wyborcza* zjawiała się jako powiew świeżego powietrza po mętym stylu prasy partyjnej. Jej dowcipne, często ironiczne nagłówki i poczucie humoru, które obejmowało nawet prognozy pogody, urzekaly odbiorcę po wyświechtanej nowomowie *Trybuny Ludu*. *Gazeta Wyborcza* pragnęła reprezentować poglądy całego ruchu niezależnego, a nie ograniczać się do roli organu Solidarności. Nie zdołała jednak utrzymać dystansu od politycznych rozgrywek gdy wewnętrzne właśnie zaczęły rozrywać Solidarność. Antagonizm między Wałęsą i Michnikiem, jej naczelnym redaktorem, we wrześniu 1990 pozbawił ją prawa do używania godła Solidarności.

Wśród gazet wywodzących się z ugody Okrągłego Stołu pojawił się wznowiony *Tygodnik Solidarność*, redagowany przez Tadeusza Mazowieckiego, zanim objął urząd premiera, oraz *Solidarność Tygodnik Rolników*, poświęcony problemom wsi²⁴.

IV. WYDAWCY KATOLICCY: PAX I TYGODNIK POWSZECHNY

W najwcześniejszym powojennym okresie obok prosperujących wydawców prywatnych działały bardzo produktywne wydawnictwa katolickie, które w latach 1944-47²⁵ wydały ponad 700 tytułów. Wśród nich dominował Instytut Wydawniczy Pax, który w okresie 1949-87 wydał ok. 3.300 książek, w tym *Pismo Święte*, modlitewniki, dzieła filozoficzne i teologiczne, literaturę piękną polską i obcą, dzieła socjologiczno-polityczne i historyczne, wśród nich prace członków Stowarzyszenia Pax, w tym jego założyciela Bolesława Piaseckiego. Stowarzyszenie często było przedmiotem kontrowersji z powodu swej polityki kompromisu i współpracy z rządem komunistycznym. Piasecki stworzył bazę finansową, by upozorować uniezależnienie Stowarzyszenia od kompromitujących dotacji rządowych i w ten sposób Pax stopniowo rozwinął się jako największa nie-państwowa

24. Od marca do grudnia 1990 wybór artykułów z *GW* był wydawany po angielsku w tygodniku *Gazeta International*.

25. Bromberg *op cit.*, str. 14. Produkcja wydawnictw religijnych przez wydawnictwa kościelne i świeckie do r. 1965 podana w dwóch ważnych bibliografiach: *Spis bibliograficzny wydawnictw religijnych w Polsce 1944-55* (Warszawa 1956) z przedmową Jerzego Turowicza, redaktora *Tygodnika Powszechnego*, oraz *Książka katolicka w Polsce 1945-65: spis bibliograficzny* (Warszawa, 1966). Druga z nich podaje 4.567 pozycji pióra 1.310 autorów.

organizacja w świecie komunistycznym. Z nadejściem okresu likwidowania prywatnych wydawnictw i drukarni, Piasecki przejął część ich personelu i majątku. Wśród czasopism Paxu było *Dziś i Jutro* (1945-56), *Słowo Powszechne* (1947-) i *Kierunki* (1956-). Stosunki z Kościołem były napięte od początku i w latach 1950-tych duchowieństwu zabroniono prenumerować *Słowo Powszechne* i *Dziś i Jutro*. Stefan Wyszyński, wówczas arcybiskup gnieźnieński i warszawski, uważał grupę Piaseckiego za „katolickich odszczepieńców społecznych”²⁶. Pomimo szykanowania Kościoła, w r. 1950 episkopat podpisał ugodę z rządem, który zgodził się na naukę religii w szkołach i zagwarantował istnienie katolickich organizacji, wydawnictw i prasy. Ale ustawa z r. 1953 uzależniała objęcie stanowisk kościelnych od zgody państwa. We wrześniu tegoż roku arcybp Stefan Wyszyński został aresztowany i byt *Tygodnika Powszechnego* zagrożony.

Pierwszy numer *Tygodnika* ukazał się pod patronatem dzielnego i bezkompromisowego arcybiskupa Sapiehy w marcu 1945, kilka tygodni po wyzwoleniu Krakowa przez Armię Czerwoną, i w październiku tego samego roku jego redakcję objął Jerzy Turowicz. Pierwszy numer określał cel redakcji: „*Tygodnik Powszechny* będzie pismem apolitycznym i bezpartyjnym. Z tego względu wykluczamy z niego zagadnienia aktualnopolityczne i walkę stronnictw”²⁷.

Stefan Kisielewski uważał, że partia zaakceptowała powstanie *Tygodnika*, bo tworzenie się ugrupowań intelektualnych odwracało uwagę społeczeństwa od Polskiego Stronnictwa Ludowego Witosza i Mikołajczyka²⁸. Jednakże w r. 1953 *Tygodnik Powszechny* znalazł się w opałach z powodu swych poglądów na stosunki między państwem a episkopatem i odmowy zajęcia stanowiska wrogiego Zachodowi. W marcu 1953 pismo zostało zamknięte: pretekstu dostarczyło jego uchylenie się od ogłoszenia żałobnego artykułu o Stalinie i odmowa redakcji na proponowaną przez partię zmianę personelu. Partia zdecydowała przekazać *Tygodnik* niezawodnemu Paxowi, by go nadal wydawał, oczywiście z nową obsadą. 15 lipca 1953 Prymas Polski ogłosił list stwierdzający, że to nowe wcielenie nie ma nic wspólnego z poprzednią redakcją, że używanie tytułu jest bezprawną próbą żerowania na dobrej opinii, jaką pismo cieszyło się wśród społeczeństwa²⁹. Ostatni „prawdziwy” numer *Tygodnika*,

26. Andrzej Micewski *Współrzędzić czy nie kłamać? Pax i Znak w Polsce 1945-76* (Paryż, 1978) str. 35.

27. Micewski, *op cit.*, str. 162.

28. *Ibid.*, str. 164.

29. *Ibid.*, str. 57.

8(414), ukazał się 8 marca, a następny, wydany przez Pax, wyszedł 12 lipca 1953 jako nr 10(416). Od sierpnia 1953 redagowali go Jan Dobraczyński, M. Kurzyna i W. Wnuk. To „skradzione” wcielenie przetrwało do r. 1955, gdy zostało zamknięte razem z *Dziś i Jutro* i na ich miejsce Pax rozpoczął wydawanie *Kierunków*.

W październiku 1956 grupa katolickich działaczy i pisarzy w liście otwartym ogłoszonym w *Życiu Warszawy* zgłosiła gotowość poparcia planu Gomułki stworzenia „nowej Polski” i oświadczyła, że Pax nie reprezentuje poglądów inteligencji katolickiej. Spotkanie z Gomułką 31 października doprowadziło do wznowienia *Tygodnika Powszechnego* oraz *Znaku*, bliskiego mu ideowo miesięcznika, który również został zamknięty w 1953 r. W 1957 powstało Wydawnictwo Znak, specjalizujące się pod kierownictwem Jacka Woźniakowskiego w literaturze humanistycznej i religijnej. W latach 1960-tych i 70-tych nakłady *Tygodnika* były obniżane za karę: w 1964 spadły do 30.000 egzemplarzy, co zagroziło jego istnieniu. Podczas rozruchów w r. 1970 *Tygodnik* zdecydowanie poparł robotników i stwierdził ogromny rozłam między rządem i społeczeństwem. Z drugiej strony uważano czasem, że *Tygodnik* i *Znak* nie mogą być prawdziwie niezależne wskutek swych powiązań z ugrupowaniem sejmowym Znak, ale w r. 1976 sytuacja zmieniła się, gdy grupa Znak zdecydowała wycofać się ze sceny politycznej³⁰.

W podsumowaniu należy stwierdzić, że nakłady książek i czasopism katolickich były przez cały omawiany okres za małe w stosunku do zapotrzebowania. Nakład *Tygodnika* w 1989 r., 100.000 egz., był bardzo niewystarczający; katowicka *Gazeta Niedzielną* zawsze zdołała rozprowadzić po kościołach 200.000 egzemplarzy. Nakłady książek również nie nadążały za potrzebą i rozchodziły się zdumiewająco szybko pomimo stosunkowo wysokich cen. Oficjalne dane z r. 1987³¹ wykazują, że największym i daleko wyprzedzającym innych katolickich wydawców nadal był Pax, który wydał 117 książek o łącznym nakładzie 2.858.600 egz. Po nim szły Księgarnia Św. Wojciecha (35 tytułów), W Drodze (24), Znak (20) i Pallotinum (15).

30. Zarys dziejów *Tygodnika* w latach 80-tych zob. Paweł Kukielewski, „Burza przeminęła i gospodarzowi się dziękuje: rozmowa z Maciejem Kozłowskim, red. *Tygodnika Powszechnego*”, *Kontakt* 9/89, str. 3-18.

31. Biblioteka Narodowa, Instytut Bibliograficzny, *Ruch wydawniczy w liczbach*, nr 23: 1987 (Warszawa, 1989) str. 14.

V. WYDAWNICTWA PODZIEMNE

KOR i powstanie niezależnego ruchu wydawniczego

Początki długich i chlubnych dziejów polskich wydawnictw nielegalnych i kultury podziemnej sięgają okresu rozbiorów. W latach 1939-45 Polacy rozwinęli największy podziemny przemysł wydawniczy w okupowanej Europie: 200 wydawnictw wyprodukowało 1.400 tytułów książek i 1.500 czasopism³². W latach powojennych cenzura oraz ścisła kontrola importu materiałów drukarskich zza granicy pozwoliły władzy komunistycznej sprawować ścisłą kontrolę nad oficjalnym rozwojem polskiej kultury. W okresie odwilży po 1956 r. pojawiły się pierwsze załączki wydawnictw podziemnych. Były to kalkowe kopie tekstów pisanych na maszynie na użytek wtajemniczonych intelektualistów. Ale niezależny ruch wydawniczy, zapoczątkowany dopiero w r. 1976, bardzo szybko rozwinął się w prawdziwy przemysł i prawdziwy oręż w ręku opozycji, walczącej o wolność słowa i informacji. Rok 1976 był punktem zwrotnym w dziejach polskich ruchów opozycyjnych. Przed tą datą trudno mówić o powiązaniach między dwiema grupami wrogimi wobec władzy: robotnikami i intelektualistami. Zjednoczył je dopiero KOR, gdy podjął się świadczenia pomocy ofiarom prześladowań, jakie nastąpiły po wielkich demonstracjach robotników w Ursusie i Radomiu. KOR dostarczał pomocy materialnej rodzinom więzionych robotników i obrony prawnej dla nich samych. Rozpoczął też wydawanie *Komunikatu*, który od jesieni 1976 drukowano na kopiarce nabytej we francuskim sklepie z zabawkami i przeszmuglowanej do Polski. Po nim zjawiał się *Biuletyn Informacyjny* i dwutygodnik *Robotnik*. Zapoczątkowany we wrześniu 1977 jako wydawnictwo jednokartkowe, jesienią następnego roku liczył już 12 stron odbijanych na powielaczu w nakładach przekraczających 20.000 egzemplarzy³³, a w jego zespole redakcyjnym byli reprezentowani robotnicy z przedsiębiorstw rozsianych po całej Polsce. *Robotnik* zachęcał do tworzenia niezależnych związków zawodowych i pouczał, jak organizować strajki i żądać poprawy płacy i warunków, oraz ujawniał straszne warunki pracy w poszczególnych zakładach: prasa oficjalna prawie nigdy nie donosiła o wypadkach przy pracy, bo cenzura nie przepuszczała

32. Statystyki W. Pileckiego cytowane w: Hanna Świdorska „Independent Publishing in Poland: An Outline of its Development to 1986”, *Solanus*, vol. 1 (1987), str. 54-75. Po polsku: *Kultura* nr 5/536, maj 1992.

33. Neal Ascherson, *The Struggles for Poland* (London, 1987), str. 194.

tego rodzaju wiadomości. Skutki nie kazały długo na siebie czekać i w 1978 r. w różnych polskich miastach zaczęły spotykać się małe grupki związkowców pod nazwą Komitety Założycielskie Wolnych Związków Zawodowych. W kwietniu komitet robotników i młodej inteligencji w Gdańsku wydał swój pierwszy biuletyn. Podziemni wydawcy zdumiewali umiejętnością drukowania i dystrybucji dużej ilości druków w państwie policyjnym. W r. 1978 działało około 19 niezależnych wydawnictw w kraju, gdzie dostęp do urządzeń drukarskich, powielarek i nawet farby drukarskiej był pod ścisłym nadzorem. Gatunek i treść publikacji były bardzo zróżnicowane, najwybitniejszy był chyba *Zapis*, pismo literackie i historyczne wydawane przez NOWą³⁴, pierwsze i najbardziej wpływowe niezależne wydawnictwo.

NOWa została założona w r. 1977 przez Mirosława Chojeckiego, który prowadził ją wraz z Grzegorzem Bogutą (obecnym dyrektorem PWN). Jej wczesne publikacje obejmowały *Zapis* oraz *Czarną księgę cenzury PRL*. Firma rozpoczęła działalność posługując się prymitywnym powielaczem, ale gdy wyszedł nr 3 *Zapisu* (*Kompleks polski* Konwickiego), gatunek jej wydawnictw tak się poprawił, że władze uznały je za produkt zagraniczny przemycony do Polski. *Zapis* nr 19 (*Mała apokalipsa* Konwickiego) wyszedł w nakładzie 10.000 egzemplarzy — liczba prawdopodobnie rekordowa w okresie przed sierpniem 1980. Po podpisaniu Ugody Gdańskiej i zalegalizowaniu Solidarności NOWa zaangażowała się mocno w drukowanie materiałów Solidarności, wśród nich broszur, literatury informacyjnej i projektów tekstów prawnych, ale ta działalność nie przeszkodziła jej wydać jesienią 1980 swego setnego tytułu: *Miesiące* K. Brandysa.

W okresie 1976-80 wydano 100 tytułów biuletynów i gazet, niektóre w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, i 30 tytułów książek i broszur. Podobnie jak NOWa, większe domy wydawnicze przeszły ewolucję od kopiarek i powielaczy do druku offsetowego przy użyciu maszyn darowanych przez przyjaciół i sympatyków i przemyconych z Zachodu. Innym pospolitym sposobem produkcji wysokonakładowych druków niezależnych było posługiwanie się oficjalnymi drukarniami po godzinach pracy. Mniejsze wydawnictwa nadal używały bardzo prymitywnych metod. Wczesna anonimowa broszurka podziemna, *Poradnik drukarza*, dostarczyła szczegółowych instrukcji, z ilustracjami, jak wykonać prostą powielarkę sposobem domowym.

34. Ob. Jan Józef Lipski, *KOR* (Londyn: Aneks, 1983) cytowany przez Z. Jagodzińskiego w: „Wydawnictwa niezależne w Polsce”, *Prace Kongresu Kultury Polskiej*, t. 3: *Bieżące zagadnienia krajowe*, pod red. Jana Drewnowskiego (Londyn, 1986), str. 203.

Solidarność i stan wojenny: niezależne wydawnictwa i powstanie alternatywnej kultury polskiej

Zalegalizowanie Solidarności w 1980 r. spowodowało prawdziwy wybuch wydawnictw niezależnych w całym kraju. Do ogłoszenia stanu wojennego ukazało się 1.500-2.000 tytułów biuletynów i czasopism i 1.000 książek. Owoce tej imponującej działalności były wystawione jesienią 1981 na Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie. Jednak ujawnienie się podziemnych wydawców oznaczało, że z wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 łatwo ich było masowo wyaresztować. Ale odważni i zdeterminowani obrońcy swobody informacji szybko się zorganizowali i dosłownie w kilka godzin po wybuchu „wojny jaruzelskiej” strajkujące zakłady zaczęły drukować biuletyny. Przy pomocy nowych, entuzjastycznych działaczy młodego pokolenia, których nie odstraszała groźba surowych kar więzienia, niezależny ruch wydawniczy okrzepł na tyle, że między 13.12.1981 a 13.12.1982 wyszło 1.500 tytułów nowych i kontynuacji dawnych biuletynów i periodyków i około 380 książek i broszur. Z tych liczb około 50 % pochodziło z Warszawy, 30 % z Krakowa, a reszta z innych dużych miast³⁵. 22 marca 1983 gen. Kiszczak, Minister Spraw Wewnętrznych, ogłosił, że w ciągu poprzedzających 15 miesięcy skonfiskowano 368 wysoko wydajnych maszyn drukarskich zachodniego pochodzenia³⁶.

Wprowadzenie stanu wojennego stworzyło potrzebę szybkich i użytecznych porad, więc broszurki i biuletyny pouczyły, jak postępować w razie aresztowania i jak organizować opór oraz dostarczały wiadomości o aresztowanych i internowanych. Anonimowość była oczywiście konieczna i stąd redakcje ukrywały się pod notkami „redaguje zespół”, „drukuje zespół”, „kolportuje zespół”, „zespołem zwyciężymy” i „adres redakcji znany tylko redakcji”³⁷.

Wiele pism i biuletynów okazało się efemerydami, niektóre jednak okrzepły i stały się konieczną lekturą dla czytelników pragnących nadążyć za bieżącą literaturą, myślą i sprawami społecznymi w Polsce i poza nią. Jak stwierdza Kamińska³⁸, wydaw-

35. Świdarska, *op cit.*, str. 58.

36. Świdarska, *op cit.*, str. 59.

37. Jagodziński, *op cit.*, str. 211.

38. Bibliografie materiałów podziemnych z wczesnych lat 80-tych są już opracowane. Ob. Józefa Kamińska, *Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce: 13 XII 1981-VI 1986* (Paryż, 1988), i Józef Gajewski, *Materiały do bibliografii druków zwartych wydanych poza zasięgiem cenzury, 1982-1986* (Kraków, 1988), t. 19 w serii „Archiwum Solidarności: relacje i opracowania”. Bibliografia Gajewskiego będzie kontynuowana i obejmie materiał do r. 1989.

nictwa podziemne rywalizowały z oficjalnymi i uzupełniały je zarazem³⁹.

Podziemna prasa osiągnęła szczyt rozwoju w okresie 1982-83 (266 tytułów w 1982 i 617 w 1983), by następnie kurczyć się stopniowo, tak że w r. 1985 wychodziło już tylko 491 tytułów. Liczba książek i broszur urosła od 273 tytułów w 1982 do 636 w 1985, ale w pierwszym półroczu 1986 spadła do 183⁴⁰. Statystyka Kamińskiej wykazuje, że w latach 1981-86 około 37 % niezależnych książek i broszur przypadło na literaturę społeczno-polityczną, 16 % na literaturę piękną, 10 % na historyczną, 6 % na religijną i 3 % na pamiątnikarską. Uzupełniały to śpiewniki, karykatury i zbiory fotoreportaży. Obok materiału nowego ukazywały się liczne przedruki wydawnictw emigracyjnych, przede wszystkim paryskiego Instytutu Literackiego i Spotkań oraz londyńskiego Aneksu, Pulsu i Polonii, które przyznawały prawa wydawnicze firmom podziemnym, żeby umożliwić czytelnikowi krajowemu zapoznanie się z ważnymi tekstami, które w przeciwnym razie dotarłyby do tej bardzo ważnej grupy odbiorców tylko w nielicznych egzemplarzach, wystawiających ponadto na poważne ryzyko osoby przemycające je z Zachodu. Dużą część wydawnictw niezależnych stanowiły tłumaczenia dzieł społeczno-politycznych, historycznych i literackich, wśród nich *Ciemność w południe* Artura Koestlera, wydana po polsku w Warszawie w 1985 i wiele dzieł Orwella: *1984*, *Folwark zwierzęcy*, *Hołd dla Katalonii* i inne. Gatunek tych druków był różny: od prestiżowego wydania *Folwarku* w twardej oprawie i z barwnymi ilustracjami (Oficyna Literacka w Krakowie, 1985) do małych przedruków z rozmażanym drukiem formatu A6 i A7.

Dystrybucją zajmowała się duża liczba osób, narażających się na poważne ryzyko. W 1986 r. drukarze, redaktorzy i dystrybutorzy stanowili 90 % wszystkich więźniów politycznych⁴¹. Początkowo materiał niezależny rozprowadzany był za darmo, ale po licznych debatach większość wydawców zdecydowała żądać odpowiedniej zapłaty, choć nadal polegałi głównie na pomocy finansowej z Zachodu. Najpłodniejszymi domami wydawniczymi były NOWa, CDN, Krąg, Przedświt i Oficyna Literacka w Krakowie⁴².

39. Kamińska, *op. cit.*, str. 22.

40. Kamińska, *op. cit.*, str. 21.

41. Świderska, *op. cit.*, str. 59.

42. Spisy wydawców podziemnych razem z profilami ich działalności są podane w artykule H. Świderskiej, w bibliografii J. Kamińskiej i w niektórych numerach *GW* z jesieni 1989 r. pod rubryką „Niezależni”, gdzie znajdowały się zarysy dziejów i najważniejszych osiągnięć wielu wydawców podziemnych.

Schyłek lat 80-tych: stopniowa liberalizacja

Pod koniec lat 80-tych władze nieco złagodziły prześladowanie wydawców niezależnych. Ciężkie grzywny oraz szczególnie dolegliwa kara: konfiskata samochodu oskarżonego, zajęły miejsce więzienia. Samochody, bardzo kosztowne i trudne do zdobycia, były konieczne do przewozu materiałów drukarskich i gotowych wydawnictw do drukarzy, wydawców i dystrybutorów. Punkty rozpowszechniania działały w prywatnych mieszkaniach i w latach 1986-87 bezpiecznieści nacierali je na ogół rzadko. W r. 1988 sytuacja jeszcze się poprawiła, tak że wydawnictwa te zaczęto sprzedawać i kupować całkiem otwarcie, np. na stoiskach na Uniwersytecie Warszawskim i na niedzielnych targu książek używanych w Krakowie, a w maju 1989 niezależni wydawcy zjawili się na warszawskich Międzynarodowych Targach Książki.

Krytyczną ocenę niezależnego ruchu wydawniczego w późnych latach 1980-tych przedstawił znany publicysta podziemny, Dawid Warszawski⁴³. Według jego szacunku około 3.500.000 osób czytało podziemną prasę i periodyki. Czytelnicy koncentrowali się głównie w miastach i ich wiek był poniżej 50 lat, a wydawcy, na ogół pochodzący z miejskiej inteligencji, należeli do grupy wieku 40-50 lat. Ogromna większość niezależnych dziennikarzy utrzymywała się z innej pracy i stąd znała zainteresowania swych czytelników. Wielu potencjalnych odbiorców odstraszały wysokie ceny tych wydawnictw. Warszawski uważa, że spadek ilości niezależnych publikacji, od najwyższej liczby 1.300 tytułów tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, był skutkiem naturalnego działania rynku i możliwości wyboru wśród wydawnictw oferujących ten sam rodzaj informacji, a nie skutecznej działalności sił bezpieczeństwa⁴⁴.

W tym okresie można z grubsza wyróżnić 4 rodzaje prasy niezależnej: wydawnictwa związkowe jak *Wola*, *CDN* i *Tygodnik Mazowsze*; polityczne — jak *Robotnik* i *Niepodległość*, oraz czasopisma elitarnie, np. *Krytyka*. Na czwarty i najnowszy gatunek składały się pisma młodzieżowe, w tym „punków”, których wychodziło 7 czy 8 w samej Warszawie⁴⁵. Jeśli chodzi o dwie pierwsze kategorie, to Warszawski kwestionował zaliczanie ich do niezależnych, ponieważ większość z nich wyrażała poglądy

43. Dawid Warszawski, „Drugi obieg — plusy i minusy”, *Kultura*, nr 6(501), 1989, str. 84-96.

44. *Ibid.*, str. 84.

45. *Ibid.*, str. 84.

poszczególnych ugrupowań politycznych. Wśród wyjątków należy umieścić *Politykę*, *Arkę* i niekiedy kontrowersyjny *Przegląd Wiadomości Agencyjnych*, które chciały pozostać bezpartyjnymi organami politycznymi, co im się udało aż do ich likwidacji wiosną 1990. Warszawski zarzucał prasie niezależnej ograniczone horyzonty i zbyt ostrożne podejście do spraw polityki wewnętrznej, co przypisywał jej przynależności do poszczególnych ugrupowań, z drugiej jednak strony rozumiał wielką odpowiedzialność jej publicystów, którzy często musieli odgrywać rolę nie do pozazdroszczenia jako „twórcy historii”.

Współzawodnictwo prasy niezależnej, której udało się przełamać urzędowy monopol informacji, zachęciło prasę oficjalną do poruszania zabronionych do niedawna tematów. Ta sama tendencja dała się zauważyć wśród wydawanych w tym okresie książek.

Rokowania Okrągłego Stołu, które złagodziły wrogość władz wobec prasy niezależnej, oznaczały gruntowną zmianę jej położenia. W maju 1989 Grzegorz Boguta podsumował jej osiągnięcia: „Mam poczucie, że kończy się pewna epoka. Niedługo po czerwcowych strajkach w 1976 r. utworzyliśmy Niezależną Oficynę Wydawniczą. W ciągu 12 lat wydaliśmy prawie 400 tytułów. Dorobek całego niezależnego ruchu wydawniczego w tym okresie szacuje się na 2,5 tys. pozycji książkowych. Nasze książki są natychmiast rozchwytywane, mimo że ostatnio zwiększyliśmy nakład z 3 do 5-6 tysięcy. Obecna sytuacja polityczna jest również i naszym zwycięstwem. Strona rządowa przekonała się, że zwalczanie podziemnych wydawnictw metodami policyjnymi do niczego nie prowadzi. Dziś książki, publikowane wcześniej w II obiegu, są oficjalnie wydawane w wielotysięcznych nakładach i sprzedawane w państwowych księgarniach⁴⁶”.

Do głównych bolączek prasy niezależnej w nowej sytuacji Boguta zaliczył jej niechęć do ujawnienia się, dopóki działa cenzura, trudności dystrybucji i sprzedaży oraz kłopoty ze zdobywaniem papieru, które zmuszały do podnoszenia cen.

Pod egidą Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych, w skład którego wchodziły CDN, Myśl, NOWa i Przedświt, powstało Stowarzyszenie Wolnego Słowa. Zamierzało ono stworzyć sieć klubów w całym kraju, w których czytelnicy niecenzurowanych książek mogliby dyskutować o nowej literaturze, spotykać się z jej autorami i zgłaszać dezyderaty pod adresem jej wydawców. Członkowie klubów mogliby połączyć swe środki dla pokrycia wysokich cen wynikających z podrożenia papieru i kosztów wydawniczych, oraz zniżyć ceny wydawnictw przez bezpośrednią sprzedaż klubom. W ciągu 1989 r. propozycje te spotkały się z

46. *Gazeta Wyborcza* nr 8, 17 maja 1989.

bardzo przychylnym przyjęciem, szczególnie na prowincji, marnie obsługiwanej przez istniejące biblioteki i księgarnie. Reakcja ta oznaczała częściowe przetrwanie prowincjonalnej inteligencji, spragnionej bieżących informacji o sprawach kultury i polityki.

Rola niezależnych wydawców zaczęła jednak kurczyć się po zwycięstwie Solidarności w czerwcowych wyborach wskutek wynikających z niego reform, w tym również zniesienia cenzury. Do końca roku wielu z nich zaprzestało działalności lub zdecydowało się na rejestrację i jawną działalność obok innych firm prywatnych i państwowych. Pozostałych w podziemiu zaczęto pomawiać o chęć ukrycia swych wysokich zysków pod pozorem motywów politycznych w celu uniknięcia podatków. Całe pokolenie wydawców, drukarzy i dystrybutorów, którzy niedawno jeszcze podejmowali poważne ryzyko w imię swobody informacji, straciło nagle rację bytu. Niektórzy przyjęli pracę w zarejestrowanych domach wydawniczych, ale wielu poczuło się „niepotrzebnymi ludźmi” nadchodzącej dekady.

VI. KRYZYS NA POLSKIM RYNKU WYDAWNICZYM

Pomimo gorących prośb z różnych stron o opiekę nad wolną nareszcie kulturą polską, którą należy chronić przed upadkiem spowodowanym brakiem środków materialnych i chaosem, jaki poraził inne dziedziny życia gospodarczego, reformy Balcerowicza, których jednym z głównych założeń jest odebranie subsydiów państwowych kulejącym przemysłom, dotknęły rynek wydawniczy na równi z innymi działami gospodarki. Jeszcze przed wprowadzeniem tych drakońskich zarządzeń dało się zauważyć narastający kryzys polskich wydawnictw, m.in. z braku papieru. Polska produkuje papier, ale konieczność zdobycia twardej waluty spowodowała, że pomimo urzędowego zakazu eksportu papieru, w r.1989 300.000 ton papieru eksportowano do Austrii⁴⁷. W r.1988 przypadło tylko 10 kg drukowanego papieru na głowę polskiej ludności, podczas gdy we Francji odpowiednia liczba wyniosła 52 kg, a w Zachodnich Niemczech 78 kg⁴⁸. Jednocześnie wskutek galopującej inflacji ceny papieru wzrosły z 300 zł za kilogram w czerwcu 1989 do 5.000 zł w styczniu 1990 i bywało, że polskie ceny papieru przewyższały zachodnie. W porównaniu z danymi na r.1988, liczba tytułów

47. Barbara Seidler, „Kondycja książki”, *Życie Literackie*, 17 grudnia 1989, str. 1.

48. *Ibid.*

wydanych w 1989 spadła o 15,5 %, a liczba egzemplarzy o 13,1 %⁴⁹. Spadek liczby nabywców był jeszcze większy, bo przy eksplozji kosztów utrzymania udział w życiu kulturalnym i kupowanie książek stały się nieosiągalnym luksusem.

W scentralizowany świat wydawniczy zaczęły przenikać nowe pojęcia wolnego rynku, grożąc bankructwem wielkich państwowych domów wydawniczych z ich straszliwie długim cyklem produkcyjnym, ogromnym personelem i zacofaniem technologicznym. Rośnie liczba firm prywatnych często nastawionych na szybki zysk i oferujących literaturę pornograficzną, wiedzę tajemną, astrologię, kuchenne romanse, „rewolwerowce” itp.

Trudno przewidzieć, w jakim kierunku pójdzie polski rynek wydawniczy w następnej dekadzie. Zapewniony zbyt książek na tematy do niedawna zakazane, jak Katyń, czy licha pornografia, prawdopodobnie nie potrwa długo, ponieważ zabroniony owoc spowszednieje. Pojawiają się głosy, że rząd powinien sformułować politykę kulturalną na ten okres głębokich przemian, ale wspomnienie koszmaru państwowej kontroli, z którego kultura polska dopiero się wyzwoliła, nie przestaje nękać tych, od których zależy jej przyszły kształt. Piotr Wojciechowski tak ujął to zagadnienie: „Los książki określi przyszłość naszej demokracji, poziom naszych elit, skuteczność języka, jakim będzie wyrażana nasza opinia publiczna⁵⁰”.

Janet ZMROCZEK

Tadeusz WYRWA

ŻYDZI POLSCY WE FRANCJI

Grupa wybitnych działaczy żydowskich z Polski, którzy przedostali się do Francji po klęsce kampanii wrześniowej 1939 roku, założyła czasopismo *Przyszłość*. Redaktorem naczelnym tego czasopisma był dr Ignacy Schwarzbart, członek Rady Naro-

49. Piotr Wojciechowski, „Na odsiecz książce”, *Przegląd katolicki*, 8 kwietnia 1990, str. 5.

50. *Ibid.*

dowej R.P., powołanej w grudniu 1939 roku przez prezydenta Raczkiewicza i mającej być surogatem Sejmu, spełniającym rolę organu opiniotwórczego. Pierwszy numer *Przyszłości* ukazał się 25 marca 1940, a ostatni 20 maja; w sumie wyszły tylko cztery numery¹. Czasopismo to, dążące do zbliżenia polsko-żydowskiego, jest dzisiaj najistotniejszym zapewne źródłem z tego okresu, gdy mowa jest o poglądach Żydów odnośnie Polski powojennej, o którą wspólnie wówczas walczone.

We wstępnym artykule pierwszego numeru redakcja zaznacza, że nazwała *Przyszłość* dlatego „Organem Żydów polskich”, gdyż w ten sposób chciała wyrazić, że chodzi o czasopismo nie będące organem żadnego stronnictwa politycznego lub ugrupowania społecznego, które winno być „wyrazicielem całego Żydostwa polskiego, tak w Kraju jak i żydowsko-polskich ośrodków na emigracji, dawnej i nowej”. W dramatycznym okresie dziejów Europy na czoło zadań wysuwa się — pisze dalej Redakcja — „wszystko to, co nas łączy w jedną społeczność żydowską, a nie co nas dzieli politycznie czy społecznie”.

Redakcja była przekonana, „że nadejdą czasy inne, lepsze dla Polski i dla Żydów. Na nie trzeba się przygotować co dzień, zbierać siły, jednoczyć szeregi, mobilizować ofiarność, samopomoc”. Z kolei wyjaśnia, iż pragnie, żeby nazwa *Przyszłość*, jaką nadała swojemu czasopismu, symbolizowała już w tytule, że „wierzymy w tę przyszłość, że wzrok nasz, dobra wola i wysiłki ku niej są skierowane”. Zwracając się następnie z apelem do całego Żydostwa polskiego o poparcie moralne i materialne, a do społeczeństwa polskiego o dobrą wolę i zrozumienie, redakcja precyzuje, że czasopismo, o którym mowa „ma służyć Sprawie Polski i Sprawie Żydostwa polskiego. Walce o zwycięstwo Polski... o jej postępowe oblicze. Walce o pełne i rzeczywiste równouprawnienie Żydostwa polskiego”.

Całą pierwszą stronę pierwszego numeru *Przyszłości* — oprócz artykułu wstępnego — zajmuje przemówienie dr. Ignacego Schwarzbarta, jakie wygłosił na posiedzeniu Rady Narodowej R.P. dnia 8 marca 1940 roku. W przemówieniu tym nie brakowało krytyki pod adresem Polski sprzed 1939 roku — o czym wiele również pisano na łamach innej, nie żydowskiej prasy — ale co najważniejsze, autor tego przemówienia, będąc przedstawicielem społeczeństwa żydowskiego na tej radzie, podkreślił z naciskiem, że „los nasz (Żydów) związaliśmy z Polską... Z Nią i dla Niej ponosimy i ponosić będziemy wszelkie ofiary, ale też razem z Jej przyszłym szczęściem oczekujemy szczęśliwe-

1. Czasopismo to, pod tym samym tytułem, wznowiono w Londynie, gdzie ukazywało się od stycznia 1941 roku.

go losu i dla siebie w Polsce. Oczekujemy losu wolnych i równych we wszystkim obywateli". W dalszym ciągu Schwarzbart zwraca uwagę, że propaganda polityczna w Kraju i na emigracji winna z inicjatywy rządu polskiego „nastawić się na wyplenienie chwastów nienawiści narodowej czy religijnej i na wychowanie typu obywatela, myślącego i czującego, działającego i współzyczącego na zasadach demokracji, postępu, rzeczywistego równouprawnienia wszystkich obywateli, bez względu na ich narodowość i wyznanie”.

Inny autor, dr R. Rajchman, w tym samym numerze czasopisma, w artykule pt. „Żydzi polscy na wychodźstwie” przypomniał, że za granicą, czy to w krajach europejskich, czy w zamorskich, czy w Palestynie, Żydzi polscy „pozostawali zawsze Żydami polskimi”, zespolonymi z Polską serdecznymi węzłami, a „węzły te są nierozzerwalne”. Jeśli chodzi o okres sprzed 1939 roku, to „Żydzi rozgoryczeni byli tylko na reżim”, ale nawet i wtedy „nie przestali wierzyć w Polskę... Żydzi polscy na emigracji stawiają sobie jako czołowe zadanie obecnej chwili współpracę o wyzwolenie i odbudowę Polski Nowej”.

W artykule pt. „Pierwsze zadanie”, opatrzonym inicjałami IKS, autor pisze, że „gdy snujemy nadzieje o nowej, wielkiej i demokratycznej Polsce — to staje przed nami wizja państwa, w którym wszyscy obywatele, a więc i Żydzi czuć się będą szczęśliwi... Ułożenie się stosunków polsko-żydowskich wymaga wysiłku z naszej, ale i z polskiej strony”. Trwałe i korzystne dla Polski rozwiązanie tego problemu „będzie możliwe pod warunkiem zmiany psychicznego nastawienia społeczeństwa polskiego do sprawy żydowskiej. W całym szeregu dziedzin życia polskiego następuje przeoranie psychiki. Musi ono objąć także odcinek żydowski”.

Drugi numer *Przyszłości* z datą 15 kwietnia 1940, zawiera m.in. artykuł dr. K. Steina pt. „Słowo do polskiej demokracji”, gdzie autor zastanawia się nad tym, jaka będzie odrodzona Polska, którą wszyscy, a więc i Żydzi, chcą budować. Trzeba ją budować we wszystkich dziedzinach, z narodowością włącznie. Nie ma bowiem „szczerej demokracji tam, gdzie obywatele są wartościowani wedle swej przynależności klasowej, wyznaniowej czy narodowościowej... Dla demokracji polskiej otwiera się ogromna historyczna szansa”.

2. Ignacy Schwarzbart, „Przeszłość, teraźniejszość, przyszłość” w: *Przyszłość* Nr 1, Paryż 25 marca 1940, str. 1.

3. R. Rajchman, „Żydzi polscy na wychodźstwie” w *supra* str. 2.

4. IKS, „Pierwsze zadanie” w: *Przyszłość*, *supra*, str. 3.

5. K. Stein, „Słowo do polskiej demokracji” w: *Przyszłość* Nr 2, 15 kwietnia 1940, str. 1.

Tutaj można jedynie zaznaczyć, że inne organy prasy polskiej, nie żydowskie, wydawane wówczas we Francji, poruszały te same problemy i do podobnych dochodziły wniosków, że „w odrodzonym państwie polskim winny istnieć równe prawa dla wszystkich zamieszkujących go... W odrodzonej Polsce musi unikać się zarówno zaostrzania różnic klasowych, jak i rozbijania ogółu obywateli przez uroszczenia krzykliwego nacjonalizmu”.

Powracając do drugiego numeru *Przyszłości*, to na jego łamach, w artykule pt. „Za naszą i waszą sprawę”, dr R. Rajchman pisze, że „Żydostwo polskie na wychodźstwie zrozumiało, że nie pora na łzy i rozpacz. Zrodziła się gotowość do czynu. We wszystkich ośrodkach polsko-żydowskiej emigracji wzbudziła się świadomość odpowiedzialności”. Autor potwierdza, że „od wieków żyjemy razem w doli i niedoli. Wrogowie Polski są zarazem wrogami Żydów. Na okupowanych ziemiach łała się wspólnie krew Polaków i Żydów obywateli polskich, razem łączy ich cierpienie obecne. Żydzi polscy za granicą zjednoczyli się i zorganizowali, by stanąć wraz z Żydostwem polskim w kraju w jednolitym froncie, w służbie dla Niepodległości Polski i własnej wolności”. Artykuł kończy słowami: Wrzesień 1939 roku jest datą tragiczną, ale winien też stać się — datą pouczającą. O naszą i waszą sprawę toczy się walka...⁷

W trzecim kolejnym numerze *Przyszłości*, z 27 kwietnia 1940 roku, Ignacy Schwarzbart w artykule pt. „Aby utorować dobru drogę” potwierdza, iż „społeczeństwo żydowskie było i jest pozytywnie nastawione do państwa... Nasza swoistość narodowa, kontynuacja naszych historycznych wartości narodowo-kulturalnych nie stoi w żadnej, ale to najmniejszej sprzeczności z procesem pełnej syntezy z państwem”. Spychanie Żydów do rzędu półobywateli, ucisk i upokorzenie będą wywoływały gorycz i bunt. Dziś, gdy Żydzi walczą razem z narodem polskim, powinni być tym lepiej zrozumiani. „Wspólne cierpienie dla Rzeczypospolitej — podkreśla autor — stworzyć winno między nami łączność serc, łączność nieśmiertelną”.

Ten sam numer *Przyszłości* zawiera artykuł Pauliny Apen-szlakowej nadesłany z Tel-Awiwu. Zatytułowany „O konsolidację Żydostwa polskiego w Palestynie”, odnosi się raczej do wewnętrznych spraw Żydów, ale warto przytoczyć przynajmniej kilka zdań. W Palestynie znajdowało się wówczas około 300.000 Żydów pochodzących z Polski i jak autorka pisze, żal i gorycz,

6. Tytus Filipowicz, „Wytyczne demokracji polskiej” w *Czarno na białem* Nr 1, 1-go stycznia 1940, str. 1.

7. R. Rajchman, „Za naszą i waszą sprawę” w: *Przyszłość* Nr 3, 27 kwietnia 1940, str. 1.

8. Ignacy Schwarzbart, „Aby utorować dobru drogę”, w: *supra*, str. 1.

jakie nagromadziły się w ich sercach do starego kraju, nie zmieniają faktu, „że nawet polskie wychodźstwo amerykańskie nie jest związane tak żywymi nićmi sentymentu z Polską, jak Żydzi polscy w Palestynie”. Często słyszy się — czytamy dalej — język polski, zwłaszcza w Tel-Awiwie, w kioskach pełno gazet polskich; „wszystko co z Polski i o Polsce, cieszy się tu olbrzymim zainteresowaniem”.

Ostatni, czwarty numer *Przyszłości*, ukazał się 20 maja 1940 roku, gdy ruszyła na Zachód ofensywa hitlerowskich Niemiec i walka toczyła się na francusko-belgijskiej granicy. W numerze tym znajdowała się ponownie korespondencja z Tel-Awiwu, opatrzona tym razem inicjałami Sch, gdzie autor z satysfakcją zaznaczył, że czasopismo *Przyszłość* jest chętnie czytane i „stanie się niewątpliwie także pomostem między Żydostwem polskim w Palestynie a Polską”.

Następnie autor streszcza referat adwokata Hartgłasa, pochodzącego z Warszawy, wygłoszony w tel-awiwskim Klubie Żydów Polskich. Prelegent podkreślił, że „Żydzi polscy byli i będą ludźmi złączonymi z Polską. Historyczne węzły, łączące naród żydowski w Polsce z Polakami, są silniejsze od największych prześladowań i przetrwają obecną burzę dziejową”. W dalszym ciągu swojego referatu Hartglas „karcił niektóre objawy oportunizmu w żydostwie amerykańskim”⁹.

W tym samym numerze *Przyszłości* widnieje artykuł podpisany inicjałami dr A.F. i zatytułowany słowami, od jakich zaczyna się rozdział w Statutach Kazimierza Wielkiego dotyczący Żydów: „Żydzi, wierni mieszkańcy naszego kraju”. Słowa te zawierają, według autora artykułu, „jakby wieczyste przymierze polsko-żydowskie i tworzą podwaliny symbiozy polsko-żydowskiej”. Ale od tego czasu różnie bywało i ten sam autor podkreśla następnie, że „historiografia polska w oswobodzonej ojczyźnie będzie musiała poddać się nieodpornemu procesowi rewizji starych i nie dających się pogodzić z realizmem współczesnym, poglądów na rozwój dziejowy...”¹¹.



Druga wojna światowa i jej skutki przeorały nie tylko nasze dzieje, ale dzieje całej cywilizacji europejskiej, której pogłębiający się coraz bardziej kryzys fatalnie zaciążył na stosunkach polsko-

9. Paulina Apenszlakowa, „O konsolidację Żydostwa polskiego w Palestynie” w: *supra* str. 3.

10. Sch, „Żydostwo polskie w Palestynie zrywa się do pracy” w: *Przyszłość* Nr 4, 20 maja 1940, str. 3.

11. A.F. „Żydzi, wierni mieszkańcy naszego kraju” w: *supra*, str. 4.

żydowskich. Podczas silnych wstrząsów dziejowych, a takie przeżywa obecnie cały świat, bardzo łatwo jest zatracić istotne wartości niezbędne do harmonijnego współżycia ludzi. Podobny też los spotkał stosunki polsko-żydowskie, co jest tym bardziej tragiczne, że odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosi przeważnie pokolenie, które przeżyło kataklizm z lat 1939/1945 i z okrucieństw wojny nie wyciągnęło podstawowej nauki: że na nienawiści niczego trwałego zbudować nie można.



W czasie ostatniej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, w czerwcu 1991 roku, Michał Friedman, przewodniczący Komisji Koordynacyjnej Organizacji Żydowskich w Polsce, w powitalnym przemówieniu do Papieża powiedział m.in.: „Polska jest nie tylko żydowskim cmentarzem. Tu jest nasze życie, tu są korzenie wielkiej liczby Żydów całego świata... Do kultury polskiej Żydzi wnieśli wielki wkład. Z kultury polskiej Żydzi wynieśli również bardzo dużo. Nie żałowali też krwi w obronie niepodległości wspólnej ojczyzny. Wszystkie polskie pola bitewne od czasów Kościuszki po najnowsze dzieje zroszone są żydowską krwią. Wspólny też znaleźli grób w Katyniu¹²”.

Pamięć o wspólnych mogiłach z ostatniej chociażby wojny, rozsianych po różnych częściach świata, winna teraz ułatwić Żydom i Polakom odnalezienie wspólnego języka i korzeni wspólnych, prawie tysiącletnich dziejów. Może też myśli wyrażone na łamach czasopisma *Przyszłość*, o którym była tutaj mowa, będą również do tego pomocne.

Tadeusz WYRWA

LIST Z KRAKOWA Z 26 MARCA 1794 r.

Zamieszczony poniżej „List z Krakowa z 26-go marca 1794 r.” został znaleziony przez prof. Henryka Kocója w czasie poszukiwań w archiwum w Dreźnie Staatsarchiv Dresden pod sygnaturą LOC 3577. List ten został znaleziony w korespondencji Patza, posła saskiego w Warszawie z okresu konfederacji targowickiej i powstania kościuszkowskiego. Niestety nie udało się

12. Zob. „Dialog z judaizmem” w: *Więź* Nr 9, wrzesień 1991, Warszawa, str. 93.

wyjaśnić, kto był autorem listu. Prof. Kocój specjalizuje się w badaniach okresu kościuszkowskiego. Przeprowadził bardzo interesujące badania materiałów archiwalnych poza Dreznem w Merseburgu, Wiedniu i Paryżu. Red.

Monsieur

Lubo aż nadto mało mam teraz czasu, obrałem sobie jednak moment opisania Wielmożnemu Panu tego co się stało a co jest interessowanego. Trzeba wiedzieć iż dzień 24 marca (fut designé pour la révolution contre le Despotisme non seulement dans toute la Pologne, mais dans la Suede, Danemarque, Hongrie) w poniedziałek tedy rano, zamknięto bramy nikogo z miasta nie wypuszczano; wszystkich to zdziwiło, nikt nie wiedział co dalej będzie aż o godzinie dziesiątej Wielki Kościuszko wraz z Aleksandrem Linowskim pokazał się ludowi po mianej do wojska (które wszystko w ten czas stanęło pod bronią) zachęcającej do obrony ojczyzny mowie wykonał najprzód sam wszród nie pretłocznego gminu ludu przysięgę na wierność Narodowi Polskiemu (mais non pas au Roi) i na utrzymanie wolności równości i samowładności narodowej. Po tym Generał Wodzicki i wojsko, dalej poszedł na ratusz podpisał akt powstania Narodu a wszyscy nasi ustawnie podpisują się. Treść onego wystawia ohydę, w jakiej był Naród nasz — Przemoc Despotów — dalej zachęca do równości i wolności; konkluzja oddajemy najwyższą władzę Kościuszcze jako naczelnikowi najwyższemu Siły Zbrojnej Narodowej. Stanowimy najwyższą Radę Narodową Sąd Kryminalny Najwyższy Sąd Kryminalny Wojwódzki, Komisje Porządkowe podług ostatnich wolnych sejmików. Komisja wczoraj rozpoczęła się porządkowa. Zafundował jurysdykcję Kościuszko komisarza, są między innymi N N. Sąd Kryminalny dziś będą wybierać z osób Sąd dawniej ziemiański i miejski składających. Gdy ten Sąd jurysdykcją swoją zafunduje będzie ciekawa rozprawa. Głębocki drapnął z Krakowa zaraz po ogłoszonym akcie powstania Narodu. *Raski* jest regimentarzem województwa krakowskiego. *Taszycki* Generałem, ten ostatni zaraz po ogłoszeniu proklamacji dał w ofierze wszystkie swoje srebra stołowe i 3000 talarów z zebranej składki. Wielu tu bardzo zaciągają się pod chorągwie wolności. Już wyszedł Uniwersał kommisji na mocy ordynansu Kościuszki, iż miasto Kraków na piątek to jest na 29 marca 500 zbrojnej milicji ma dostać a inne miasta i wieś z pięciu dymów jednego żołnierza umundurowanego i zbrojnego z wszelkimi rekwizytami. Pobór nie ledwo równa się cesarskiemu na wszystkich nałożony jest tym aktem; każdy od 18 do 28 lat go-

tów do boju być powinien na zawołaniu. Rewidując pocztę znaleźli listy różne szelmujące in summo gradu związek pod Kościuszką; między innymi Remiszewskiego i Chwaliboga, który pisze, że woli być najniepocziwszym niżeli łączyć się do związku tego. Ma być pozwany do Sądu kryminalnego, aby się tłumaczył. Amnesticę ogłosili ale co do przeszłości, lecz kto tylko będzie powstawał przeciwko temu związkowi, śmiercią będzie karany. Mówi Kościuszko w Proklamacji do obywatelów, kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Każda obojętność za zbrodnię poczytana będzie, podobno Głębocki szubienicy nie ujdzie (którą zaraz po obraniu sędziów kryminalnych mają przed Hauptwachem wystawić), albo konfiscat majątku, dobra Narodowe w administracją dawną wzięte będą i już tu wszyscy wykonali przysięgę (mais point au Roi, seulement à la Nation). Przy wejściu Kościuszki na Ratusz do podpisu wszyscy zawołali aby portret zdrajcy wyrzucony był. Co moment spodziewamy się Małachowskiego, Potockiego, Kołłątaja, Sołtyka etc. Kościuszko ma stąd niedługo wyjść. Do odebrania Częstochowy i wypędzenia Wojska Despoty z Kraju Polski. W Krakowie spodziewają się mieć z Woluntariuszami do 16 000 wojska. Hasło śmierć albo zwycięstwo. W Sandomierskim Dobiecki, w Lubelskim Potocki, na Ukrainie i w Wołynie Walewski ex wojewoda wielkiej Polaszce Zakrzewski podobne naszemu związkowi porobić mieli. *Słuszne* tu będziemy mieli urządzenia co do wpojenia dobrej opinii i wykorzystania przesądu ludu. Kasy pozabierane już wszystkie z niecierpliwością oczekujemy doniesienia co się stało z tymi Moskalami co stąd wyszli albowiem wyszedł Ordynans dysarmowania ich. W Galicji podobna będzie naszej rewolucja. Kościuszko tu do nas w nocy o 9 tej w niedzielę przyjechał i przez całą noc z Moszyńskim, Linowskim, księdzem Dmochowskim, Czackim Starostą Nowogrodzkim dobrymi zawsze patriotami robili już dawno przygotowane rzeczy. Taka tu po Krakowie radość teraz jak w Paryżu nie może być większa na wsparcie związku tego Francja dała nam 14 milionów. Elektor Saski także obiecał pomoc. Mamy tu nowo przybyłych kilku Francuzów razem z Kościuszką którzy umyślnie od konwencji wysłani zostali. Ton we wszystkich proklamacjach mamy taki jak wolnemu Narodowi przystoi i który sprawiedliwości swej broni. Sady Magistratury od despoty narzucone żadnego odtąd nie będą miały waloru a na samych tylko zdrajców Sąd Kryminalny bez przerwy agitować się będzie. Najwyższy Sąd i Najwyższa Rada będą zawsze przy Kościuszcze.

SPIS TREŚCI

Edward Możejko: <i>Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.</i>	3
Adam W. Kulik: <i>Prawosławie w Polsce. Rozmowa z bp. Ablem</i>	23
Bp Szczepan Wesoly: <i>Podwójna jurysdykcja dla Polaków w Anglii</i>	42

DOKUMENTY

A. Paczkowski (opr.): <i>Nastroje przed bitwą</i>	60
Piotr Wandycz: <i>List Jana Masaryka do Stalina</i>	83
Józef R. Rybicki (opr. Hanna Rybicka): <i>Wspomnienia o organizowaniu „NIE”</i>	88

WSPOMNIENIA

Oleh Puszkarski: <i>Spotkania Ukraińca z Polakami w łagrze stalinogorskim</i>	97
Dora Kacnelson: <i>Ossolineum we Lwowie w latach 1961-1991</i>	106
Zygmunt Wenda: <i>Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. III.</i>	116

RECENZJE

Andrzej Grzywacz, Grzegorz Mazur: „Polska i świat” w krzywym zwierciadle	189
Piotr Wandycz: O polskiej dyplomacji	198
Józef Lewandowski: Powstanie, kryzys i rozpad bloku sowieckiego w Europie	201

OKRUCHY HISTORII

Janet Zmroczek: <i>Ruch wydawniczy w Polsce po 1945 r.</i>	209
Tadeusz Wyrwa: <i>Żydzi polscy we Francji</i>	231
<i>List z Krakowa z 26 marca 1794 r.</i>	236

Photocomposition: **AKTIS S.A.R.L.**
48, rue de la Rochefoucauld, 75009 PARIS

Achévé d'imprimer le 26 mai 1992
sur les presses de l'Imprimerie Nouvelle, 16-24, rue Soubise, 93400 Saint-Ouen
Dépôt légal : 2^e trimestre 1992
N° d'imprimeur : 390

